

# *Colgan Jenny*

## *Randka z Addisonem*

*Holly, młoda sfrustrowana kwiaciarka, z braku innych możliwości musi wprowadzić się do mieszkania dzielonego przez trójkę znajomych: Josha - prawnika o niesprecyzowanej orientacji seksualnej, Kate - śliczną, bardzo pewną siebie posiadaczkę doskonałej posady w City, oraz ekscentrycznego, niezwykle przystojnego Addisona, programistę komputerowego.*

*Jedno krótkie spotkanie wystarczy, by Holly zakochała się po uszy. Ale jak oderwać obiekt jej zainteresowania od klawiatury i internetowej przyjaciółki Claudii? Jak wyciągnąć go z domu?*

*Pierwsza próba kończy się katastrofą...*

## *Czesc Pierwsza*

## ***Rozdział pierwszy***

Pewien znany podróżnik stwierdził kiedyś, że wyprawy na biegun są najgorszą formą spędzania wolnego czasu wymyśloną przez ludzkość. Ale pewnie nigdy nie szukał pokoju do wynajęcia ani nie mieszkał z bandą przypadkowych ludzi. Choć z drugiej strony, gdyby nie te wszystkie osoby, nie poznałabym Addisona. Hmm... I gdy się teraz nad tym zastanawiam, to mogłabym powiedzieć: faktycznie odmroziłam po drodze wszystkie palce, ale poznałam kilka całkiem uroczych pingwinów. Po trzydziestu sześciu godzinach przebywania na 12a Wendle Close, w dzielnicy Harlesden, uświadomiłam sobie, że popełniłam fatalny błąd. Przecież to jakiś absurd! Przemykasz cichaczem po czyimś mieszkaniu, a na dodatek nie spałaś zbyt długo (randka nocną porą) i ani nie pamiętasz imion tych ludzi, ani nie masz pojęcia, gdzie trzymają płatki śniadaniowe. Równie dobrze mogłabym być złodziejem. Takie skradanie się jest lekko żenujące, ale cóż — wróciłam chyłkiem do mojego pokoju i cichuteńko zamknęłam drzwi. Serce waliło mi jak oszalałe, bo przedtem obiegrałam wszystkie okoliczne sklepy, próbując zawrzeć bliższą znajomość ze sprzedawcami i rozeznąć się w smakach laysów.

Wystarczyło, że przyłożyłam głowę do pokrytych cienką

drewnianą okleiną drzwi, i już słyszałam, o czym rozprawiają moje nowe „przyjaciółki”, które siedziały w paskudnym aneksie kuchennym, całym w laminatach.

— Cóż, pozostało nam jeszcze ustalenie długoterminowego grafiku dyżurów: czyszczenie zasłony prysznicowej i półek w łazience, no i oczywiście mycie listew wykończeniowych.

— Rewelacyjny pomysł, Carol! — odezwał się jakiś inny głos. — A może tak robiłybyśmy coś w rodzaju wielkiego sobotniego sprzątnia? Potem mogłybyśmy zamawiać pizzę na telefon!

— Nie zapomnijcie o siatkach przeciw owadom! — zapiszczała karłowata Farah (o rety! co za imię!), którą notorycznie myłono albo z małpą, albo z Martinem Amisem \*. — Zaraz wyciągnę kredki i wszystko rozrysuję. Będzie wspaniała zabawa!

Usłyszałam zbiorowy jęk zachwytu.

— Czyżby Holly wróciła? — spytała flegmatyczna, niska i krępa Laura, która ciągle gdzieś przysiadła. — Wydawało mi się, że skrzypnęły drzwi jej sypialni...

O cholera!

„Ależ skąd! — spróbowałam przemówić do nich telepatycznie. — To na pewno był wiatr. Ten tajemniczy, wewnętrzny przeciąg...”.

— To może pójdziemy zapytać, czym chciałyby się zająć. Niemal zachłysnęłam się powietrzem.

— Tak! Koniecznie! — rozdarła się Farah. Usłyszałam walenie do drzwi.

— Holly? Holly, jesteś tam?

Carol, przewodnicząca Stowarzyszenia Maniakalnych Czyściochów, wpakowała bezczelnie głowę w szparę między drzwiami a futryną. Nie dalej jak tydzień wcześniej zbadalam autentyczność kruszcu, z którego wykonano jej bransoletkę

**\* Jeden z najbardziej znanych pisarzy brytyjskich.**

na kostkę, i zadałam sobie pytanie, czy mamy szansę, żeby kiedykolwiek się do siebie zbliżyć. Obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem. Wyczułam, że mimo iż od samego początku dzielnie walczyłam o nieskazitelność otoczenia, Carol, w zupełnie niepojęty dla mnie sposób, odkryła tajemnicę mojego dowiedzionego naukowo, przewrotnego stosunku do prac domowych (im większy bałagan, tym mniejsza szansa, że kiwnę palcem).

— Zastanawialiśmy się właśnie... — zaczęła.

Nagle Laura głośno pociągnęła nosem. Laura bez przerwy pociągała nosem. W takich chwilach zawsze chciałam ją uspokajać, że nic się nie stało, i że nikt nie będzie kazał jej zostać po lekcjach z powodu zaniedbania higieny osobistej. Carol rzuciła jej jadowite spojrzenie i odchrząknęła.

— Zakładając, że w ogóle ustalamy dyżury, zastanawialiśmy się, czy miałabyś ochotę na jakieś konkretne zajęcia?

Zmierzyłam ją wzrokiem, dając tym samym do zrozumienia, że nie dam się nastraszyć komuś, kto obrysowuje usta ciemną konturówką.

— Mogłabym wziąć na siebie czyszczenie żarówek i usuwanie wielkich pajaków.

— Bombowo! — zapiszczała Farah, płacząca się między moimi kolanami.

Carol rzuciła kolejne spojrzenie w stylu Roberta de Niro w roli mafiosa — tym razem mnie.

— Myślałyśmy, że wybierzesz raczej ubikację, zlewy i podłogi — powiedziała znacząco.

— Ooo... — wymamrotałam. — Czyli pełny zestaw?

— Przecież nie gotujemy zbyt często, prawda? — uśmiechnęła się.

Stało się jasne, że dałam się zrobić.

— A co ty będziesz robić? — zapytałam, przechodząc do kontraktaku.

— Będę koordynować pracę — odparła. Laura potakiwała z entuzjazmem.

— Tak, to rzeczywiście ciężka harówka.

— ...będę musiała kupować środki czystości, rozpisywać dyżury, ewentualnie umawiać specjalne ekipy sprzątaczy, na przykład do czyszczenia dywanów, ustalać godziny telefonowania i nadzorować malowanie ścian. Jak więc widzisz, wszystkie będziemy miały sporo obowiązków.

Pomyślałam, że spróbuję jeszcze raz. Chciałam zaproponować, żeby Farah zajęła się podłogami, bo w końcu miała do nich najbliżej, ale zamiast tego wykrztusiłam tylko:

— Godziny telefonowania...?

— Tak. Wszystko przemyślałam — odparła z dumą Carol.

— Fantastyczny pomysł! — entuzjasmowała się Farah, płaczącą się między nogami Carol.

— Najprościej mówiąc, chodzi o to, że dzwonisz i odbierasz telefony wyłącznie wieczorami, o ściśle określonej porze. Później, kiedy dostajemy rachunek, płacisz za rozmowy wykonane w twoim czasie i nikt nie może oszukiwać na drogich połączeniach.

— Wobec tego drastycznie spadną moje dochody z seks-linii — stwierdziłam, wlepiając w nią wzrok. Laura wybałuszyła oczy. Carol uśmiechnęła się grzecznie, dając mi do zrozumienia, że jeżeli chcę wojny, ona podejmuje wyzwanie.

— No dobrze, a co powstrzyma mnie przed korzystaniem z telefonu poza wyznaczonymi godzinami?

— Zainstalujemy specjalną blokadę, którą tylko ja będę mogła otworzyć. Jeśli musisz zadzwonić, przychodzisz do mnie, a ja sprawdzam, czy to aby na pewno twoje godziny — oznajmiła Carol, potrząsając głową. — Wierz mi, twoje obowiązki są znacznie mniej skomplikowane od moich.

— O rany! Zdaje się, że dzwoni moja komórka! — przerwałam jej.

Żadna z nich nie zdradzała chęci zamknięcia drzwi mojego pokoju od zewnątrz.

— Przepraszam, ale muszę... Wybaczcie...

Na szczęście wierna świta Carol zaczęła się powoli wycofywać na dany przez nią znak; w przeciwnym razie musiałabym wrzasnąć, żeby spieprzały w cholere, wykopać je z pokoju i się zabarykadować. Zatrzasnęłam drzwi i klapnęłam na łóżko. Naturalnie nikt do mnie nie dzwonił, ale mimo to wyjęłam komórkę i podziękowałam maleństwu. Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć, że komórki służą wyłącznie zboczeńcom, którzy uważają, że podczas gdy oni jadą autobusem, inni ludzie, których wtedy tam nie ma, będą chcieli się o tym koniecznie dowiedzieć? A w ogóle to jak, do diabła, mam się stąd wydostać?

Niektórzy wciąż trafiają na niewłaściwych partnerów. Ja trafiałam na niewłaściwych współlokatorów. No dobra, z facetami też mi nie idzie najlepiej. Ale mniejsza z tym. Dopiero co udało mi się uciec od mojego poprzedniego obleśnego gospodarza z Hackney, który śmierdział moczem i wpadał do mnie w środku nocy, żeby przeszukać moje rzeczy, łącznie z szufladą na bieliznę. Wcześniej, w Dulwich, mieszkałam z trzema dziewczynami, które wstąpiły w szeregi sekty brodatych odmieńców i nie wpuszczały do siebie żadnych facetów poza przywódcą, z którym chodziły do łóżka na zmianę, kiedy tylko chciał. No a teraz wylądowałam z trzema postrzelonymi panienkami, laborantkami ze szpitala rejonowego. Zdaje się, że pobierały ludziom krew. Podejrzewam, że Carol zamiast igły używała własnych zębów.

Tak czy owak, ogłosiły w „Loot” \*, że poszukują czwartej współlokatorki do nowego mieszkania w atrakcyjnej dzielnicy Harlesden i, o dziwo, załapałam się. Pewnie jako jedyna nie straciłam zimnej krwi, gdy w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej weszła Laura i położyła przed Carol raport z dezynfekowania filiżanek.

— A ty jak często odkażasz zastawę? — padło pytanie.

— Ee... yyy... wydaje mi się, że raz na godzinę wystar

\* **Gazeta internetowa z drobnymi ogłoszeniami.**

czy — bąknęłam i na moim formularzu, podzielonym na szesnaście kolumn, pojawił się duży plus. Uczucie ulgi, towarzyszące swoistemu awansowi z meliniarskiego Hackney (gdzie doliczali do czynszu za luksus w postaci kibelka w mieszkaniu) do ekstraklasy jaką wydawało mi się wtedy nowe mieszkanie w „ekskluzywnej” dzielnicy w północno-zachodniej części Londynu, nieopodal składowiska odpadów przemysłowych, umacniało mnie w przeświadczeniu, że ubiłam doskonały interes. No i jednocześnie zupełnie zamydliło mi oczy, bo w rzeczywistości wszystkim tym ludziom odbijała szajba, i tylko ich przewaga liczebna sprawiła, że zastanawiałam się czy nie mają racji. Właśnie podejrzliwie oglądałam z bliska moją komórkę, szukając drobnoustrojów, gdy aparat zadzwonił. Wrzasnęłam jak oparzona i jak niezdarny żongler upuściłam go pod łóżko.

— Wszystko w porządku? — usłyszałam zza drzwi głos Carol.

Podśluchiwała, jakżeby inaczej. Zachłysnęłam się powietrzem, zakaszlałam, i w końcu wysapałam:

— Tak, dzięki.

— Pod twoim łóżkiem musi być sporo kurzu.

— Chyba masz rację — odpowiedziałam, prostując się na wyrku. Nagle podskoczyłam. Skąd ona, do jasnej cholery, wie, gdzie w tej chwili jestem? Poczułam na plecach zimny dotyk strachu.

— Słucham... — wykrztusiłam w końcu do telefonu.

— Czy ty wiesz, że od lat żadna kobieta nie krzyczała dzięki mnie w taki sposób? — dobiegł mnie rozmarzony męski pomruk.

Poczułam lekką ulgę.

— Josh, żadna kobieta nie krzyczała dzięki tobie w taki sposób. Czy ty w ogóle zaliczyłeś jakąś babkę?

— Ho, ho! Oczywiście, że tak!

— Tam, skąd pochodzisz?



— Niezupełnie... — odparł po chwili wahania. Drażniłam się z nim w ten sposób, odkąd się znaliśmy, czyli od bardzo, bardzo dawna. Ponieważ był przystojny i uprzejmy dla kobiet, większość ludzi brała go za geja. Za nic nie mogłam pojąć, jak ktoś o takim rodowodzie, mający doskonałą pracę i śliczną blond czuprynę, może sobie zupełnie nie radzić z dziewczynami. Nie to, żebym kiedykolwiek na niego leciała; po prostu był czarujący.

W każdym razie chwala Bogu, że oddzwonił. Rozsiadłam się wygodnie na łóżku, spoglądając z lekkim niepokojem na sufit, a nuż ktoś zainstalował kamery...

— Pamiętasz, Josh, jak ci powiedziałam, kiedy wprowadzałeś się do Pimlico, że nie chcę mieszkać w bufoniastej dzielnicy Londynu. Poza tym dołączyła do ciebie Kate, która mnie nienawidzi.

— Uhm. No tak.

— Więc, jak tam... jak wam się układa we wspólnym mieszkaniu?

— Niczego sobie.

— To dobrze. ŚWIETNIE!. Mmm... A jak sprawdza się ten facet, którego w międzyczasie dokooptowaliście?

— Addison? Jest w porządku... Spokojny, nie marudzi. Całkiem inaczej niż ja.

— Aha! Czyli nie planujecie żadnych rozsad?

— Tylko nie mów mi, że znów trafiłaś na jakieś Stowarzyszenie Tureckich Lesbijek — westchnął Josh.

Dwa lata temu, w Hoxteth, współlokatorki wykopały mnie, bo nie lubiłam kuskusu i kupowałam podpaski, które uważały za narzucony przez mężczyzn symbol samczej dominacji.

— Nie, gorzej.

— Miłośniczka kotów?

— Chryste Panie! Nie! Tamtej to nic nie przebiję. Ale i tak nieźle wdepnęłam!

— Nie masz ochoty na herbatkę, Holly? — dobiegł mnie głos Carol. — Właśnie jest twoja kolej na parzenie.

Zignorowałam ją.

— Josh, totalna klapa! Słuchaj, pamiętasz może tę kan-ciapę, z której chciałeś zrobić gabinet?

— Tę, którą porównałeś do trumny?

— Tak, właśnie o nią mi chodzi. Eee... czy...

— ...zrobiłem z niej już gabinet? Jeszcze nie zdążyłem od twojej ostatniej wizyty. Ale wynająłem ją komuś jako sypialnię.

— NIEEE! Roześmiał się.

— Josh, ty draniu! Wiem, że być może proszę o zbyt wiele, i odmów, jeśli się nie zgadzasz. Ale błagam cię... czy mogę zamieszkać w tej twojej trumnie? Tfu, kanciapie.

— Już mnie kiedyś o to prosiłaś, Holi — odparł, wzdychając.

— Wiem.

— Najpierw pakujesz się w coś bez chwili zastanowienia, a potem dowiaduję się, że uciekasz od jakiejś uniwersyteckiej drużyny matematyków-badmintonistów.

— Wiem. Jestem pokrecona.

— Jesteś! Dlaczego nie wprowadziłaś się od razu, jak kupiłem to lokum?

— Bo ty jesteś nadziany, a Kate wpędza mnie w depresję.

— Ani ja nie jestem nadziany, ani Kate nie przestanie zachowywać się jak... Kate. No ale skoro tak to odbierasz... — Nie, nie. Proszę cię.

Znowu rozległo się walenie do moich drzwi.

— Holly, poproszę o herbatkę. Jest w schowku.

— Gestapo mnie nęka! — szepnęłam do telefonu. — Jak szybko możesz po mnie przyjechać?

— Muszę to omówić z Kate i Addisonem.

— Josh! — skomlałam bliska łez — Proszę cię.

— No dobra — mruknął. — Przyjadę po ciebie koło siódmej. Dużo masz kłopotów?

— Jedną walizeczkę, w sam raz do trumienki.

— Tylko żebyś mi się znowu nie rozplęnęła bez śladu, zrozumiano?

— Tak, proszę pana — bąknęłam pokornie.

Widok Josha tak mnie ucieszył, że o mało nie udusiłam go w namiętym uścisku. Byłam gotowa paść mu do stóp, objąć za kostki i szlochać z wdzięczności, a potem namaścić mu stopy mazidłami czy jakimś innym diabelstwem.

Carol nie przyjęła zbyt dobrze mojej nowiny, tym bardziej że ją przechytryłam — z zamykanej na klucz (zgadnijcie, przez kogo...) srebrnej szkatułki wykrałam czek z moim zastawem (odwróciłam jej uwagę, rozsypując po całej kuchni promocyjne kupony z najbliższej Asdy\*, po czym sięgnęłam po kluczyk, gdy się pochyliła). Podeszła do mnie blisko. Jej twarz znalazła się kilka centymetrów od mojej. A raczej jej makijaż. Twarz była jakieś trzydzieści centymetrów dalej.

— Myślisz, że możesz robić, co ci się żywnie podoba? — syknęła.

— Właściwie tak. Dlatego nie mieszkam z rodzicami.

— A kto zamieszka w twoim pokoju? Musisz to jakoś załatwić.

— No tak. Cóż... będziesz chyba musiała ścigać mnie u moich znajomych. A tu masz mój nowy adres

— powiedziałam i machnęłam uspokajająco kartką. Nabazgrałam na niej:

*Holly Lane 1 Hollywood 020 8555 5555*

— I nie zapomnijcie przesłać mi rachunków — dodałam.

— Spokojna głowa — wycedziła Carol. Laura otwierała i zamykała usta niczym ryba.

**\* Supermarket oferujący produkty po bardzo niskich cenach.**

— Zostawiać Carol na lodzie w takim momencie... Co za niegodziwość — obwieściła drżącym głosem. — Zadała sobie tyle trudu.

— A co ze mną?! — zapiszczała pomiędzy moich kostek Farah. — Przecież rozписаłam dyżury!

— Bardzo was przepraszam, ale mój przyjaciel ma raka. Będę nim się opiekować, aż po kres jego dni. Laura cofnęła się, zdruzgotana tą wiadomością.

— Tak mi przykro... — wymamrotała.

— Ojej! Naprawdę?! — zafrasowała się Carol. — Raka czego?

Nic nie przychodziło mi do głowy.

— Mmm... Raka nozdrzy!

— Jesteś chora! — zawyrokowała Carol i ruszyła w stronę drzwi.

— I vice versa! — krzyknęłam za nią

Odwróciła się jeszcze raz, demonstrując w całej okazałości swoją zbyt obficie potraktowaną lakierem fryzurę, która wyglądała jak hełm bojowy.

— Chora, ale przynajmniej czysta!

Na szczęście wkrótce zjawiono się małe sportowe cacko Josha, który z entuzjazmem naciskał klakson.

Zresztą Josh wszystko robił z entuzjazmem.

Uff, wyrwałam się.

— Gdzie do diabła mam to upchnąć? — jęknęłam, gdy skończyłam dusić go w wylewnym uścisku i oceniłam pojemność jego dwuosobowego autka.

— Tak mi przykro, kochanie. Chciałem zamienić Bessie \* na volvo, ale sama rozumiesz, nie miałem czasu.

— Ha, ha, ha! Słuchaj, może usiądziesz na mojej kołdrze?

**\* Brytyjczycy często mówią o swoich samochodach, używając zdrobniałych imion żeńskich.**

— Tego chyba nie można podciągnąć pod seks — mruknął rozczarowany.

Wlekliśmy się do miasta przez półtorej godziny. Chociaż był dopiero kwiecień, Josh uparł się, by otworzyć dach, więc musiałam trzymać się kurczowo swojego dobytku niczym ofiara trzęsienia ziemi.

— Nareszcie wolna! — zawołałam. — Już nigdy więcej nie zamieszkać w żadnej beznadziejnej norze!

— Nie licząc tej, do której teraz się wprowadzisz.

— Josh, niech to będzie nawet szopa na tyłach ogrodu. Mam to gdzieś! Jestem WOLNA!

— Już dobrze, trzymaj się — ostudził mój zapał; najwidoczniej bał się, że za chwilę wychylę się z samochodu i zaśpiewam *My Heart Will Go On*.

Są dwie teorie na temat dzieci, które u progu dorosłości przeżyły trudny rozwód swoich rodziców. Zwolennicy pierwszej z nich mówią: „No cóż, takie jest życie — głowa do góry, być może panująca w domu napięta atmosfera zachęci cię do dłuższych posiedzeń w czytelni, dzięki którym do czegoś dojdiesz i odbijesz się od dna”. Wiele sławnych osób ma rozwiedzionych rodziców. No i co — odczuwają teraz nieustanną potrzebę pozostawiania na świeczniku. Mnie ta teoria raczej nie dotyczy. Druga teoria głosi, że dziecko staje się agresywne i zaczyna mieć wygórowane oczekiwania, a winę za to wszystko zrzuca na karb błędów wychowawczych rodziców. Ja raczej skłaniałam się ku tej teorii, bo stawia mniejsze wymagania. W ślad za nią idą lepsze prezenty na Gwiazdkę, choć wyniki na egzaminach są nieco gorsze. Dopóki byłam nastolatką, układało mi się całkiem nieźle, ale kiedy twoi znajomi nie muszą już oglądać cię codziennie na lekcjach i są zbyt pochłonięci robieniem obrzydliwych karier i takich tam... No cóż, miałam już te swoje dwadzieścia osiem lat, a życie z dnia na dzień

stawało się coraz mniej zabawne, szczególnie że wszyscy, których kiedyś znałam, nagle zaczęli fascynować się jakimiś durnymi HIPOTEKAMI, w mordę jeża. Za Chiny nie mogłam tego pojąć. Faceci, muzyka pop — to jest fascynujące. „Hipoteki” znajdziesz prędzej, szukając w słowniku antonimów wyrazu „fascynujące”. Stąd to moje wariackie przeskakiwanie z mieszkania do mieszkania.

Co gorsza, zdałam sobie sprawę, że mój młodzieńczy nonkonformizm powoli spycha mnie na wieczny margines — i to wcale nie jako wolnego ducha, za jakiego zawsze się uważałam; stawiał mnie raczej w jednym szeregu z podstarzałymi hipisami, robotnikami wierzącymi w socjalizm oraz wszystkimi, którzy rozprawiają o obaleniu władzy, a tak naprawdę nie radzą sobie z upraniem spodni. Okropnie przygnębiające. Oczywiście nikt nie lubi prać spodni, ale wołałam, by coś takiego nie definiowało sensu mojej egzystencji. Na domiar złego mój ojciec, który po rozstaniu z mamą zajął się — na pełny etat — sprowadzaniem do domu blond laleczek, przyprowadził ostatnio taką jedną w moim wieku, która miała hipotekę. I sportowy wóz. Ech, życie!

Josh co prawda również należał do tych z hipotekami, ale był prawdziwym skarbem i można było na nim polegać w każdej podbramkowej sytuacji — o czym doskonale wiedziałam i co w przeszłości bezwstydnie wykorzystywałam.

W końcu dojechaliśmy do Pimlico i zatrzymaliśmy się tuż przed sypiącym się budynkiem, utrzymanym w wiktoriańskim stylu.

— Widzę, że jeszcze nie ściągnęłaś ekipy remontowej?

— Nie było mnie na nią stać — odpowiedział Josh, wyskakując z samochodu bez otwierania drzwi i wyciągając z niego dwa foliowe worki pełne moich kłopotów. — Jak dotąd — dodał i uśmiechnął się do mnie słodko.

— Skoro o tym mowa... — Wlokłam się za nim, ściskając torbę ze skarpetkami i bielizną, rozłożyłysty filodendron oraz

pluszowego misia, którego nazwałam Frank Sinatra. Jednym z głównych powodów, dla których wylądowałam w Harlesden, było to, że jako niezależna kwiaciarka i wolny duch o niezbyt wygórowanych ambicjach nie zbijałam kokosów. Pimlico natomiast było w zasadzie dość ekskluzywną dzielnicą.

Josh rozwiązał moje wątpliwości i odetchnęłam z ulgą. Okazało się, że aktualna stawka za trumienki nie jest znowu taka wysoka.

W środku panowała absolutna cisza. Mieszkanie było duże, nieco zapuszczone, ale wygodne i zawsze mi się podobało. Jeśli jednak chodzi o jego cenę, Josh zdecydowanie przepłacił. Dał za nie naprawdę chore pieniądze — nie licząc zmurszałych ścian, w mieszkaniu gnieździły się termyty oraz wszelkie ruszające się paskudztwo, a dach wymagał wymiany. Ale czuło się tam przytulne ciepło domowego ogniska. Ogromna kuchnia ze starymi brzydkimi szafkami, na środku chybotliwy stół i cztery krzesła, popękane kafelki, a do tego wielkie okno z widokiem na podwórze, które otwierało się na zardzewiałą atrapę wyjścia awaryjnego. Zakrzętnęłam się w moim nowym maleńkim pokoiku, dociskając własnym ciałem niedomykające się szafki i upychając pod łóżkiem moje graty.

— Yyy... przepraszam za ten bałagan — wymamrotał Josh, gdy wróciłam do kuchni po herbatę. — Przeważnie nie ma tu takiego... a właściwie to jest.

— Super! — odpowiedziałam.

Uśmiechnął się niepewnie. Pochyliłam się nad stołem.

— Dzięki, Josh. Przepraszam, że cię do tego zmusiłam, ale obiecuję, że będę bardzo grzeczną lokatorką. Zobaczysz. Jak bum-cyk-cyk.

Tym razem wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Świetnie. Szczerze mówiąc, przyda mi się jakieś towarzystwo. Kate jest wiecznie zapracowana, a Addison... no cóż...

— Bombowo! — zawołałam. — Poplotkujmy na temat Kate!

— Och, straszna z niej suka, jak zawsze.

Do kuchni wkroczyła Kate, rzucając na jedno ze zniszczonych krzeseł reklamówkę z Marks & Spencer, wielką aktówkę, nieprzemakalny płaszcz od Nicole Farhi i drogą skórzaną torebkę.

— Witaj, Holly. Josh zostawił mi wiadomość na poczcie głosowej. Odsłuchałam ją jakieś dziesięć minut temu. Ale mniejsza z tym. W każdym razie witaj!

Podeszłam, żeby ją uścisnąć czy coś takiego, ale ona sięgała już po korkociąg. Josh delikatnie musnął jej ramię.

— Jak minął dzień, Skates?

— Wspaniale. Rewelacyjnie. Dzień jak co dzień. Dwa seksistowskie komentarze, cztery raporty do zrobienia, jedna chybiona prognoza, a jutro o ósmej rano muszę być w Dublinie, gdzie robię jakąś prezentację dotyczącą raportu, o którym nie mam zielonego pojęcia. Potem, jeszcze przed południem, mam zameldować się w biurze i odbyć dwa spotkania. O szesnastej mija termin złożenia sprawozdania na temat Kinleya. Och, a później jeszcze służbowa kolacja z bandą obleśnych starych nudziarzy, którzy będą próbowali obmacywać mnie przy barze w pubie „Met”.

Josh pokiwał głową ze zrozumieniem. Kate z głośnym „plop” wyciągnęła korek i napełniła trzy kieliszki aż po brzegi.

— Więc co porabiasz, Holly?

Przy Kate zawsze czułam się zahukana. Poznałyśmy się tylko dlatego, że cała nasza trójka mieszkała na jednym piętrze w akademiku. Obie przyjaźniłyśmy się z Joshem — wielu ludzi się z nim przyjaźniło — ale między nami nigdy nie zawiązała się nić porozumienia. Kate była raczej z tych, którzy zębami i pazurami wdrapiają się na sam szczyt; chociaż z jej ust nigdy nie padło słowo „wazelina”, doskonale było widać, kiedy chodzi jej po głowie.



Skończyła studia ekonomiczne i kosiła niesamowitą kasę na prestiżowej posadce w City, co bynajmniej nie poprawiało naszych wzajemnych relacji. Zawsze miałam wrażenie, że za chwilę podejdzie do mnie jak do bezdomnego gazeciarza i kupi jeden egzemplarz „Big Issue”\*

Właściwie nie był to powód, dla którego patrzyłyśmy na siebie wilkiem. Ta historia sięga jeszcze czasów Tygodnia Żółtodzioba, podczas którego obowiązuje niepisany zwyczaj... Zaczęło się od tego, że zamieszkaliśmy we trójkę na jednym piętrze, w pokojach wychodzących na jeden z koszmarnych, niekończących się korytarzy, które w niczym nie przypominały tych na uniwersytecie Brideshead, gdzie zawsze chciałam studiować. Tymczasem musiało mi wystarczyć Coventry.

Studenci nadal korzystali ze wspólnych łazienek, co stanowiło niezłą lekcję życia przed czekającym ich w przyszłości wynajmowaniem mieszkań (temat: „Jak bardzo paskudni mogą być ludzie”). Kiedy sądzisz, że widziałeś już wszystko, zawsze odkrywasz jakieś nowe granice obrzydliwości.

Zaraz pierwszego dnia Josh otworzył szeroko drzwi swojego pokoju, rozsiadł się w progu i bezczelnie szczyrzył zęby do wszystkich przechodzących; pewnie nie zrobiłby takiej furory, gdyby nie to, że był ślicznym blondasem. Zabłądziłam w tamten koniec korytarza całkiem przypadkowo. Mój tatuś i jego Blondie pozbyli się mnie niezwykle ochoczo i strasznie mnie to przybiło. Na duchu podnosił mnie jedynie opiewający na bajońską (jak mi się wtedy zdawało) sumę czek, wypalający dziurę w kieszeni mojej marynarki. Co prawda wystarczyło tego na masę batoników Caramac, ale już nie na tak wiele piw i taksówek, o czym przekonałam się cztery tygodnie później.

— Cześć — zaczepił mnie Josh. — Całkiem fajne miejsce, no nie?

\* **Kolorowy magazyn, rozprowadzany na ulicach Londynu przez bezdomnych.**

— Zaszra dziura! — odpowiedziałam, spoglądając na ściany z zaciekami od wilgoci, poplamione dywany i spróchniałe tablice ogłoszeniowe.

— Faktycznie... — mruknął, spoglądając w głąb pokoju. — Ale co tam, zostały nam jeszcze tylko trzy lata.

— I jeden tydzień — dc dałam.

— Racja. Hmm... A co sądzisz o wyposażeniu kuchni?

— Nie mam zielonego pojęcia. Co to jest wyposażenie kuchni?

Przez cienkie jak papier ściany dobiegł nas głośny, spazmatyczny szloch. Spojrzeliśmy na siebie, unosząc brwi.

— A to co takiego? Przedszkole? — spytałam ciut gruboskórnie.

— Może tęskni za mamą — zasugerował Josh. Prychnęłam drwiąco — trenowałam tę sztuczkę jeszcze jako nastolatka i opanowałam ją do perfekcji.

— Chodźmy ją pocieszyć.

— No tak, ładny początek moich zwariowanych studenckich czasów — jęknęłam, ale ruszyłam za nim posłusznie.

Drzwi sąsiedniego pokoju były otwarte na oścież. W środku na wąskim łóżku siedziała z podkulonymi nogami drobniutka Kate, ubrana od stóp do głów w perfekcyjnie uprasowane ciuchy z Benettona, a na jej twarzy malowało się cierpienie. Wszystko jasne: niby szaleje z rozpacz, ale powiesiła już w szafie rządęk wystrzałowych koszul.

— Hej — odezwał się Josh. — Na pewno nie będzie aż tak źle. Kiedy ja wyjechałem do szkoły z internatem, przez cztery dni płakałem za mamą. Miałem wtedy sześć lat.

— Za mamą? — oburzyła się Kate. — Ja wcale nie tęsknię za mamą! Po prostu nie mogę uwierzyć, że na maturze nie poszło mi na tyle dobrze, żebym nie musiała gnić w tej zaszraonej dziurze!

— Nie pracowałaś wystarczająco ciężko? — spytałam. To było moje dyżurne usprawiedliwienie.

— Oczywiście, że ciężko pracowałam! — odpowiedziała,

patrzając w górę. — Przyjęli mnie do tego pieprzonego Magdaleny\*.

— Aaa, już rozumiem. Pewnie przyjmują tam tylko bardzo wysokie dziewczyny, co? — mruknęłam ze współczuciem.

— Ale czym się tu, do diabła, załamujemy?! — ciągnęła Kate, ignorując mnie. — Nie podniosą ci z tego tytułu stopni na egzaminie. Szkoda, że naprawdę nie wpadłam w jakąś nerwicę. Wtedy musieliby mnie przyjąć.

— Teraz możesz wpaść — zasugerowałam. Wiedziałam, że nie krzyczy na mnie, ale nie ulegało wątpliwości, że drze się prosto do mojego ucha.

— Nie martw się — pocieszył ją Josh, dotykając troskliwie jej ramienia. — Może wyskoczymy gdzieś razem? Wybieram się na łyżwy do Unii Chrześcijan.

— Chyba nie jesteś wierzący, prawda? — spytałam z nutką rozczarowania w głosie. Zdążyłam już go polubić.

— Nie! Ale umiem JEŹDZIĆ NA ŁYŻWAAAAAACH! Tym sposobem cała nasza trójka uwikłała się w coś na

kształt „wymuszonej przyjaźni”, jakie często zawiązuje się na początku studiów. Kate szybko uznała Josha za swoją prywatną własność, co okropnie mnie wkurzało. Zgoda, oboje mieli płaskie brzuchy i wspaniałe sylwetki, ale nie podobało mi się, że skoro Kate jest ode mnie ładniejsza, to powinnam trzymać się od nich z daleka. Tym bardziej że Josh nawet mi się nie podobał. Poza tym od samego początku podejrzewałam, że jest gejem, a nie (co odkryłam nieco później) facetem, który ma problem z samookreśleniem.

Jednak Kate na to nie wpadła i nalegała, by traktować mnie jak nieznośną młodszą siostrę, włóczącą się za dorosłym rodzeństwem; zwykła na przykład mawiać: „To znowu ty, Holly?”, „Nie obraź się, ale mam tylko dwie filiżanki” albo „Przykro mi, Holi, ale to zaproszenie dla dwojga”. Uczęszczaliśmy do niezbyt zamożnej uczelni publicznej, więc oboje

\* **College działający w ramach Cambridge University.**

dość szybko zyskali pozycję studentów „z klasą i z kasą”. Ja natomiast zaczęłam umawiać się z tłustowłosym studentem wychowania fizycznego, który próbował nauczyć mnie kung-fu i uszkodził mi obojczyk. Tak na dobrą sprawę sama się od nich odsunęłam, nie ulega jednak wątpliwości, że Kate bardzo mi w tym pomogła: przyssała się do Josha (który tu występował w roli maciory), a mnie przydzieliła rolę odepchniętego prosiaczka. Porównanie na granicy dobrego smaku, ale tak to właśnie wyglądało.

Oczywiście po jakimś czasie dotarło do niej, że chociaż ona i Josh często wychodzą TYLKO WE DWOJE, nie oznacza to jeszcze, że stanowią parę. Ale wcześniej udało mi się na niej zemścić... Stało się to podczas niezbyt fortunnej próby integracji naszego roku, kiedy to dwóch niezbyt przystających do ogółu, lecz niesamowicie energicznych animatorów życia kulturalnego zorganizowało na początku pierwszego semestru imprezę pod nazwą Korytarzowe Tańce-Wygibańce. Istniało wprawdzie jakieś dobre, aczkolwiek skomplikowane uzasadnienie całej tej imprezy, ostatecznie jednak była to świetna wymówka, by kupić morze taniego alkoholu, a następnie włąć go do gardeł naiwnych osiemnastoletnich kociaków w nadziei, że zrzucą — całkiem przypadkiem — swoje ciuszki i przebiegną się korytarzem. Zresztą może właśnie to było oficjalne „uzasadnienie” — wtedy brzmiało całkiem przekonująco.

Josh, jak to Josh, podchodził z entuzjazmem do wszystkiego, co pachniało zabawą i towarzystwem, Kate natomiast wciąż dzielnie nie odstępowała go na krok, nie wiedząc jeszcze, że nawet gdyby przebrała się za antylopę, Josh i tak pozostałby nieczuły na jej wdzięki. Tak więc cała nasza trójka wytoczyła się na korytarz, żeby sprawdzić, co się dzieje.

A to, co się tam działo, zdarza się wszędzie, gdzie spotykają się nieśmiali i nieobcy towarzysko ludzie, którzy po raz pierwszy znaleźli się z dala od domu i którzy sami nie

wiedzieli, kim naprawdę są. W kątach stały po dwie, trzy osoby, które pomrukiwały do siebie pod nosem i żłopały na wyścigi jakieś podejrzone trunki z byłych krajów komunistycznych. Stojąca w rogu grupka rugbyistów — czy może raczej tylko aspirujących do tego miana młodzieńców — zaczynała się lekko awanturować; wodzireje podniecali się, bełkocąc na lewo i prawo o tym, że być może nie znajdą się wśród dwudziestu dziewięciu procent studentów, opuszczających Coventry z certyfikatem dziewictwa. Jeszcze wtedy nie wiedzieli, że sto procent osobników ich gatunku opuszcza mury wszystkich instytucji z certyfikatem dziewictwa.

Pierwszą, która się rozebrała (gdzieś koło 22.30, po długiej serii okrzyków zachęty), była pewna śliczna, filigranowa blondynka w ogromniastym polarze, która wcześniej przepadła gdzieś z jednym z rugbyistów — jedyne pytanie, które pozostało bez odpowiedzi, brzmiało: dlaczego? Zdjęła bluzę i rzuciła się biegiem przez korytarz, podskakując radośnie i wywołując gorący aplauz. Zaraz po tym kilkunastu facetów spróbowało powtórzyć jej wyczyn z ptaszkami na wierzchu — o co w tym, do cholery, chodziło? Co to jest, do cholery, że Brytyjczycy z taką lubością paradują nago bez konkretnego powodu? Widziałam, jak jeden grał swoim ptaszkiem na pianinie...

Antropolodzy mieliby używanie. Zwłaszcza że tak naprawdę niewielu z nas widziało do tej pory golasa, z którym nie byłiby spokrewnieni.

Na koniec (mniej więcej od tego momentu wszystkie wydarzenia spowija delikatna mgiełka) prawie wszyscy dawali krótki „występ”, po którym następowało oficjalne przyjęcie do paczki. Mój popis byłby bardziej seksowny, gdybym nie potknęła się o czyjeś wyciągnięte nogi, a upadając, nie wydałabym dźwięku brzmiącego jak puszczenie bąka (co się oczywiście nie zdarzyło). Natomiast Josh brykał w rytm okrzyków: „Ciota!” — ale był to raczej serdeczny doping.

Została już tylko jedna osoba. Kate prędzej by umarła,

niż wzięła udział w czymś tak wulgarnym. Rozpoznałam to nieobecne spojrzenie, które pojawiało się zawsze wtedy, gdy marzyła o Oksfordzie i romantycznych wieczorach w blasku świateł. W obawie, że się wykręci, zaczęłam ją podpuszczać, zwracając uwagę, że tylko ona jeszcze tego nie zrobiła.

— Zamknij się Holi! — syknęła.

— Te-raz Kate! Te-raz Kate! — krzyknęłam w stronę rugbyistów.

Natychmiast zaczęli skandować:

— KATE! KATE! KATE! KATE! Zaczzerwieniła się.

— No, Skatie, śmiało! — dodawał jej otuchy Josh, który z racji swojego wychowania nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś nie chce się upokorzyć w imię dobrej zabawy. Rugbyści wrzeszczeli z coraz większym zapamiętaniem.

— A co mi tam! — zawołała w końcu rozjuszona Kate.

— KATE! KATE! KATE!

Błyskawicznie ściągnęła bluzkę i rzuciła się sprintem przez korytarz. Zapadła cisza. Sprawa była prosta — Kate miała najbardziej płaskie cycki, jakie świat kiedykolwiek widział.

Oczywiście dziś nie ma to już żadnego znaczenia. Na przykład taka Kate Moss przypomina chłopca użądłonego przez dwie pszczoły, a nikt nawet nie mrugnie. Ale gdy masz dziewiętnaście lat i rozpaczliwie chcesz się podobać...

Aby jednak nie przedłużać tej opowieści, dodam tylko, że stanęłam jak wryta i chlapnęłam bez zastanowienia (lecz na tyle głośno, by wszyscy mogli mnie usłyszeć):

— O Jezus, wyglądają jak dwa ciasteczka z marmoladą!

Kate podała mi kieliszek wina.

— Przepraszam, nie dosłyszałam... czym się teraz zajmujesz?

— Yyy... Jestem... kwiaciarką.

— Czyli nic się nie zmieniło! O mój Boże! Czy ty... znajdujesz w tym spełnienie?

Spełnienie? Nawet się nie domyślałam, co to znaczy. Gapiłam się na nią w osłupieniu, ale po chwili przypomniałam sobie, że gdy Kate zadaje pytanie, oczekuje logicznej i szybkiej odpowiedzi — przecież czas to pieniądz itp., itd.

— Oczywiście, że tak — odparłam. — Pieniądze żadne, godziny pracy do bani, no i przez cały dzień masz mokre ręce, ale tak poza tym jest fantastycznie.

— Mniejsza z tym. — Uśmiechnęła się lekko. — Na pewno nie spodobałoby ci się robienie kariery.

— Ale to jest...

— Gdzie pracujesz?

— Właściwie w tej chwili jestem wolnym strzelcem...

Cóż, nie mogłam już dojeżdżać do „Kwiatoramy” w Hackney, ale w New Covent Garden miałam kumpla, który obiecał mnie poratować.

— O, czyli jesteś kimś w rodzaju kwiaciarki do wynajęcia? Bardzo zabawne!

Nie miałam pojęcia, jak się jej odgryźć, więc poszłam do kuchni, żeby pomóc Joshowi, który szatkował cebulę do spaghetti po bolońsku. W kuchennym oknie dostrzegłam odbicie Kate.

Wyglądała fantastycznie — zmęczona, lecz wspaniała. Jej ciemne, lśniące włosy były upięte w szykowny kok i miała na sobie drogi popielaty garnitur. Wytarłam ręce w fartuszek i westchnęłam.

— Opowiedz coś o tym tajemniczym lokatorze — poprosiłam Josha. — Wyjechał?

— Wyjechał? — odpowiedziało echo głosem Kate. — Addison nigdy nie rusza się z domu.

— Co? Czyli jest teraz w domu?

Nagle poczułam się nieswojo. To ja od dwóch godzin latam po mieszkaniu cała w skowronkach, śpiewam i wydaję rozmaite odgłosy w toalecie, a tu okazuje się, że przez cały ten czas był tu ktoś jeszcze! Ciarki przeszły mi po plecach.

— Owszem — odparł Josh. — Chyba zostawię mu później trochę jedzenia. Zapomina o jedzeniu, dopóki nie zemdleje, dlatego często zostawiam mu coś pod drzwiami.

Było to coraz bardziej intrygujące.

— Mogę go poznać? Wymienili spojrzenia.

— Hmm... chyba lepiej nie.

— Ale i tak będę musiała go kiedyś poznać — stwierdziłam. — A co, jeśli pewnego dnia wejdzie nagle do łazienki? Narobię wrzasku na cały dom.

— To niewykłuczone — przyznała Kate.

— Addison jest bardzo... no wiesz, wrażliwy. To spec od komputerów — powiedział Josh.

Już tylko on używał takich słów jak „spec”.

— Znaczy co: maniak? Palant? Dziwak? Czubek? Josh chrząknął znacząco, bo w drzwiach kuchni mignął jakiś cień.

— To Addison? — spytałam. — Idę go zobaczyć. Kate zastąpiła mi drogę i zamknęła drzwi.

— Co tu jest grane? — burknęłam. — A może jest szkaradnie zdeformowany jak Człowiek Słoń? Josh poklepał mnie po ramieniu.

— Przykro mi, Holi. Nie robimy tego specjalnie. Addison zajmuje się skomplikowanym oprogramowaniem komputerowym z najwyższej półki i nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w trakcie pracy.

— Ale przecież jest w mieszkaniu.

— On pracuje w domu.

— Jakieś dwadzieścia trzy godziny dziennie — dodała Kate. — Łatwo zapomnieć o ciężkim dniu w pracy, gdy przez całą noc słyszysz przez ścianę bip-bip i stukanie w klawiaturę.

— To i tak lepsze niż... — zaczęłam, ale w porę uciełam, bo przypomniałam sobie, że mój pokój sąsiaduje z sypialnią Josha.



— No dobrze. Jaki on jest? — spróbowałam ponownie. Człowiek-zagadka? Zaczynało mi się to podobać.

— Och, Josh, ty jej powiedz. Jestem wykończona. — Kate wzięła do ręki swojego palmtopa i zaczęła stukać rysikiem po ekranie, a ja poczułam się jak skończona idiotka.

Wymieniliśmy z Joshem spojrzenia pod tytułem „cała Kate” i zrobiło mi się odrobinę lepiej.

— Cóż... — zaczął Josh, nie przestając mieszać sosu. Podeszłam bliżej.

— Jest cichy. Bardzo cichy. Właściwie najchętniej w ogóle by się nie odzywał. Był zaskoczony, że nie mamy w każdym pokoju Internetu... bo moglibyśmy wtedy komunikować się za pomocą poczty elektronicznej.

Uniosłam brwi. Siedząca przy stole Kate westchnęła przeciągle, jakby mówiła: „Jak mogę wydajnie pracować i odnosić sukcesy, jeśli w mojej kuchni siedzą jacyś ludzie i robią spaghetti po bolońsku?”.

— Zawsze kiedy wpadnie na któreś z nas na korytarzu, zachowuje się jak spłoszony zając, jakby naprawdę nikogo tam się nie spodziewał. Nie chce odbierać telefonów ani otwierać drzwi. I nic nie je.

— I dlatego podrzucasz mu jedzenie.

— Hmm? No tak. — Josh energicznie dolał wina do sosu. — Ups! — wykrzyknął teatralnie, gdy parę kropli prysnęło na jego profesjonalny fartuszek. Rozumiałam kobiety, które przeżywały ciężkie chwile, próbując traktować go poważnie.

Podchwycił moje spojrzenie.

— Co, znowu zachowuję się jak gej? Uśmiechnęłam się do niego niepewnie. Podczas studiów, kiedy opowiadał mi o swoich doświadczeniach z dziewczynami, drażniłam z nim się niemal bez przerwy; teraz jednak mieszkałam u niego i poczułam się odrobinę niezręcznie.

— To była wyjątkowo męska strużka wina. Ale znacznie bardziej fascynuje mnie mój nowy niewidzialny współlokator.

— No, to może zamieszkać w pokoju obok niego... na pewno szybko ci przejdzie — burknęła Kate, ślęcząca przy kuchennym stole nad „bardzo poważnymi rachunkami”.

— Och, mogę? — podnieciłam się.

— Przykro mi, skarbie, ale raczej nie — odparł Josh. — Najpierw zachomikuj trochę grosza na czynsz!

Kate i ja gapiłyśmy się na niego z odrazą, dopóki nie przeprosił.

Obiad był pyszny. Josh lubił gotować i nieźle mu to wychodziło. Miał ciepłą posadkę w starej rodzinnej firmie prawniczej w pobliżu Chancery Lane; musiał pojawiać się tam wychuchany i wydmuchany około 10.30, chodzić na długie lunche i olśniewać zagranicznych klientów swoją brytyjskością oraz ręcznie robionymi butami; potem o 16.30 stawiał się w biurze szefostwa, by przed powrotem do domu wychylić jeszcze popołudniową szklaneczkę ginu z tonikiem. A przy tym wcale nie był typem naukowca-pasjonata swojej dziedziny; nie chcielibyście, by taki facet bronił was w sprawie o morderstwo, podziwiając jednocześnie gzymsy na sali sądowej. Jedyną rzeczą zapobiegającą wybuchowi totalnej wojny klas było to, że nie płacili mu za to zbyt wiele. Trudno mi było uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się w rzeczywistości, a nie tylko w filmach Ruperta Gravesa. Kate przełknęła ze trzy kęsy, po czym ostentacyjnie wytarła usta serwetką, oświadczyła, że ma masę roboty, i wróciła do swojego pokoju, zabierając resztkę wina. Jej pożegnanie ze mną było szorstkie, delikatnie mówiąc.

Zerknęłam na Josha.

— Co ją ugryzło? — spytałam. Kate była wiecznie spięta, ale teraz zachowywała się, jakby ktoś wsadził jej w tyłek kij od szczotki.

— To pewnie ta jej głupia praca — mruknął, grzebiąc widelcem w spaghetti. — Pracuje po czternaście godzin

dziennie, a potem wraca do domu wściekła jak wyrwany ze snu niedźwiedź.

— Co, taki srający w lesie?

— Grizzly.

— Zrobiłeś pyszniutki spaghetti.

— Dzięki — zaczerwienił się uroczo Josh. — No, w każdym razie wciąż jej powtarzam, że powinna zmienić pracę, zająć się czymś mniej stresującym, ale ona szczerzy wtedy do mnie zęby i bredzi, że niby ja należę do klasy uprzywilejowanej i nigdy nie zrozumie, co to znaczy walczyć o coś.

— Jej ojciec jest internistą, prawda?

— Aha.

— Hmm... Ale przecież ona też musi zarabiać fortunę. Dlaczego tu mieszka?

Josh wydawał się lekko rozbawiony.

— Jesteś jak zwykle uroczo bezpośrednia, kochanie.

— Och, wiesz przecież, co mam na myśli.

— Wiem. Tak naprawdę to nie jestem pewien. Ale rzeczywiście zarabia kupę forsy. Jej premia wynosi więcej niż moje roczne dochody.

Albo moje dziesięcioletnie, pomyślałam smętnie.

— Wprowadziliśmy się tu razem, kiedy nie wiodło mi się najlepiej — wyjaśnił Josh — i tak już zostało. Myślę, że jej się tu podoba. Do pracy ma stąd tylko cztery przystanki metrem i nie płaci dużo. Ja znałam jednak trochę lepszy powód. Fiu, fiu, tyle czasu... Nawet jeśli przestał jej się podobać — gdybym to ja wracała wykończona do domu, też byłoby mi miło, gdyby czekało na mnie ciepłe mieszkanko, spaghetti po bolońsku i ktoś tak uroczy jak Josh, na kogo można przy okazji powarzyć. No cóż, gdyby warczała na mnie, na pewno nie uszłoby jej to na sucho.

— Czy mogłabyś łaskawie wyjść spod tego prysznicza? — wrzasnęła piskliwie Kate, dobijając się do łazienki o piątej

rano (miałam akurat nocne zmiany). Waliła w drzwi butelkami Clarinsa, które taszczyła codziennie w tę i z powrotem, pewnie w obawie, że je ukradnę. — Nie mam pojęcia, dlaczego zabiera ci to tyle czasu. Przecież na pewno cały czas pachnie od ciebie kwiatami. Rąbnęła w drzwi jeszcze raz.

— No dobra, już wychodzę! — wrzasnęłam, wycierając się na oślep i zastanawiając, czy nie ukatrupić jej patyczkiem higienicznym.

— Holly, muszę zdążyć na samolot... — jęczała. Szkoda, że jeszcze nie dodała: „Bo ja robię karierę, a ty nie”.

— Euro się załamie! — krzyknęłam, stając w drzwiach. Byłam rozczochrana i przepasana dwoma starymi ręcznikami, które ledwo przysłaniały moje wdzięki.

— Naprawdę? — zaniepokoiła się, ale odetchnęła, kiedy jej mózg przetworzył wszystkie dane. — Przepraszam — uśmiechnęła się i przemknęła obok mnie, rozwiązując szlafroczek z metką Liberty. „Suka”, dodałam w myśli jeden z epitetów mojej prywatnej litanii najbardziej jadowitych niewypowiedzianych ripost i poszłam spać.

Mniej więcej po tygodniu zaczęłam stopniowo przyzwyczajać się do nowego miejsca. Pracowałam na pół etatu na giełdzie w New Covent Garden i brałamienne i nocne zmiany. Ponieważ Kate wychodziła do pracy o 6.30, a wracała o 21.00, zazwyczaj mijałyśmy się, ale tak w ogóle to rano trzymałam się z dala od łazienki.

Mimo wiecznego rozgardiaszu w domu było czyściutko — ja przynajmniej nie narzekałam. Kate płaciła komuś, żeby przychodził i sprzątał raz w tygodniu, czemu z zasady byłam przeciwna, ale czerpałam wszelkie płynące z tego korzyści. Zaczynałam czuć się tam jak u siebie w domu — abstrahując

od wymiarów mojej trumienki: trzy metry na dwa. Nawet śledź dostałby klaustrofobii.

Przywykłam nawet do wślizgiwania się do domu o najdziwniejszych porach nocy, zawsze jednak dziwiły mnie te same dobiegające z pokoju Addisona odgłosy — delikatne stukanie w klawiaturę, nieregularne bip-bip i ciche buczenie.

W życiu nie widziałam go na oczy, choć wciąż fantazjowałam na jego temat. Może wyglądał jak potwór? Zniekształcony owoc grzesznej miłości Josha i Kate: półczłowiek, półmaszyna. A może był niewidomy? To by wyjaśniało, dlaczego skradał się po mieszkaniu w ciemnościach i unikał wychodzenia na zewnątrz. Uroiłam sobie nawet taką romantyczną historię, w której byłam jego życiową partnerką i troszczyłam się o niego — będąc zarazem jego kochanką i przewodnikiem.

„Holly — mawiałby — to ty, to ty jesteś moimi oczami”. Z takiego układu wynikałaby jeszcze jedna korzyść — po czterdziestce nie musiałabym przejmować się swoim wyglądem.

Zaraz, zaraz! Przecież Internet to niemal w stu procentach medium wizualne. Przeprosiłam szybko w duchu wszystkich niewidomych ludzi.

W końcu gdzieś po dwóch tygodniach zebrałam się na odwagę.

Była mniej więcej trzecia w nocy. Od 23.00 rozpakowywałam tulipany, ale ponieważ szło mi to całkiem sprawnie, Johnny, mój szef, zwolnił mnie do domu. Powrót rowerem Josha zabrał mi około dziesięciu minut. Środek nocy, a ja pędziłam w dół z rękami w górze i walczyłam ze sobą, żeby nie krzyknąć na cały głos i nie zakłócić tej niesamowitej ciszy otulającej Londyn.

Wśliznęłam się do domu podniecona i zaróżowiona od wiosennego powietrza. Włosy miałam skołtunione i wcale nie chciało mi się spać. Pracowałam o tak zwariowanych godzinach, że już sama nie wiedziałam, kiedy mam spać.

Ale telewizor stał w pokoju gościnnym, który graniczył z sypialnią Kate — nici z oglądania pornosków na Channel 5. Już miałam wejść do wyziębionej kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatkę, gdy nagle zobaczyłam pod drzwiami znajomą niebieską poświatę i usłyszałam charakterystyczne stuk-stuk.

A co tam. Od dwóch tygodni mieszkam z kimś pod jednym dachem i nawet nie wiem z kim — to nienormalne i sprzeczne z naturą. Na litość boską, chyba nie zrobię nic złego, jeśli wstąpię na chwileczkę i przedstawię się. Jest dopiero... hmm, dziesięć po trzeciej nad ranem. Poczułam dziwne podniecenie, jak podczas zabawy w dzwonienie do obcych ludzi i uciekanie spod drzwi. Jeśli Addison się na mnie wydrze, mogę przecież podszyć się pod Kate.

Zazwyczaj, gdy wracałam późno w nocy, przechodziłam na drugą stronę korytarza normalnym krokiem, tak żeby wszyscy wiedzieli, że to ja, a nie włamywacz. Jednak tym razem skradałam się cichutko. W końcu zebrałam się na odwagę i zapukałam delikatnie do drzwi.

Stukanie w klawiaturę ucichło. Ośmielona, spróbowałam jeszcze raz.

— Halo? Cisza.

Czułam się jak skończona idiotka.

— Halo? — zapytałam ponownie, opierając się lekko o drzwi.

Były otwarte.

Popchnęłam je półprzytomna ze strachu (co ja wyprawiam?!).

Pokój był ogromny i nieoświetlony, ale do wewnątrz przenikało światło księżyca i ulicznych latarni. Pomieszczenie spowijał upiorny zielonkawy blask, bijący od ogromnego monitora (odkryłam to dopiero wtedy, gdy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku). Wszędzie widać było tyle urządzeń elektronicznych, że całość kojarzyła się z kabiną statku *Enterprise*. Wszędzie migotały diody i popiskiwały kontrolki.

Tylem do wejścia siedział bardzo wysoki mężczyzna, przypominający człowieka, którego ktoś rozciągnął na stelażu. Miał czarne potargane włosy, ale nie widziałam jego twarzy.

Nie odwracał się, choć musiał mnie usłyszeć, bo nagle jego plecy znieruchomiały.

— Cześć — wyszeptałam. — Przepraszam, że burzę twój spokój, ale zauważyłam, że jeszcze pracujesz, i... Wprowadziłam się tu dwa tygodnie temu, mam na imię Holly i pomyślałam, że... no wiesz, w końcu mieszkamy razem, więc moglibyśmy chociaż rzucić na siebie okiem.

Przełknęłam ślinę. Miałam wrażenie, że mój głos odbija się echem po pustym pokoju — znowu wyszłam na skończoną idiotkę. Zaczęło mnie to wkurzać, bo facet nie reagował. W końcu nie żądałam od niego zbyt wiele. Przecież to zaledwie podstawy kontaktów międzyludzkich, do cholery! Kate i Josh chodzą wokół niego na paluszkach, ale na mój gust trzeba by raczej zdrowo nim potrząsnąć.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić! Co za gbur!

— Och, przepraszam — rzuciłam kąśliwie. — Nie miałam pojęcia, że jesteś tak źle wychowany. Nie będę cię już niepokoić. Wybacz.

Kiedy się odwróciłam, usłyszałam, że fotel na kółkach powoli podjeżdża w moją stronę. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam parę ciemnobrązowych, mrugających szybko oczu, w których kryła się ciekawość pomieszana ze strachem. Omal się nie zachłysnęłam. Addison był po prostu nieziemsko piękny. Tak jak... RANY JULEK! Nie wyglądał jak lalusz z boysbandu, ale... ach, to jego'wrażliwe spojrzenie, które mówiło: „Może i ślęczę przed monitorem od piętnastu godzin, ale wystarczy na mnie spojrzeć, by wiedzieć, że mam duszę poety... I to wcale nie jednego z tych, którzy zapuszczają włosy w nosie i pojawiają się na zdjęciach w niedzielnych dodatkach”. Nawet mimo okularów na jego wysokich kościach policzkowych widać było cień długich rzęs i niesamowicie wysokie czoło, przez które przemknął wyraz zatroskania.

Udało mi się zapanować nad pierwszym odruchem, by rozłożyć się u jego stóp i wystawić brzusek do pieścizot. Zauważyłam, że ma na sobie koszulkę z napisem *Star Trek*. Fan *Star Treka* — szalenie oryginalne jak na kogoś, kto cały dzień siedzi przed komputerem, pomyślałam.

— Wybacz — powiedział cichym, łagodnym głosem. W przeciwieństwie do mnie, nie miał żadnego wpadającego w ucho akcentu. Sprzedając codziennie kwiaty, zaczynałam już bełkotać jak typowy londyńczyk.

Spojrzał na swoje ręce. Miał niewiarygodnie długie palce — prawie jak macki ośmiornicy. Aż westchnęłam z wrażenia.

— Trochę mnie pochłonęło to, co robiłem — dodał po chwili.

Powiedział to przepraszającym tonem, ale ja byłam właśnie w nastroju „wszystko na przekór”, który sprawia, że gdy spotykasz swoją bratnią duszę, odczuwasz nieodpartą chęć powiedzenia jej czegoś nieprzyjemnego.

— Więc ignorujesz ludzi, którzy przychodzą się z tobą przywitać? Co robiłeś?

Znowu umilkł i zapatrzył się w swoje dłonie.

— W porządku, zacznijmy jeszcze raz — zaproponowałam. — Mam na imię Holly. Pan Addison, jak sądzę?

— Żaden „pan”, po prostu Addison — odparł szeptem.

— Ooo, jakie niezwykle imię! — Wyciągnęłam dłoń w jego kierunku. Nie uścisnął jej, lecz spojrzał na nią podejrzliwie. — Addison Madison?

Co jest? Czyżbym za sprawą jakiegoś czarodziejskiego eliksiru zamieniła się w Wielkiego Kretyna Zachodu?

Zamrugął. Jego rzęsy były tak długie, że prawie dotknęły jego kusząco wydętych warg.

— Nie... Addison Farthing.

— Farthing. Jasne, że Farthing. Ale ze mnie głuptas — paplałam bez sensu, jakbym przeprowadzała z nim wywiad dla Telewizji Śniadaniowej. — Oczywiście, że tak.



Wycofałam się, jakbym rej terowała z pola bitwy.

— Wiesz... pomyślałam, że czas się w końcu poznać, więc wpadłam, żeby trochę pogadać...

Addison nadal wpatrywał się we mnie beznamiętnym wzrokiem.

— Cudownie się z tobą gawędziło — oświadczyłam. — Naprawdę. Musimy to kiedyś powtórzyć.

Addison gapił się na mnie, nawet gdy byłam już w drzwiach.

— Super! Miło było cię poznać! A przy okazji, masz czadowy *Enterprise* — dodałam, ale on właśnie odwracał się do swoich gigantycznych ekranów i najwidoczniej zdążył już zapomnieć o moim istnieniu. Długachne kable oplatały nogi stołu — Bóg jeden wie, gdzie się kończyły. W pokoju na nowo rozległo się stukanie, więc zamknęłam ostrożnie drzwi. Oparłam się o ścianę na korytarzu i pozwoliłam mojej szczęce opaść ze zdumienia. Nic dziwnego, że Kate wołała trzymać go pod kluczem.

— Rozmawiałam w nocy z Addisonem — oznajmiłam Joshowi następnego dnia. On jadł właśnie kolację, a ja śniadanie i usiłowałam nie myśleć o tym, co jest na jego talerzu — odkryłam, że nie najlepiej służy mi zapach kotletów wieprzowych półtorej godziny po przebudzeniu.

Josh podniósł głowę znad „Home & Gardens”. Zasugerowałam mu kiedyś, żeby poczytał raczej magazyn „Loaded”, będący nieco lepszym poradnikiem podrywania, ale jak widać mój pomysł nie przypadł mu do gustu.

— Ico?

— I co?? I CO?? Wybacz, ale uważam, że jako gospodarz lokalu masz obowiązek poinformować mnie, że zadekowałaś tu maniaka komputerowego w skórze Johny'ego Deppa!

— Nigdy nie pytałaś.

— Czemu na to nie wpadłam? — spytałam, uderzając się dłonią w czoło. — Po świecie krąży tylu maniaków komputerowych, a czasu jest tak mało. Josh! Gdybym nie zdobyła się w nocy na odwagę, pewnie nigdy nie poznałabym mojego przyszłego życiowego partnera! Ojej! — zawołałam. — Nasze dzieci też będą takie mądre i piękne!

— Rzeczywiście przystojniak z niego — przyznał Josh. Zmrużyłam oczy.

— Mówię to, biorąc pod uwagę wyłącznie obiektywne kryteria estetyczne — dodał. — Bez żadnych romantycznych podtekstów. Co nie znaczy, że byłoby w tym coś złego! Ale nic takiego nie chodzi mi po głowie! Choć powtarzam, że nic w tym złego.

— Przestań już! Wpadłeś w błędne koło niekończących się wyjaśnień, jak Richard Gere, który w kółko powtarza: „Żaden ze mnie gej, choć to całkiem OK”. Wydostaniesz się z niego tylko pod jednym warunkiem: musisz usunąć z pola mojego widzenia te kotlety wieprzowe... i to zanim na nie zwymiotuję.

— Bogu dzięki, że masz moc zdejmowania uroków — mruknął, po czym wziął swój talerz i podszedł do zlewu.

— Wiesz, muszę go zdobyć — mówiłam dalej. — Będzie mój.

— Ale on się w ogóle nie odzywa.

— A niech tam. Rozmawiać mogę sobie z tobą albo z moją matką. Addison jest stworzony do tego, żeby go całować i wielbić.

— Chcesz powiedzieć, że między twoją matką i mną nie ma żadnej różnicy? — spytał ponuro Josh, wycierając talerz.

— Hmm, nie zagoniłeś mnie jeszcze do zmywania naczyń, więc chyba jednak się różnicie.

— Nie musisz przypadkiem iść do pracy?

— O, to już było bardziej w jej stylu.

— Cieszę się... To na razie. Ja tymczasem będę kon-

tynuował życiową misję poszukiwania kobiecej strony mojego „ja”.

— Wiesz, jeśli miało to zabrzmieć sarkastycznie, powinienes chyba zdjąć ten fartuszek.

Podniósł palec w obraźliwym geście.

— Cześć, Addison! — zaćwierkałam pod jego drzwiami. Stukanie ustało na moment, co przyjąłam za dobrą monetę.

## ***Rozdział drugi***

Ściemniało się, kiedy wskoczyłam na rower i ruszyłam w kierunku giełdy. Najgorsze było wychodzenie w chłodną noc; wiedziałam, że czeka mnie kilka godzin ciężkiej harówki z mokrymi rękami, gdy tymczasem ci, którzy pracują „od dziewiętej do siedemnastej” zasuwali do domu na gorącą pomidorówkę i kolejny odcinek *The Bill*. Na dodatek zarabiali dwa razy więcej niż ja. To niesprawiedliwe. Praca na giełdzie w niczym nie przypomina tej w kwiaciarni, gdzie wybierasz sobie, co chcesz, i jakoś to razem komponujesz, a gdy trafi ci się przez telefon jakiś nieuprzejmy klient, możesz wrzucić mu robala do bukietu mieczyków. Ja natomiast musiałam obejrzeć codziennie z dziesięć tysięcy tulipanów i wybrać te najlepsze.

Pracowałam dla pomarszczonego ze starości Johnny'ego, który siedział w kwiatowym interesie od czterystu siedemdziesięciu lat i nie przepuścił żadnej okazji, żeby mi o tym przypomnieć.

— Ech, za moich czasów nie widywało się takich kolorów — szydził z co bardziej udziwnionych krzyżówek.

— To dlatego, że kiedyś wszystko było czarno-białe — odpowiadałam. — Stare dobre czasy.

— A wiesz, że w czasie wojny ludzie jedli kwiaty? —

wspominał często. Był mistrzem świata w zmyślaniu wojennych historyjek.

Pomachałam mu, wyjeżdżając zza rogu. Ponieważ jeszcze nie rozładowano ciężarówek, dookoła sterczeli ludzie popalający skręty i rozprawiający o magnoliach. Sprzedawcy kwiatów patrzyli z góry na handlarzy owoców, którzy rozstawiali się w następnym rzędzie. Ci zaś z kolei uważali kwiaciarzy za bandę mięczaków, którzy nie podnieśliby skrzynki melonów, nawet gdyby zależało od tego ich życie.

Johnny spojrział na mnie krytycznie.

— Czy ty wiesz, dziewczyno, że jak byłem w twoim wieku, to handlowałem już z przyczepy mojej furgonetki?

— Johnny, przecież nie masz pojęcia, ile mam lat. Tak naprawdę mam dziewięć. Mam też własną furgonetkę. A pracuję tu wyłącznie dla przyjemności.

— Nie spotkałem jeszcze kobitki, która wiedziałaby, kiedy ma zamknąć buzię — burknął, rzucając mi parę grubych rękawic.

Spędziłam tam dopiero kilka tygodni, a już nienawidziłam tego miejsca. Do złudzenia przypominało mi szkołę. Moje koleżanki nosiły okropne ciuchy, popalały za budkami i czepiały się mnie. Czasem wydawało mi się, że albo wróciłam do szkoły, albo dziewczyny są strasznie głupie, bo każdego dnia trzeba było je od nowa uczyć, jak podnieść skrzynkę kwiatów, żeby nie usmarkać się z wysiłku.

Tak więc najczęściej tyrałam zupełnie sama; przerwy robiłam tylko po to, żeby pobluzgać na Johnny'ego, ewentualnie pokazać smarkulom, za co mają się zabrać. Ryczałam wtedy: „Tamtą skrzynia! Widzisz ją? Podnieś!”.

Te, które paliły, drażniły się ze mną, bo skończyłam studia; prym wiodła Tash, ich koścista królowa z mocno obrysowanymi oczami, wyglądająca jak podręcznikowy przykład dziecka nałogowej palaczki. Tamtej nocy podeszła do mnie z boku i przez kilka minut obsemowaia<sup>ia</sup> jak pracuję.

— Hmm, no tak, teraz widzę, dlaczego potrzebny jest

dyplom... — powiedziała wreszcie. — Wcale nie tak łatwo ułożyć równo główki tulipanów. Stojący nieopodal faceci ryknęli gromkim śmiechem; ja również próbowałam się rozeźmiać, ale nie bardzo mi to wyszło. Nienawidziłam tej dziewczuchy i nie cierpiałam, gdy się ze mnie naśmiewano. Moje bezczelne odzywki do Johnny'ego nawet nie umywały się do tego, co wyprawiała ta hołota. Te typy były jak papier ścierny.

— Mogłabyś podać mi zeszyt przyjąć? — zapytałam. Czasem musiałam się do niej odezwać, nawet jeśli nie miałam na to ochoty.

— Przykro mi, kochanie, ale skończyłam tylko technikum... nie mam nawet matury. Sprzedawcy kwiatów znowu zaczęli rechotać, a jeden z nich wrzasnął:

— Oj! Uważaj, Tash, bo się dziewczyna wkurzy i ci przywali.

Aż we mnie zbulgotało, ale skrzywiłam się tylko lekko i udałam, że przyłączam się do zabawy; w rzeczywistości czułam się jak wtedy, gdy starsze koleżanki zabrały mnie — jedenastoletnią smarkulę — na *The Rocky Horror Picture Show*, kiczowaty film, którego zupełnie nie rozumiałam, ale zaśmiewałam się z nimi do rozpuku. Zachowywały się jak złośliwe, bardzo złośliwe dzieciaki. Wołały na mnie „fifka”, bo nie wydychałam papierosowego dymu przez nos.

— Błagam, Wasza Dziewicza Mość — zgrywał się jeden z chłopaków, padając przede mną na kolana

— czy mógłbym ci zerknąć pod kieckę?

— Ona ma pantalony przyspawane do tyłka! — wrzasnęła Tash.

Już miałam wypiąć się na niego gołymi cyckami, byle tylko odchrzanił się ode mnie, ale zamiast tego przysięgłam sobie, że odpowiem na każdą ofertę pracy dla kwiaciarki w promieniu pięciu tysięcy mil. Przez dalszą część nocy Tash zdołała ubliżyć mi czternaście

razy, zrujnować moje kwiaty (cztery razy) — oraz przez co najmniej godzinę obgadywała mnie, jak sadzę, ze swoimi kumplami podczas długich przerw na papieroska. Oni po prostu się nade mną znęcali. Nie mogłam w to uwierzyć. Co za niesprawiedliwość!

Skończyłam zmianę o 4.00, po czym jak zwykle zjechałam z górki bez pedałowania, prosto do wielkiego domu. Wśliznęłam się niepostrzeżenie do środka; zauważyłam światło w szparze pod drzwiami pokoju Addisona. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby go znów zobaczyć. Poszłam do kuchni i zaparzyłam dwie herbaty. Nie miałam pojęcia, jaką pije, więc wrzuciłam mu trzy kostki cukru (szczęśliwa liczba); jak dotąd nie widziałam, żeby coś jadł, więc pomyślałam, że przyda mu się jakiś dopalacz. Pomyszkowałam trochę w poszukiwaniu jakichś ciasteczek do herbaty, ale znalazłam tylko bardzo samotnego pingwina w czekoladzie — Kate pozwalała sobie na jednego raz na dwa tygodnie — i zabrałam go z solennym postanowieniem, że go jak najszybciej odkupię.

Delikatnie zastukałam do drzwi.

— Addison, to ja.

Klikanie ustało na chwilę. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak desperacko zachodzi w głowę, kto kryje się za tajemniczym „ja”.

Pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

— Zaparzyłam herbatkę! — obwieściłam tonem wzorowej gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych. Te jego piękne krótkowzroczne oczy! Błądził nimi dookoła, usiłując skupić na mnie wzrok. Okulary leżały na głównej konsoli Enterprise.

— Herbata — powiedziałam, niosąc niezgrabnie filiżanki. Addison ani na chwilę nie oderwał wzroku od filiżanki,

którą próbowałam postawić za jego plecami. Zastanawiałam się, czy aby na pewno jest zdrowy na umyśle.

— Tam nie! — warknął.

— No już dobrze, nie strzelaj. Może dam ci ją do ręki?

Niepewnie wyciągnął dłoń. Podałam mu filiżankę, którą trzymałam uchem na zewnątrz — naturalnie, wypalałam sobie w ten sposób dziurę w dłoni, ale wcale się tym nie przejęłam, bo gdy odbierał ją ode mnie, nasze palce zetknęły się i przysięgam, że poczułam się tak, jakby raził mnie prąd.

Pomachałam mu przed nosem czekoladowym pingwinkiem.

— Chcesz?

Gapił się przez chwilę na pingwina, po czym pokręcił głową, toteż zjadłam go sama. Wziął ode mnie herbatę, co oznaczało chyba zawarcie pewnego układu, więc pomyślałam, że mogę zostać u niego chwilę.

Pochyliłam się. Na monitorze roilo się od dziwacznych symboli, jak w filmach z Jamesem Bondem.

— Nad czym pracujesz?

Usiłował zasłonić monitor, ale jego ręce były jak patyki i niewiele to dało. Tak czy owak, symbole te znaczyły dla mnie tyle, co dyrektywy Wspólnoty Europejskiej, więc spokojnie mógł to sobie darować.

— Eee... Nic takiego. Dzięki za herbatę... Upił łyk i zakrztusił się lekko.

— Nie ma sprawy. Jak minął dzień? Mój był do dupy. Poskarżyłam mu się na łobuzów z giełdy.

Zrobiłam to

głównie dla podtrzymania rozmowy, bo wiedziałam, że jak tylko przestanę mówić, zapadnie grobowa cisza.

Zdziwiłam się, ale wyglądało na to, że mnie słucha — cóż, ja paplałam, a on nic nie robił, więc takie to przynajmniej sprawiało wrażenie.

Skończywszy relację, upiłam kolejny łyček herbaty i zapytałam:

— Jak myślisz, co powinnam zrobić?

Przyglądał mi się chwilę, po czym uśmiechnął się w absolutnie rozbrajający sposób.

— Może z nikim nie rozmawiać...



Całe zdanie! No, prawie. W odpowiedzi wyszczerzyłam do niego zęby i postanowiłam szybko się ulotnić, by nie zatrzeć dobrego wrażenia. Pokiwałam głową, wymamrotałam „Dobranoc” i wyszłam. Addison został sam na sam z herbatą, którą obwąchiwał, jakby wydawała mu się podejrzana.

— Josh, sukces! — piałam z zachwytu następnego wieczoru. — On do mnie przemówił.

— I co powiedział?

— No cóż, nie kazał mi z nikim rozmawiać. Tak czy siak, uważam, że odniosłam spektakularny sukces.

— A propos spektakularnych sukcesów... Czy to ty ukradłaś pingwinka Kate?

O cholera. Na śmierć zapomniałam.

— Hmm... może. — Obliziałam niepostrzeżenie usta, na wypadek, gdyby zostały na nich nocne ślady po czekoladzie.

— To masz kłopoty.

— No dobra, pójdę i odkupię.

— Za późno. Poza tym ona wie, że był w niebieskim opakowaniu. Na twoim miejscu wiałbym, gdzie pieprz rośnie.

Niestety, akurat tej nocy miałam wolne, a do tego, jak na złość, zaczęłam odczuwać narastające ściskanie w dołku, które jest nieomylnym zwiastunem kłopotów.

— Aaaa! Tymczasem nic się nie stało! Pójdę i kupię jej piętnaście pingwinów, a potem... każę jej wszystkie zjeść, jak w *Siedem*. Nie dam się zastraszyć w ten sposób. Ona jest jak WRZÓD NA DUPIE!

— I dlatego jest jednym z najlepszych londyńskich rekinów korporacyjnych przed trzydziestką.

— Tuż przed trzydziestką.

— Wiem, jaka ona jest. Bądź dla niej miła. Ma wystarczająco ciężko w pracy. Tam wszyscy są dla niej naprawdę podli.

— Ooo, słyszałeś jakieś ploty? Podziel się z koleżanką.

Josh był niestrudzonym plotkarzem, ale naturalnie nie podziękowałby, gdyby ktoś mu to powiedział.

— A więc tak. Kate nijak nie potrafi odróżnić żonatego faceta od nieżonatego. Gość może mieć nieopalony ślad na serdecznym palcu, powie jej, że to liszaj, a ona uwierzy bez mrugnięcia okiem.

Chodzi teraz z takim jednym, który dzwoni do niej z budki telefonicznej o wpół do dwunastej w nocy. Spotykają się tylko podczas lunchu... Lada dzień przekona się, że ten facet to kolejna szuja. Uważam, że w głębi duszy wie, jacy oni wszyscy tak naprawdę są. To jeden wielki psychologiczny bajzel.

— Cholera! — podsumowałam. — Ech, te nieszczęsne psychologiczne bajzle!

Przez chwilę każde z nas dumало nad tym, co go gryzie.

— No dobra — powiedziałam, wracając do tematu — ale ona bez przerwy zrzędzi, i to wcale nie jest moja wina.

— Nie sądzę, żeby była szczególnie uradowana obecnością innej kobiety pod tym samym dachem.

— Ja raczej nie stanowią zagrożenia — zauważyłam, błędząc wzrokiem tam, gdzie powinien się znajdować guzik mojej piżamy. Na szczęście znaleźliśmy się z Joshem jak łyse konie.

— Nie w tym rzecz. To jest kwestia własnego terytorium.

— Co? Tak jak u kotów? — burknęłam. — Chociaż rzeczywiście, zdawało mi się, że w moim pokoju jakoś dziwnie pachnie. Może zrobiła w nim siusiu?

— Cśś... — przerwał mi Josh, bo właśnie ktoś otworzył drzwi.

— O cholera! Zapomniałam pójść po te pingwiny!

Josh zrobił wymowną minę — Kate rozpoczęła swój codzienny rytuał powrotu: ciężkie westchnienie, dopracowany rzut całym kosztownym ekwipunkiem i wreszcie — cała naprzód po korkociąg.

Josh puścił do mnie oko, a ja uśmiechnęłam się mężnie.

— Hej, Kate. Jak leci?

— Do diabła, Holly, zezarałaś mojego pingwina?

Wzdrygnęłam się, chociaż wcale tego nie chciałam. Powinnam raczej powiedzieć coś w stylu: „Taaa. A co, masz jakiś problem?” — i splunąć na podłogę. Ale zamiast tego wyjąkałam:

— Tak... Bardzo cię przepraszam, Kate... Na pewno ci go odkupię.

— Nie trzeba, nic się nie stało — skłamała, pociągając nosem. — Haruję jak wół przez dwanaście godzin, mam na głowie ogromną inwestycję zagraniczną, co nie zdarza się nikomu przed trzydziestką...

— Tuż przed trzydziestką... — mruknęłam pod nosem.

— ...więc gdy wracam skonana do domu, czy mam prawo do odrobiny relaksu, za który na dodatek już zapłaciłam? Jaka ja jestem głupia! Powinnam wszystko rzucić, zająć się przekładaniem kwiatków z miejsca na miejsce i przez cały dzień wyżerać cudze słodycze.

Wzięła butelkę wina i wyszła z pokoju, nie przerywając swojego monologu:

— Muszę być naprawdę strasznie samolubna.

Gdy Kate znikła z pola widzenia, skinęłam na Josha.

— Podaj mi nóż do chleba.

— Przypomnij sobie, co ci mówiłem...

— Doskonale pamiętam, co mi mówiłeś, ale teraz idę ją zabić tym nożem. DAWAJ go.

— Nie.

— Przykro mi, ale ty chyba nie rozumiesz powagi sytuacji: zamierzam zadźgać Kate kuchennym nożem i proszę cię, żebyś mi go podał.

— Usiądź — poprosił, podsuwając mi talerz kuskusu. — Opuść sobie. Co jeszcze powiedział Addison?

— Nic.

— Oj, nie dąsaj się.

— Nie, mówię serio. Nic więcej nie powiedział. Czy on się kiedykolwiek do ciebie odezwał?

— Niezupełnie. Po prostu zjawił się, kiedy zamieściliśmy ogłoszenie, i ściągnął tyle komputerów, że nie mieliśmy serca odsyłać go gdzie indziej. A poza tym Kate uznała, że jest milutki.

— Bardziej niż milutki. Och, a może ona próbowała go bezskutecznie poderwać?

— Nie. Usiłowała z nim porozmawiać, lecz po dziesięciu minutach jej cierpliwość się wyczerpała. Ale poza tym nie zdradził jakichś specjalnych oznak draństwa.

— A to KROWA! — krzyknęłam.

— Da się z nią wytrzymać. A teraz idź już po te ciastka.

— Dobra, dobra. Pójdę i odkupię jej te ciastka. A potem na nie nasiusiam.

Skończyło się więc na wyprawie do gigantycznego supermarketu, otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Podejrzewam, że zamykają personel w klatkach jak zwierzęta. Pewnie trzymali ich tak długo bez dostępu do naturalnego światła, że wszyscy nabawili się krzywicy.

Nienawidzę takich molochów. Czasem godzinami sterczę nieruchomo przed półką z szamponami.

Czy powinnam wcierać sobie we włosy ekstrakt owocowy? Co będzie, jeśli tego nie zrobię? No bo

czym w ogóle jest szampon? A może gdzieś dalej jakieś jedzonko tylko czeka, żeby je odkryć? Itp.,

itd. Wpakowanie do wózka mniej lub bardziej przypadkowych produktów, w tym czternastu

opakowań pingwinów w czekoladzie, zajęło mi jak zwykle trzy godziny. Chciałam, żeby Josh poszedł

ze mną albo, jeszcze lepiej, zgłosił się na ochotnika, że zrobi to sam, ale wymigał się, rozkładając

jakieś akta i mówiąc, że czeka go poważna prawnicza robota — ha, ha, myślałby kto!

Wreszcie wyszłam i powlokłam się z powrotem w grobowym nastroju, robiąc sobie co pięć minut postoje na odpoczynek.

Kiedy wróciłam, w domu panowała absolutna cisza. Josh zabarykadował się w swoim pokoju (miałam nadzieję, że siedzi przed Playstation), Addison również nie dawał znaku życia. Nigdy nie widziałam, żeby wychodził do ubikacji. To mi się podobało. Był zbyt nieziemski, żeby załatwiać potrzeby fizjologiczne. Mężczyźni, przynajmniej ci, których znam, uważają puszczenie bąków za ujmujące. Addison na pewno tak nie robił. A nawet gdyby, to wokół niego unosiłby się zapach anielskiej rosy. Od tych zakupów zrobiło mi się trochę słabo, więc wtoczyłam się tyłem do kuchni ze wszystkimi szesnastoma reklamówkami; zamachnęłam się i rzuciłam je na stół, przypadkowo trafiając Kate prosto w głowę. Oberwała akurat tą, w której były konserwy.

— Auu! — zawyła.

— Przepraszam — wymamrotałam, udając skrucę, której wcale nie odczuwałam. Nie chciałam jednak, żeby Kate pomyślała, że zrobiłam to specjalnie.

— Nie zrobiłam tego specjalnie.

— Nic się nie stało — odparła.

Zaskoczona, jeszcze raz przeanalizowałam sytuację. To było zupełnie nie w jej stylu. Powinna raczej zażądać krwi mojego pierworodnego dziecka i zagrozić, że pozwie mnie do sądu.

— Naprawdę bardzo cię przepraszam... — Postawiłam ostrożnie resztę toreb na podłodze. Dopiero teraz mogłam jej się dokładnie przyjrzeć. Miała czerwone oczy i pociągała nosem. Jako światowej klasy płaczka, doskonale wiedziałam, co jest grane. — Wszystko w porządku? — spytałam tak szczerze, jak tylko potrafiłam, co naturalnie zabrzmiało, jakbym zachęcała ją do wyznań w programie telewizyjnym.

— Nic mi nie jest. — Pociągnęła nosem w dystyngowany sposób i przyklepała gładko ulizane włosy. Miałam przed sobą kogoś, kto wiedział co nieco na temat szamponów.

Zaczęłam wyjmować sprawunki.

— Co się stało? — rzuciłam jakby od niechcienia, niczym wykwalifikowany psychoterapeuta, który bez przerwy zadaje takie pytania.

— Nic... nic... O BOŻE! — Nagle zalała się łzami. — NIENAWIDZĘ go. Okropnie, strasznie, potwornie go NIENAWIDZĘ! A on i tak MA TO W NOSIE!

Wyciągnęłam puszkę spaghetti Heinza (a to skąd się tu wzięło? czyżbym pozwoliła zrobić zakupy jakiemuś czterolatкови?) i usiadłam obok niej.

— Daj spokój. — Poklepałam ją leciutko po ramieniu i powiedziałam to, co w takiej sytuacji wypada powiedzieć: — No już dobrze. Nie martw się. Przecież to drań.

— Nawet go nie znasz! — chlipnęła.

— No więc jest draniem?

— TAAAAAK!

— Dobrze. — Poklepałam ją mocniej. — Mów, co się stało. Uspokoila się trochę.

— Spotykałam się z nim i naprawdę go polubiłam... Ale ja jestem głupia. Jak w ogóle śmiałam pomyśleć, że mogłabym chodzić z NIEŻONATYM facetem?

— Och nie! — Doskonale pamiętałam, o czym opowiadał mi Josh. — Bardzo ci współczuję. Nie powiedział ci? — Myślał, że wiem. Zaprosiłam go na swoje urodziny, a on mi na to, że musi zabrać Saffy do dentysty... — Kim jest Saffy?

— Też go o to spytałam. Chrząknął i odparł, że to jego pies. — Psi dentysta...

— Aha...

— Więc jak się domyśliłaś?

— Nie uwierzyłam mu.

— Ojej, paskudna sprawa.

— Postanowiłam, że pójdę do niego dzień wcześniej i zrobię mu niespodziankę urodzinową... — wychlipała, połykając łzy.

— Ale przecież to twoje urodziny.

Zignorowała mnie i jeszcze gwałtowniej pociągnęła nosem.

— Zostawił na biurku otwarty portfel... i zobaczyłam zdjęcie Saffy...

— To nie był piesek?

— Pięcioletnia dziewczynka!

— Cóż, być może pod pewnymi względami małe dziewczynki niewiele różnią się od piesków...

— Nie!

— Przecież mógł być rozwiedziony, prawda?

— Nie jest. Spytałam go o to. A teraz wszystko skończone... — Rozpłakała się na nowo.

— Dlaczego nikt w pracy ci o tym nie powiedział?

— Nie wiem... Tak naprawdę to ja w ogóle nie rozmawiam z dziewczynami z biura.

Nie dziwota, pomyślałam. Założę się, że cię wystawiły.

— Może zjesz trochę spaghetti Heinza? Przez chwilę rozważała moją propozycję.

— Tak, poproszę.

Usiadłyśmy i bez słowa zabrałyśmy się do spaghetti.

Chciałam poruszyć temat Josha, ale nie mogłam. Poza tym, zawsze, gdy w obecności Kate głowię się, co powiedzieć, j akaś dziwna wewnętrzna siła zmusza mnie, by wspomnieć o ciasteczkach z marmoladą (jak Basil Fawlty w odcinku z Niemcami) \*.

Kate wyglądała na lekko onieśmiałoną. Uniosła widelec i zapytała:

— Mmm... może przyszlabyś na moje urodziny?

— Jasne! — Byłam tak uradowana, że Kate się mnie nie czepia, że przyjąłam zaproszenie i dopiero wtedy zrozumiałam, w co się pakuję.

Josh nie wybierał się na przyjęcie urodzinowe Kate. Miał obowiązki wobec rodziców. W chwili obecnej przysługiwał

\* **Mowa o komediowym serialu telewizyjnym *Hotel Zacisze*.**

im oficjalny status „dystygowanych biedaków” — mieszkali w ogromnym domu, na który nie było ich stać. Utrzymywanie go doprowadziło ich do ruiny finansowej, do której przyczyniło się również łożenie na edukację Josha i jego trzech sióstr, które były równie śliczne, co głupie. Mimo obu tych niepodważalnych atutów żadna z nich nie wyszła za mąż, co przekładało się na brak świeżego zastrzyku starych, dobrych pieniędzy, które uzupełniłyby skarbiec arystokratycznej rodziny. Mimo to rodzina Josha potrafiła stwarzać pozory — kroczyli naprzód, rozprawiając o czasach swojej świetności, zawsze w otoczeniu sfory psów i ze szklaneczką ginu z tomkiem w dłoni.

Co oznaczało, że na przyjęciu będą przyjaciele Kate z City i... ja. Właściwie to nawet miałam ochotę tam pójść. Młodzi, bogaci, najprawdopodobniej przystojni faceci... To mi odpowiadało. Oczywiście planowałam wyjść za Addisona, ale nie znaczyło to jeszcze, że w międzyczasie nie mogę się umówić na kilka randek w eleganckich restauracjach.

Niestety, wszystkie moje ciuchy — z wyjątkiem piżam, które nie bardzo pasowały na tę okazję — były niewyściowe (na giełdzie prędej czy później i tak się pobrudzisz, więc nie ma większego znaczenia, co założysz). W końcu wygrzebałam starą czarną, letnią sukienkę, tak wypłowiałą, że spokojnie mogła uchodzić za szarą, czyli kolor był *du jour*\*. Choć mieliśmy już kwiecień, wciąż było za chłodno, żeby się w nią ubrać; na dodatek nie byłam w ogóle opalona — prezentowałam karnację córki młynarza, w związku z czym wyglądałam w tej kiecce, jakbym była w stanie śmierci klinicznej. Nie miałam jednak nic innego i doprowadzało mnie to do znacznie większej rozpacz niż powinno. Założyłam do tej sukienki mój ulubiony naszyjnik ze stokrotką i okręciłam się przed lustrem.

Wyglądałam jak dziewięciolatka.

**\* Fr., na czasie, najmodniejszy.**



Umówiłam się z Kate i jej paczką w jakimś szpanerskim pubie nad lodowiskiem, w pobliżu dworca przy Liverpool Street. Był wypchany po brzegi rozwrzeszczanymi, identycznie wyglądającymi młodymi mężczyznami — mieli znacznie lepszą karnację niż ci, wśród których dorastałam; niemniej jednak byli takimi samymi palantami jak oni, tyle że z kupą szmalu.

— Musisz pójść na całość! — ryczał taki jeden z czerwoną gębą do stojącego pół metra przed nim kumpla, równie bezpłciowego jak on sam.

— Jasne! — wrzasnął tamten.

— I właśnie dlatego w przyszłym sezonie wynajmuję helikopter w kanadyjskich Górach Skalistych.

— UaaL. ale wypas! Ja też!

Stojące obok kobiety dziwnie przypominały Kate: miały błyszczące włosy i ściągnięte usta.

Wytropienie Kate w gąszczu szczupłych sukienek od Nicole Fahrsi granoczyło z cudem, ale w końcu udało mi się ją namierzyć. Nie wyglądała na szczególnie zachwyconą moim widokiem; oczywiście wkurzyłam się, bo poczułam się trochę nie na miejscu — co zresztą było zgodne z prawdą.

— Dzięki, że wpadłaś — powiedziała nieco oschłym tonem, przypominając mi tym samym, że minęło zaledwie czterdzieści sześć godzin, odkąd chciałyśmy się pozabijać.

Skinęłam sztywno głową, podałam jej małe zawiniątko i rozejrzałam się dookoła. Zobaczyłam mniej więcej ośmiu facetów w różnych stadiach głupawki. Są w moim typie, pomyślałam. Wszędzie wokół piętrzyły się butelki szampana i wiadereczka z lodem.

— Ekstra! — wrzasnął jeden z nich. — Dajcie więcej szampana!

Zorientowałam się, że patrzą na mnie, i wpadłam w panikę. Tymczasem Kate odpakowała prezent ode mnie: małego pluszowego pingwinka. Myślałam, że to będzie zabawne, ale cała ferajna obrzuciła maskotkę pogardliwym spojrzeniem.

— Och, jakie to *charmante* — zauważył któryś; cała grupa ponownie zmierzyła mnie wzrokiem. Wywnioskowali chyba, że raczej nie postawię im szampana, bo znowu odwrócili się do mnie plecami. Kate uśmiechnęła się półgębkiem i wręczyła mi kieliszek bąbelków, a potem szturchnęła faceta z prawej strony:

— James, to jest Holly.

Chłopak burknął coś, a Kate pochyliła się do następnego, którego również potraktowała kuksańcem.

— A to James B.

— James B. — powtórzyłam.

— A tam siedzą: Jamie Egbert, Jim i... Finn.

Finn usłyszał ją chyba jako jedyny, bo skinął głową. Na pierwszy rzut oka wyglądał trochę dziwnie, ale nie bardzo wiedziałam w czym rzecz. Po chwili uświadomiłam sobie, że ma poluzowany krawat i brudne okulary. Dodało mi to pewności i posłałam mu dość odważny uśmiech, którym najwyraźniej go spłoszyłam, ponieważ momentalnie wrócił do kontemplowania swojego kieliszka.

— Więc jak widzisz, wszystko idzie bardzo ładnie — zaćwierkała Kate.

— Co to za Jamesi? — spytałam.

— Moi koledzy z pracy.

— Wszyscy?

— Yyyy... tak.

— Urodziny mogą być straszne, nieprawdaż? — powiedziałam ze współczuciem.

— O co ci znowu chodzi? — wycedziła.

— O nic! Cudowny szampan.

Zaczęłam bawić się kieliszkiem, ale potem spróbowałam podłączyć się do rozmowy obu Jamesów. Prowadzili zażartą dyskusję na temat przymusu płacenia podatków oraz podłości rządu, który usiłuje wydrzeć część pieniędzy z ich bająskich pensji tylko po to, by sfinansować jakiś staroświecki, niemodny sektor usług publicznych. Jakoś udawało im się

unikając mojego wzroku, a ja tymczasem kombinowałam, jak by tu wkłęcić się do rozmowy.

— Ja też nie cierpię podatków — powiedziałam szybko, wykorzystując moment, gdy jeden z nich zrobił sobie przerwę na oddech. — A płacę nie więcej niż dziesięć pensów od funta.

Unieśli brwi zaintrygowani.

— Serio? Jak ty to robisz? Inwestujesz w jakimś rajy podatkowym? — spytał James numer jeden.

— Mój Boże, też bym chciał opracować taki system — wtrącił James numer dwa. — Założyłaś spółkę z o.o. czy coś w tym rodzaju?

— Hmm... szczerze mówiąc, zwykle nie załapuję się nawet na najniższy próg podatkowy — wymamrotałam niewyraźnie.

Na ich twarzach pojawił się szok, który natychmiast przerodził się w zawstydzenie spowodowane okazaniem szoku — w końcu byli to bardzo dobrze wychowani chłopcy.

— Szczęściara z ciebie — zauważył jeden z nich, ale chyba zaraz tego pożałował.

Czułam się jak skończony parias; nie ulegało wątpliwości, że nie powinno się wychodzić na drinka do City, jeśli nie ma się choć jednego szczerozłotego palca u nogi lub czegoś w tym guście.

— Czym się zajmujesz? — spytał James numer dwa, najwyraźniej plując sobie w brodę, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę.

— Yyy... — w mojej głowie panował zamęt. Ta rozmowa, choć upokarzająca, była jedyną towarzyską rozrywką, na którą się załapałam, i miała się skończyć dwie sekundy po tym, jak powiem słowo „kwiaciarka”. Wszyscy oni byli strasznymi palantami, ale za to przystojnymi i bogatymi — w takiej sytuacji dziewczyna po prostu musi próbować. No dobra, pomyślmy. Astronautka? Filozofka?

Pielegniarka? Bingo! To na pewno rzuci ich na kolana.

— Jestem pielegniarką — oznajmiłam.

Warto było, choćby po to, by zobaczyć jak ich twarze się rozjaśniają.

— Ho, ho! — zawołał z uznaniem jeden z nich. — W czym się specjalizujesz?

Siorbnęłam trochę szampana.

— Pracuję na... oddziale urologii. James numer dwa zbladł jak ściana.

— Spokojnie, umyłam ręce.

— Hej, Jimmy! Egbert? Finn! Chodźcie tu i poznajcie współlokatorkę Kate. Jest pielęgniarką.

Nienawidzę facetów.

Kate posłała mi śmiercionośne spojrzenie. Było mi przed nią wstyd. Co prawda powiedziałam to dla żartu, ale jeśli ona spróbuje mnie teraz ośmieszyć, pozostanie mi już tylko umrzeć z upokorzenia.

Dołączyli do nas pozostali. Byli trochę wstawieni i gotowi poprzekomarzać się z kimś, kogo uważali za coś w rodzaju kurtyzany, no może o trochę czulszym sercu.

— Czy musisz... yyy... no wiesz, wcierać maść, jak Joannę Whalley-Kilmer w *Śpiewającym detektywie*<sup>1</sup>? — wykrztusił któryś z nich.

— Czasami — skinęłam poważnie głową. — Przeważnie w czasie nocnych dyżurów.

Jęknęli z zachwytu.

— A czy... mmm... pielęgniarki nadal noszą w pracy specjalne fartuchy? — zainteresował się jeden, który najwyraźniej miał zacięcie historyczne.

— Owszem, w St. Mungo's mamy białe fartuchy. To spuścizna po czasach, gdy prowadziły go — poczułam wewnętrzny opór, kończąc to zdanie — zakonnice.

— Och!

— A co podoba ci się najbardziej w tej pracy? Często masz do czynienia z chorymi na prostatę? Czy uważasz, że ta choroba ma znamiona syndromu środowiskowego, czy też u jej podłoża tkwią uwarunkowania genetyczne?

O kuźwa! Pytanie to zadał Finn, na którego zwróciłam uwagę, bo miał zapaćkane okulary. Przemądrzały fagas. Pozostali znowu jęknęli. Zachodziłam w głowę, co to takiego ta prostata. Wiedziałam, że ma coś wspólnego z siusiakiem, ale co?

— No wiecie, efekt cieplarniany sprawia, że wszystko jest mniej lub bardziej zależne od środowiska — wydukałam.

— Serio? Fascynujące! Gdzie jeszcze zaobserwowałaś to zjawisko?

Wkurzało mnie, że pozostali chłopcy zaczynają odwracać się do mnie plecami. Pewnie znali już tego przemądrzalca, a ja, seksowna pielęgniarzeczka, zamieniłam się w ich oczach w siostrę naukowego miłosierdzia. Brr! Kate wciąż usiłowała zasztyletować mnie wzrokiem.

— Och, wszędzie — rzuciłam od niechcenia.

— Eee... Nie chciałbym cię zadrećczać poza godzinami pracy, ale medycyna to mój konik, więc... —

Finn oblał się rumieńcem — może wybralibyśmy się gdzieś, żeby to przedyskutować?

— Jasne — powiedziałam. Facet musiałby wyglądać jak troll, żeby nie chciała umówić się z nim na randkę. Zawsze stosowałam „prawo średnich”, co niewątpliwie wiele tłumaczy, jeśli chodzi o moje życie.

Finn wyglądał na zaskoczzonego i lekko przytłoczonego.

— Świetnie, cudownie! Eee... już wiem, może wybierzemy się do Muzeum Historii Naturalnej?

Co? Hej, przecież ty pracujesz w City, jesteś nadziany. Chyba zasłużyłam co najmniej na Oxo Tower\*?

— Może w następną sobotę? Masz dyżur? Zaprzeczyłam niechętnie, przynajmniej to było zgodne z prawdą.

— Wspaniale! Spotkajmy się na miejscu o drugiej! OK! Fantastycznie! Cudownie! — zawołał, a potem wrócił do

\* **Restauracja w rodzaju Pizza Hut.**

bandy Jamesów, którzy ku mojemu obrzydzeniu zaczęli klepać go po plecach. Jakoś nie byłam z siebie specjalnie dumna.

— Cóż, niewątpliwie wywarłaś na nich wrażenie — mruknęła z przekąsem Kate — Czy oni wiedzą, że prowadzisz szpital dla stokrotek?

— Przykro mi, Kate, ale gdybym tego nie powiedziała, nikt nie chciałby ze mną rozmawiać. No i, hura, udało się! Idę na randkę!

— Z Finnem to żadna randka. On jest chodzącym CD-ROM-em.

— Mnie to nie przeraża. Co robi?

— Bada, czy teorię strun da się zastosować do giełdy papierów wartościowych.

— Rany, nie mam pojęcia, o co chodzi, ale to chyba znaczy, że jest NADZIANY.

— Nie, to znaczy tylko, że jest NUDNY. Takie drobne, koleżeńskie ostrzeżenie... I pracuje naukowo na Uniwersytecie Londyńskim, więc nawet nie jest bogaty.

— Idę do Muzeum Historii Naturalnej ze studentem?

— A on z pielęgniarką.

„Przyjęcie” nie potrwało już długo. Wydało mi się trochę dziwne, że zamykają pub o dziewiątej, ale najprawdopodobniej zarządzały nim banki, które chciały mieć pewność, że niewolnicy, których wynagradzają sutymi premiami, nie będą do późna w nocy oddawać się szaleństwom młodości. Dlatego jeszcze przed dziesiątą wylądowałyśmy przy naszym kuchennym stole i lekko zawiane otwierałyśmy kolejną butelkę wina. Kate skarżyła się na draństwo, które musiała znosić w pracy, ale mnie pomieszali się ci wszyscy Jamesowie, więc na wszelki wypadek potakiwałam bez przerwy głową.

W końcu wrócił też Josh, zataczając się lekko pod wpływem kilku tradycyjnych ginów z tonikiem.

- Mam randkę! — wrzasnęłam, gdy tylko wszedł do pokoju.
  - Niemożliwe! — Moja wiadomość ścięła go z nóg.
  - Spotkanie mózgowców na szczycie — wyjaśniła mu Kate, pochylając głowę nad lampką wina. Joshowi zabłyszczały oczy.
  - Powiedz, w jaki sposób cię zaprosił.
  - Spytał po prostu: „Może wybierzemy się do Muzeum Historii Naturalnej”.
  - Tak, zaprosił ją pod fałszywym pretekstem — pastwiła się nade mną Kate.
  - A ty się zgodziłaś? — Josh z trudem łapał oddech.
  - No masz!
  - Powiedział tylko: „Może wybierzemy się do Muzeum Historii Naturalnej?”.
  - Widocznie wpuszczają tam za pół ceny, jeśli nie ma się bladego pojęcia o nauce — mruknęła Kate.
  - I to wystarczy, żeby zaprosić dziewczynę na randkę?
  - To wystarczy, żeby zaprosić mnie — ubiegłam następny komentarz Kate.
  - Jakie to proste — zdumiał się Josh
  - No właśnie, jakie to proste.
- Przez chwilę każde z nas wpatrywało się w swój kieliszek.
- Kate — przerwał ciszę Josh — wybierzesz się ze mną do Muzeum Historii Naturalnej?
- Kate wyglądała na lekko zaniepokojoną; podniosła głowę.
- Zapraszasz mnie na randkę czy tylko wypuszczasz balon próbny? — spytała cierpko.
  - Nie wygłupiaj się, ja tylko trenuję. Myślisz, że poderwałbym na to jakąś babkę?
  - Marne szanse — mruknęła Kate.
  - No tak. Świetnie. Fantastycznie. — Był wyraźnie załamany.
  - Josh, to nie jest żaden uniwersalny tekst na podryw — próbowałam go pocieszyć.

— Pewnie, że nie. A co do Holly, to należy ona do kobiet, które fachowo określa się jako łatwe — wyjaśniła Kate.

— Dobrze. — Zachwiałam się, wstając z krzesła. — Skoro mną pomiatacie, to idę pogadać z moim nowym przyjacielem, Addisonem.

Wytoczyłam się z kuchni niepewnym krokiem, pokonałam półpiętro i ruszyłam w stronę widocznej w szczelinie pod drzwiami niebieskawej poświaty.

Pchnęłam uchylone drzwi.

— Addison! — zawołałam na tyle donośnym głosem, by usłyszeli mnie moi siedzący w kuchni eks-przyjaciele.

Plecy Addisona znieruchomiały. Boże, uwielbiałam, gdy tak robił.

— Co porabiasz?

Schyliłam się i zerknęłam mu przez ramię. Jakież było moje zaskoczenie, gdy na monitorze jego komputera, zamiast niezrozumiałego komputerowego bełkotu, ujrzałam zdjęcie tłustej baby z dużym biustem.

Zaczerwienił się i natychmiast wyciągnął rękę do klawisza „escape”, lecz było już za późno.

— Addison... — wymamrotałam zaszokowana.

Mój odurzony alkoholem, półprzytomny umysł odebrał to jako zniewagę. Przecież tam byłam, a on mimo wszystko odczuwał potrzebę... hmm...

— Addison — powtórzyłam po raz trzeci. Wciąż unikał mojego spojrzenia. — Czy ty znasz dużo kobiet? Jego piękne ciemne oczy koncentrowały się wyłącznie na klawiaturze.

— Bo wiesz... to, czego szukasz... jest czasem... znacznie bliżej, niż ci się wydaje.

Nie mogłam uwierzyć, że zachowuję się jak jakaś tania cizia. Ale w konfrontacji z kimś tak nieśmiałym zastosowanie taktyki „na cizię” było nieodzowne. A poza tym byłam lekko ubzdryngolona — czyż to nie wspaniałe rozgrzeszenie?

— Sam rozumiesz — ujęłam jego dłoń — jesteś bardzo



atrakcyjny... — Gdy kogoś podrywam, uwielbiam cytować bohaterów z *Dynastii*.

Jego ręka zaciążyła w mojej niczym przejrzały melon. Zignorowałam to, schyliłam się i pocałowałam go w czoło. Pachniał jak te nowiutkie zeszyty, które dawali nam w szkole — świeżutkie i suche. Nie odwzajemnił mojego pocałunku. Uświadomiłam to sobie po jakichś trzydziestu, może czterdziestu sekundach. Żadnej reakcji. Nic a nic. Zero. Pocałowałam go jeszcze raz. Nawet nie drgnął.

— Wiesz przecież, gdzie śpię... — wdzięczyłam się dalej.

No tak. Kompletna mogiła! Albo Robocop, albo Muzeum Historii Naturalnej. Jeszcze nigdy nie upadłam tak nisko... aż do tej chwili.

Zdziwiłam się, gdy zdjął moją rękę ze swojego czoła i lekko ją uścisnął. Zdziwiłam się nieco mniej (w końcu był trzeźwym facetem, na którego nastawała jakaś szalona harpia), gdy „odłożył” ją na miejsce i wrócił do swojej klawiatury. Stałam nad nim jeszcze z dziesięć sekund — chyba tylko po to, by przedłużyć upokorzenie — a potem zaczęłam się powoli wycofywać. On tymczasem znów zajął się pracą na komputerze, która, jeśli mogłam to stwierdzić, nie miała nic wspólnego z cycatą Betty.

— O Boże...

— Przeżyjesz! Wychodziłaś już z dużo gorszych tarapatów!

— Jakiś konkretny przykład?

— Bardzo proszę: chcąc zaimponować wielkiemu Erykowi, zaczęłaś uczyć się jeździć na snowboardzie i złamałaś sobie nogę w kostce — pocieszał mnie przy śniadaniu Josh.

Jakoś kiepsko mu szło. W dodatku wybierałam się tego dnia na rozmowę kwalifikacyjną do prawdziwej kwiaciarni i musiałam tam iść po tym, jak ostatecznie upokorzyłam się przed moim współlokatorem, gdy niemal padłam przed nim

na twarz. Nie byłam pewna, ale może uznaliby to za okoliczności łagodzące?

— Tak czy siak, mnie przytrafiły się znacznie gorsze rzeczy.

— Na przykład?

— No nie wiem... a to, jak pogryzł mnie pies?

— Wiesz co, Josh? Nie sądzę, żeby wprawilo to tego psa w zakłopotanie, więc NIE DA się tego porównać.

Naturalnie Kate wyszła już do pracy, przypuszczalnie z umytą głową i „silną motywacją”.

— No tak, ale popłakałem się, gdy robili mi zastrzyk przeciwtężcowy.

— Miałeś wtedy chyba z osiem lat.

— Ale to i tak kompromitujące.

— Na koniec nakarmili cię ciastkiem z kremem... — (Czytaj: tego nie da się porównać). — No dobra, zadaj mi jakieś pytanie na temat kwiatów.

— Eee... jakiego koloru są tulipany?

— OK, może jednak pytałbyś o kwiaty, które widziałeś?

— Do twojej wiadomości: zdobyłem główną nagrodę w parafialnym konkursie układania kompozycji kwiatowych. Trzy razy z rzędu!

— Hmm, zadziwiasz mnie.

— To były bardzo... męskie kompozycje. No dobra, jak pielęgnuje się słoneczniki?

— Trzeba je wsadzić w stary krowi placek i zostawić na parę miesięcy.

Przez chwilę siedzieliśmy oboje w milczeniu.

— To zupełnie tak, jak z naszym życiem — stwierdziliśmy jednocześnie.

Aż trudno uwierzyć, że rozmowa kwalifikacyjna do pracy w kwiaciarni może mieć tak poważny charakter. W małym biurze na zapleczu siedziały trzy osoby: jakiś stary facet —

wyglądał jakby już był martwy; kobieta o nieprzeniknionym spojrzeniu, z wysoko upiętymi włosami i pojedynczą fałdą biustu oraz naburmuszona Hinduska — z jej nosa albo wystawał wielki glut, albo miała w nim jakiś kolczyk — trudno było to stwierdzić, jako że pomieszczenie było dość ciemne. — W naszej kwiaciarni „Dla kogoś szczególnego” bardzo poważnie traktujemy kwestię troski o klienta — zakomunikowała duża kobieta (wiedziałam, że to ona będzie mówić). — Czy mogłaby pani dać nam jakiś konkretny przykład otoczenia klienta szczególną troską, znany pani z własnego doświadczenia?

Rozmowy kwalifikacyjne to stek bzdur, nienawidzę ich. Zadają ci te wszystkie cholerne pytania, a tak naprawdę chcą się tylko dowiedzieć, jak pachniesz i w jakim stopniu podzielasz ich dziwaczne opinie na temat czystości rasowej.

— A więc — zaczęłam nieśmiało — pewnego dnia przyszła do kwiaciarni gromadka dzieci. Jeden z ich kolegów został potrącony przez samochód... jak na ironię, stało się to w drodze do szkoły. Dzieciaki zebrały swoje kieszonkowe i chciały kupić dla niego książęcy bukiet, ale zabrakło im pieniędzy na opłacenie dostawy. Więc wzięłam te kwiaty i sama zawiozłam je małemu Tomciowi. Kupili tę historyjkę. Nie mogłam w to uwierzyć! Duża kobieta omal się nie popłakała.

— Tak? I co było dalej? — zapytała mnie.

— Okazało się, że tata małego Tomcia jest właścicielem sieci znanych sal konferencyjnych i podpisał z nami kontrakt na robienie dekoracji.

Dziewczyna od kolczyka-gluta uśmiechnęła się podejrzliwie, ale Wielka Pani była wniebowzięta. Zresztą tkwiło w tym jakieś ziarno prawdy. Lubię sobie pomarzyć, że jeśli kiedykolwiek nadarzyłaby się okazja, by uczynić coś miłosiernego, wykorzystałabym ją bez wahania. Tyle że jak dotąd nic takiego jeszcze się nie wydarzyło.

— Och, to wspaniałe! Może udałoby się pani przenieść odrobinę swojej magii do kwiaciarni „Dla kogoś szczególnego”. Panie Haffillton, co pan o tym sądzi?

Ale pan Haffillton ani myślał zrzucić maskę nieboszczyka.

— Też tak uważam — oświadczyła Wielka Pani. — A więc, Holly, co wiesz o ogrodnictwie? Niby co mam wiedzieć? Nie zapytali, czy umiem grzecznie rozmawiać przez telefon albo pakować kwiaty w celofan — przecież to jedyne dwie naprawdę przydatne umiejętności.

— Zdobywałam doświadczenie poza Londynem — założyłam, że nie mają pojęcia, gdzie jest Harlesden, i moje przeczucie mnie nie zawiodło — ale lada dzień zacznę jeździć do Ogrodu Botanicznego w Chelsea.

— Rzecz jasna poza godzinami pracy u nas?

— Ha, ha, ha! Naturalnie, że tak.

O Boże, żałowałam, że muszę ubiegać się o tę pracę, ale dzień wcześniej Tash nadepnęła mi na nogę obcasem — aż musiałam się gdzieś schować, żeby sobie popłakać.

— Chalitha, a może ty chciałabyś o coś zapytać? Ubrana na czarno dziewczyna nadała się i wzruszyła ramionami.

— No, moja droga, stanowimy przecież jedną szczęśliwą rodzinę! — Wielka Pani zrobiła do mnie taką minę, jakby Chalitha powiedziała właśnie coś niesamowicie zabawnego.

— Bo ja wiem... Jaki zespół lubisz najbardziej? Starannie oceniłam sytuację.

— Sex Pistols...

— Super — Chalitha pokiwała głową i odwróciła się do „nieboszczyka”. — Wujku, ona się nadaje — zawyrokowała i spojrzała na mnie. — Poprzednia dziewczyna słuchała Mariah Carey.

Na dobrą sprawę jej pytanie nie było ani głupsze, ani mądrzejsze od innych, które padają podczas rozmów kwalifikacyjnych, ale niewątpliwie trafiało w samo sedno sprawy.

— Nie mogłabym z nią pracować — odparłam zdecydowanym tonem.

— No właśnie, wyobrażasz to sobie? Nosiłaby króciusieńkie minispódniczki i przez cały dzień szczebiotałaby jak skowronek.

— Ja tylko spluwam od czasu do czasu — zapewniłam i zaśmiałam się sztucznie, bo Wielka Pani uniosła brwi i zmierzyła mnie wzrokiem. — Ha, ha! Naturalnie żartowałam. Ale uważam, że pogodna atmosfera w pracy może zaprocentować w kontaktach z klientami, nie sądzi pani?

— Tak — pokiwała surowo głową. — Zapewniam jednak, że to bardzo sprawnie działająca firma. Oczywiście absolutnie nie tolerujemy żadnego krętactwa.

— Tak jest, proszę pani.

Zauważyłam, że moje „proszę pani” zrobiło na niej wrażenie.

— No cóż, poinformujemy panią o naszej decyzji — zakończyła, wstając z krzesła niczym monarcha z tronu.

— Bardzo, naprawdę bardzo pani dziękuję. Wyszłam stamtąd tyłem do drzwi.

Tej nocy nie kładłam się spać. Z utęsknieniem czekałam na telefon. Miałam nadzieję, że zadzwoni, zanim zacznę wjeżdżać pod górkę może ostatni raz.

— ...nawet wymyśliłam, co mogłabym im powiedzieć: „Tash, przykro mi, że kiedy siedziałas u swojej mamy w brzuchu, nie zapewniono ci odpowiednich składników odżywczych oraz że brak ci jakichkolwiek perspektyw, ale po prostu — ODCZEP SIĘ ODE MNIE! — relacjonowałam rano Joshowi. — Co do chłopaków, to myślę, że im również okazałabym litość. Na przykład powiedziałabym coś takiego: „Jakaż to szkoda, że jesteście takimi niedouczonymi ignorantami”. Josh przerwał szatkowanie warzyw i spojrzał na mnie.

— Nie sądzisz, że to trochę... no wiesz... takie dosyć... za bardzo faszystowskie?

— Myślę, że to jak najbardziej sprawiedliwe, jeśli wziąć pod uwagę, przez co musiałam przechodzić z ich powodu. Naprawdę stosuję bardzo humanitarne metody.

— Oczywiście, pani Gandhi.

— No właśnie. A w ogóle, to pewnie nigdy nie zdobędę się na odwagę, żeby im to powiedzieć.

— Jeśli tak bardzo to przeżywasz, powinnaś spróbować. W tym momencie weszła Kate i zamachała niewyraźnie

ręką — była zbyt wyczerpana, żeby się odezwać.

— O tak, i umrę, nim otworzę usta. Milczałam przez chwilę.

— Bo wiesz, Josh, kiedy tak leżę w łóżku całymi dniami, przychodzą mi do głowy naprawdę straszne rzeczy na temat innych ludzi — powiedziałam. — Czy uważasz, że jestem niemoralna?

Josh włączył robota kuchennego, by móc się przez chwilę zastanowić.

— Nie włączaj tej maszyny tylko po to, żeby dać sobie czas do namysłu! Powinieneś to wiedzieć od razu!

— Nie uważam, że jesteś niemoralna — wtrąciła się dość niespodziewanie Kate. — Moim zdaniem zachowujesz się całkiem normalnie. Leżenie całymi dniami i mordowanie kogoś w myślach to głęboko zakorzenione cechy ludzkiej natury.

— Hmm... Ja wcale nie wiem, czy rzeczywiście chciałabym kogoś zamordować.

— A ja chyba... — Josh zmarszczył czoło — ...nie myślę o ludziach źle. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Spojrzałyśmy na siebie. Kate przewróciła oczami. Właściwie mówił prawdę. Rozpatrując problem w kategoriach szkoły podstawowej, Josh był naprawdę przyzwoity. Nie znienawidziłyśmy go tylko dlatego, że gotował i że fajnie było się z nim drażnić.

— Tak, ale jesteś tak miły, że aż mdli — odparła Kate. — Jesteś jakiś inny i... dziwny.

— Nieprawda — odparł po chwili Josh. — I wiecie co? Właśnie w tej chwili przychodzi mi do głowy straszne myśli na czyjs temat. — Josh włączył z powrotem robota. Kate i ja wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia; czułyśmy, że łączy nas jakaś więź, co zdarzało się niezwykle rzadko. Bogu dzięki, akurat zadzwonił telefon.

— WYŁĄCZ TEGO ROBOTA! — krzyknęłam, wymachując rękami.

— No jasne, wyzywaj się na starym, pomiatanym przez wszystkich, „nazbyt miłym” Joshu — burknął.

— WYŁĄCZ TO! — wrzasnęłam ponownie, dokładnie w tym samym momencie, gdy Kate podniosła słuchawkę.

— Biuro Holly Livingstone — odezwała się słodkim głosem.

Skrzywiłam się i rzuciłam się po słuchawkę, którą trzymała w wyciągniętej ręce.

— Tak, jest... Czy mogę spytać, kto dzwoni? Skakałam wokół niej w bezsilnej frustracji, rozcapierzonymi palcami pokazując, że chcę odebrać jej telefon.

— Sprawdź tylko, czy nie jest zajęta. W końcu podała mi słuchawkę.

— Halo, halo — powiedziałam swoim najbardziej dystyngowanym, telefonicznym głosem. — Holly Livingstone, słucham.

— Halo, halo — odparł głos; natychmiast rozpoznałam Wielką Panią. — Mówi Bigelow — no tak, to dlatego nie mogłam zapamiętać jej nazwiska — z kwaciarni. Postanowiliśmy zaproponować pani stanowisko kierowniczkę sklepu. Praca pięć dni w tygodniu, od dziewiątej do osiemnastej, co druga sobota wolna.

Poinformowała mnie, ile będę zarabiać, i choć obiecała mi więcej, niż dostawałam, pracując na zmiany w New Covent Garden, dałabym głowę, że wciąż jest to mniej niż

zarobki moich znajomych ze studiów, nawet tej ogromnej, głupkowatej dziewczuchy w sklejonych okularach, która posługiwała się angielskim, jakby to nie był jej ojczysty język — choć był — że nie wspomnę o historykach sztuki.

— Świetnie! Wspaniała wiadomość! — wyjąkałam, ale przypomniałam sobie zaraz, że powinnam zachowywać się jak osoba, która nieustannie przebiera w ofertach. — To znaczy, że będzie mi to odpowiadać. Od kiedy miałabym zacząć?

— Od soboty.

O nie! W sobotę miałam randkę w Muzeum Historii Naturalnej.

— Może od poniedziałku? Nie chciałabym stawiać moich pracodawców w kłopotliwej sytuacji.

— Ależ oczywiście — zawołała Wielka Pani, nieco zbity z tropu. — Całkowicie się zgadzam. W naszej kwiaciarni szalenie cenimy sobie lojalność pracowników.

No, to wszystko ustalone. Kate omal mi nie przywaliła za to, że nie negocjowałam warunków aż do momentu, kiedy dostałabym wszystko, na co zasługuje tak cenny pracownik jak ja.

Przez chwilę biłam się z myślami, czy nie powinnam od razu rzucić New Covent Garden, ale nie bardzo mogłam się zdecydować. W końcu dotarłam na miejsce — w bezstresowym tempie i z czterdziestopięciominutowym spóźnieniem.

— Podczas wojny nie uszłoby ci to na sucho — wyburczał Johnny, gdy pojawiłam się na podjeździe.

— Przepraszam, ale po drodze był nalot i musiałam się zatrzymać, żeby wyciągnąć z gruzów jakieś sieroty. W porządku? A tak poza tym — odchodzę.

— Aha. Właź do środka i do roboty.

— Johnny, czy ty mnie słyszysz? Rezygnuję. Popracuję jeszcze dziś, a potem możesz mi zapłacić i znikam.

Przez chwilę gapił się na mnie kompletnie zaskoczony.

— A więc... znikasz?



— Innymi słowy odchodzę. Pokiwał spokojnie głową.  
— Co będziesz robiła? Postanowiłam go trochę rozweselić.  
— Zamierzam wstąpić do armii.  
— Naprawdę?  
— Absolutnie. Będę kontynuować twoją bohaterską misję ochrony państwa, opierając się na dwóch filarach: obowiązku i handlu kwiatami.  
— Idź do diabła, kłamczucho.  
— Będę za tobą tęsknić — powiedziałam.  
— Nie będziesz. — Wzruszył ramionami. — Marsz do środka. Zrób porządek w alejce z żonkilami. Zaparkowałam rower i wślizgnęłam się na paluszkach do ogromnej hali.  
— Hej, Fifka! — wrzasnął jeden z wyrostków. — Gdzieś ty się podziewała? Bez ciebie walenie gruchy pomiędzy melonami to już nie to samo. Uświadomiłam sobie, że raczej nie będę tęsknić za tym miejscem, i poczułam gorzką satysfakcję. Mniej więcej w połowie zmiany nadeszła chwila, której się obawiałam. Tash podsunęła się do mnie z boku, błyskając żółtymi zębiskami.  
— Trochę się dziś spóźniłyśmy, co? Nie uczyli na studiach, jak posługiwać się zegarkiem? Nie odpowiedziałam.  
— I zapomniłyśmy języka w gębie. Tego już za wiele! Byłam na to stanowczo za stara.  
— Odczep się, Tash — mruknęłam. — Odchodzę.  
— COŚ ty powiedziała? Hej, chłopaki, słyszeliście? Zignorowałam ją i dźwignęłam pierwsze pudło. Powoli zaczynałam dygotać w środku.  
— Pani magister powiedziała mi właśnie, żebym się odczepiła. No nie? — Wycelowała we mnie swój paluch.  
— Tash, nie chcę kłopotów. To moja ostatnia noc, więc odejdz i czep się kogoś innego, dobra?

Uderzyła ręką w dno pudła i kwiaty rozsypały się po całej podłodze.

— Oj, ale się narobiło. Myślisz, że jesteś za dobra, by spędzać tu z nami czas? Nie jesteśmy dla ciebie odpowiednim towarzystwem?

— Wcale tak nie uważam — odparłam, a w duchu pomyślałam: „Taką mam nadzieję”.

— Będzie darcie pierza! — wrzasnął jakiś palant.

— Myślisz, że jesteś kimś wyjątkowym, że stoisz wyżej?

— Przywal jej! — podchwyciła reszta.

— Ależ skąd — odpowiedziałam, próbując złapać oddech po niespodziewanym ataku Tash, która mnie popchnęła. Krew zaczęła mi szumieć w mózgu, ale oczywiście nie miałam pojęcia, jak się bić. Kiedy schyliłam się po pudło, kopnęła mnie w ramię.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. Chłopcy i pozostałe smarkate otoczyli nas błyskawicznie i znalazłam się w pułapce. Pozbierałam się na nogi, kombinując gorączkowo, co powinnam zrobić.

— Ooo, już nie jestem taka wyszczekana? — szydziła ze mnie Tash.

— Na miłość boską, daj spokój. — Próbowałam zachować panowanie nad sobą, ale mój głos zadrżał. Tash rzuciła się na mnie niczym jakiś latający wampir z horroru. Padając na plecy, dostrzegłam, że ktoś sięga pazurami do mojej twarzy i włosów. W głowie kłębiły mi się tysiące myśli, między innymi taka: „Co za wstyd, mam dwadzieścia osiem lat i stoczę pierwszą bójkę w życiu”.

Wróciłam do rzeczywistości i stwierdziłam, że Tash siedzi na mnie okrakiem i szykuje się, żeby mi przyłożyć. Faceci darli się bez przerwy i doszłam do wniosku, że musi ich to nieźle kręcić.

Spróbowałam przewrócić się na bok, ale wtedy Tash uderzyła mnie mocno w głowę. O mój Boże! Serce waliło mi z szybkością tysiąca uderzeń na minutę.

— ODPIERDOL SIĘ ODE MNIE! — ryknęłam. — SPIERDALAJ!

Znowu uderzyła mnie mocno w twarz, a potem zacisnęła dłoń w pięść i zamierzyła się do kolejnego ciosu.

Walnęła mnie z taką siłą, że moja głowa odbiła się od betonu. Ten niespodziewany brutalny atak zupełnie mnie oszołomił i pomyślałam, że za chwilę zemdleję. Chyba tego nawet chciałam. Nic już nie widziałam, ale nagle poczułam, że Tash gdzieś odpłynęła; wydawało mi się, że umarłam i moja dusza wędruje poza ciałem.

Potem zobaczyłam twarz Johnny'ego, który podniósł mnie i otrzepał, wykrzykując:

— Dziewuchy się leją! Masz ci los!

— Mówiłam, że idę na wojnę... — wychlipałam i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że płaczę.

Miałam na twarzy krew, łzy i smarki. Dwóch chłopaków przytrzymało Tash. Zaśmiewali się do rozpuku.

— SUKA! — wydzierała się skrzeczącym głosem. — ŻAŁOSNA SUKA!

Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru jej odpowiadać, nie chciałam jej drażnić. Nie zamierzałam zostawać tam ani sekundy dłużej.

— Idę do domu, Johnny — oświadczyłam, pociągając nosem.

— Może powinniśmy cię najpierw trochę oczyścić? Masz paskudnie podbite oko.

— NIE! Idę do domu. I TO JUŻ!

— Chcesz, żebym zadzwonił po kogoś, kto by cię odebrał?

— Nie... Mam swój rower i chcę tylko wrócić DO DOMU.

— W porządku...

Odprowadził mnie do roweru, wyraźnie zatroskany. Kazał mi zaczekać chwileczkę, wszedł do biura i wrócił z kopertą dla mnie.

— Uważaj na siebie. Nie jesteś taka twarda, jak ci się wydaje.

— Wydawało mi się, że jestem tak twarda jak mała myszka — odparłam. — Ale nawet taka nie jestem.

Klepnął mnie po ojcowsku w ramię.

— Tylko nie jedź za szybko.

W ogóle nie wsiadłam na rower, tylko prowadziłam go z górki, roniąc łzy i litując się nad sobą. O tej porze nocy ulica była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć paru samochodów, które przemknęły obok mnie. Odpowiadało mi to. Nie chciałam, żeby mnie ktoś oglądał.

W domu jak zwykle panował chłód i bezruch. Po ze-szłotygodniowej klęsce nie miałam zamiaru wpadać do Addisona na pogawędkę. Pochlipując, ruszyłam w stronę łazienki, żeby się umyć. Bolało mnie lewe oko — czułam, że już całkiem porządnie spuchło, a do tego miałam ślady zadrapań nad brwiami i wzdłuż policzka.

Skradając się obok pokoju Addisona, zauważyłam coś dziwnego. Drzwi do niego były zazwyczaj szczelnie zamknięte, co oznaczało, że nie należy mu przeszkadzać. Lecząc tej nocy widziałam cieniutką, cieniuteńką szparkę. Czyżby gdzieś wyszedł? Nie — moje uszy do tego stopnia oswoiły się z jego stukaniem, że jeśli się nie wsłuchiwałam, zupełnie go nie słyszałam. No a poza tym Addison nigdy nie wychodził. Wziąwszy pod uwagę, że wszystko, co robił, miało jakiś cel... na pewno miał powód, żeby nie zamknąć pokoju. Czyżby chciał ze mną porozmawiać...?

Uchyliłam szerzej drzwi — rozpaczliwie łaknęłam ludzkiego współczucia, nawet od niemego.

Siedział w środku, przykuty do monitora — jakżeby inaczej. Gdy weszłam, odwrócił się od komputera i podjechał w moją stronę na swoim obrotowym krześle.

— Addison... — wyszeptałam, po czym wybuchnęłam głośnym, spazmatycznym szlochem. — Addison!

Mój widok wprowadził go w osłupienie. Wstał. Po raz pierwszy

mogłam stwierdzić, jaki jest wysoki i jak długie ma nogi. Wpatrywałam się w niego, nie mogąc zapanować nad drzeniem dolnej wargi.

— Jak ty wyglądasz? — zapytał łagodnie.

— To nie była moja wina! — obruszyłam się.

— Ktoś cię napadł?

— Yyy... nie. Biłam się... ale nie z mojej winy! Pokiwał głową, jakby go wcale nie zdziwiło, że wplątałam się w jakąś bójkę.

— Chodź — nakazał; powlokłam się za nim do łazienki. Bezwolnie pozwoliłam mu się posadzić na brzegu wanny i przemywać swoje rany wodą utlenioną. Mimo że wciąż byłam bardzo wzburzona, muszę przyznać, że jego dotyk przyprawiał mnie o dreszcze. Addison dotyka mojej twarzy! To już prawie randka. Nagle zobaczyłam w lustrze swoje odbicie.

— O mój Boże... — jęknęłam. Moje oko było dwa razy większe niż normalnie, a na dodatek zrobiło się sinoróżowe, jak u zawodowego boksera. — Nie martw się — pocieszał mnie Addison. — Siedź spokojnie. — Nie mogę... to znaczy, muszę iść na randkę, do pracy, a tu... — O Boże! Auu... Na której uczelni cię tego nauczylili?

— Jeśli piecze, to znaczy, że wszystko w porządku.

— To samo powiedziała mi kiedyś pewna pszczołka.

— Cśś... — Przykleił mi plaster na policzku. — Rano będzie wyglądało o niebo lepiej.

— A zniknie?

— Mmm... nie, ale na pewno trochę się zagoi.

— Dzięki — wymamrotałam, nie spuszczając z niego wzroku; w oczach wciąż miałam łzy. Po raz pierwszy uśmiechnął się do mnie. Omal nie zemdlałam.

— Spróbuj się wyspać.

OK. Przez chwilę rozważałam możliwość zasymulowania jakichś innych wewnętrznych obrażeń, bo wtedy musiałby

mnie rozebrać, ale przypomniałam sobie, co się stało parę dni temu w nocy, i roztropnie nic więcej nie powiedziałam.

Spałam dziesięć godzin, w moim ciele wciąż buzowała adrenalina. Obudziwszy się nazajutrz po południu, zauważyłam kopertę od Johnny'ego. Wypłacił mi prawie za dwa tygodnie pracy...

Josh nie mógł uwierzyć, że brałam udział w bójce. Był o to niewiarygodnie zazdrosny. Wspólnie uzgodniliśmy, że jedyny dobry sposób na odreagowanie mojej gehenny to piwo, ewentualnie, jak w przypadku Kate — szprycer z białego wina, więc wybraliśmy się całą trójką do nowego pubu za rogiem, w którym na moje szczęście panowały egipskie ciemności, mające imitować klimat.

Długo i uporczywie zastanawiałam się, czy powinnam nałożyć kryjący podkład, bo skóra wokół oka nabrała wściekłych odcieni żółci i zieleni — ale w końcu uznałam, że nie muszę wyglądać jak zdziwiona panda. Zrezygnowałam więc z pierwotnego zamysłu i zrobiłam coś zupełnie innego — pomalowałam prawe zielonym cieniem i obrysowałam ciemną konturówką. Z daleka nie wyglądało to najgorzej, po prostu sprawiałam wrażenie, jakbym uciekła z glamrockowej kapeli; jednocześnie prezentowało się na tyle zadziornie, by nikt nie miał ochoty się do mnie zbliżyć. Ale z bliska budziłam przerażenie.

Gdy Kate ustaliła wreszcie, że nie zostałam zgwałcona czy coś w tym rodzaju, nie mogła opanować śmiechu, a Josh w kółko zadawał mi kretyńskie pytania, czy czułam, jak krew uderza mi do mózgu. Potwierdziłam i zaraz dodałam, że wypłynęła stamtąd moim nosem, po czym poprosiłam, aby okazał w tej kwestii trochę więcej wrażliwości.

— Kiedy ci podwórkowi wojownicy walczą, używając swoich tradycyjnych technik, czasami rzeczywiście ich ponosi — podsumowała Kate. — Uważaj, Josh, bo ci zrobi taką pokrzywkę, że się nie pozbierasz.

— Bardzo śmieszne — odpowiedziałam i w tej samej chwili opadła mi szczęka, bo dokładnie na wprost mnie wyłonił się z ciemności niewiarygodnie przystojny mężczyzna.

Zapominając na chwilę, że mam makijaż w stylu Marilyn Manson \*, bez zastanowienia odwróciłam się do niego twarzą, ale on tylko przemknął obok mnie w kierunku Kate i jej się przedstawił. Poczułam się jak jeszcze większa idiotka.

Josh poderwał się i spojrzał na mnie oburzony — jak ten obcy facet mógł podejść tak zwyczajnie do paczki znajomych i się przedstawić? Po chwili usiadł z powrotem, najwyraźniej spodziewając się, że Kate spławi gościa w kilku ostrych słowach. Ech, ten Josh naprawdę nie zna się na kobietach.

Rozmarzyłam się i pomyślałam, że gdyby nie moje sine oko, Pan Bardzo Szarmancki — ubrany w szary kaszmirowy sweter i trenz Burberry, pasujący doskonale do tego, w którym przyszła Kate — może najpierw zwróciłby uwagę na mnie. Ale po co się oszukiwać: dla mnie byli zarezerwowani fajtłapowaci naukowcy, dla Kate — nadziani przystojniacy. W jego wyglądzie było coś znajomego, amerykańskiego.

Rzeczywiście był Amerykaninem. Po kilku sekundach Kate zaczęła chichotać (nie leżało to co prawda w jej naturze, ale starała się, jak mogła) oraz radośnie szczebiotać; chwilę potem w cudowny sposób, jakby znikąd, na stole pojawiła się butelka szampana, a on już napełniał jej kieliszek. Naszych nie, tylko jej. Sądziłam, że Kate niezwłocznie naprawi tę rażącą niesprawiedliwość, lecz gdy tylko na nią spojrzałam, zauważyłam, że zmieniła całkowicie język ciała: sprawiała teraz wrażenie osoby, która wcale z nami nie przyszła. Siedzieli pochyleni, głowa przy głowie. Nadal byłam przekonana, że już tego faceta gdzieś widziałam.

Zirytowany Josh przechylił się na krześle w moją stronę.

— Przykro mi, ale nie zezwolono nam na udział w między

**\* Wokalistka skandalizującego amerykańskiego zespołu rockowego.**

narodowej konferencji wielbicieli Burberry — powiedziałam. Josh mruknął coś ponuro pod nosem, lecz po chwili jego twarz się rozjaśniła.

— A właściwie dlaczego i my nie mielibyśmy napić się szampana? Też możemy się zabawić, prawda? Kate oraz piękny nieznajomy parsknęli gromkim śmiechem.

— Josh, zdaje się, że dla nich najlepszą zabawą jest porównywanie międzynarodowych rynków finansowych. Ale jeśli stawiasz, chętnie wypiję jeszcze jedno piwo. Weź też jakieś chipsy octowe, są najlepszym remedium na podbite oko.

Bar chciał uchodzić za modny, więc sprzedawali w nim malutkie buteleczki Moet & Chandon. Josh wrócił obładowany moim piwem i chipsami, które trzymał w zębach, a sobie przyniósł karłowatego szampana i z ponurą miną zaczął go saczyć przez słomkę. Z trudem powstrzymałam się od śmiechu i miałam ochotę popukać go po głowie.

— Nie przejmuj się.

— Jak tu się nie przejmować? Mam dwadzieścia osiem lat, a od trzech lat nie miałem dziewczyny!

— Albo chłopaka.

— Mogłabyś już wreszcie przestać? — nadał się Josh. — Niektórzy po prostu dłużej dochodzą do pewnych rzeczy.

— Na przykład do dojrzałości płciowej?

— Czy chcesz być znowu bezdomna?

— Nie! — odparłam zdecydowanie.

— A tak w ogóle to chyba mam prawo trochę sobie ponarzekać... ty idziesz na randkę, Kate najwyraźniej spotkała swoją bratnią duszę, wyprowadzicie się wszyscy i będziecie mieć kopę dzieci, a ja umrę w samotności.

— Już wiem! — zawołałam radośnie. — Kiedy pobierzemy się z Addisonem, nadal będziemy z tobą mieszkać, a ty będziesz mógł niańczyć nasze śliczne, bystre pociechy.

— Taa, jasne. A podobno to ja jestem żalonym marzycielem...



— Ależ skąd. Przykleił mi ten plaster na policzku. Zatrzymam go na zawsze, jako pamiątkę naszego pierwszego dotknięcia.

Josh wyglądał na zgorzzonego.

— Zaraz zwymiotuję. Proszę cię, Holly, tylko nie zakochuj się w Addisonie.

— Za późno! — krzyknęłam triumfalnie.

— Ja naprawdę uważam, że z nim jest coś nie tak. Wiesz co, przypomina to tę dziwną postać autyzmu, polegającą na liczeniu przejeżdżających lokomotyw. Podobno zapadają na nią tylko chłopcy.

Odpłynął gdzieś myślami, ale po minucie był już z powrotem.

— Ciekawe, czy mnie również może to dopaść?

— Ty mógłbyś liczyć różne przedmioty. A potem je zapamiętywać.

— Rzeczywiście fascynująca perspektywa.

— Josh, nie musisz martwić się o mnie i Addisona.

Kate ćwierkała ze swoim amantem przez cały wieczór, a potem odpłynęła z nim na kolację, co mnie zaskoczyło — choć tylko odrobinę — bo zawsze uważałam, że jest „dziewczyną z zasadami”, która ma charakterek mogący wykończyć każdego. Podejrzewałam, że poszli do „Le Caprice”. Nie mam pojęcia, jak wygląda „Le Caprice”, ale nazwa sugeruje, że uczęszczają tam ludzie noszący markową bieliznę (Kate na pewno taką nosiła—wiem, bo wykrałam jej kiedyś z suszarki jedną parę majtek, tyle że nie mogłam się w nie wcisnąć).

Nie zostaliśmy w pubie długo, ponieważ Josh postanowił uzupełnić swoją wiedzę z zakresu wyników piłkarskich.

Następnego dnia, w sobotę, kręciłam się po mieszkaniu od samego rana — chciałam sprawdzić, czy Kate wróciła do domu. Rozczarowałam się, bo okazało się, że tak, czyli wieczór nie skończył się dla niej ani pijaństwem, ani rozpustą,

co według mnie stanowiło synonim dobrej zabawy. *Zeszła* do kuchni koło dziesiątej, z „Financial Timesem” pod pachą, jak zwykle wypoczęta i opanowana. Zakrzętnęłam się, udając, że parzę kawę. Korciło mnie, żeby zapytać o ubiegły wieczór, lecz ona usiadła i wsadziła nos w gazetę. Z trudem ukryłam frustrację.

— Kawy?

— Skoro robisz, poproszę bezkofeinową. Czarną, bez cukru.

Spojrzałam na nią.

— Taka kawa nie ma sensu.

— Pozwala spalić więcej kalorii, niż zawiera. Jak seler — odparła, unosząc brwi.

— Aha. — Nalałam wody do czajnika. — To dlatego pije się kawę.

Posłała mi wymuszony uśmiech i wróciła do swojej gazety. Spróbowałam jeszcze raz:

— Dziś jest mój wielki dzień, idę na randkę do Muzeum Historii Naturalnej...

— To wspaniale.

— Może wybralibyśmy się kiedyś na podwójną randkę? Ja z Finnem i ty z...

Odłożyła gazetę.

— Mówisz serio?

Próbowałam to sobie wyobrazić, ale nie mogłam.

— Oj, przepraszam. Nie zamierzasz więcej się z nim spotkać?

— Oczywiście, że zamierzam — najeżyła się. — Mam nadzieję, że John i ja będziemy się regularnie widywać.

— John? I co dalej?

— Ach, nie mogę sobie przypomnieć — odparła, siląc się na lekceważący ton.

— Chyba coś zmyślasz.

— Kto zmyśla? Co zmyśla? — wymamrotał Josh, wtaczając się niepewnie do kuchni jak nowo narodzony kociak.

— Kate zmyśla ze swoją nową miłością, Johnym Nikt.  
— O Boże, jeszcze jeden — jęknął Josh, wsypując cukier do kawy.  
— Co chcesz przez to powiedzieć? — naburmuszyła się Kate.  
— Sam nie wiem. A ilu szarmanckich, żonatyh przystojniaczków podrywało cię w tym roku i nie podało ci swojego nazwiska, na wypadek gdybyś chciała odszukać ich w książce telefonicznej?  
— John nie jest żonaty. Wyczułabym to. Wymieniliśmy z Joshem spojrzenia.  
Nagle zadzwonił telefon i wszyscy, jak jeden mąż, zerwaliśmy się na równe nogi. Kate rzuciła się do aparatu, ale kiedy się zorientowała, że ją obserwujemy, udała, że wcale jej się nie spieszy.  
— Ja odbiorę... pewnie dzwonią z biura.  
— Tak, z biura „Ratujmy nasze małżeństwo” — drażniłam się z nią. — Chcą cię wezwać na świadka.  
Kate wyrzuciła nas z kuchni, lecz my zerkaliśmy na nią zza futryny. Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie. Przysłoniła słuchawkę ręką:  
— To mama Addisona.  
— Zawołam go — oświadczyłam ochoczo i już stukiałam do jego drzwi.  
— Hmm?  
— Addison, dzwoni twoja mama.  
— Powiedz jej, że mnie nie ma.  
— To chyba nie jest najlepsza wymówka.  
— Tak, jest w domu — powiedziała Kate do słuchawki.  
— To powiedz jej, że... jestem zajęty.  
— Jest zajęty — powtórzyła Kate. — Tak, właśnie je. Nie, wszystko po staremu. Nie, nie sypia.  
Dobrze, powtórzę mu.  
Rozłączyła się.  
— Addison, kiedy ostatni raz rozmawiałeś ze swoją matką? — spytałam.

Za drzwiami panowała głucha cisza.

— Odkąd tu mieszka ani razu — szepnął Josh.

— To ja zawsze z nią rozmawiam — skwapliwie doniosła Kate. — Wydaje mi się, że jest w porządku.

— Aha...

Kate schyliła się, aby podnieść pocztę. W tej samej chwili z kieszeni jej nienagannej piżamki a la Meg Ryan coś się wysunęło.

— A co my tu mamy?

— Nic. — Zgarnęła to „coś”, ale zdążyliśmy rozpoznać jej maleńki telefon komórkowy.

— Ach, ci natręci z biura? — naigrawał się Josh.

— Eee... no właśnie.

Doszłam do wniosku, że przygotowania zabiorą mi nie więcej niż trzy minuty, zapomniałam jednak oczywiście wziąć poprawkę na moje podbite oko, które teraz mieniło się całą paletą czerwieni i fioletowawych brązów. Miotalam się po mieszkaniu, ale mimo wielkich wysiłków nie byłam ani o krok bliżej od wyjścia z domu. Zrezygnowałam ze stylu Alice Cooper, więc musiałam podjąć żmudną próbę usunięcia makijażu. W efekcie wyglądałam jak pozbawiony brwi potwór rodem z filmu science fiction. Nie wykluczałam nawet zakupu opaski na oko — mogłabym udawać, że odkrywam na nowo wczesne lata osiemdziesiąte. Ostatecznie uznałam jednak, że wymagałoby to zbyt długich wyjaśnień, a ponieważ widziałam faceta zaledwie przez dwie minuty, chciałam tylko wyglądać jak możliwie normalna osoba.

Nadal nie miałam pojęcia, jak wyprostować zamieszanie z pielęgniarką. Głupio to wyszło, ale umówiłam się na randkę pod fałszywymi pozorami. Świadczyło to też o tym, że facet jest troszeczkę zboczony. Łaziłam tam i z powrotem i dyskutowałam pod nosem sama ze sobą, czym wyraźnie denerwowałam Kate. Zazwyczaj wstawiała w soboty o ósmej, pę-

dziła na siłownię i basen, a potem wpadała do biura, zaglądała do Josepha i na piąte piętro do Harreya Nicksa, i oglądała wystawy, a tymczasem Josh i ja wylegiwaliśmy się w pokoju gościnnym na dwóch starych, zarwanych sofach, obżeraliśmy się ciasteczkami z Jaffa Cakes i oglądaliśmy czarno-białe filmy. A tu proszę—wpół do dwunastej, a Kate nadal w negliżu. Oprócz komórki na kuchennym stole leżał także pager i zdaje się, że nasza współlokatorka od jakiegoś czasu czytała jedną i tę samą stronę. — Holly, na miłość boską, idźże już, bo Finn będzie musiał przez całe popołudnie wałęsać się sam po muzeum...

— Przecież świrusy to uwielbiają — odparłam.

— Powiedz mu prawdę i będzie po sprawie. Wy tłumacz, że byłaś kompletnie zalana.

— Hmm... bardzo zachęcające.

— ...ewentualnie, że popadłaś w chwilowy obłęd. Proszę cię tylko o jedno: przestań ganiać po kuchni w poszukiwaniu odpowiedzi, bo doprowadzasz mnie tym do szału.

— No dobra, już idę. Och, nie! A co, jeśli zostawi mnie gdzieś w środku muzeum i zgubię się wśród brontozaurów?

— A co, jeśli nie pójdziesz i przepuścisz być może jedną z najlepszych okazji w swoim życiu? — zapytała niespodziewanie romantycznym tonem.

— A co, jeśli kręcą go wyłącznie osóbkki w uniformach? A fuj!

— Josh pożycz ci swoją starą piankę do nurkowania. Idź już.

— W piance czy bez?

— Idź! Wynocha! I to już! Powodzenia, wszystko będzie dobrze. WYNOCHA!

— Ja również życzę ci powodzenia! — odkrzyknęłam.

— O Boże, jestem KOMPLETNIE SAMOTNY... — usłyszałam zawodzenie Josha, gdy wychodziłam z domu.

### ***Rozdział trzeci***

Zanim dotarłam do muzeum w Kensington, utwierdziłam się w przekonaniu, że był to najgorszy pomysł w moim życiu; było dużo gorzej niż wtedy, gdy stwierdziłam, że motor tamtego faceta to substytut jego nieistniejącej osobowości i dopiero skręcony nadgarstek przekonał mnie, że jest inaczej. Usiłowałam przypomnieć sobie przynajmniej choć jednego chłopaka, który nie złamałby mi przypadkowo jakiejś kości, ale szybko zrezygnowałam. Wspaniale. Nawet jeśli Finn okazałby się miły, to i tak pewnie wyląduję w szpitalu.

Nie miałam nawet pewności, czy go rozpoznam. Och, i jeszcze to jego głupie rybnie imię\*. Boże, co ja tu robię? Taki piękny, ciepły, wiosenny dzień — mogłam spokojnie leżeć sobie w domciu na sofie i oglądać telewizję. Ale gdzie tam, przylazłam tu wypacykowana jak tania cizia — chociaż nadal wyglądałam jak ofiara wypadku drogowego — i czekam na zboczonego kujona w okularach, który uważa mnie za porno-pielegniarkę.

Zawsze to samo. Na domiar złego cierpię na syndrom Nastolatki po Przykrym Rozwodzie Rodziców, co w praktyce oznacza, że gdy czasem choćby wspomnę o moim nieudanym

\* ***Finn*** wymawia się po angielsku jak *fin*, czyli „płetwa”.

życiu uczuciowym, ludzie zaczynają mi mówić, że każdy facet, z którym umówię się na randkę, będzie:

- dokładnym przeciwieństwem mojego ojca, ponieważ tak bardzo go nienawidzę;
- dokładnie taki sam jak mój ojciec, ponieważ tak bardzo go nienawidzę;
- narzędziem mojej chorobliwej zemsty na obojgu rodzicach;
- z góry przegrany, bo posłużę się nim wyłącznie do zwrócenia uwagi moich rodziców;
- z góry przegrany, bo nigdy nie nauczono mnie, jak funkcjonuje zdrowy związek;
- z góry przegrany z uwagi na obciążenia genetyczne;
- z góry przegrany, bo jestem Złym Człowiekiem.

Ostatni punkt wymyśliłam sama. I jeszcze jedno: czy kiedykolwiek jakiś związek nie zakończył się katastrofą? Najlepszym wyjściem z takiej sytuacji, na jakie możesz liczyć, jest śmierć... Ale z drugiej strony to właśnie dlatego nie trafiłam dotąd na żadną terapię. Muszę jednak powiedzieć, że na widok Finna sterczącego pokracznie przy wejściu zaczęłam żałować, że w tej chwili się tam (lub gdziekolwiek indziej) nie wybieram. Wyglądał na równie przytłoczonego sytuacją jak ja. Dobry Boże, dlaczego sami pakujemy się w taki kanał?

— Cześć! — zawołałam z przesadnym entuzjazmem. — Cześć! Yy... to ja, Holly.

Przyglądał mi się lekko dezorientowany. Na Boga, przecież to on mnie zaprosił!

— Cześć! Och, przepraszam... O Jezu, co ci się stało w oko?

— Yyy... uszkodził mnie chory psychicznie pacjent... — W zasadzie nie było to dalekie od prawdy.

— O mój Boże, biedactwo. Ale co ty robiłaś na oddziale psychiatrycznym?

— Ee... yyy... tylko sprzątałam — odparłam wymijająco. Boże, nie pociągnę tak przez następne półtorej godziny, pomyślałam. Kiedy Finn poszedł zapłacić za bilety, które, jak się okazało, kosztowały trzynaście funtów, uznałam, że najwyższy czas coś z tym zrobić.

— FINN — zaczęłam, gdy wyciągnął swoją visę. — Nie rób tego.

— No co ty, zapłacę.

Kasjerka o wyglądzie kujona czekała z pytającą miną i nie puszczała karty.

— Nie o to chodzi. Finn, myślę, że zaciągnęłam cię do Muzeum Nauk Przyrodniczych pod fałszywym pretekstem — wydukałam. — Yyy... wcale nie jestem pielęgniarzką.

Był kompletnie skołowany.

— Przepraszam... chodzisz do szkoły pielęgniarzkiej, tak?

— Nie mam nic wspólnego z pielęgniarstwem.

— Podawanie się za pielęgniarzkę jest chyba niezgodne z prawem — odpowiedziała usłużnie bileterka.

Zmiażdżyłam ją wzrokiem.

— To był tylko taki głupi żart — zmyślałam na poczekaniu. — Założyłyśmy się z Kate, że nie potrafię udawać przez cały wieczór pielęgniarzki, i... tak wyszło.

— Kate i żarty? — zdumiał się. — W życiu o czymś takim nie słyszałem. Ani ja.

— Przepraszam, że zaciągnęłam cię aż tutaj... To było okropnie głupie. Bardzo cię przepraszam.

Lepiej już sobie pójdę.

— Wspaniale... pojawiaasz się tylko po to, żeby mi oznajmić, że sobie idziesz?

— Ja cię oprowadzę—zaoferowała się kujonowata kasjerka. Finn musiał wysłać jakieś miłosne fluidy naukowca-kujona.

— A co, jeszcze tego nie widziałaś? — warknęłam na nią. Zapadła cisza.

— No, to cześć — rzucił Finn.



Jeszcze raz mu się przyjrzałam. Miał na sobie szerokie, znoszone, sztruksowe spodnie, koszulę z krótkim rękawem (z kieszonki wystawał mu długopis) oraz tweedowy płaszcz — bez skórzanych łątek. Wydawał się słodki, zmieszany i miał w sobie coś z wyrośniętego Harry'ego Pottera. Bileterka już dawała swojemu kierownikowi znaki, że robi sobie przerwę.

— Wchodzę za darmo — szepnęła porozumiewawczo do Finna.

Zaraz, zaraz, koleżanko! Przecież to ja się z nim umówiłam!

— W takim razie poproszę jeden bilet — odezwał się Finn. — Mogę dostać zniżkę studencką?

— Ty na pewno — mizdrzyła się.

— Więc już nie chcesz, żebym z tobą weszła? — zapytałam smętnie.

Odwrócił się.

— Przepraszam, myślałam, że sobie poszłaś.

— Ale jestem, jak widzisz.

Kasjerka wsunęła język między zęby. Finn przez chwilę rozważał moją propozycję.

— Czy naprawdę masz na imię Holly?

— Tak. Słowo honoru.

— Czym się zajmujesz, Holly?

— Yyy... mogę być astronautką? Finn uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Brzmi świetnie. Proszę dwa bilety — zwrócił się do kujonki, która spojrzała na mnie, jakby chciała odciąć mi głowę jednym z kłów velociraptora, które sprzedawali w kiosku z upominkami.

— Więc... kim ty właściwie jesteś? — spytał Finn, gdy wjeżdżaliśmy na górę windą o dość ponurym wystroju, naśladowującym lawę wulkaniczną.

— Tak naprawdę to nikim — przyznałam zawstydzona.

— Zupełnie nikim?

- Współlokatorką Kate.
- No, to już coś. To znaczy, że musisz być odważna.
- I pracuję jako kwiaciarka.
- Serio? — ucieszył się. — Botanika interesuje mnie o wiele bardziej niż medycyna, choć niewątpliwie obie dziedziny wiele ze sobą łączy...
- Na botanice też się nie znam.
- Tak? Och, powinnaś. Wiesz, że istnieje pewien gatunek orchidei, której pąki całe wypełnione są lepką substancją — jak basen wodą. Przylatuje sobie osa, wchodzi do środka i robi się tak mokra, że nie może odlecieć. Jedyna droga na zewnątrz prowadzi przez tunelik znajdujący się na dnie kielicha, gdzie osa grzęźnie w kwiatowym pyłku... dopiero wtedy kwiat ją wypuszcza. Jak w myjni samochodowej.
- Zaimponował mi, chociaż wcale tego nie chciałam. Ale jeszcze bardziej mi zaimponował, gdy powiódł mnie do jednej z gablot.
- Widzisz? Oto ona: *Orchidae Coryanthus*. Coś w rodzaju parku rozrywki dla owadów.
- Czy ty naprawdę wiesz wszystko na temat nauki? Tym się zajmujesz?
- O rany boskie, nie! — Zaśmiał się na samą myśl, że recytowanie z pamięci ciekawostek, dotyczących *Orchidae Coryanthus*, może zostać uznane za posiadanie rozległej wiedzy naukowej. — Nie, co ty, czytam trochę o tym i owym. Zajmuję się pewną gałęzią fizyki...
- Gałęzią? Nie wiedziałam, że fizyka ma gałęzie.
- A jednak ma. Ja pracuję nad teorią strun.
- Obserwujesz sznurki, by stwierdzić, jak się zachowują? Węże też obserwujesz? — spytałam, zerkając z obawą na wyjątkowo długi i groźnie wyglądający okaz, który na szczęście był za szybą.
- W mikroskopijnej skali. Widzisz, fizyka cząstek elementarnych funkcjonuje tylko przy założeniu, że grawitacja nie istnieje, lecz jeśli chcemy się posługiwać fizyką kwantową,

a nie tylko klasyczną, to teoria strun pomaga zlikwidować powstałą lukę.

— Ach, już rozumiem. Nie, nie. Nic nie rozumiem.

— No dobrze... wyobraź sobie, że świat to taka rezonansująca struna gitarowa.

— Naprawdę?

— To bardzo piękna teoria. Według niej cały świat gra muzykę.

— Nawet ta mała, która mi przywaliła?

— Czy fruwała jak motyl i użądliła cię jak pszczoła?

— Skąd tam, kopnęła mnie jak krowa.

— Czy jej też powiedziałaś, że jesteś pielęgniarką?

— Neee! I teraz bardzo tego żałuję. Finn parsknął śmiechem.

— W mojej ostatniej pracy wyzywali się na mnie, więc postanowiłam odejść. Jak widać, ktoś uznał, że będzie za mną bardzo tęsknił.

— Biedactwo... Powinnaś mówić wszystkim, że się zagapiłaś i weszłaś do zajezdni autobusowej. Ja tak zawsze robię.

— Czy tak często ktoś cię bije?

— Nie, ale często włączę do zajezdni.

Staliśmy naprzeciwko monstrualnego niedźwiedzia grizzly. Finn oglądał go dokładnie, a ja wykorzystałam tę chwilę, by obejrzeć dokładnie Finna. To w końcu też można zaliczyć do historii naturalnej. Był wysoki i miał brązowe, mocno kręcone włosy, sterzące na wszystkie strony. Nie mógł wprawdzie pochwalić się szczupłą i elegancką sylwetką Addisona, ale był za to silny i dobrze zbudowany. Zza okularów grubych jak denka od butelek spoglądała para ciemnych, okrągłych oczu. Moje myśli popłynęły do długich rzęs Addisona i jego ciemnych źrenic, ale szybko wróciłam do rzeczywistości.

— Dlaczego nazwają cię Finn? — spytałam, kiedy oglądał odciski łap niedźwiedzia. — Czy twoi rodzice są jakimiś słynnymi badaczami rekinów albo coś w tym rodzaju?

— Ha! Masz ciekawe skojarzenia. Biją na głowę teorię paluszków rybnych. Właściwie mam na imię Feynman. Mój ojciec chciał za wszelką cenę mieć w rodzinie fizyka. To po Richardzie Feynmanie. On był fizykiem — dodał, widząc moją niewyraźną minę.

— Dlaczego nie nazwał cię po prostu Richard?

— To byłoby zbyt oczywiste.

— O! A jak masz na drugie?

— Lavoisier. Na wypadek, gdyby nie wypaliło z fizyką — westchnął.

Zrezygnowałam z dalszych pytań.

Przez dłuższą chwilę podziwialiśmy ogromnego płetwala błękitnego, aż wreszcie zorientowałam się, że nie jest prawdziwy, i wkurzyło mnie, że dałam się tak nabrać. Na szczęście udało mi się to jakoś zatuszować i kamień spadł mi z serca, bo nasza randka nie okazała się absolutnym niewypałem.

— No więc, dlaczego pracujesz w tym zagłębiu oszołomów?

— Gdzie?

— W City.

— Aaa... Prowadzę badania. Nic ciekawego.

— Ale mnie to ciekawi.

— Naprawdę? Chcesz posłuchać o wyższej matematyce?

— Och, zrobiło się już tak późno?

— No widzisz. — Popatrzył smutnym wzrokiem na wieloryba. — Właściwie nienawidzę tej roboty.

Próbuję naukowo ustalić, czy giełda rządzi się podobnymi prawami jak inne systemy żyjące, a tymczasem wszystkim zależy tylko na tym, by wytknąć ci, że mają więcej pieniędzy niż ty.

— Pewnie doprowadza cię to do szału, ale jeśli ci to pomoże, wiedz, że prawdopodobnie jestem najbiedniejsza ze wszystkich osób, które znasz.

— Ja wcale nie przejmuję się pieniędzmi — odburknął ponuro. — Zjemy loda na spółę?

Stopniowo dochodziłam do wniosku, że idzie nam zaskakująco dobrze. No dobra, może miał nos jak kartofel i bez przerwy nawijał o fizyce, ale nasze wspólne popołudnie okazało się miłą pouczającą wycieczką dwojga dorosłych ludzi; siedzieliśmy sobie na trawie, liżąc lody i obserwując okropnie znudzonych turystów z obowiązku uganiających się po South Kensington. A tak poza tym, wcale nie wyglądał na faceta z perwersjami seksualnymi. Aż prosiło się, żeby go o coś zapytać.

— Dlaczego... — zaczęłam, wbijając zęby w swoje magnum — ...mnie zaprosiłeś?

Popatrzył na mnie zza grubych szkielek, mrużąc oczy (szkła sprawiały, że wydawały się lekko powiększone) przed delikatnymi promieniami słońca.

— Słucham?

— Yyy... dlaczego zaprosiłeś mnie na randkę? A może to jakaś fiksacja na punkcie pielęgniarek?

— Przepraszam, ale nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Zaczerwienił się nagle, co świadczyło o tym, że zrozumiał.

Do mnie także zaczęło coś docierać i pomyślałam, że dam mu nauczkę — niech wie, jak to jest naprawdę się zaczerwienić.

— Ee... Przepraszam, ale chciałem tylko wybrać się z kimś do muzeum. Zwykle chodzę sam... Nie chciałem, żebyś pomyślała...

— A co innego miałam sobie pomyśleć?

— Nie wiem. Strasznie mi przykro. Mówię poważnie, zupełnie nie o to mi chodziło.

— A to niby czemu? Czy coś ze mną nie tak?

— No coś ty, nie... ale w życiu nie zaprosiłbym kogoś takiego jak ty. To znaczy... o rany, przepraszam.

— Tak, już o tym wspomniałeś. — Zachmurzyłam się

i wstałam, próbując utrzymać w pionie swojego loda — nie wyglądało to specjalnie elegancko. Finn gapił się na mnie.

— ...a nie możemy zostać przyjaciółmi? — spytał bez przekonania.

— Finn, tak się mówi wtedy, kiedy ni stąd, ni zowąd rozpada się głęboki, namiętny związek dwojga ludzi. A nic takiego się dziś nie stało, mimo że widzieliśmy wielką rybę z głębin oceanu.

— No dobrze. — Wzruszył ramionami. — Wobec tego jeszcze raz przepraszam cię za to nieporozumienie. Miło było cię poznać. Aha, to nie była „ryba” tylko ssak — dodał, wyciągając do mnie rękę.

Nienawidzę, kiedy ludzie zachowują się w ten sposób. Niektórzy nie mają za grosz wyczucia dramaturgii chwili. Nie podałam mu dłoni, mruknęłam tylko „cześć” i odeszłam upokorzona, zadzierając wysoko głowę. No i oczywiście musiałam zatrzymać się dwa kroki przed nim, czekając, aż zmienia się światła. On tymczasem przyglądał mi się, oniemiały ze zdumienia. Jasna cholera!

— NIENAWIDZĘ cholernych naukowców, NIENAWIDZĘ cholernych randek-nierandek, które przypominają kota Schroedingera! — wrzeszczałam trzy kwadransy później, gdy wpadłam z hukiem do naszego mieszkania, po objechaniu metrem prawie całego Londynu, z głową uwięzioną pod pachami turystów.

— Gdzie są te cholerne ciasteczka?

Josh rozwalił się na sofie i oglądał Bettie Davis — z typowym dla siebie wyrazem uwielbienia na twarzy.

— Chodzi ci o pingwinki, skarbie? Są w kuchni, zapomniałaś? Po twoim ostatnim nalocie na supermarket zostało nam ich jeszcze sto sześćdziesiąt sześć. Randka się nie udała?

— Można by tak powiedzieć.

Począpałam do kuchni. O dziwo, Kate nadal siedziała przy stole i nadal była ubrana w nocną koszulę — wprost niesłychane. Przedłużyła kabel od telefonu na korytarzu, podłączyła swoją komórkę do laptopa i używała na przemian to jednego, to drugiego. Gdzieś z boku leżał jeszcze po-

rzucony pager i dwa ostygłe tosty, a w rogu buczał cicho faks, którego nigdy wcześniej tam nie widziałam.

— Hej — przywitałam się, ale Kate nawet nie drgnęła. — Mogę zjeść tego cholernego tosta? Wzruszyła tylko ramionami, więc postanowiłam go zjeść.

— No i co?

Nareszcie mnie zauważyła i spojrzała do góry. Wyglądała dość mizernie.

— Kate, to dopiero pierwszy dzień. Przecież wiesz, że żaden szanujący się facet nie dzwoni zaraz następnego dnia po pierwszym spotkaniu. A zwłaszcza taki szalowy przystojniak jak John...

Jak-Mu-Tam. Pomyślałabyś, że jest żaloszny i niedopieszczony i najprawdopodobniej dałabyś mu kosza. — Ale powiedział, że zadzwoni — wymamrotała, kiwając głową jak kretyńska.

— Tak, ale jest też facetem. Jedno wyklucza drugie.

— A jak twoja randka? — zapytała, zmieniając temat.

— W porządku. Och, byłabym zapomniała... dlaczego nie powiedziałaś mi, że to palant?

— Finn? — Moje pytanie wyrwało ją z zadumy, ale jednym okiem nadal obserwowała telefony. — Co się stało? — Byłaś na swoich urodzinach, prawda?

— Hmm... tak mi się wydaje.

— Słyszałaś, jak mnie zaprasza, prawda?

— Cóż, słyszałam, jak pytał, czy poszłabyś z nim do Muzeum Historii Naturalnej.

— Czyli na randkę, mam rację?

— Hmm... dlaczego? Co jeszcze powiedział? Kolacja? Potem jakiś drink?

— Nie musiał niczego mówić! Nie zaprasza się kogoś w konkretne miejsce tylko dlatego, że chce się je samemu zobaczyć.

Kate uniosła brwi.

— Tak czy owak, nie o to chodzi. Sęk w tym, że według mnie zmienił zdanie, kiedy dowiedział się, że nie jestem

pielegniarką, i chciał mnie przekonać, że od samego początku miał na myśli spotkanie na stopie koleżeńskiej.

— Naprawdę? Cóż, może i tak było. Ale wiesz, Holly, nagabywanie jakiejś dziewczyny ni stąd, ni zowąd nie bardzo do niego pasuje. Następnego dnia trochę się z niego nabijali. Kiedy klan Jamesów zaczął robić sobie jaja, wydawał się raczej zaskoczony. Ja również nie jestem przyzwyczajona do Finna w tak śmiałym wcieleniu... normalnie jest cichy jak myszka.

— Co? Ty o wszystkim wiedziałaś?

— Ależ skąd. Próbuję tylko powiedzieć, że być może wcale nie chciał cię zaprosić, że popełniłaś zwyczajną pomyłkę.

— Cóż, ty oczywiście potrafisz zachować w tej kwestii niewiarygodnie dużo rozsądku... ale to nie ty musiałaś słuchać przez dwie godziny tego głupiego, irytującego BAŁWANA oraz jego durnowatych teorii na temat KWIATÓW.

— W takim razie na pewno nie poczujesz się urażona, jeśli nie będzie chciał ponownie się z tobą umówić.

— W OGÓLE MNIE TO NIE WZRUSZA. Westchnęłyśmy. Kate wzięła do ręki pager, żeby się upewnić, czy jest włączony.

— Boże drogi, Kate. Przeanalizujmy sytuację: dałaś mu swój numer domowy, do biura, na komórkę, telefon w samochodzie, pager, faks oraz adres mailowy? — wyliczałam.

Przytaknęła smętnie.

— Pozostaje nam więc czekać, aż zadziała prawo średnich — stwierdziłam. — Może w końcu, wybierając jakiś numer, przez pomyłkę dodzwoni się do ciebie.

Następnego ranka Josh zwołał walne zebranie mieszkańców. Wyglądało to tak, że biegał o ósmej rano po korytarzu, waląc w patelnię łychą wazową i krzycząc: „Pożar! Pali się! Wszyscy wychodzić!”.

Potem łapał nasze zaspane, wychyla-



jące się z pokoi głowy, ciągnął nas do kuchni i rozsadzał wokół stołu.

Usiadłam i zaczęłam się zastanawiać, czy Kate w ogóle położyła się spać; tkwiła dokładnie w tym samym miejscu co wczoraj, otoczona swoimi elektronicznymi gadżetami. Ku mojemu zaskoczeniu był tam również Addison. Mrużył oczy w dziennym świetle i chyba nie czuł się zbyt pewnie.

Nigdy wcześniej nie widziałam go za dnia — teraz wyglądał jeszcze cudowniej: ta jego mocno zarysowana górna warga i niezmiernie głęboka czarna oczu, te opadające powieki... na ich widok chciałam wybiec z kuchni i umalować usta szminką — niestety, Josh mnie ucałował i posadził z powrotem.

— Moi drodzy — zaczął — to się musi skończyć.

Zadrżałam, bo przypomniałam sobie, że obcinałam w wannie paznokcie. Josh mówił jednak spokojnie dalej, nie wytykając mi palcem:

— Chcę, żeby to był miły i szczęśliwy dom dla moich przyjaciół, a nie jakieś uczuciowe wariatkowo...

— Starł się nadać głosowi surowy ton, ale nie szło mu najlepiej. Gapiliśmy się na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. — Spójrzcie tylko — kontynuował — żadne z nas nie radzi sobie z własnym życiem uczuciowym.

— Mnie tam nie idzie najgorzej — skłamałam z obrażoną miną.

— Holly, powiedzmy sobie szczerze: nie potrafisz odróżnić życia uczuciowego od szkolnej wycieczki. Addison, mam wrażenie, że wcale cię to nie interesuje...

Addison wklepywał jakieś dane do komputera wielkości ziarnka grochu i nawet na nas nie spojrzął.

— ...co do ciebie, Kate, martwi mnie twoje zdrowie psychiczne.

— Hę..? — mruknęła apatycznie.

— A co z tobą? — spytałam.

— Hmm... tak, ja również mógłbym sporo zmienić w swoim życiu uczuciowym.

— Nawet Michael Jackson ma bogatsze życie uczuciowe od ciebie — stwierdziłam.

— Więc musimy coś z tym zrobić.

— Na przykład?

— Uważam, że powinniśmy urządzić parapetówkę. Jeszcze tego nie zrobiliśmy. Każdy z nas powinien zaprosić jedną osobę płci przeciwnej.

— ...lub tej samej, jak kto woli — dodałam.

— Dziękuję, Holi, wniosek został przyjęty... A więc, powinniśmy zaprosić takiego osobnika płci przeciwnej, który jest na sto procent samotny i — naszym zdaniem — pasuje do któregoś z gości. Oni również kogoś zaproszą — triumfował.

— Że co??

Nawet Addison przestał stukać i spojrzał na nas wzrokiem osaczonego zwierzątka.

— To się nazywa „przyjęcie dla singli”. Czytałem o tym w „Vouge'u”. Zapraszasz jednego singla, który przyprowadza samotnego przyjaciela, ten z kolei — następnego, etcetera, etcetera. W „Vogue'u” piszą, że to „frywolny i wyborny sposób na znalezienie partnera”.

Widać było, że ten pomysł strasznie go kręci.

— Chwileczkę — wtrąciła Kate, która wciąż tkwiła bezwładnie na krześle — czy zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób ściągniesz tu wszystkich samotników, jacy chodzą po tym świecie?

— Byłby to postęp geometryczny — wymamrotał Addison. — Ale myślę, że gdyby ustawić ich odpowiednio blisko siebie, zmieściliby się wszyscy na wyspie Wight.

— A jeśli niektórzy z nich okażą się włamywaczami? — zapytałam.

— Ludzie! Czy wy nie czujecie dreszczyku podniecenia? Nie brak wam przypadkiem wyobraźni?

— Addison — przemówiłam śmiertelnie poważnym tonem — czy mogę zaprosić ciebie jako mojego samotnego przyjaciela?

— Tak — odparł. — Ee... a czy w takim razie ja mogę cię zaprosić jako kolejne ogniwo łańcuszka?

— Jasne! Ale to znaczy, że będę musiała zaprosić cię jeszcze raz.

— Dość! Uspokójcie się wreszcie! Będzie niezły ubaw! Błagam was! Zamówię żarcie z restauracji! Josh wierzył we wszystko, co napisali w „Vogue'u”. Jak najbardziej słusznie, rzecz jasna.

— Zamówisz catering? — spytałam z nadzieją. Później okazało się to fatalne w skutkach. Jeszcze nigdy nie byłam na przyjęciu, na którym catering nie oznaczałby miseczki fistaszków z petem w środku.

— Oczywiście, skoro to ma być prawdziwe przyjęcie.

— Wątpię, czy będę mogła przyjść — oświadczyła Kate. — Pewnie wybierzemy się gdzieś z Johnem.

— Aha — powiedział Josh. — Ale założmy, że tego wieczoru John będzie pracował za granicą... Przyszłabyś, prawda?

— Bez entuzjazmu, ale czemu nie — odparła, wzruszając ramionami.

— Tylko nie sprowadź tu tego głupiego Finna — zaznaczyłam. — Gotów jeszcze wysadzić w powietrze miskę z ponczem albo coś w tym stylu.

— Wspaniale! — ucieszył się Josh. — Załatwię drukowane zaproszenia.

Drukowane?

— Może... w sobotę za trzy tygodnie?

— Po co to robisz? — spytała Kate.

— Ten rok należy do nas — wyjaśnił. — Całe tegoroczne lato do nas należy. Ludzie zawsze poznają się latem. I my też powinniśmy, jeszcze tego lata. Tak jak tu siedzimy, bez wyjątku: wszyscy samotni, ciągle młodzi, wspierający się nawzajem...

Prychnęłam pod nosem.

— Za rok o tej porze będziecie mieć po trzydzieści lat.

Kate wstała bez słowa z zamiarem opuszczenia kuchni. Wyglądała jak chmura burzowa. Zbliżając się do drzwi, „przypadkiem” upuściła na podłogę jedną z wykwintnych filiżanek z pamiątkowej zastawy Josha; nie pozwolił jej używać nikomu oprócz Kate, bo ona była zawsze taka ostrożna. Filiżanka roztrzaskała się w drobny mak.

— Ojejku! — wrzasnął przerażony Josh.

— Czyżbym potłukła coś twojego? — spytała Kate. — Tak mi przykro...

Nie mogłam powiedzieć, że pomysł Josha na imprezę nie przypadł mi do gustu. Dzięki niemu nadarzyła się w końcu okazja spędzenia z Addisonem małego „sam na sam” bez konieczności upicia się, doskonała szansa, by go uwieść. Zaczęłam sobie nawet wyobrażać, jak próbujemy wykorzystać — na tysiące nowatorskich sposobów — jego krzesło do komputera. W moich fantazjach najczęściej wyglądało to mniej więcej tak: Kate i Josh zostają żeglarzami i wyruszają w morze, zostawiając nas samych w domu. Pewnego razu, po wielu upojnych godzinach romantycznych rozmów, Addison widzi mnie niechęć przez półprzezroczystą zasłonę prysznicową; potem wychodzimy razem na zakupy, śmiejemy się głośno i jakimś sposobem trafiamy do opery, gdzie spędzamy wspaniały wieczór, itp., itd. Aż pewnej nocy, gdy siedzimy przed buzującym kominkiem (nasz akurat był zapchany ptasimi gniazdami, a do tego zupełnie nielegalny, ale mniejsza z tym), Addison kładzie głowę na moim ramieniu i szeptem: „Holly, nigdy wcześniej nie obcowałem z inną osobą, nie pamiętam już nawet dlaczego, bo przecież nie jestem żadnym dziwakiem. Ale dziękuję Bogu, że cię odnalazłem. Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj”. „OK”, odpowiadam i już po chwili bzykamy się jak szaleni w stylu, za jaki niewątpliwie przyznaliby nam olimpijski medal. Wyzbyłam się już jakichkolwiek obaw w tej dziedzinie — nie

przejmowałam się na przykład, że Addison wzdryga się, gdy ktoś się o niego choćby tylko otrze — wytłumaczyłam sobie, że dzięki temu jest bardziej naturalny.

Po odgłosie jego kroków potrafiłam poznać, gdzie się znajduje; po najlżejszym stuknięciu — jak mocno jest pochłonięty pracą. Jednak nie mogłam się przemóc, by wejść do jego pokoju w ciągu dnia — wszystko działo się rankiem i towarzyszyła temu swoista magia, którą odczuwa się w takich chwilach. Chciałabym, żebyśmy byli wyjątkowi, a to oznaczało, że nie miałam ochoty zobaczyć przypadkiem jego brudnej bielizny. Uznałam, że byłoby to niewłaściwe.

Kate tkwiła przy tym piekielnym stole przez caluśki dzień. Josh pomrukiwał radośnie, zastanawiając się, jakie serwetki wybrać na przyjęcie, i za wszelką cenę starał się okazać jej współczucie.

— Wiesz co, Skates?

— Hmm...?

— Myślę, że miał powód, by nie podać ci swojego nazwiska.

— Hmm...?

— W tamtym barze było ciemno, prawda?

— I Bogu dzięki — wtrąciłam.

Usiłowałam wyprasować koszulę na pierwszy dzień pracy, ale szło mi to jak krew z nosa.

— Czy w restauracji, do której się wybraliście, też było ciemno?

— Byliśmy w „Momo”. Ciemno jak w dupie u Murzyna. Prawdziwa marokańska knajpka bez elektryczności.

— To nie poszliście do „Le Caprice”? — zdziwiłam się. Spojrzeli na mnie oboje.

— Nikt tam nie chodzi — zaśmiała się Kate.

Skoro nadal potrafiła szydzić z innych, to nie mogła być aż taka załamana, pomyślałam.

— Przecież ja też tam nie chodzę — mruknęłam, walcząc z rękawami, które za nic nie chciały pozostać w jednym miejscu na tyle długo, żeby je rozprasować.

— Cóż — kontynuował Josh — odniosłem wrażenie, że przypomina jakąś znaną osobę. A może rzeczywiście jest kimś znanym i próbował to ukryć?

Eureka! Już wiedziałam, kogo przypominał John Jak-Mu-Tam — faceta, który grał w tych okropnych filmach, w których nosił długie włosy i był zmuszony pić własny mocz, a cały świat (poza nim) ulegał zniszczeniu.

— O mój Boże! — zawołała Kate.

— Znaczy, że...

— Tak — pokiwał złowieszczo głową Josh.

— Niemożliwe — zaprotestowałam. — Chociaż... mówił chyba z amerykańskim akcentem. Na pewno byś go rozpoznał — stwierdziłam. — Ktoś by go rozpoznał.

— O mój Boże — powtórzyła Kate.

— Niekoniecznie — odparł Josh. — To znaczy, zazwyczaj nikt nie spodziewa się spotkać w południowej dzielnicy Londynu międzynarodowej gwiazdy filmowej. Musiał się tam wybrać incognito. Pewnie chciał sprawdzić, czy polubisz go dla niego samego.

— O mój Boże — usłyszeliśmy znowu.

— Słyszałem, że oni ciągle to robią... nie widziałyście *Notting Hiin*

— Mówił tak wiele na temat Los Angeles!

— Widzisz: masz dowód.

— O mój Boże, byłam na randce z Kevinem Costnerem! — zawołała Kate i wybiegła do łazienki.

— Co ty kombinujesz? — spytałam Josha.

— Wolałabyś zostać porzucona przez jakiegoś żonatego dupka o łasicowatej twarzy czy przez jakiegoś światowej klasy gwiazdora o łasicowatej twarzy?

— Dobry z ciebie człowiek.

— Zbyt dobry — odparł trzeźwo, wyszedł za Kate na korytarz i krzyknął: — Pewnie wezwali go z samego rana po odbiór Oscara czy coś podobnego! Nie obwiniaj się! Prawdopodobnie nakręci o tobie jakiś film!

„I pewnie znów gówno mu z tego wyjdzie” — pomyślałam, ale zatrzymałam tę myśl tylko dla siebie. Następnego ranka obudziłam się dość wcześnie. Włożyłam spodnie i biały, prawie czysty T-shirt. Miałam tylko jedną parę spodni i naprawdę trudno było mi uwierzyć, że ten, kto wymyślił ich damską wersję, oddał nam jakąkolwiek przysługę; niemniej jednak były czarne, całkiem eleganckie i bardzo przypominały te, które podczas rozmowy kwalifikacyjnej miała na sobie Chalitha. A niech tam. Kiedy wyjechałam rowerem na ulicę, przeżyłam mały szok, bo nateżenie ruchu o 8.30 różniło się nieco od tego po 21.00. Nim zahamowałam z piskiem przed kwiaciarnią „Dla kogoś szczególnego”, trafiły mi się ze trzy, może cztery okazje, by stracić życie, i zbluzgałam jak szewc wszystkich kierowców białych samochodów dostawczych. Pani Bigelow właśnie otwierała drzwi i spojrzała na mnie trochę zdziwiona.

— Ach, panna Livingstone.

Zeszłam z roweru tak niezgrabnie, że chyba musiała zobaczyć moją bieliznę.

— Po prostu Holly. Witam ponownie. Ehem... czy mogłabym postawić gdzieś rower?

Spojrzała na mnie, jakbym urwała się z choinki.

— Nie.

— OK, wobec tego... — Rozejrzałam się dookoła.

Z braku czegoś lepszego przypięłam rower do najbliższej latarni. Idealne miejsce dla potykających się wiecznie przechodniów i wandalów. Pani Bigelow przyglądała mi się przez chwilę, zde gustowana moimi poczynaniami, i potrzęsała swoim wielowarstwowym podbródkiem.

W końcu otworzyła drzwi i wpuściła mnie do sklepu, który miałam okazję oglądać przez chwilę już w ubiegłym tygodniu.

Kwiaciarnia była niewielka, na podłodze leżała czarna gumowa wykładzina, a w powietrzu unosiła się znajoma, ciężka woń kwiatów. Nieopodal drzwi, w kałuży wody, stały wiadra z dużymi i małymi bukietami, które tylko czekały, by wystawić je na zewnątrz i pozwolić dzieciom coś z nich skubnąć. W widocznym miejscu zawieszono na ścianie dyplomy Szkoły Ogrodnictwa w Chelmsford, wystawione na nazwisko Marilyn Gloria Bigelow.

Pani Bigelow zaczęła krzątać się gorliwie po sklepiku.

— Tu mamy telefon — pokazała mi palcem. — Wyłącznie do rozmów przychodzących, chyba że musisz skontaktować się z jakimś dostawcą, ze mną lub panem Haffilltonem.

— A kiedy powinnam kontaktować się z panem Haffilltonem?

— Nigdy! — odparła, świdrując mnie oczami. — Jestem jedyną osobą, która rozmawia z panem Haffilltonem.

Pokiwałam głową, jakby to rzeczywiście miało sens. Nagle zadzwonił telefon.

— Holly, słuchaj teraz uważnie... oto, jak odbieramy telefony: „Dzień dobry, tu kwiaciarnia »Dla kogoś szczególnego, w czym mogę pomóc?“.

Ale już w następnej sekundzie jej gotowość do niesienia pomocy znikła gdzieś bezpowrotnie.

— Lepiej się pospiesz, ty wstrętny obiboku, albo powiem o wszystkim panu Haffilltonowi, zrozumiano? — warknęła do słuchawki.

Przerwała połączenie i ponownie obdarzyła mnie czarującym uśmiechem.

— To Chalitha. Spóźni się... odrobinę. A teraz pokażę ci nasze zaplecze. Tędy proszę.

Za kotarą stało jedno krzesło i wisiała jedna półka (na której stał czajnik) oraz umywalka. Nie było żadnego okna, jedynie fluorescencyjna żarówka.



— Każdy przynosi sobie swoją własną herbatkę, kawę, mleko, filiżankę i cukier. To znacznie ułatwia życie, nie sądzisz?

Pokiwałam głową na znak, iż przyznaję jej całkowitą rację.

— Dziesięciominutowe przerwy rano i po południu oraz czterdzieści pięć minut w porze lunchu — prawda, że to bardzo wspaniałomyślne? Pan Haffillton zawsze był... wspaniałomyślny.

Zastanawiałam się, dlaczego używa czasu przeszłego. Może rzeczywiście był martwy, a na szczególnie ważne okazje po prostu „stawiali go na nogi”.

— Dostawcy z giełdy przyjeżdżają o dziesiątej. Sprawdzaj towar, bo wiecznie usiłują wcisnąć nam zgnite fiołki afrykańskie. Dprowadza mnie to do furii, rozumiesz? Zamówienia na dany dzień wiszą TUTAJ — wbiła w ścianę wściekle różowy gwóźdź — masz się zaraz do nich zabrać. Następnie zadzwonisz po doręczycieli...

Pytanie, kim są ci doręczyciele, było chyba nie na miejscu.

— ...są stanowczo zbyt leniwi, a jeszcze dostają za to napiwki. Ale co robić, niestety nie możemy się bez nich obyć. Pilnuj, żeby z niczym nie uciekli, i miej ich na oku, kiedy są w kwiaciarni. A teraz powiedz, czy masz dyplom z układania kompozycji ślubnych?

Przyznałam, że nie. Westchnęła ciężko.

— Ooch, cóż... Może damy sobie z tym spokój, dopóki nie będzie takiego zlecenia, w porządku? No dobrze, muszę już iść. Zaraz pojawi się Chalitha, jak sądzę. Rozumiesz chyba, że nie mogę otworzyć kasy, dopóki ona nie przyjdzie — co prawda nie wyglądasz mi na złodziejkę, kochanie, ale wiesz przecież, że oni są wszędzie.

Przeraziłam się nagle, że zostawi mnie samą.

— Dokąd pani idzie?

— Nie sądzisz chyba, że to jedyny interes, który pan Haffillton ma w zanadrzu? Pełnię funkcję Głównego Dyrektora Sprzedaży i mam na głowie strasznie dużo obowiązków.

Tylko pamiętaj, bądź uprzejma przez telefon. I jeszcze jedno... kontrolujemy rozmowy wychodzące, rozumiesz, więc nie próbuj nigdzie dzwonić — nie, żebyś od razu miała to robić — jestem święcie przekonana, że nie — ale nigdy nic nie wiadomo — w obecnych czasach ludzie mają rodziny na całym świecie. Jestem przekonana, że ta dziewczyna zaraz tu będzie. Zazwyczaj przywiązujemy dużą wagę do punktualności, ale zadzwoniła i oficjalnie poinformowała, że się spóźni. Miejmy nadzieję, że nie z powodu wypadku czy czegoś podobnego... — wyraźnie błędziła myślami w poszukiwaniu jakiegoś przykładu — nie, na pewno nie. No, chyba wszystko już jasne? Zamówienia przez telefon wieszaj na gwoździu, a potem oddawaj doręczycielom. Obawiam się, że nie możesz zrobić sobie przerwy, dopóki nie przyjdzie Chalitha, ale, jak widzę, nie przyniosłaś sobie herbaty, więc nie powinno być chyba żadnego problemu, prawda? Do zobaczenia!!!

Powiedziawszy to, znikła za poliestrową kotarą. Patrzyłam, jak pędzi w dół ulicy i po chwili odwraca się, by po raz ostatni rzucić okiem na sklepik. Przypomniało mi się, że był kiedyś w telewizji program, pokazujący ludzi, których zostawiano samych w nowym miejscu pracy. Obrzucano ich wtedy jakimś świństwem albo dzwonił do nich ktoś, kto podawał się za prezydenta Stanów Zjednoczonych, albo jeszcze coś innego. Westchnęłam. No i nagle uświadomiłam sobie, że uschnę z pragnienia, jeśli nie napiję się herbaty.

Łaziłam po sklepie z kąta w kąt: zbierałam porzrzucone skrawki wstążek, sprawdzałam zapasy towaru przed nową dostawą, były to głównie zakurzone rośliny doniczkowe, i modliłam się, żeby nikt przypadkiem nie zadzwonił.

Stało się jednak coś znacznie gorszego: rozległ się dźwięk wiszącego u drzwi dzwonka i zobaczyłam jakiegoś olbrzyma z długimi tłustymi włosami, schylającego głowę, żeby wejść do środka. Miał na sobie starą, ufajdaną kurtkę i dziurawe dżinsy z plamami po smarze. Wyglądał jak fan zespołu Status

Quo z lat osiemdziesiątych i najzwyczajniej w świecie przyprawił mnie o dreszcze. Rzucił na ladę kask motocyklisty — ze trzydzieści centymetrów ode mnie — i zagapił się na mnie, pocierając brodę otwartą dłonią.

— Coś ty za jedna?

— Nazywam się Holly Catherine Livingstone — wyrecytowałam, siląc się na beztroski ton. — A kim pan jest? Odburknął coś niewyraźnie. — To gdzie jest Charlie?

Nie miałam pojęcia, o kogo mu chodzi.

— Czy na pewno trafił pan do właściwej kwiaciarni?

— Co? Pewnie, że tak. A ty?

— Jasne.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Długowłosy olbrzym rozejrzał się uważnie, na wypadek, gdyby rzeczywiście pomylił kwiaciarnie.

— Więc, yy... nie ma Charlie, taa?

— Pewnie gdzieś poszedł... jestem tu nowa. Potrząsnął głową, sugerując, że nie bardzo mi wierzy.

Miał jeden z tych heavymetalowych T-shirtów z trzewiami na wierzchu (czyjaś gałka oczna przebita gwoździem), ale próbowałam się na niej nie koncentrować.

— Taa, w porządku... sorry.

Ucieszyłam się, że tak dobrze mi poszło z pierwszym klientem.

— Nie ma sprawy!

— Jakbyś ją spotkała, to powiedz jej, że Gareth jej szuka.

— Oczywiście. Gdybym ją spotkała, na pewno bym jej nie poznała, ale, jak już mówiłam, nie ma sprawy! — odparłam dziarsko. Wychodząc ze sklepu, przystanął na chwilę w drzwiach i jeszcze raz rzucił na jego wnętrze podejrzliwe spojrzenie — jakbym ukryła tę jakąś Charlie w jednej z doniczek. Znowu potrząsnął głową, a potem usłyszałam, że odpala motorower z silniczkiem pomrukującym jak suszarka do włosów. Klas-

nęłam w ręce na znak zwycięstwa i zaczęłam wystawiać na zewnątrz wazony z bukietami, usuwając z nazw kwiatów wszystkie zbędne apostrofy.

Kiedy pochylałam się nad chodnikiem, zauważyłam, że ktoś mi się przygląda. Wyprostowałam się powoli. Była to długowłosa, czarnooka dziewczyna z rozmowy kwalifikacyjnej. Otarłam ręce w spodnie i odchrząknęłam.

— Cześć... Chalitha...

— Chali — rzuciła, wchodząc do środka. — Większość ludzi tak się do mnie zwraca.

— Aha — mruknęłam. — Aha — powtórzyłam po chwili. Weszłam za nią na zaplecze, gdzie zrzuciła swój czarny

nieprzemakalny płaszcz i wpatrując się w lustreczko wielkości paczki papierosów, zaczęła poprawiać i tak już grubą kreskę wokół oczu.

— Hmm.. wydaje mi się, że ktoś cię szukał.

— Serio?

— Taki wielki gość. Nie zorientowałam się, że chodzi mu o ciebie, i powiedziałam, że gdzieś poszłaś. Przepraszam... — Naprawdę? Duży i uflagany, idiotyczne długie włosy, a do tego śmierział?

— Ee... cóż — „tak” pod każdym względem.

— Wspaniale! — Chalitha uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy tego dnia. — Co mi powiedziałaś? Dokąd poszłam? — W żadne konkretne miejsce.

— Dobrze. Ale konkrety są dużo skuteczniejsze... mógłby na przykład za mną pójść. Proszę cię, następnym razem powiedz mu, że wyjechałam do Bhutanu.

— Nie ma sprawy. Wyszczrzyła zęby.

— Czy ta stara wiedźma zagoniła cię już do roboty?

— Ona... yy... pani Bigelow bardzo mi pomogła.

— Serio? Może przeszczepili jej mózg. Herbatki?

— Poproszę.

Zaprowadziła mnie do małej kuchni. Chali mogła mieć, tak na oko, jakieś dziewiętnaście lat; tego dnia była ubrana w czarne skórzane spodnie i postrzępiony top. Swoje jedwabiste czarne włosy upięła w kok — jako dziecko zawsze o czymś takim marzyłam — a w jej uszach, nosie i górnej wardze tkwiły złote koła. Wyglądała oszałamiająco.

— Herbatę bierz zawsze od Biggie\* — poinstruowała mnie, sięgając po pudełko Earl Greya. —

Gdyby spytała, powiedz, że nie brałaś. Spróbuj tu wytrzymać tyle, ile ci się uda. — Jak długo tu pracujesz?

— Sto czterdzieści siedem lat — odparła i przewróciła oczami. — Z mlekiem i z cukrem?

— Tak. Zabrałyśmy nasze kubki z herbatą do sklepu i usiadłyśmy.

— Boże, to była zabójcza noc. Lubisz *dubbingi*

Nie ma niczego gorszego od tańczenia publicznie przed tłumem nadąsanych nastolatek, odzianych w skąpe ciuszki; do tego płaci się cztery funty za butelkę wody mineralnej.

— Taaa, od czasu do czasu...

— A gdzie się bawisz?

Desperacko szukałam w pamięci nazwy jakiegoś lokalu, ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to klub znajdujący się w pobliżu szkoły, do której chodziłam.

— Ee... w „Cinderella's Rockefellers” — Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. — To taki żart — dodałam czym prędzej.

\_Dobre. Pewnie można się tam nieźle zabawić.

— Jasne.

— Boże, wróciłam do domu o czwartej nad ranem... przymuliło mnie tak po ekstazie, gdy byliśmy w „Fabroche”.

**\* Biggie jest przydomkiem utworzonym od nazwiska, ale może również kojarzyć się z gabarytami pani Bigelow: *big* znaczy po ang. „duży”, można by więc przetłumaczyć *Biggie* jako: „Hipka” lub „Olbrzymka”.**

Uśmiechnęłam się.

— Dlatego też, na dłuższą metę, ta praca nie jest wcale taka zła: nie musisz się martwić tym, co robisz, wystarczy, że pojawisz się od czasu do czasu. Może się zdarzyć, że Biggie cię opieprzy, ale wcale nie musisz jej słuchać.

Westchnęła ostentacyjnie i poszła otworzyć drzwi dostawcom.

— Dobra! Po prostu rzućcie je gdzieś. Tak jak zawsze, chłopaki.

Dwóch mężczyzn wniosło do środka kilka pudeł kwiatów (różne rozmiary, różne kształty) i zwalili je niedbale na podłogę. Chali podpisała bez czytania fakturę i westchnęła teatralnie, spoglądając na stertę kartonów. Jak dotąd, nie przyszedł ani jeden klient i ani razu nie zadzwonił telefon.

Zabrałam się do rozpakowywania kwiatów. Fiołki afrykańskie rzeczywiście były zgniłe.

— Kto pracował tu przede mną? — spytałam, odwijając ostrożnie plastik.

— Nikt. — Chali westchnęła. — Tak naprawdę masz mieć na mnie oko, bo mogę zacząć pojawiać się coraz później i później, aż w końcu sklep całymi dniami będzie stał zamknięty.

— To dlaczego zwyczajnie cię nie zwolnią? — palnęłam, nim zapaliła mi się w mózgu kontrolka cenzury. Zaklęłam w duchu.

— Nie mogą. Pan Haffillton to mój wujek i uważa, że mój tyłek świeci jaśniej niż słońce. A tak w ogóle to on traktuje prowadzenie tej kwiaciarni jak hobby... śpi na pieniądzach, no i uwielbia kwiaty. Nawet nie wiesz, jak bardzo doprowadza to do szału naszą Biggie.

Zaczynałam współczuć tej Biggie.

— Więc jak? Masz ochotę sprawdzić się jako niańka? — zapytała Chali, przypalając papierosa.

Zastanowiłam się. Na dobrą sprawę była to jedyna umiejętność, jaką zdobyłam w mojej ostatniej pracy.

— Pewnie.

— To wspaniale. Słuchaj, nie znasz czasem jakichś piosenkarzy?

Przyszedł mi do głowy Josh śpiewający w łazience, ale natychmiast odgoniłam tę wizję.

— Raczej nie.

— Szkoda. — Chali straciła popiół do wazonu. — Bo właśnie tym się tak naprawdę zajmuję. Próbuje skompletować zespół.

— Jaki?

— Coś jak bhangra gangsta\*. Wiesz, o co mi chodzi? Domyśliłam się nagle, skąd jej przypuszczenie, że mogę

znać ludzi z tego typu zespołów, i pokiwałam głową, jakbym rzeczywiście rozumiała, co ma na myśli. Ale w tym momencie odezwał się telefon.

— Taa... Stodger. Noo... nie, wpadłam tylko po swoje klamoty, chyba rozumiesz. Wyjeżdżam do Bhutanu... No... Tak, to przecież w Peru, nie...? Na rok, może dwa... Nie, nie sądzę, żebyś mógł przejechać całą drogę na motorze. Tam jest jakiś ocean czy coś w tym rodzaju... Nie, to ja do ciebie napiszę. Obiecuję... No. OK. Pa.

— Gdzie go poznałaś? — spytałam, kiedy odłożyła słuchawkę.

— Ach, organizował zespół — odparła, wzruszając ramionami. — No to poszłam z nim do łóżka i takie tam, a on zaczął nagle codziennie do mnie przyjeżdżać, jakby był jakimś pieprzonym Hugh Grantem.

Wcale mnie to nie dziwiło. Jego wdzięczność była niewątpliwie przytłaczająca.

Dzień upłynął pod znakiem nieskomplikowanych zajęć: sprzedałyśmy kilka bukietów, przełożyłyśmy parę karteczek z zamówieniami, wypiliśmy kilka filiżanek herbaty i zrobiliśmy sobie półtoragodzinną przerwę na lunch. Stwierdziłam,

\* **Hinduska muzyka w stylu gangsta.**

że chyba polubię to miejsce. Pani Bigelow wróciła około 16.30.

— Witaj, Biggie! — zawołałam. Spojrzała na mnie, jakbym ją ugryzła.

— Pani Bigelow. Myślałam, że wiesz, jak się nazywam?

— Eee.. no tak, przepraszam, pani Bigelow.

— Jak dzień, bardzo pracowity? Do ciebie mówię! — skierowała paluch na Chali. — Proszę rozliczyć kasę, szanowna pani, naturalnie o ile nie sprawi to pani zbyt wiele kłopotu.

— Znów zapomniałaś, jak się liczy, Biggie? Powinnaś częściej wychodzić.

Biggie syknęła i — udając, że rozmawia ze mną — łypała na Chali niczym jastrząb. Nie zdziwiło mnie to, bo dziewczyna zdążyła mi się już pochwalić, że wspomaga swoje skąpe dochody drobnymi z kasy. Stałam więc jak gdyby nigdy nic i patrzyłam obojętnie gdzieś przed siebie, aż wreszcie Biggie fuknęła, że mogę już iść. Dodała tylko jeszcze, że jeśli będę się bardzo, ale to bardzo dobrze sprawować, to pewnego dnia być może dostanę własne klucze.

Jakże cudownie wracać do domu, gdy na dworze nadal jest widno! Wpadłam do przedpokoju z radosnym okrzykiem: „Cześć, misiaczki! Wróciłam do domu!” — po czym udałam się prosto do kuchni, żeby poszatkować Joshowi cebulkę.

Kiedy zobaczyłam, że Kate nadal tam siedzi, omal nie puściłam pawia.

— Co tu robisz??? Dobrze się czujesz? Wzięłaś sobie wolne?

— Nie — odparła cieniutkim głosem. — Wcześniej wyszłam.

— Co się stało? Czyżby lekarze wyrwali cię stamtąd siłą?

— Nie... po prostu stwierdziłam, że mam ochotę położyć się wcześniej spać.



— Holly, czy to ty? — W drzwiach pojawił się Josh. — Mogłabyś przejąć wartę przy naszej samobójczyni?

— OK — skinęłam głową.

— Aha, i skoro już kroisz cebulę, to czy mogłabyś tym razem pokroić ją nieco drobniej?

— OK, PANIE AKURATNY. Popatrzyłam na Kate.

— Yyy... przecież wiesz, że czasami dobrym ludziom przytrafiają się złe rzeczy — zaczęłam ostrożnie.

— Odwal się!

— No dobra. Czytaj z moich ust: on-do-ciebie-nie-za-dzwoni. OK? Spędziłaś upojny wieczór, ale facet okazał się złamanym kutasem i więcej o nim nie usłyszysz. Ale spójrz na to z drugiej strony: przynajmniej nie ściągnęłaś majtek, bo ja na pewno bym to zrobiła. A zatem, dziewczyno, zacznij na nowo szanować samą siebie! *Comprendezl Capiscel*

Oczy Kate były przepelnione bólem.

— Holly? — zaszemrała.

— Tak? — Cóż, miłość to twarda gra, pomyślałam.

— Czy mogłabyś przypilnować telefonu, kiedy będę w ubikacji?

— Grrr... Jeśli zadzwoni, kiedy będziesz w ubikacji, to mu powiem, że go nienawidzisz, i rzucę słuchawkę. Nie będziesz musiała robić tego za dwa lata, oczywiście zakładając, że w ogóle się z nim zwiążesz. — Nie znasz go!

— Ty też! Myślisz, że to Kevin Costner!

Wzruszyła ramionami. Odwdzięczyłam się tym samym. Złapałam worek z cebulą, a Kate wzięła komórkę i pager, schowała je do kieszeni i wyszła z kuchni tyłem, ciągnąc za sobą przewód od telefonu. — Zrób coś z nią! — krzyknęłam do Josha.

— Przykro mi, kochanie, przecież wiesz, jak ona mnie słucha. A może zjemy wspólnie miłą kolacyjkę i zapomnimy o całej sprawie?

— Może...

Kate wróciła do kuchni.

— No dobra, dość tego — oświadczyła twardo, zbierając porozstawiany dookoła sprzęt.

— O nie! — szepnęłam Joshowi na ucho. — Doszła już do granic wytrzymałości! Teraz zacznie obwiniać się za przesiadywanie w domu w oczekiwaniu na telefon od jakiegoś faceta, następnie postanowi się upić, o czwartej rano obdzwoni wszystkich swoich byłych chłopaków i zwymyśla ich, że tak fatalnie się z nią obchodzili, a potem uśnie w kałuży własnych wymiocin i obudzi się targana wyrzutami sumienia, z uczuciem wstrętu do samej siebie.

— Poddaję się — usłyszeliśmy. — To absurdalne. W końcu jestem dorosła.

— Kieliszeczek wina? — zaśmiał się Josh.

— I stary notes z telefonami — odpowiedziałam za Kate ponurym tonem.

### ***Rozdział czwarty***

Podczas obiadu Josh objaśniał nam swoją strategię zaproszeniową.

— OK, pracuje u nas w biurze pewna dziewczyna o imieniu Sophie. Jest cudowna...

— Elegancka blondynka, zadzierająca nosa? — zainteresowała się Kate. Funkcjonowała już prawie normalnie, a po tak długim czuwaniu ogarnął ją wilczy apetyt. Jak można przesiedzieć w kuchni dwie doby i zapomnieć, że w szafce leży sto sześćdziesiąt sześć pingwinów w czekoladzie? Mnie na pewno by się to nie zdarzyło, ale miłość potrafi płatać figle. Kate należała do osób, które zawsze narzekają: „Gdy popadam w depresję, moja waga po prostu spada. Nie mogę wtedy nic przełknąć... to straszne”.

— Hmm... cóż, jest blondynką i chodziła do Cheltenham Ladies\*. Czemu pytasz?

— Tak sobie.

— Wcale nie „zadziiera nosa”, jak to wdzięcznie ujęłaś. No i znalazła się wśród sześciu najlepszych młodych prawników robiących adwokacką aplikację.

\* **Elitarna wyższa uczelnia.**

— I sama ci o tym powiedziała, tak? Nie wyciągnąłeś tego od nikogo?  
— Nie, sama mi powiedziała.  
— Więc mamy dowód — powiedziała Kate, wycierając z ust resztki potrawy z kurczaka. — Zdecydowanie zadziera nosa. — Przez telefon wydaje się miła — wtrąciłam.  
— Och, ona jest wprost cudowna! Zazwyczaj spędza weekendy na wsi, ale opracowałem niezawodny plan, który ją skłoni do przyścia na naszą imprezę.  
— No nie — westchnęła Kate. Oczywiście wiedziała dużo więcej o stosowanych przez Josha miłosnych fortelach, ale ja również pamiętałam kilka z nich.  
— Chyba nie powiesz jej, że masz białaczkę, co?  
— Skądże!  
— Przyjechali do ciebie studenci z wymiany?  
— Nie!  
— Prawdopodobnie jesteście jej przyrodnimi siostrami?  
— Na miłość boską!  
— No to gadaj wreszcie. Tylko szczerze.  
— OK... — Josh zwiesił głowę. — Hmm, no więc, zamierzałem jej powiedzieć, że chcecie robić aplikację adwokacką, i poprosić, by wpadła udzielić wam paru wskazówek.  
— Że co???! — wrzasnęliśmy jednocześnie.  
— Co to jest „aplikacja”? — spytałam.  
— I w ten właśnie sposób próbujesz zaciągnąć Sophie do łóżka? — zdumiała się Kate.  
— Jesteś okropna.  
— Wiesz, Josh, w łóżku wcale nie musi być źle... — Dolałam mu wina. — Po prostu minęło tyle czasu, że już nie pamiętasz.  
— W głowie mi się nie mieści, że według ciebie to dobry sposób, by zaprosić dziewczynę na przyjęcie  
— mruknęła Kate. — Dlaczego nie zapytasz jej wprost, czy chciałaby przyjść?

— Hmm, cóż... mogłaby wtedy pomyśleć, że próbuję zaciągnąć ją do łóżka.

— Przecież właśnie tego chcesz! Czyż nie? Proszę, powiedz „tak”.

— Tak, oczywiście, że tak. Boże, czasami myślę, że wszyscy chcieliby, aby okazało się, że posuwam George'a Michaela, ale nie doczekacie się — westchnął Josh. — Mam nadzieję. Boże, nie mam pojęcia, dlaczego to wszystko jest tak cholernie skomplikowane. Chcę tylko, no wiecie, poznać kogoś miłego, kogoś, z kim można potrzymać się za rękę, porozmawiać o różnych rzeczach.

Popatrzyłyśmy na siebie.

— Czy ty nie masz z przodu żadnej wypustki? Jesteś gładziutki jak Action Man? — zapytałam złośliwie.

Zrobił urażoną minę i poszedł wyciągnąć z piekarnika ciasto z rabarbarem.

— Po prostu zaproś ją na tę imprezę — zasugerowała Kate. — Spójrz na siebie. Uroczy, elegancki blondyn. Moglibyście być własnymi klonami...

— Tylko że ty nie zadzierasz nosa... — wtrąciłam szybko i dałam susa pod stół. Po chwili jednak dodałam — ...choć jestem przekonana, że ona również.

— Dlaczego miałyby mi odmówić? — zapytał Josh. Trzymał w dłoniach blachę z ciastem i spoglądał na nas smutnym wzrokiem.

— No dobra — ugięła się Kate — będziemy udawać, że chcemy zrobić aplikację.

Rozpromienił się i z rozmachem rzucił ciasto na stół.

— Naprawdę nie pożałujecie. Pokochacie ją. Wiecie, że ona ma własną stajnię kucyków?

— Już ją kochamy! — ożywiła się Kate.

— Ach, jeszcze coś! — zawołał, jakby właśnie o czymś sobie przypomniał, i podszedł bliżej. — Jest potencjalną kandydatką z ramienia konserwatystów.

Zaniosłam trochę potrawki Addisonowi do pokoju, ale nie informowałam go, że była dziełem Josha — tak na wszelki wypadek, bo może akurat kręcą go dziewczyny, które umieją robić takie rzeczy. Machnął mi tylko ręką, nie odwracając się do mnie. Wiedziałam już, że to znaczy: „jestem właśnie w trakcie tworzenia wyjątkowo skomplikowanego szyfru i żadna siła mnie od tego nie oderwie”. Lubiłam myśleć, że jest jak natchniony Mozart. Ale zwieńczeniem Mozartowskiej pasji tworzenia były kaskady efektownych, miłych dla ucha nutek — jeśli zaś chodzi o Addisona, nie miałam pojęcia, czym ma się skończyć jego szaleńcza stukanina w klawiaturę.

Usiadłam na podłodze i zaczęłam bawić się figurką Jean-Luc Picarda, pozwalając Addisonowi dokończyć. Skubnęłam nawet trochę jego kurczaka. No i wreszcie się doczekałam.

— No i jak? — spytałam, podając mu nóż i widelec. Addison gapił się przez chwilę w talerz, po czym rzucił się na jedzenie, jakby od tygodnia nie miał niczego w ustach. Nikogo by to zresztą nie zaskoczyło.

— Ahdzo dobre — wybełkotał z pełnymi ustami. — To naprawdę strasznie nudne.

— Nie dla mnie — odparłam. Miałam nadzieję, że pracuje nad jakimś niewiarygodnie nowoczesnym wynalazkiem, który pomoże niepełnosprawnym dzieciom i zrewolucjonizuje cały świat.

— Cóż... — sapnął. — Programuję w C plus plus, a następnie edytuję pliki w AVID.

— Aha.

— Mogłabyś przestać się tym bawić? — Pokazał na laleczkę. — To była limitowana seria.

— Jasne. — Odłożyłam ostrożnie figurkę. Potrafię wiele wybaczyć osobom, których rzęsy ocierają się o kości policzkowe. — Zdecydowałeś już, kogo zaprosisz na imprezkę dla singli?

— Więc to nie był żart? — Westchnął i odłożył na bok widelec z gotowaną marchewką. — Nienawidzę imprez.

— Dlaczego?

— No... — był wyraźnie zdenerwowany — nie wiem, czy zauważyłaś, ale... właściwie to ja jestem dość nieśmiały. Aż się zakrztusiłam, próbowałam jednak udawać, że mam kaszel.

— Naprawdę? Coś ty, nie zauważyłam.

— No tak... nie przepadam za spotkaniami z innymi ludźmi.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

— Ja też jestem dość nieśmiała — wyznałam. — Wiesz co, właściwie to moglibyśmy urwać się z tego przyjęcia i pójść gdzie indziej...

— Wychodzić też nie bardzo lubię — odparł przeproszającym tonem. — Myślisz, że jestem dziwakiem? — Nie — zaprzeczyłam. — Zresztą tam, na zewnątrz... cały ten wielki świat... Phi! On wcale nie jest taki wspaniały. Niewiele tracisz. Uśmiechnął się z ulgą.

— Bardzo się cieszę, że się tu wprowadziłaś.

W moim sercu zapaliło się światełko, niczym iskierka w gazowej zapalniczce. Posłałam mu opatentowane przeze mnie spojrzenie pod tytułem „ufna sarenka”.

— Ja też się cieszę.

Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Ehm... właściwie jest ktoś, kogo chciałbym zaprosić...

— Tak? — powiedziałam zachęcającym tonem.

— Podejdź bliżej — poprosił.

Wstałam. Musiałam bardzo się starać, żeby nie potknąć się z tej radości o wszędobylskie przewody. Addison kliknął myszką na jednej z ikonek i na ekranie pojawiła się jakaś wielka, nieforemna twarz, przypominająca kartofel. Zakrywała aż połowę ekranu. I miała wąsy. Po drugiej stronie ujrzałam coś w rodzaju dwukolorowego, wciąż trwającego dialogu.

— To jest Claudia — wyjaśnił Addison.

Musiałam pochylić się nad monitorem, by upewnić się, że to rzeczywiście kobieta, a nie jakiś pryszczaty murarz, jak pomyślałam na początku.

— Kim jest Claudia?

— Ehm... coś jakby... no, moją dziewczyną — wymamrotał i się zaczerwienił.

Opadłam ciężko na krzesło, ale natychmiast skoczyłam na równe nogi, gdyż zorientowałam się, że usiadłam w resztkach kurczaka.

— Och! — Za wszelką cenę starałam się, by mój głos nie brzmiał histerycznie. — Nie wiedziałam, że masz dziewczynę! Gdzie ją chowasz? Pod łóżkiem? Ha, ha!

— Cóż, nigdy się nie spotkaliśmy.

— Aaa, to ta słynna dziewczyna z marzeń?

— Nie, ona jest zupełnie prawdziwa — odparł. — Poznaliśmy się przez Internet.

Cóż, nietrudno było się tego domyślić.

— Skąd wiesz, że to jej zdjęcie? — Zmrużyłam oczy i przez chwilę przyglądałam się twarzy trollowatego stworzenia. — Może być... no wiesz, strasznie brzydka czy coś.

— Wiem. — Uśmiechnął się. — Ale nawet jeśli to nie ona... i tak nie miałbym nic przeciwko temu.

— Byle rzeczywiście okazała się dziewczyną — uzupełniłam — i nie miała dwunastu lat.

— Coś ty, spójrz... — Pokazał znów na ekran. — Trzyma prawo jazdy.

Wyglądała jak policyjne zdjęcie Rosemary West \*.

— Wydaje się miła.

— Bo jest. Wie więcej na temat *Star Treka* niż wszyscy, których do tej pory spotkałem.

Zaczęłam na nowo tarnosić kapitana Picarda.

**\* Wspólnie z mężem dokonała dwunastu morderstw na kobietach. Obecnie przebywa w więzieniu.**



— Jakie to romantyczne. A więc... zaprosisz ją na imprezę?

— Cóż, ona mieszka w Baltimore... Hurrrrraaaa!!!

— ...i również nie przepada za wychodzeniem z domu... No, ale oczywiście spytam ją.

— Czym się zajmuje?

— C plus plus, jak ja — odparł dumnie. — Obsługuje rządowe programy obronne.

No nie! Ta tłusta, cierpiąca na agorafobię i mieszkająca cztery tysiące mil stąd konstruktorka bomb najwyraźniej radziła sobie z Addisonem sto razy lepiej niż ja.

— Skoro żadne z was nie wychodzi z domu, a na dodatek mieszkacie na różnych kontynentach — drażylałam — czy sądzisz, że wasz związek ma jakąś przyszłość?

— Cóż, rozumiesz chyba, że w obecnych czasach nauka może wiele zdziałać — mruknął, wzruszając ramionami.

Próbowałam za wszelką cenę odgadnąć, co miał na myśli. Najpierw przyszło mi do głowy, że pomyślał o spermie, za chwilę jednak, że nie mógłby, po czym zrozumiałam, że właśnie o to mu chodziło, i omal nie zwymiotowałam.

— Założę się, że marzysz o tym, by jak najszybciej wynaleziono teleport, hę?

— Właściwie nie warto zajmować się rozwojem technologii, która umożliwiałaby znikanie i ponowną replikację jednostki — oświadczył poważnym tonem. — Udoskonalenie obecnych środków transportu jest dużo łatwiejsze.

Trach! Zorientowałam się nagle, że właśnie urwałam rękę kapitanowi Picardowi. Schowałam go za plecami.

— Czyli to całkiem poważne?

Zamrugał. W tym momencie coś mnie rozproszyło i zanim zdążyłam w ogóle pomyśleć, wrzasnęłam na całe gardło:

— O mój Boże, ta gęba ożyła!

Oczy Addisona powędrowały za moim trzęsącym się paluchem, ale szybko opanował emocje.

— Spokojnie... to taka mała komputerowa sztuczka. Kiedy Claudia coś do mnie pisze, jej zdjęcie porusza się, jakby mówiło.

Istotnie, Claudia poruszała ustami jak kukła brzuchomówcy, a na ekranie pojawiały się słowa. Boże, to przypominało horror. *Naręczona Chucky'ego*\*...

— Co ona mówi?

— Och — zmieszał się Addison. — Po prostu „Cześć, jak się masz”. Takie tam.

Przysunęłam się jeszcze bliżej do monitora.

— „Oddaję honory, Kapitanie”. To ty?

— Być może.

— Mogę się przywitać?

— Hmm... lepiej nie.

— Jeśli tak zrobię, wyjdzie to z twoich ust, u niej w komputerze?

— Właśnie.

— Wiesz co, Addison, ty chyba rzeczywiście jesteś trochę dziwny.

Zdażyłam już nieco ochłonać. Co prawda wciąż byłam na niego zła, ale — halo, halo! — ona była tam, a ja tu! Stałam i rozmawiałam z nim. I właśnie miał jej o mnie powiedzieć. Może nawet będzie zazdrosna. Niezbyt chlubna taktyka, ale nie miałam wyjścia.

Addison zabrał się do pisania, a ja zaglądałam mu przez ramię.

— „Witam” — wystukał i nacisnął „enter” najwyraźniej nie wiedząc, co ma dalej pisać.

„Dzisiaj w nocy. Twoja Cyber Liwka” — wyskoczyło na ekranie.

— Addison! — wrzasnęłam oburzona.

— No co? — zawstydził się. — Przecież to jak imię zwierzaka.

\* **Jedna z części cyklu horrorów pt. *Zabawka*.**

— Co? Zwierzęca dziwka? — spytałam i pożałowałam, że nie ugryzłam się w język. — Nie to miałam na myśli.

„Oczywiście — odpisał jej, ignorując mnie. — Jest u mnie koleżanka”.

???????????????? — wyskoczyło na monitorze. „Holly, moja współlokatorka”. Ha, to cię załatwi, pomyślałam złośliwie. CZY TO JEST IMIĘ KOBIETY?

— A czy to są kobiece wąsy? — wymamrotałam pod nosem.

„Tak”.

CZY LUBI „STARTREKA”?

Addison zerknął na mnie, więc pokiwałam energicznie głową, ściskając za plecami okaleczonego kapitana Picarda. ULUBIONA POSTAĆ? Oho, nie miałam zielonego pojęcia.

— Scotty? — Spojrzałam błagalnie na Addisona, a on wpisał posłusznie.

ULUBIONA POSTAĆ Z „NASTĘPNEGO POKOLENIA”?

— Yyy... też Scotty. Bez dwóch zdań.

— Co? Masz chyba na myśli *Duchy przeszłości* — zaprotestował. Cofają się w czasie i spotykają swoje lustrzane odbicia, jeszcze z pierwotnego składu załogi.

— Skoro tak mówisz...

Zanim Claudia ponownie się odezwała, nastąpiła dłuższa przerwa. Wreszcie dziwadło na monitorze znowu ożyło.

CZY TO TWOJA DZIEWCZYNA? To pytanie zaskoczyło nawet mnie. Addison wpadł w panikę.

— O nie! Co mam zrobić?

— Napisać „nie”? — zasugerowałam. — Zaznacz też, że wynajmujemy razem mieszkanie. Och nie, w Stanach chyba tak się nie mówi. Oni mają „współlokatorów”. Gotowa

pomyśleć, że „wynajmujemy razem mieszkanie” jest równoznaczne z „jesteśmy kochankami”!  
„Coś ty, oczywiście, że nie! Nie bądź głupia!” — napisał, ale był wyraźnie wytrącony z równowagi.  
Stokrotne dzięki.

„Czy jest możliwe, żebym wolał kogoś innego niż ty? Nie liczy się nawet to, że lubi Scotty'ego”.  
Westchnęłam i wepchnęłam kapitana Picarda pod plakat z Darthem Vaderem.

— W takim razie do zobaczenia na przyjęciu! — zawołałam beztróskim tonem.

„OK, do zobaczenia na przyjęciu”. Oczywiście chciał to tylko powiedzieć, ale odpowiedź została błyskawicznie wystukana na klawiaturze. Wcisnął „enter”, zanim zdążył w ogóle pomyśleć.

Rozdziawił usta i gapił się na mnie, przerażony tym, co właśnie zrobił.

— Addison, jesteś prawdziwym cyborgiem. Zastąpili ci pepek potrójnym gniazdkiem? A gdzie wytatuowali twój kod kreskowy?

— To wcale nie jest śmieszne. O wiele bardziej przywykłem do pisania niż... Claudia pomyśli, że robię ją w balona.

— Albo przyjdzie na przyjęcie — powiedziałam, próbując dodać mu otuchy. Komputerowe usta nie poruszały się już jak rybi pyszczek. Addison przyglądał im się w skupieniu. Chyba rzeczywiście miał nadzieję, że przyjdzie.

— Cóż, jeśli się nie zjawi, zatańczę z tobą — obiecałam. — Może puszcza Kraftwerk?

— Uwielbiam ich — mruknął, w napięciu obserwując ekran.

— Wiedziałam — odparłam. — A teraz zacznij pisać list z przeprosinami. W języku klingońskim\*.

\* **Klingończycy to wojownicza rasa pojawiająca się w serialu *Startrek*.**

Uśmiechnął się tylko, a ja ruszyłam w stronę drzwi.

— Holly, nie widziałaś gdzieś mojego kapitana Picarda?! — krzyknął jeszcze, ale udałam, że go nie słyszę.

Zanim Chali zaczęła w ogóle rozważać możliwość przyjęcia mojego zaproszenia, koniecznie chciała wiedzieć, jakiej muzyki będziemy słuchać oraz jakie narkotyki będą dostępne.

— Snoopy Dogg Dogg? Vodka jelly?

Uśmiechała się ironicznie, podejmując kolejne nieudolne próby ułożenia eleganckiego bukietu — okazuje się, że te dwie czynności są dość trudne, jeśli wykonuje się je jednocześnie. Pani Bigelow „wpadła tylko”, żeby zobaczyć, jak dajemy sobie radę, w związku z czym Chali oskarżyła ją o szpiegowanie. Skończyło się na drobnej wymianie zdań, po której następne zamówienia były realizowane w jeszcze wolniejszym tempie. Miałam się przyglądać i uczyć, ale jedyne, co wyniosłam z tej lekcji, to jak układać bukiety pod wodą. Minał tydzień, odkąd dowiedziałam się o Claudii. Staralam się z tym oswoić, szło mi jednak opornie.

— Czy na tej imprezie będą stare zgredy?

Nie pomyślałam, żeby zaprosić moją matkę — jeszcze by przyszła i zaczęła tańczyć z najfajniejszymi facetami. Miałam teorię, że rodzice przestają pojawiać się na imprezach, kiedy wkraczasz w okres całowania — co najwyżej wystają na schodach, odmawiając modlitwy; wszystko zaczyna się od nowa po twoich zaręczynach i tak już zostaje. Powiedziałam to Chali.

— Nie, nie — odparła. — Miałam na myśli ludzi, no wiesz, mniej więcej w twoim wieku.

— Dwudziestolatki NIE SĄ STARE — burknęłam i przyłożyłam jej kolczastą gałązką.

— Dwudziestolatki? Ha, ha, ha! Przecież ty dobijasz trzydziestki. A wtedy życie się kończy.

— Moje się nie skończy. W każdym razie nie mam za-

miaru tu pracować, gdy skończę trzydzieści lat. Prawdopodobnie nie będzie mnie nawet wtedy w kraju.

— Serio? Jak to? Co chcesz robić?

— Och, jest tyle możliwości. Dużo rzeczy.

— Pewnie. Na przykład sięganie do wyższych półek... — prychnęła.

— Zamknij się. Właściwie nie możesz przyjść na nasze przyjęcie. To impreza dla dojrzałych i eleganckich osób. — W fartuchach?

Chali miała na sobie opięte bojówki i szyfonową bluzkę. Czarne, splecione w warkocz włosy sięgały jej aż do samej talii. To ja byłam ubrana w fartuch.

— W porządku—wycodziłam. — Skoro chcesz przegapić tych wszystkich facetów z porszakami, twoja sprawa.—Wciąż miałam w pamięci incydent z Garethem. — A może wolisz umawiać się z facetami, którzy prowadzą psy na sznurku?

Przez chwilę milczała, a potem wypaliła:

— Nie wyglądasz na kogoś, kto ma sporo dzianych znajomych.

— Ty za to nie wyglądasz na kogoś, kto co noc podryguje przez dziesięć godzin w jednym miejscu i jeszcze nazywa to przyjemnością.

— Hmm... Kto będzie didżejem?

Sprawa ta nadal wzbudzała wiele kontrowersji. Naturalnie to Josh chciał się tym zająć, ale gdybyśmy mu pozwoliły, puszczałby przez całą noc nagrania Whamu.

— Nazywają go Fatboy Josh — mruknęłam wymijająco. — Jest świetny. Ma prawdziwe wibrafony i tak dalej. Chali zerknęła na mnie podejrzliwie. — Mogę przyjść z kimś?

— Musisz, taka jest zasada. Ale ten ktoś nie może się z nikim spotykać.

— Wszyscy moi znajomi to single.

— OK. Wiesz co, Chali, ja doskonale WIEM, że ty masz dziewiętnaście lat. Ale to nie potrwa wiecznie.

— Ciekawe, czy kiedy będę już taka stara jak ty, mnie też zrobią się obwisłe ramiona... jak tobie?

— Może przedtem umrzesz z powodu zażycia zatrutej tabletki ekstazy — mruknęłam ponuro.

— Ale jaka piękna byłaby to śmierć... — rozmarzyła się Chali.

— Więc idziesz czy nie?

— Cóż, ostatecznie możemy wpaść po drodze, jak będziemy wychodzić na miasto. Pewnie skończycie koło drugiej, nie?

Jeśli o mnie chodzi, była to całkiem rozsądna godzina, by zakończyć imprezę.

— No, to spokojnie możemy iść gdzieś po waszym przyjęciu. Czadzik!

Nie miałam pojęcia, co znaczyło „czadzik!”, ale nie zamierzałam kompromitować się kolejnym pytaniem.

— Czadzik! — zawołałam dziarsko.

Cztery godziny przed oficjalnym rozpoczęciem imprezy usiedliśmy we trójkę wokół kuchennego stołu. Byliśmy spięci. Dom wyglądał nieskazitelnie, a że Kate nie pozwalała nam się ruszać, siedzieliśmy tylko i gapiliśmy się przed siebie. Zabroniła nam otworzyć choćby jedną butelkę wina i nie mogliśmy dotknąć żadnych maleńkich, dostarczonych przez firmę cateringową cudeniak (co już samo w sobie stanowiło torturę). Ustawiliśmy wszędzie pełno kwiatów — zwędzonych przeze mnie. Nie było z tym najmniejszego problemu — Chali zawsze zabierała ich tyle, że i tak ona za to oberwie. Ponieważ zarabiałam niewiele więcej, niż wynosiło minimalne wynagrodzenie, potraktowałam kwiaty jako mój wkład finansowy w przyjęcie. Za wszystko płacili wspólnie Josh i Kate, stąd więc to embargo. Jako że Addison nie miał nawet szansy wypowiedzieć się, czy przyjęcie może odbyć się na jego przestrzeni życiowej, trochę nieuczciwie byłoby

prosić go, by się dołożył. Kupił za to rygiel do drzwi swojego pokoju. Miałam nadzieję, że zrobił to z powodu przyjęcia, a nie po to, żeby, na przykład, trzymać mnie z daleka.

To był naprawdę śliczny majowy dzień i powinien wprawić wszystkich w imprezowy nastrój, ale my siedzieliśmy skwa-szeni, ponieważ cały dzień spędziliśmy w domu — najpierw sprzątaaliśmy, a potem, gdy już napełniliśmy wannę lodem do piwa, przypomniało się nam, że jest gorąco, że jesteśmy spoceni i musimy się wykapać.

— OK — odezwał się Josh. — Przywieźli już szampana.

— A co właściwie świętujemy? — dociekała Kate. — Naszą zbiorową samotność?

— Może zorganizujemy jakiś konkurs? — wtrąciłam. — Zobaczymy, kto ma najmocniej zmrożone opakowanie *lasagne*.

— Powtarzam jeszcze raz — jak na Josha, zabrzmiało to dość ponuro — świętujemy naszą młodość, sukcesy i początek lata.

— I uczymy to kanapeczkami.

— Szkoda, że nie mamy boiska do krykieta — westchnął Josh.

— Mamy za to wyjście awaryjne i schody — zauważyłam. Były okropnie zardzewiałe, a gdyby ktoś z nich zleciał,

wpadłby prosto w znajdującą się na podwórku kupę odchodów i zostałyby pożarty przez obrzydliwe robale — niemniej jednak należały do nas.

— Doskonale. Powinny wystarczyć. Możemy przyjmować zakłady o to, kto pierwszy z nich spadnie.

OK. Kate, przypomnij nam listę gości.

— Elton John, Elisabeth Taylor, państwo Beckham i państwo Oliver, cała ekipa „pogodynek”... — zaczęła wyliczać znudzonym głosem.

— Mówisz serio? O nie... — wymamrotał Josh.

— Jamesi, którzy przyprowadzą ludzi z biura, Sophie



i wszyscy twoi zniewieściali koledzy z pracy. Kwiaciarka — znajoma Holly. Paru starych kumpli ze studiów, którzy całą noc przesiedzą w kącie, ignorując pozostałych. No i my. Plus Addison. Może.

— Ile to razem?

— Około czternastu osób.

— O Boże, zamówiliśmy żarcia na dwieście!

— Cóż, ja tam bardzo lubię kanapeczki z kielbaską — mruknęłam, wyciągając rękę w stronę kopiastych półmisków z jedzeniem.

— Aż się nie mieści... — jęknął Josh.

— No cóż, w końcu oni wszyscy z kimś przyjdą — zauważyła Kate. — Jeśli Jamesi spróbują się wykręcić, będą mieli do czynienia ze mną. Nie martwiłabym się na zapas.

— Czy mogłabym napić się piwa? — spytałam.

— Nie — odparła Kate. — Odleciałabyś, zanim wszyscy by przyjechali.

— Po jednym piwie?

— Po piwie, które wypiłabyś, po tym piwie, po którym byłoby kolejne, a potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. Znow gapiliśmy się przed siebie.

— O której, według was, powinni się pojawić? — zapytał po raz tysięczny Josh.

— Jeśli nie przestaniesz, przyłożę ci tam, gdzie słońce nie dochodzi! — wkurzyła się Kate.

— Żebyś nigdy nie miała dzieci — warknęłam.

— Po co mi dzieci, skoro mam ciebie i Josha?

— A Addison?

— Oraz Addisona, mojego autystycznego syna.

— Niech już lepiej będzie twoim zięciem — zaproponowałam.

— Wiesz co, to ciekawe, ale szanse na to, żebyś wyszła za Addisona, są dokładnie takie same jak na to, żebyś była moją biologiczną córką.

Nabrałam powietrza, wydymając policzki, po czym wypuś-

ciłam je powoli, usiłując zapanować nad chęcią pogryzienia Kate.

— No tak. To może wyskoczmy do pubu? Tak robi większość ludzi organizujących imprezę. Coś tam naszykują, odprężają się, a potem pozwalają, by goście sami się schodzili.

— Naprawdę? — zaniepokoił się Josh.

— Naprawdę — odparła Kate. — I dlatego większość przyjęć kończy się kłapą.

Zadzwoił telefon. Jeden z Jamesów chciał nas zawiadomić, że nie przyjdzie. Wolał nie pojawiać się osobiście — Kate pożarłaby go żywcem.

— No cóż, albo zjawicie się tu obaj dziś wieczorem, albo nie zawracajcie sobie głowy wstawaniem w poniedziałek rano — wysyczała do telefonu Kate.

Josh i ja spojrzeliśmy na siebie spanikowani.

— Nie wolno zwolnić kogoś za to, że nie pojawi się na twojej imprezie! — wrzasnęliśmy jednocześnie, gdy tylko rzuciła słuchawkę.

— Czemu?

— Hmm... bo tak się nie robi.

— Niby dlaczego? Skłamał, że jego babcia jest chora — tak też się nie robi.

— A może wcale nie kłamał? — wtrącił Josh.

— Kłamał. Jest świetnym kłamcą. Dlatego go zatrudniłam. Przyjdzie.

Znów zadzwonił telefon.

— Ja odbiorę! — zawołał Josh, pragnąc oszczędzić kolejnego nieszczęśnika. — Hmm, tak, jest.

Proszę chwileczkę zaczekać. A z kim mam przyjemność?

Powoli położył dłoń na słuchawce i odwrócił się do nas z dramatycznym wyrazem twarzy. Było jasne, że starał się przedłużyć tę chwilę.

— Hmm... Skates?

— Aha?

— Do ciebie, ktoś o imieniu John. Albo Kevin Costner, jak wolisz.

Kate szarpnęła głową, jakby ktoś uszczypnął ją w tyłek.

— O mój Boże! Nawet się nie wykąpałam!

— To tylko telefon, a nie jakiś zapachofon.

— Powiedz mu, że cię nie ma — syknęłam. — Bądź mroczna i tajemnicza. A ty, Josh, przestań wreszcie zachowywać się jak ciota!

— Jeszcze miesiąc temu byłabym mroczna i tajemnicza — wycedziła Kate przez zęby, kiwając na Josha, by podał jej słuchawkę, ale teraz jestem absolutnie zdesperowana.

— Przynajmniej jesteś szczerą.

— Halo — powiedziała.

No, tego faceta na pewno nie zwolni, pomyślałam. Właściwie należałoby to ująć nieco inaczej: ona go nie wypuści.

— Naprawdę? Jaka szkoda — pomrukiwała. — Nieważne: co słytać w Ameryce?

— Starsze czuje się dodrze, ale młodsze ma okropny kaszel — szepnęłam do Josha.

— Okropnie mi przykro, ale właśnie mamy tu imprezę... Zaczęliśmy z Joshem wymachiwać w powietrzu rękami i potrząsać głową, dając jej wyraźne znaki „nie”.

— Wpadnij, jeśli masz ochotę...

Kiedy Kate dyktowała Johnowi nasz adres, Josh odgrywał skrajną rozpacz. Ja natomiast włożyłam palec do ust i udawałam, że mam torsje.

— OK, do zobaczenia później! — powiedziała w końcu Kate.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zachichotała jakoś dziwnie.

— Tak! — wrzasnęła po chwili i zaczęła uderzać ręką w stół.

— No to wracamy do punktu wyjścia — stwierdził Josh.

— Kate, nie sądzisz, że powinniśmy otworzyć butelkę wina, aby to uczcić?

— Wybij to sobie z głowy!

Cztery godziny później nadal tkwiliśmy wokół kuchennego stołu, wyglądaliśmy jednak nieco bardziej elegancko. Josh włożył smoking — niech go diabli! Mimo że przez cały czas pokpiwałyśmy sobie z niego, nie udało nam się nakłonić go do zmiany stroju; tak więc bawiłyśmy się jego kosztem, zwracając się do niego po nazwisku i prosząc o drinki. Punktualnie o 21.00 Kate zarządziła otwarcie wina i rzuciliśmy się na nie jak dzikie bestie.

— A co, jeśli nikt nie przyjdzie? — zastanawiałam się, ładując do ust garść jakichś krewetkowych pyszności.

— Zabiję się — jęknął Josh. — Moje życie straci sens.

— Co mnie to obchodzi. John przyjdzie — cieszyła się Kate.

— Oto dwa równoważące się wzajemnie podejścia do sytuacji — stwierdziłam. — Idę po Addisona. Przyjęcie oficjalnie już się zaczęło, a on obiecał, że też przyjdzie.

Zapukałam do jego drzwi. Dobiegł mnie charakterystyczny dźwięk, towarzyszący otwieraniu rygla. Nasunęły mi się nieprzyjemne skojarzenia z więzienną celą.

— Hej... wszystko w porządku?

— Aha.

— Impreza już się zaczęła. Może zejdziesz i wypijesz z nami lampkę wina?

— Czy cała reszta też przyszła?

— Nie. Jeszcze nie. No chodź.

— Wiesz, kiedyś byłem w środku płonącego domu...

Zatrzymałam się i gapiłam się na niego osłupiała. Z własnej woli powiedział coś na temat swojego życia — wprost niesłychane.

— O mój Boże! I co się stało? Zignorował mnie.

— Więc pomyślałem, że może nie powinienem jednak ryglować drzwi, na wypadek, gdyby wybuchł pożar...

— Czy ktoś wtedy zginął? Zamrugął.

— Tak, mój ojciec. No więc, czy sądzisz, że powinienem to zdjąć?

Kompletnie oniemiała, gapiałam się na niego z bólem serca.

— Bardzo... bardzo... naprawdę bardzo mi przykro — wydukałam w końcu.

— To się stało dawno temu. Myślisz, że Kate pozwoli mi wypić piwo?

Gdyby wiedziała to co ja, pozwoliłaby mu nawet wziąć swój samochód.

— Hmm, podejrzewam, że tak — odparłam i poczłapałam za nim do kuchni.

Zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Miałam dwoje żywych i bezwstydnie zdrowych rodziców (choć mieszkali w różnych częściach kraju i nienawidzili się jak pies z kotem) oraz siostrę, która doprowadzała mnie do szaleństwa. Ten problem mnie nie dotyczył.

Pragnęłam usiąść mu na kolanach, objąć go i nigdy nie puszczać. Zamiast tego zrealizowałam inny pomysł z listy najlepszych, i przyniosłam mu piwo. Nie wrócił już do tematu.

## ***Rozdział piąty***

O 22.30 Josh oznajmił, że idzie do łazienki podciąć sobie żyły, a gdy już tam siedział, zapytał, czy nie mamy czasem ochoty na piwo, bo zostało jeszcze sto pięćdziesiąt butelek, a nadal jesteśmy tylko we czwórkę.

Nie byłam w ogóle w nastroju do imprezy. Muzyka zresztą wcale tego nie ułatwiała. Aby odwieść Josha od jego natrętnych myśli, pozwoliliśmy mu puścić *Careless Whispers*. Siedziałam i gapiłam się przed siebie tęnym wzrokiem — był to efekt porażającego zwierzenia Addisona. O mój Boże, nic dziwnego, że jest, jaki jest. Chciałam utopić go w morzu miłości. Sprawiałabym, że nie musiałby się niczym martwić. Zatroszczyłabym się o niego. I nigdy nie używałabym przy nim otwartego ognia. Kate oddychała w papierową torebkę — na wypadek gdyby miało się okazać, że podała Johnny'emu zły adres. Addison wziął sobie z wanny piwo — butelka ociekała wodą z roztopionego lodu — i znów przepadł bez śladu. Specjalnie na tę okazję włożył szorty i podkoszulek z napisem *Fabryka osł*. Zdesperowany Josh poluzował muchę i wyglądał jak

**\* Powieść science fiction Iana Banksa. Tytuł oryginalny *The Wasp Factory*.**

---

<sup>1</sup>Chodzi o powieść Evelynna Waugha *Znowu w Brideshead*, na podstawie której nakręcono popularny serial telewizyjny.

studencik z Brideshead 2. Zastanawiałam się, czy mam powiedzieć im o Addisonie, ale uznałam, że lepiej tego nie robić; w końcu nadejdzie chyba jakiś bardziej stosowny moment na dyskusję o tak traumatycznym przeżyciu. Gdybym wykrzyczała to podczas imprezy, przy podkreśnionej na cały regulator muzyce i dużym prawdopodobieństwie, że następnego dnia w ogóle bym o tym nie pamiętała — to pewnie by uszło.

No i wreszcie, za dziesięć jedenasta, rozległ się dzwonek do drzwi. Josh ruszył do drzwi zdecydowanym krokiem. W progu stała atrakcyjna i zrównoważona osóbką z butelką jakiegoś dobrego wina — nie trzeba było tatuować jej na czole imienia, bo i tak miała wszystkie cechy dziewczyny o imieniu Sophie — nie znaczy to, broń Boże, że nie mogłaby sobie kiedyś zrobić takiego tatuażu.

— Oto Sophie — rozpromienił się Josh.

— Tak? Niemożliwe — syknęła jadownicie Kate. Zazwyczaj nie była agresywna wobec kręcących się wokół Josha kobiet. Jeśli były miłe, przypominało to nawet trochę oglądanie filmu *Rok 1984*. Na szczęście zazwyczaj były to eleganckie, pewne siebie blondynki. Zaczęłam się zastanawiać, czy większość z nich nie miała czasem na imię Sophie. — Miło mi cię poznać. Jestem Kate, a to — Holly.

— Dzieeeeń dooobry — przywitała się Sophie. Przedłużała sylaby w nieskończoność. — Cała przyjemność po yy-mojej yy-stronie! No więc, która z was chciałaby z-y-robić aplikację?

Kate i ja pokazałyśmy na siebie palcami — dokładnie tak samo, jak robi to królik Bugs.

— Obie? Jakże w-y-spaniale! — stwierdziła i klapnęła na krzesło swoim jeżdżącym na kucach tyłkiem. — Joshua, poproszę gin z tonikiem. Powiedzcie no, czy tu nie miało

odbywać się jakieś przyjęcie? A może to był tylko podstęp mający mnie tu zwabić, e-he, e-he, e-he.

— Nie, właściwie... — zaczęłam, ale Josh rzucił mi błagalne spojrzenie, więc umilkłam. Na szczęście Sophie nie należała do osób przestrzegających zasady „słuchaj, gdy ktoś coś mówi”.

— Chcecie do palestry, tak? Bo wiecie, ja znalazłam się wśród sześciu najlepszych aplikantów mojego roku.

— Och, doprawdy? — przedrzeźniała ją Kate. — O kurczę, wobec tego jesteś lepsza od nas.

— Co też mówisz, wcale nie — uśmiechnęła się Sophie. — Ale po pierwsze, należy się dostać. A to dość trudne. To znaczy, nic w stylu: „Czym zajmuje się twój ojciec...?”

— Pracuje w opiece społecznej — odparłam natychmiast. Zresztą zgodnie z prawdą.

— Och. No tak, ale to przecież nieważne. A twój?

— Jest internistą — wycedziła przez zęby Kate.

— Och, to brzmi tak przeciętnie! Ale, w-y-łaściwie w niczym wam to nie przeszkodzi. Naturalnie mój tatuś jest tylko prostym farmerem, czyż nie, Joshua?

— Ehem, właściwie to nie... Ojciec Sophie jest właścicielem połowy Cheshire! Ha!

— Ha, ha, ha! Cóż, tak naprawdę nie jest to połowa. Zerknęłam na Kate, ale jej twarz ani drgnęła. Josh przyniósł drinki i usiadł obok Sophie, wpatrując się w nią z uwielbieniem.

— Po drugie, trzeba nieźle posmarować wszystkich sędziów, jakich się zna — kontynuowała. — Ja, oczywiście, zrobię to tylko po to, by zdobyć ciepłutki mandacik z ramienia torysów... i naturalnie dopiero wtedy, gdy pozbędziemy się tych obecnych szarlatanów.

Uratował nas dzwonek do drzwi. Zerwałyśmy się z Kate jednocześnie, ale pozwoliłam jej wygrać. Moje serce zamarło, kiedy usłyszałam jej okrzyk zachwytu. Po chwili wprowadziła do środka—jakżeby inaczej — samego Johna. Zachowywał



się niesamowicie szarmancko i był ubrany w delikatną jedwabistą koszulę, która choć wyglądała na zupełnie normalną (miała guziki, kołnierzyk, mankiety itp.), była jednocześnie zabójczo gustowna i droga. Oj tak, przypominał Kevina Costnera, ale w pełnym świetle wyglądał raczej jak Costner z nakręconych w latach osiemdziesiątych filmów o baseballu niż z tych późniejszych apokaliptycznych wizji, w których pił własny mocz. Wyciągnął dwie butelki — szampan i wino.

— Znasz już Holly i Josha... — Przytaknęliśmy, choć wcale go nie znaleźliśmy. — A to jest Sophie. Z drżenia jej głosu wywnioskowałam, co sobie właśnie pomyślała: „To jest Sophie. Jest blondynką i właścicielką Cheshire. Wolisz ją czy mnie? No, słucham?”.

John uściśnął dłoń Sophie jak gdyby nigdy nic, a ona zachichotała i oblała się rumieńcem.

— Och, witaj, John... Ooo, jesteś Amerykaninem. Jak cudownie poznać Amerykanina.

— Sophie znalazła się w gronie sześciu najlepszych aplikantów na swoim roku — poinformowałam go niezwłocznie. Kate i Josh spojrzeli na mnie zaniepokojeni. — Ale jeszcze nigdy dotąd nie spotkała Amerykanina.

— Ależ Holly, oczywiście, że spotkałam! — naskoczyła na mnie. — I według mnie są bardzo mili.

— Dziękuję. Miło mi to słyszeć, proszę pani. — John udał, że uchyla kapelusza. — Można się tu czegoś napić?

— Posłuchajcie tylko tego cudownego akcentu! — piała z zachwytu Sophie.

Kate podeszła do mnie od tyłu, chwytając pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w rękę.

— Uderzysz ją tym, a ja zepchnę ze schodów przeciwpożarowych — syknęła.

— Przecież to plastikowy durszlak.

— No to co? Wal, aż do skutku.

Usłyszeliśmy kolejny dzwonek do drzwi. Poszłam otwo-

rzyć. Ujrzałam Chali i sześć zupełnie obcych osób; większość z nich prezentowała się wyjątkowo niechlujnie, oczywiście poza Chali, która najwyraźniej była ich królową, i jakiejś nieprzytomnej osoby, którą nieśli na rękach. Tak bardzo się ucieszyłam, że chyba trochę przeholowałam z okazywaniem radości, zwłaszcza że Chali była tylko moją koleżanką z pracy i do tego znałam ją krócej niż miesiąc.

Kiedy wróciłam do kuchni, ciągnąc za sobą barwny orszak współwyznawców New Age, Josh wciąż przygotowywał drinka dla Johna, siedzącego między Kate a Sophie, które usiłowały za wszelką cenę z nim porozmawiać —jedna przez drugą.

— Tak więc znowu się widzimy! — palnęłam głupio.

Było już parę osób, dużo alkoholu, dużo jedzonka, muzyka, świeczki, przytłumione światło... ale mimo wszystko brakowało nastroju prawdziwej imprezy. Aż chciało się zawołać: „OK, ludziska — zaczynamy!”.

— OK, ludziska — Josh strzelił korkiem od szampana — zaczynamy! — i puścił na cały regulator „Pray” Arethy Franklin.

Na widok tych wszystkich maleńkich kanapeczek oczy współwyznawców New Age zapłonęły dzikim blaskiem, zostawili w drzwiach swojego nieprzytomnego towarzysza i rzucili się do środka, rozwierając w biegu kieszenie. Chali powstrzymała ich, unosząc do góry rękę. Kiedy się odwróciliśmy, szukała czegoś w swojej maleńkiej torebce. Obserwowałam ją, nie mogąc się doczekać, co takiego z niej wyjmie — serniczek domowej roboty? Hasz? Ale ona wyciągnęła jakiś kompakt w śnieżnobiałym opakowaniu, wyłączyła stary, pocziwy duet Wham i włożyła swoją płytę.

W tej samej chwili huknęło, jakby cały dom miał się rozpaść, a wyznawcy New Age zaczęli rytmicznie podskakiwać. Znów dzwonek do drzwi. Ktoś potknął się o leżącego w przejściu faceta, rozlewając przy tym trochę alkoholu.

Goście napchali sobie usta przystawkami z krewetek, które po chwili wypluli i rozmaślili na dywanie. Zapalili skręty...

— OK, ludziska! — zawołała Chali. — Zaczynamy!

To dziwne, ale od tego momentu zaczęło robić się coraz tłoczniej. Może i nikogo nie znałam, było jednak przyjemnie głośno. Postanowiłam zalać się w trupa, żeby zrekompensować sobie to, iż nie znam tych wszystkich ludzi, którzy pojawili się na mojej własnej imprezie. Przez chwilę prowadziłam dość męczącą rozmowę z którymś Jamesem — przyszli prosto z pubu, w garniturach i pod krawatami, i wyglądali na zdenerwowanych. Jeden z nich przyniósł nawet kolejny prezent dla Kate — na wypadek, gdyby okazało się, że jest to kontynuacja jej przyjęcia urodzinowego. Powiedziałam mu, że to moje urodziny, i zabrałam prezent. Niestety, przeżyłam rozczarowanie, bo był to jakiś gadżet do jej palmtopa — podawał ceny akcji na Księżycu czy coś w tym stylu. W każdym razie schowałam to głęboko — na wypadek gdybym musiała kiedyś coś jej podarować.

Z pewnym trudem przedostałam się do kuchni, omijając skrzętnie starych znajomych ze studiów, którzy na pewno z satysfakcją zapytaliby o przebieg mojej kariery, jednocześnie nawijając o swoich nowych samochodach i omawiając ceny domów w Londynie. Jeden z nich zerkał nieustannie na zegarek, bo martwił się opiekunką do dzieci. Aaaa!

No a w kuchni... Josh siedział za stołem i próbował sprawiać wrażenie, że bawią się wszyscy razem. Z mizernym skutkiem, bo Kate i Sophie odwróciły się tyłem. Klapnęłam obok niego i nalałam nam kolejną lampkę szampana.

— Jak tam?

— Och świetnie, super — odpowiedział z typowym dla siebie entuzjazmem.

— Nie, mam na myśli twoją znajomą.

Sophie objaśniała właśnie Johnowi, dlaczego ma zamiar zostać nową Margaret Thatcher (choć bez konkretnej polityki socjalnej). John chyba jej nawet słuchał. Usta Kate rozciągały się w sztucznym uśmiechu.

— Tak, tak. Idzie mi całkiem dobrze — odparł Josh.

— Przecież ona zupełnie cię nie zauważa.

— Więc wygląda na to, że wszystko w normie, mam rację? Zrozumiałam, jak bardzo go to raniło.

— Ależ skąd! Albo powinieneś włączyć się do ich rozmowy i walczyć o nią, albo ją rzucić. Popatrz na tego faceta! Wygląda jak świnia taplająca się w odchodach.

— Zdaje się, że w Stanach nazywają takich wieprzkami.

— Serio?

No właśnie — cały Josh. Natychmiast wrócił mu pogodny nastrój.

— Więc uważasz, że powinienem ją odbić? — zapytał.

— No cóż, nie jestem pewna, czy Sophie kiedykolwiek do ciebie należała — powiedziałam, próbując nie urazić jego uczuć. — Ale wiesz co, spróbuj może jakichś zalotów czy czegoś w tym rodzaju.

— No tak, masz rację. Właśnie to zamierzam zrobić. Sophie?

— ...i dlatego tak uwielbiam Amerykę: jest pozbawiona klasowych podziałów — perorowała, nachylona ku Johnowi, który słuchał jej z uprzejmą miną. — Tak, Joshua? Ach, Joshua, czy mógłbyś przygotować — dla Johna i mnie — jeszcze jeden dzin z tonikiem?

— Jasne — odparł. Szturchnęłam go. — A... kiedy wrócę, chciałbym z tobą porozmawiać! — dodał szybko.

— Ooo, czy sądzisz, że jestem w tarapatkach? — zapytała Johna, klepiąc go rubasznie.

Kate zerwała się na równe nogi i stanęła obok mnie.

— Wredna zdzira! — powiedziała głośno.

— Co jest... czyżby coś cię ugryzło? — zapytałam, próbując ratować sytuację.

— Nie dosłyszałaś? Powiedziałam: „WREDNA ZDZIRA!”.

— OK, OK, uspokój się. Wygląda na to, że on też nie bardzo wie, jak sobie z nią poradzić. A poza tym jest tu sporo innych ludzi.

— Nie pozostawiła mu wyboru... wetknęła mu te swoje TŁUSTE TORYSOWSKIE CYCKI prosto w twarz!

— OK, wiesz co? Myślę, że powinniśmy przejść do pokoju obok... mogłybyśmy potańczyć.

Wypchnęłam prychnającą Kate z kuchni. Pokój Josha służył jako palarnia marihuany, więc poszliśmy do gościnnego, gdzie było pełno wymachujących rękami ludzi. Chali wykonywała elegancki taniec hinduski do muzyki house i wyglądała rewelacyjnie. Flejtuchowate łązgi podskakiwały wokół niej niczym gromadka gnomów. Dopadłam jednego z nich i postawiłam go przed Kate.

— OK. Tańczcie! — przykazałam obojgu.

Łazęga zaczął natychmiast podrygiwać, a naburmuszona Kate wierzgnęła kilka razy od niechcienia.

— Wiesz, nie będę się tym przejmowała — stwierdziła po chwili. — Myślę, że pójdę do łóżka.

— Któryś z Jamesów i jedna z młodocianych piękności już wcześniej wpadli na ten pomysł — powiedziałam.

— Chryste Panie! Co to jest? Balanga dla czternastolatków? Pamiętasz, który? Porozmawiam sobie z nim w poniedziałek.

— Raczej nie — odparłam i zakodowałam sobie w pamięci, aby wykurzyć ich stamtąd tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

— Wszystko zmierza ku najgorszemu... — mruknęła Kate. Była kompletnie przybita. Nagle się rozpromieniła. Powędrowałam za jej spojrzeniem.

— Tu jesteś! — ucieszył się wysoki Amerykanin. — Znikłaś gdzieś i zostawiłaś mnie z tą politykującą babą od kucyków.

Ominął zrecznie grupkę łazegów.

— W Ameryce nazywamy to „okrutną i nieuzasadnioną karą”. — Przysunął się bliżej Kate. — Moge? Skinęła głową, a on objął ją ramionami i zatonęli w pół całusnej, pół tanecznej pozie. Przenieśli się w inny świat.

Ale jaja! W tym momencie zobaczyłam zmierzającego w moim kierunku obdarciucha i szybciotko się ulotniłam.

W kuchni — głównym miejscu akcji — nadal królowała Sophie. Na miejscu Johnny'ego zasiadł oczywiście Josh i przysłuchiwał się jej z rozmarzonym wyrazem twarzy. No nie... Jednak zdecydowanie gorsze było to, że przyjęcie rozkręciło się na dobre i zaczęło tętnić własnym rytmem: tancerze tańczyli, całusni — całowali się (biorąc pod uwagę, ilu ich było, pomysł imprezy dla singli okazał się absolutnym sukcesem), skręciarze tonęli w oparach marihuany... a ja nie zdążyłam przyłączyć się do żadnej grupy. Pozostała mi jedynie rola gospodyni, która przeskakuje od grupki do grupki i szuka akceptacji jak małe szczenię. Do dupy! Nie mogłam nawet iść do domu — właśnie leżało w nim trzysta płaszczy! No i ten cholerny Addison, który w końcu nie przylazł! Nie miałam odwagi po niego pójść, nie po tym, czego się dowiedziałam. Udawałam więc, że jestem zupełnie spokojna; stałam przy lodówce i obserwowałam bawiących się, podawałam gościom piwo i takie tam. Jakie to wkurzające — zorganizowaliśmy imprezę dla singli, ale tylko ja byłam samotna. To nie tak miało być! Obrzuciłam pokój badawczym spojrzeniem. W rogu pokoju stał jakiś wysoki facet. Wnioskując po braku trądzikowych blizn oraz wyprostowanej sylwetce — najwyraźniej jakiś znajomy Josha lub Kate. Był ubrany w skórzaną kurtkę i czarną koszulę, a wokół oczu (ogólnie rzecz biorąc, był jak na mój gust zbyt doskonały) miał naprawdę czarujące zmarszczki. W dodatku facet, z którym przed chwilą rozmawiał, gdzieś przepadł.

OK. Podjęłam decyzję. Kate już kogoś poderwała. Co do

Joshua — obiekt jego westchnień właśnie się na niego wydierał. Po Addisonie ani śladu. Trzeba przynajmniej spróbować.

Przesunęłam językiem po zębach i ruszyłam dziarsko w tamtym kierunku.

— Hej — zagadnęłam tak obojętnie, jak tylko potrafiłam (czyli nie bardzo). — Dobrze się bawisz?

Wysoki facet rozejrzał się powoli dookoła, obrzucając mnie jedynie przelotnym spojrzeniem. Nie znoszę takich sytuacji, ale w końcu to impreza samotnych serc!

— Jest w porządku, dzięki.

— To wspaniale. Cóż, cześć. Mam na imię Holly i mieszkam tutaj.

Uśmiechnęłam się szeroko i zaraz potem — nerwowy tik — przesunęłam językiem po zębach. Gdy tylko uświadomiłam sobie, co zrobiłam, szybko zamknęłam usta. Towarzyszył temu odgłos przypominający plaśnięcie. Facet przyglądał mi się przez kilka sekund i wyglądało na to, że podjął jakąś decyzję.

— Miło mi cię poznać, Holly. Jestem Geoffrey... pracuję z Kate. Próbuję ją znaleźć, nigdzie jednak jej nie widzę. Powiedz jej, że wpadłem i że mi się podobało. Ale muszę już lecieć.

Czułam, że inni na nas patrzą, więc zaczęłam desperacko improwizować:

— No tak, wszystko jasne, pewnie Kate zmusiła cię, żebyś tu przyszedł, nie? Nie możesz teraz iść... próbowałaś już ponczu? Może zostaniesz jeszcze chwilkę? Jestem pewna, że Kate zaraz się pojawi.

— Naprawdę nie mogę — odparł, spoglądając na mnie podejrzliwie. — Bo wiesz, zaparkowałem na linii ciągłej...

— Och, przyjechałeś samochodem? A jakie masz auto?

— Porsche. Tak, już idę, James! — zawołał do kogoś, kogo nie mogłam zidentyfikować. — Do zobaczenia w poniedziałek! Bardzo się cieszę, że cię poznałem! — rzucił w moją stronę i wyszedł.

Cholera. Wracalam samotnie przez pokój, mając cichą nadzieję, że nikt mnie nie widział, kiedy jednak podniosłam głowę, zobaczyłam, że Sophie gapi się na mnie z pogardą. Cholera, cholera, cholera! Ale przynajmniej mogę się nienawidzić (w końcu facet był dupkiem).

Nalałam sobie kolejny kieliszek wina i ogarnęło mnie współczucie dla samej siebie. Nagle coś mnie tknęło. Podeszłam do lustra. Wszystko jasne: miałam na brodzie resztki pasztecika... No cóż, ja wiedziałam, że to pasztecik z krewetkami, ale niewtajemniczeni mogli równie dobrze pomyśleć, że to opryszczka. Powłócząc nogami, wróciłam do bawiącego się tłumu. Moja dusza płakała. W pewnym momencie dostrzegłam kątem oka jakiś ruch w pobliżu wyjścia awaryjnego... To niemożliwe! Ach, dzięki Ci, Panie! Ujrzałam siedzącego na schodach Addisona — Addison na zewnątrz! Ciekawe, jak jego oczy radzą sobie ze światłem. Ale on nie tylko siedział na dworze — najwyraźniej jeszcze z kimś rozmawiał!

Tylko tego mi jeszcze brakowało. Rozzłościłam się nie na żarty. Wiadomo było przecież, że Addison rozmawia tylko ze mną i — no cóż — z Claudią (oczywiście zakładając, że to także rozmowa, a z tym akurat się nie zgadzałam). A może to jednak Claudia — pomyślałam z przerażeniem. Może w końcu przyjęła jego zaproszenie? O Boże! Na pewno tak właśnie było. Przez cały ten czas nawijałam o pierdołach i troszczyłam się o swoich współlokatorów od siedmiu boleści, a tymczasem ktoś zwędził mi Addisona! Dupa blada! Równie dobrze mogę się teraz zabić.

Siedząc na lodówce, wychyliłam się trochę, by mieć lepszy widok. Nie chciałam, żeby wyglądało, jakbym ładowała się w paradę i żądała wyjaśnień na temat tego, co Addison robi, ale jego czarne, gęste włosy ograniczały pole widzenia, pochyliłam się więc jeszcze odrobinę i zaraz potem — trochę za sprawą białego wina, a po trosze za sprawą głębokiej rozpacz (jak to sobie później tłumaczyłam) — spadłam z wielkim hukiem na podłogę.



W jednej chwili wszyscy przestali się bawić, choć mogłabym przysiąc, że coś gdzieś grało. Obaj Jamesi wybuchnęli śmiechem. Zbluzgałam ich w myślach. Przeżony Josh rzucił się do mnie, a Sophie... chyba rozbawił ją widok biednej, kompletnie zalanej współlokatorki Josha. Dwie głowy na balkoniku jednocześnie uniosły się do góry. Gorzej być nie mogło — ta, która nie była głową Addisona, należała do Finna.

— Wszystko w porządku! Nic mi się nie stało! Ucierpiała jedynie moja duma, ale i tak nic już z niej nie zostało! — zawołałam, chcąc przerwać biadolenie zgromadzonych wokół mnie ludzi.

— Mieliliśmy kiedyś pokojówkę, która sobie popijała — usłyszałam głos Sophie.

— Często robisz sobie krzywdę — stwierdził pochylony nade mną Addison.

— To podłoga — wymamrotałam. — Zaatakowała mnie znienacka.

— Wszystko w porządku? — zapytał. Wyciągnął do mnie rękę.

— Tak, tak.

Podał mi swoją wielką dłoń, a ja, rozkoszując się tą chwilą, zachwiałam się i upadłam na niego — niby przypadkiem — podczas wstawania. Rozejrzałam się swobodnie dookoła (na tyle swobodnie, na ile było mnie stać w zaistniałej sytuacji) i udałam, że dopiero teraz zauważyłam Finna.

— O, cześć... przepraszam, nie mogę przypomnieć sobie twojego imienia.

— Naprawdę? Jesteś aż tak bardzo pijana? — zapytał poważnym tonem. Zapomniałam już, jaki potrafi być denerwujący.

— Nie! — prychnęłam. — Po prostu spotykam tylu ludzi, że trudno mi ich wszystkich spamiętać.

- Rozumiem. No cóż, więc witaj, jestem Finn.
- No tak, hm, a ja Holly. — Czułam się coraz bardziej idiotycznie.
- Yyy, tak... pamiętałem.
- Skąd znasz Addiego? — zapytałam tonem sugerującym, że Addison i ja mieszkamy i śpimy ze sobą.
- Addiego? Ach, Addisona... yy, właściwie dopiero co się poznaliśmy — okazało się, że obaj mieliśmy ochotę zobaczyć zaćmienie księżyca. Fascynujący człowiek. Naprawdę, przedstawił nawet kilka interesujących teorii... Dlaczego pytasz? Jesteście parą?
- Nie — odpowiedziałam z kwaśną miną, bo Addison stał metr ode mnie. — To mój współlokator.
- Jasne... miły gość. Ehm... wiem, że kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem... Bardzo przepraszam za tanto nieporozumienie.
- Jakie znowu niepo... Ach, to! Nie bądź głuptasem, zupełnie wyleciało mi z głowy. Odwróciłam się do Addisona, chcąc dać Finnowi do zrozumienia, jak bardzo jesteśmy sobie bliscy.
- Dziękuję, kochanie... już wszystko w porządku.
- Co? — bąknął Addison. — Ach... coś do mnie mówiłaś.
- Chcesz wyjść z powrotem na dwór, czy może czujesz się jakoś dziwnie? Bo wiesz, sufit również bywa niebieski, czasami nawet zupełnie ciemny, z małąkimi światełkami.
- Nie jestem pewien, czy wasze schodki przeciwpożarowe są bezpieczne — wtrącił Finn. Odwróciłam się do niego.
- A ty skąd możesz to wiedzieć? — prychnęłam. — Z teorii strun?
- Eee, nie, po prostu wisi pod zupełnie... Przynieść ci coś do picia?
- Nie, dzięki... jeszcze dolałbyś jakiejś chemii albo mój drink zniknąłby w hiperprzestrzeni.
- Boże, ty naprawdę potrafisz się długo dąsać na innych

ludzi, co? A jeśli zaś chodzi o hiperprzestrzeń, to istnieje ona wyłącznie w teorii, więc twój drink mógłby co najwyżej trafić na przechowanie, dla twojego własnego...

— Oczywiście, że się na ciebie nie dąsam — odparłam, pociągając nosem.

Ten jeden raz w życiu miałam ochotę wyglądać jak elegancka dama i móc odpłynąć gdzieś z Addisonem. Nagle kątem oka dostrzegłam Carol — żyłastą wiedźmę z Harlesden, od której uciekłam przed niespełna dwoma miesiącami. Cholera wie, po co tu przyszła. Pewnie jest daleką samotną znajomą jakiegoś innego samotnego znajomego. Miała na sobie bardzo OBCISŁĄ różową sukienkę, podkreślającą pomarańczowy odcień jej opalenizny oraz starannie nałożony makijaż (zauważyłam róż nawet w zagłębieniu między piersiami); właśnie sprawdzała palcem, czy na szafkach jest kurz, i zbliżała się już do lodówki — czyli tam, gdzie staliśmy!

— Chodź szybko — powiedziałam cicho do Finna — pokaż mi, co jest z tymi schodkami.

— Co? Przepraszam, chyba się pogubiłem...

— Idziemy! — Pchnęłam go stronę kuchennych drzwi, chowając głowę w połach jego marynarki.

Po chwili osunęliśmy się na zardzewiałą metalową konstrukcję.

— Ehm... sama widzisz: kiedy siadasz, wszystko zaczyna się kołysać.

— Hę? A tak. — Zerknęłam ukradkiem za siebie.

— To nie jest chyba bezpiecznie naprężone...

— Finn, przepraszam cię, ale... chciałam tylko przed kimś uciec.

— Przed kim? Przed nią? — zapytał, zapuszczając żurawia przez moje ramię.

— NIE PATRZ! Tak. Kiedyś wynajmowałyśmy razem mieszkanie i podle się ze mną obchodziła. Staram się tylko zminimalizować szanse, by znów mogła być wobec mnie podła.

- To ona tak cię pobiła?
- Nie, to był ktoś inny.
- Ooo... Czy wielu ludzi obchodzi się z tobą w taki podły sposób?
- Owszem, ale nigdy z mojej winy.
- Rozumiem.

Wyciągnęłam szyję, aby sprawdzić, czy Carol może mnie zobaczyć. Właśnie miała otwierać lodówkę, kiedy nagle dostrzegła Addisona. Dałam Finnowi znak, żeby się uciszył, i pochyliłam się — chciałam słyszeć, co do niego mówi. — Nie sądzisz, że w tej kuchni jest brudno? — zapytała. — Na tych wszystkich kuchennych urządzeniach zbiera się tylko kurz.

Addison odwrócił się twarzą do nas i gapił się przed siebie zawstydzony. Wyciągnęła do niego dłoń — jej palce były zakończone pomalowanymi na różowo (dopasowanymi do sukienki) szponami, które zawijały się nad opuszkami palców. Miała na nich trzy lub cztery pierścionki.

— Carol — przedstawiła się. — Carol Patterson. Addison posłał nam błagalne spojrzenie.

— A to moja koleżanka, Farah. Wlepił wzrok w podłogę.

— To one są dwie? — dopytywał się Finn.

— Yy, tak... ale Farah jest trochę niżej.

— Rozumiem. O mój Boże, czy to małpa?

— Nie, to właśnie Farah.

— Aaa...

— Wspaniały z ciebie naukowiec.

— Widzę, że jesteś typem milczącego twardziela — stwierdziła Carol, wbijając swoje śmiercionośne paznokcie w tors Addisona. Skrzywiłam się.

— Można by tak powiedzieć — szepnęłam do Finna.

— Nie sądzisz, że jako gospodyni powinnaś raczej przechadzać się między swoimi gośćmi i wyruszyć Addisonowi

na odsiecz, a nie kulić się za kuchennymi drzwiami i ich szpiegować? — zapytał, ale kiedy zobaczył moją minę, wybąkał tylko: — Ja tylko tak... — i zamilkł.

— Ona mnie zabije! Nie zapłaciłam za telefon!

— Nie zapłaciłaś za telefon? To znaczy... — Finn spojrział na mnie zszokowany, ale po chwili doszedł do siebie i szepnął rozkazująco: — No już, dalej, siostró. Przerwij tę sielankę!

— Jesteś potwornie fałszywy, wiesz coś o tym?

— Co? Co ja znowu powiedziałem?

W jednym na pewno miał rację. Musiałam pójść i wyciągnąć Addisona z opresji. Nikt nie zwracał uwagi na niego i Carol, a on najwyraźniej tonął. A poza tym doskonale wiedziałam, że już wystarczająco dużo się nacierpiał.

— OK. Idę. Jak wyglądam? — zapytałam, podnosząc się chwiejnie.

— Dobrze, jeśli nie liczyć tego maleńkiego kawałka sera, który przykleił ci się do policzka podczas upadku. Przetarłam twarz. Rzeczywiście coś tam było.

— O cholera. OK, ser usunięty?

— Usunięty!

— Stój tu i pilnuj drzwi. To będzie błyskawiczna akcja. Finn kucnął w drzwiach, a ja zadarłam do góry głowę, udając, że świetnie wiem, co robię, i swobodnie ruszyłam w stronę Addisona. Cóż, tak przynajmniej mi się zdawało, ale pewnie wyglądałam, jakbym miała hemoroidy.

— Addy, tu jesteś! Wszędzie cię szukałam.

Po raz drugi tego wieczoru objęłam go ramieniem w sposób przekraczający granice jego prywatności. Jednak tym razem przywitał to z zadowoleniem. — Musisz poznać Finna.

— Ale ja już...

— Zamknij się — syknęłam.

— Aaa, rozumiem... TAK, OCZYWIŚCIE, BARDZO CHĘTNIE POZNAM FINNA.

Carol nie spuszczała ze mnie oczu. Kiedy zawzięcie wer-

towała katalog swojej pamięci, jej błyszczący cień do powiek ułożył się w bruzdy.

— Kogo tu mamy! — dobiegł z dołu jakiś głos.

— O, witaj, Farah — powiedziałam, z trudem powstrzymując się, by nie potraktować jej jak futbolówki.

— To ty! — zawołała z emfazą Carol. — Wisisz nam pięćdziesiąt siedem funtów za podatek komunalny!

— O, Carol, jak miło cię znowu zobaczyć. Tak się za tobą stęskniłam. Wyglądasz fantastycznie. Doprawdy, nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad złotą szminką, ale na tobie wygląda świetnie — „zrób to małym kosztem” — to takie modne, czyż nie? Wybacz, muszę teraz jednak porwać mojego chłopaka, a potem, do cholery, zabierz tę swoją małą i wyjdź z mojego domu, dobrze?

To mniej więcej chciałam powiedzieć. I powiedziałam, ale dopiero następnego ranka pod prysznicem — do szamponów i odżywek Kate. Dodam tylko, że drżały ze strachu.

— Hmm... no tak, przepraszam. Wystawię wam czek, yy... Wybaczcie mi. Jeszcze raz naprawdę bardzo przepraszam — wykrztusiłam.

— A może wystawisz ten czek teraz?

— Yy... Holly, chyba nie... według mnie nie powinniśmy zostawiać Finna samego — odważył się wtrącić Addison.

— Nie. Oczywiście, masz absolutną rację, Addison, powinniśmy...

— Mieszkasz tu? Będę wiedziała, gdzie zgłosić się po resztę pieniędzy. Chodzę na kurs w pobliżu, więc mam kilka dni, w które mogę wpaść i sprawdzić, czy jesteś w domu.

— Raczej nie możesz — przerwałam jej. — Właściwie przybyłam tu tylko w wizytą, prosto z Bhutanu. Wiesz... Bhutan, w Peru.

Sytuacja powoli zamieniała się w jeden wielki koszmar. Addison ciągnął mnie za rękaw koszuli jak trzylatek potrzebujący do ubikacji.

— Ja mówię zupełnie serio! A skoro już jesteśmy przy

tym temacie... Czy ty wiesz, co ona zrobiła? — powiedziała Carol, znowu zwracając się do Addisona. Miałam ochotę podrapać ją do krwi.

Addison wyglądał na bardzo wzburzonego.

— Cóż...

— Witam wszystkich! — huknął za naszymi plecami Finn. — Jestem Finn.

Chryste Panie, nadciągnęła kawaleria.

— A ty pewnie masz na imię Holly?

Miałam wrażenie, że przedstawialiśmy się sobie miliardy razy.

— Tak, cześć. To jest Addison.

Addison i Finn w milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

— Doskonale. A teraz czyń honory pani domu i zaprowadź mnie do wazy z ponczem.

Tak więc z Finnem obejmującym moje ramię i Addisonem przyczepionym do rękawa, nerwowo odsuwając leżące w przejściu zwłoki, przemknęłam szybko obok ponczu, który stał na widoku tuż obok, na lodówce.

— Boże, o mały włos... — wymamrotałam z ulgą, opierając się o ścianę, gdy już wydostaliśmy się z kuchni. — Nie martw się, uratowałam cię.

— Wiem, mój ty bohaterze. O Boże... ona tu idzie! Gazem!

Wpadliśmy wszyscy do pierwszego pokoju, gdzie tańczący kołysali się sennie w rytm muzyki. Chali wisiąca na najbardziej niechlujnym ze wszystkich łazegów — zapomnieli się w na pół tańczącej, pół całującej pozie. Dźgnęła mnie w ramię.

— On jest z zespołu! — zawołała.

— O, wspaniale! Pobzykacie się?

— ...am nadzieję.

Kate i John tańczyli w rogu, przytuleni tak ciasno, jakby ktoś ich zespawał — ten widok przyprawiał o mdłości. Rozanielona Kate patrzyła mu głęboko w oczy. Nawet nie

próbowałam ściągnąć jej spojrzenia, żeby przypadkiem nie zdjąć zaklęcia. Zresztą mieliśmy problem, który trzeba było niezwłocznie rozwiązać.

— OK — mruczał do siebie Finn, klękając przy stercie kompaktów. Zaczął szybko wodzić placem po ich grzbietach. — Finn, pomyśl, pomyśl. — Aż mu się twarz pomarszczyła od tego główkowania.

Po chwili wyciągnął jeden z nich i wrzucił do odtwarzacza, podkreślając jednocześnie głośność.

— Co... — zaczęłam, ale nie dane było mi skończyć.

— ONE STEP BEYOND3... — ryknęło z głośników nastawionych na cały regulator.

Senni tancerze podskoczyli, jakby ktoś ich uderzył, i spojrzeli groźnie na śmiałka, który odważył się zepsuć nastrój. Ale Finn strzegł odtwarzacza jak wściekły pies. Nie minęły dwie sekundy i do pokoju gościnnego przybiegł cały tłum Jamesów — chłopców „w pewnym wieku” (z wyjątkiem Josha, ma się rozumieć). Zaczęli skakać, wierzgać, zakładać okulary słoneczne, udawać, że zbiegają po schodach, grać na wymyślonych saksofonach i — ogólnie rzecz biorąc — naprawdę świetnie się bawić.

— Tańczcie! — rozkazał nam Finn.

Przez chwilę stałam i obserwowałam parkiet z wybałuszonymi oczami i rozdziawioną paszczą, jednak na komendę Finna zaczęliśmy się z Addisonem radośnie kołysać. W pomieszczeniu unosił się zapach testosteronu i wody po goleniu, a kiedy wszyscy chłopcy w garniturach od Paula Smitha zaczęli wykrzykiwać, że mają szerokie spodnie, doszedł do tego jeszcze przeraźliwy hałas. Kate omal nie zamordowała mnie spojrzeniem, ale gdy John pochylił się i szepnął jej coś do ucha, spuściła głowę i uśmiechnęła się, po czym zaczęli przedzierać się w stronę wyjścia, trzymając się za ręce. Wątpiłam, czy zobaczymy ją jeszcze tej nocy, ba, istniała nawet możliwość, że nigdy więcej — gdyby tylko właściwie to rozegrała. Finn dotąd szczyrzył groźnie zęby na wszystkich, którzy chcieli podejść do wieży, aż stało się jasne, że każdy, kto spróbuje zmienić muzykę, zginie staranowany przez tłum, jeszcze zanim dotrze do odtwarzacza, ewentualnie udusi się oparami wody po goleniu. No a potem



mógł już spokojnie do nas przyjść i podskakiwać razem z nami. Okazało się, że Addison cierpi na absolutny brak koordynacji — kiedy tańczył, przypominał biegnącego psa o trzech nogach. Jeśli o mnie chodzi, siliłam się przez jakiś czas na „taniec ironiczny” — w końcu była to muzyka z lat osiemdziesiątych — jednak „taniec ironiczny” nie jest chyba do końca możliwy — tylko spocisz się i niemiłosiernie umęczysz — a że

i tak nikt na mnie nie patrzył, odpuściłam sobie i przyłączyłam się do wierzgającego Finna. Cała nasza trójka znajdowała się w przeciwległym rogu pokoju i Carol nie miała żadnych szans, by przebić się przez tłum oszalałych wariatów — maklerów giełdowych za dnia i saksofonistów-widm w nocy. W połowie *House of Fun* trzasnęła furtką i jak burza ruszyła w dół ulicy; obok galopowała Farah, usiłując dotrzymać jej kroku.

— Uff... sapnęłam, kiedy zgodnie z tradycją wylądowaliśmy z powrotem w kuchni. Mieliśmy czerwone twarze; nie mogłam przestać się śmiać, gdy pomyślałam o trwającym w pokoju obok szaleństwie.

— Ci faceci z City potrafią imprezować, bez dwóch zdań — mruknęłam, otwierając dla nas trzy butelki piwa.

— Prawie mnie nabrałaś — stwierdził Finn. — Gadali o tym, jak to podczas urlopu dziekańskiego o mały włos nie stracili życia, i zastanawiali się, czy przed godziną udało im się bzyknąć Sophie Rhys-Jones.

— Przecież mówię: doskonale wiedzą, jak się zabawić. Nagle kątem oka ponownie dostrzegłam znajomego

Kate — właśnie zagadywał jakąś filigranową panienkę o urodzie Natalie Imbruglia — dziewczyny tego typu mieszczą się w torbie podręcznej. Zakłamaną fagas! Kiedy poczuł, że mu się przyglądam, podniósł wzrok i udał, że wzrusza ramionami. Odwróciłam się. Poczułam się fatalnie.

Josh i Sophie nadal siedzieli po drugiej stronie stołu i nadal — przynajmniej tak to wyglądało — tylko ona mówiła.

— Więc oczywiście tatuś nie chciał, żebym poszła do pracy — zresztą doskonale wiesz, jak to jest w rodzinach z tradycjami — jedyne, czego chcą, to abyś przedłużył ród, czyż nie? Ale ja mu odpowiedziałam: „Nie, tatku, ja czuję powołanie do czegoś wyższego — myślę, że ojczyzna mnie potrzebuje, to jest mój obowiązek. I z twoją pomocą czy bez — zrobię to”. Oczywiście uświadomił sobie, iż poniósł klęskę, no i wtedy właśnie kupił trochę gruntu i stajnie oraz wprowadził mnie na salony.

— Ale mu pokazałaś — mruknął z podziwem Josh.

— Wiem. Zresztą mniejsza z tym. Powiedz, czym zajmowała się twoja rodzina przed tysiąc siedemsetnym rokiem?

Opowiedział jej.

— Moja zbierała obierzyny ziemniaków — wtrąciłam.

— A nas chyba skądś wyrzucili — zwierzył się Finn.

— Ty to zawsze musisz być lepszy, no nie? — burknęłam i odwróciłam się do Addisona. — Jak leci? Claudia postanowiła nie przyjeżdżać?

— Trochę się na mnie wkurzyła — odparł, wzruszając ramionami.

— Dlaczego? Chyba nie za to, że ze mną rozmawiasz?

— Po części... a trochę dlatego, że ją zaprosiłem. Ona naprawdę nie może wychodzić z domu.

— Czy to twoja dziewczyna? — zapytał Finn.

„Nie! — cisnęło mi się na usta. — To wielka, tłusta dziewczucha z kurzajkami na brodzie, której Addison nigdy nie spotkał. Tak naprawdę to ja jestem jego dziewczyną. Prawie”.

— Aha — mruknął na potwierdzenie. — Cierpi na agorafobię.

— Oj, niedobrze. Wiesz, czytałem w „Scientific American”...

No i zaczęło się. Znowu gdzieś odpłynęli. Zdumiewające, brzmiało to, jakby porozumiewali się jakimś własnym językiem.

Nagle poczułam jakiś ohydny odór. Odwróciłam się i ujrzałam—jakżeby inaczej — Chali obcałowującą swojego producenta.

— Chali... przecież on śmierdzi.

— Wiem. — Skrzywiła się. — Dotknij, przeczesywałam rękami jego włosy.

Wyciągnęła do mnie dłoń, która wyraźnie się lepiała.

— Jesteś pewna, że chcesz to robić?

— Żartujesz sobie? A ty myślisz, że jak Celinę Dion zrobiła karierę?

— Nie wiem... Całując się z brudasami?

— Właśnie tak!

— A właśnie, że nie!

— No cóż, od czego mamy ekstazę?

Brudas chrząknął gniewnie, więc obdarowała go kolejnym namiętym pocałunkiem. Poczułam, że mnie skręca, i westchnęłam. Wzięłam miche popcornu z sosem toffi i zaczęłam go żuć apatycznie, obserwując Addisona i Finna. Siedzieli głowa przy głowie; Finn wyglądał jak dziesięcioletek słuchający pogadanki na temat życia, wygłaszanej przez najfajniejszego chłopaka w całej szkole.

Ostatnia piosenka stanowiła coś na kształt punktu kulminacyjnego całego wieczoru, bo potem ludzie zaczęli zamawiać taksówki i rozjeżdżać się grupkami, wymieniając przedtem pożegnalne całusy (oczywiście z wyjątkiem haszy-szowców, którzy — z przyczyn obiektywnych — nie byli w stanie wyjść aż do piątej rano). Sophie skoczyła na równe nogi, gdy tylko zaczęli wychodzić pierwsi goście. Naturalnie Josh zerwał się, by odsunąć jej krzesło.

— Joshua, dziękuję za czarujący wieczór. Jestem ci bardzo wdzięczna, że zgodziłeś się przyjąć te dodatkowe sprawy. Doprawdy, jesteś taki słodki. Przypominasz mi moje przyjaciółki. Mógłbyś zawołać mi taksówkę?

Josh ruszył spełnić jej rozkaz, jakby go zahipnotyzowała. Wryłam sobie w mózgu, że mam zapamiętać jej adres — dla Kate, by mogła potem zamówić dla niej pizzę na wynos w ilości stu sztuk oraz zapisać jej numer na leżących w budkach telefonicznych wizytówkach prostytutek.

Jamesi powłóczyli nogami — podchodzili jeden za drugim, aby Kate mogła się przekonać, jak długo zostali. Trochę zrzędyli im miny, kiedy oznajmiłam, że już wyszła, ale ożywili się na nowo, gdy zaczęli spierać się o to, który z nich ma zamówić na swoją złotą kartę limuzynę do domu.

Rozpłynęli się również ludzie, których nie znaliśmy. Co prawda nie pozostawili po sobie żadnych śladów, ale nie przeszkodziło im to w zakoszeniu drobiazgów — kompaktów i małych ozdóbek. W końcu zostaliśmy już prawie tylko my — Josh, Addison, Finn i ja — zgromadzeni wokół kuchennego stołu, w otoczeniu kipiących popielniczek, opróżnionych puszek, rozbebeszonego jedzenia i potłuczonych talerzy — okupujący pokój Josha palacze (nie powiedzieliśmy mu jeszcze o tej melinie) oraz gość, który wciąż leżał w przejściu — od czasu do czasu sprawdzaliśmy, czy jeszcze oddycha, ale nic mu nie było.

— Cóż, według mnie było nawet nieźle — podsumował Josh.

— Sama nie wiem... — Nalałam wszystkim whisky. — Nikt nie obrzygał żadnego łóżka. Nikt nie zaszedł w ciążę. Nawet policja nie przyjechała. Przecież to prawie nie jak impreza.

— Tam leży koleś, który zemdłał.

— No tak, ale jego tu przywlekli. Nie liczy się.

— Na pewno tak. A ja całą noc przegadałem z Sophie! Wydaje mi się, że to również poszło całkiem dobrze.

— Josh, ona siedzi teraz w domu i zastanawia się, jak ci smakuje domek z piernika.  
— Nie spodobała ci się?  
— No cóż, jest strasznie... nadęta.  
— Nie aż tak. Chodziła do szkoły z moimi siostrami.  
— Aha, jasne. Twoje siostry chodziły do Cheltenham Ladies.  
— Wiem... ale, rozumiesz przecież, chodziła do szkoły.  
— Spotkacie się jeszcze?  
— Umówiłem się z nią na poniedziałek — odparł radośnie. — Zaproponowałem, że pomogę jej uporać się z nadmiarem pracy. — Czyli zostaniesz jej przydupasem?  
— Na Boga, Holly! Nie pozwolę jej...  
— No co? — Nieustannie błagałam Josha, by powiedział mi, co takiego wyprawiają chłopcy z publicznej uczelni, ale on zazwyczaj nie brał w niczym udziału. Czyżby już wtedy się wyłamywał? — Proszę, powiedz mi, co zazwyczaj robią tacy chłoptasie?  
— Nic! — rozzłościł się. Finn rozejrzał się dookoła.  
— Och, przepraszam... zdaje się, że pora już wracać do domu. — Mmm.  
— Lepiej już...  
— Gdzie mieszkasz? — spytałam.  
— Yyy... w Lewisham.  
Było to dokładnie po drugiej stronie Londynu.  
— Boże... spróbujesz zamówić jakiś niedrogi bilet na samolot?  
— Zawołam taksówkę — odparł, uśmiechając się lekko.  
— Jeśli chcesz, możesz tu zostać.  
— Jasne — mruknął Josh. — Możesz przekimać na sofie. No i wtedy wtrąciłam swoje trzy grosze — na dobrą sprawę  
zrobiłam to, zanim w ogóle zdążyłam otworzyć usta. Kom-

pletnie nieudany wieczór, uciekający przede mną facet, ludzie dobierający się w pary, białe wino, szaleńczo zakochana Kate i cała reszta — moje słowa stanowiły wypadkową tego wszystkiego.  
— Albo przespać się w moim pokoju — powiedziałam. Zapadła głucha cisza. Powinnam była odrąbać sobie język

łopatką do sera.

Addison był wyraźnie zmieszany, Josh uśmiechnął się szeroko, a Finn przewrócił oczami.

— Eee... słucham?

— A ja się zdrzemnę na sofie — dodałam szybko w nadziei, że uda mi się wszystko odkręcić.

— Ha! — krzyknął Josh. — Czy rzeczywiście to miałaś na myśli?

Na twarzy Finna nadal malowała się konsternacja.

— Dokładnie to! — odparłam bez zastanowienia. — Po prostu staram się zachowywać jak przykładowa gospodyni.

— Może wobec tego oboje z Finnem zajmiecie mój pokój? U mnie jest przynajmniej dwuosobowe łóżko, a ja nie mam nic przeciwko spaniu na sofie.

— Zamknij się — przerwałam mu. — Może w takim razie ty się z nim prześpisz?

To był szczyt chamstwa. Właściwie była to najbardziej chamska odzywka w moim życiu; gorsza nawet niż wtedy, kiedy nazwałam Marion Annis wielką, grubą krową, za co musiałam zostać w kozie. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałam.

— Nie bądź taka uszczypliwa — odezwał się Josh. — Ja tylko...

— Och, tu jesteś! — zakwilił jakiś cieniutki, lecz zdecydowany głosik

Rozejrzeliśmy się dookoła.

— Madeleine! — zawołał Finn. — Przyszłaś!

Ożeż ty! Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To była ta kujonka z Muzeum Historii Naturalnej.

— Tak, przepraszam za spóźnienie. Mały kryzys w skrzydle myszokoczków.  
— Nie ma o czym mówić. Fajnie cię zobaczyć. Myślę, że przyjęcie się skończyło, ale...  
— Wybaczcie, chyba już pójdę. Idę sobie strzelić w łeb — obwieściłam, wstając z krzesła.  
Kiedy poszli, wróciłam do kuchni, by przeprosić Josha.  
— Przepraszam, Holi, ale nie miałem pojęcia, że robisz do niego maślane oczy.  
— Nie robię — odparłam zrozpaczona i spojrzałam tęsknie na Addisona. — Chodzi tylko o to, że to jedyny inny facet, którego znam. Jedyny, który nie spotyka się z kimś, kogo poznał przez Internet. Spojrzałam na Addisona — miałam nadzieję, że zrozumie.  
— Dobranoc — wymamrotał przerażony i zmył się czym prędzej.  
— Mężczyźni uważają, że jestem ODPYCHAJĄCA — wściekałam się następnego ranka, trzymając się za głowę. — I naprawdę JESTEM odpychająca!  
— Ja też jestem ODPYCHAJĄCY! — wrzasnął siedzący obok mnie Josh. — Wszyscy mną GARDZĄ. Przestań krzyczeć!  
— Jak mam przestać krzyczeć? NIENAWIDZĘ siebie! Nienawidzę mojego żalosego stylu... Czy jest choć jedna osoba, której NIE próbowałam zaciągnąć wczoraj do łóżka?  
— JA! — rozdarł się Josh. — Ponieważ jestem TAK ODPYCHAJĄCY, że nawet ty nie chciałaś pójść ze mną wczoraj do łóżka!  
Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i usłyszeliśmy, że ktoś śpiewa na korytarzu. Gapiliśmy się na siebie oniemiaли.

— Odpierdol się! — zawołał (na próbę) Josh. Nigdy nie przeklinał.

— Cześć wszystkim! — Do kuchni wetknęła głowę zaskoczona Kate. — Jak się macie? Czy ktoś życzy sobie śniadanko? Przyniosłam świeżutkie croissanty!

— Ach, to ty — wymamrotał Josh. — Więc nie opierdaj się, tylko włącz. Trzeba nas pocieszyć, natychmiast.

Kate dała wielkiego kroka nad uśpionym facetem, który nadal leżał bezwładnie w przejściu.

— Nie poszło ci wczoraj wieczorem z Sophie? — zapytała Josha. Nie wydawała się tym specjalnie zmartwiona. — Co się stało? Wasi rodzice chyba się znają?

Mruknął coś, kiedy otwierała karton soku pomarańczowego. Zerknęłam na nią spode łba, zastanawiając się, co mi nie pasuje w tym obrazku. I nagle — już wiedziałam!

— Ehm, Kate... — zaczęłam ostrożnie. Wydawało się, że ma dobry humor, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Zdaje się, że z Johnem wszystko w najlepszym porządku, co?

— Ooo, pewnie — odparła, włączając ekspres do kawy. — Ma ktoś ochotę na tosty?

— Tak, ja — wychrypiał leżący na podłodze osobnik. Zignorowaliśmy go.

— No więc... no wiesz, czy nie powinnaś być teraz przy nim? Wycisnąć mu sok z pomarańczy i parzyć świeżą kawkę? Bo my i tak nie zwracamy uwagi na to, co pijemy... byle było z paracetamolem.

— Wiecie co, powinni zacząć robić napoje gazowane od razu z paracetamolem — stwierdził Josh. — Oszczędziłoby to sporo czasu rano.

— Tak, to świetny pomysł: można by nazwać ten napój Nektarem Samobójców — zbyła go Kate. — Wróciłam, ponieważ po cudownej nocy w hotelu...

— Ooo, Ritz?

— Sheraton. Prawie Ritz.

— Czyli prawie Novotel. Mów dalej.



— Musiał lecieć do Brukseli.  
— W niedzielę, o dziewiątej rano?  
— Właściwie o czwartej. Jest bardzo zajęty.  
— Jest bardzo żonaty! — wyrwał się Josh. — A zresztą nieważne. Po co miałabyś mnie słuchać? Jestem odpychający. A ty przynajmniej uprawiasz seks.  
— Żonaty!!! — wrzasnął nagle facet na podłodze. Zerwał się na równe nogi i rozejrzał dookoła dzikim wzrokiem. — Miałem się żenić!! — My też kiedyś chcieliśmy — odparłam. — Ale społeczeństwo nas okłamało. — Nie, nie, to znaczy... jaki dziś dzień?  
— Niedziela.  
— O mój Boże, żenię się właśnie dzisiaj!  
— OK, zgadzam się — powiedziałam.  
— Nie, nie. Z Carrie.  
— Uaa!  
— Cholera, musiałem się nieźle nawalić... Gdzie ja jestem? Spojrzeliśmy na niego rozbawieni.  
— Pimlico. Psy tu dupami szczekają, ale przynajmniej mamy blisko do metra.  
— Gdzie? — W Pimlico.  
Z jego twarzy wynikało, że nie bardzo kojarzy.  
— Londyn — próbował dalej Josh.  
— Londyn? — powtórzył facet i zbladł jak ściana.  
— A ty myślałeś, że gdzie jesteś?  
— Cardiff. — Skrzywił się. — Aaaaaaaaaaaaaaaaa! — wrzasnął, po czym zgarnął buty i już go nie było. Pobiegliśmy szybko do gościnnego, by zobaczyć, jak pędzi ulicą na złamanie karku.  
— Do metra w drugą stronę! — darł się Josh.  
— Stawiam dwa do trzech, że i tak mu się nie uda — stwierdziłam. — Lepiej się zastanów, oby nie było za późno...

- Ale za to jakiś taksówkarz zostanie dziś nieprzyzwoicie bogaty — zauważyła Kate.
- Jestem przekonany, że gość znajdzie drogę do domu i że czeka go mnóstwo szalonych przygód.
- Nie, Josh, coś ci się pomyliło. To przez te wszystkie filmy, które puszczają w telewizji.
- Wróciliśmy do kuchni, by zacząć mało ekscytujący obchód z workami na śmieci.
- O Boże — jęknęłam. — Cały czas przypominają mi się wszystkie straszne rzeczy, jakie zrobiłam.
- Na przykład? — zainteresowała się Kate.
- Aaa, taki jeden... powiedział, że z tobą pracuje. Jakiś idiota... Był tu...
- Geoff? — Kate pobladła. — Geoff tu był?
- Tak, tak właśnie miał na imię, dupek. W każdym razie...
- Co powiedział? Wspomniał coś na mój temat?
- Wspomniał coś o swoim porszaku. Dupek.
- O Boże, to był on!
- Ten facet od psiego dentysty? — zaskoczył wreszcie Josh i delikatnie poklepał Kate po ramieniu.
- Ten żonaty i dzieciaty — warknęła.
- Uspokój się, kogo to obchodzi?
- Mnie! Chciałam, żeby zobaczył mnie i Johna. Gdyby widział, jacy jesteśmy szczęśliwi, błagałby mnie, żebym do niego wróciła, a ja mogłabym wtedy powiedzieć „Nie!”.
- Czy nie przyszło ci kiedyś do głowy, że jesteś odrobinę przewrażliwiona?
- Chyba sobie żartujesz! Jak myślisz, po co płacę mojej psychoterapeutce osiemdziesiąt funtów za godzinę?
- Żeby ci mówiła, że jesteś przewrażliwiona.
- Właśnie. I że mam do tego prawo.
- Już dobrze. Nie pozwoliłaś mi dokończyć o tym, dlaczego tak strasznie się zachowałam.
- Ha! Dzięki Bogu jestem tylko przewrażliwiona!

- Spytała Finna, czy nie pójdzie z nią do łóżka — pomógł mi Josh.
  - Serio?
  - Boże, Josh, to nie było tak, rozumiesz? Przejęzyczyłam się i wcale nie to miałam na myśli.
  - Nie ma czegoś takiego jak przejęzyczenie — stwierdziła Kate.
  - Ooo, to też powiedziała ci twoja psychoterapeutka? To było przed czy dopiero po tym, jak wyjaśniła ci, dlaczego nie została prawdziwym lekarzem? Może „przejęzyczyła się” na egzaminach?
  - Nie zastanawiałaś się nigdy, czy nie jesteś przypadkiem zbyt agresywna?
  - Moi współlokatorzy oskarżają mnie, że jestem dziwką, i tylko ja mam tu problem.
  - Uspokój się, Holly — mitygował mnie Josh. — My tylko żartowaliśmy.
  - Sama zaczęłaś — wytknęła mi Kate.
  - Przepraszam — westchnęłam. — Po prostu jestem na siebie cholernie zła.
  - To co, lubisz go?
  - Nie! No, przecież wiecie, że nie! Jest fajtłapą i nosi brudne okulary, a ja potrzebuję prawdziwego mężczyzny.
  - Jaaaasne. No to dlaczego zapytałaś, czy pójdzie z tobą do łóżka?
  - To nieprawda. Zaproponowałam, że oddam mu swoje łóżko, a sama prześpię się na sofie.
  - Doprawdy? Przejaw nadzwyczajnej wielkoduszności.
  - Cóż, tak myślę... ja nie... to znaczy, wiecie, przyjemnie byłoby usnąć obok kogoś miłego. Kogoś innego niż Frank Sinatra.
- Kate i Josh przytaknęli.
- Wiem, co masz na myśli — mruknęła Kate. — Ale bzyknęłabyś się z nim w zamian za małe przytulanko?
  - Nie! — zaprotestowałam gwałtownie, ale po chwili

dodałam nieco zawstydzona: — Może... no wiecie, dzięki mnie przeżyłby najlepszą noc w swoim życiu albo coś takiego.

— Mnie wystarczyłby jeden pocałunek z Sophie — stwierdził smutno Josh, wynosząc na zewnątrz wór śmieci.

Kate uśmiechnęła się do mnie i wyszła za nim. Dobrze wiedzieć, że mnie rozumieją, pomyślałam.

— A powiedziała ci, że do Addisona też startowała? — dobiegło mnie z korytarza.

Podłe świnię!

## ***Rozdział szósty***

Chali i ja siedziałyśmy w kwiaciarni i, jak zwykle, gadałyśmy jak najęte. Wkładałam róże do wazonu. Nienawidziłam róż. Po pierwsze — kłuły, a po drugie — kupowali je wyłącznie młodzi chłopcy i mężowie, którzy źle traktowali swoje żony. Chali postanowiła wpleść we włosy wszystkie kolorowe wstążki, jakie miałyśmy w sklepie, i żuła gumę, obsługując ludzi.

Od przyjęcia minął mniej więcej miesiąc, ale nadal znajdowaliśmy okruchy potłuczonego szkła wokół zmywarki do naczyń. Dopiero co przełknęłam tę upokarzającą historię z Finnem i przestałam zatykać usta rękami, żeby nie jęczeć głośno, kiedy tylko o nim pomyślałam, ewentualnie — gdy wspomniała o nim Kate. Biedaczka zaczęła kolejną wielką krucjatę przeciw mężczyznom po tym, jak John znowu do niej nie zadzwonił. Darła się nawet na prezenterów wiadomości, wyzywając ich bez powodu od „kłamliwych łotrów”. Jeśli zaś chodzi o Amerykanów, to znaleźli się w poważnych tarapatach. Do szalu doprowadzała nas Sophie, której weszło w nawyk „wpadanie” do nas w porze obiadowej — obzerała się jak smok, podrzucała Joshowi stertę roboty i znikwała. Pewnej nocy wydawało mi się, że płakał. Kate zarzucała mu, że zachowuje się, jakby był wykastrowany, i że jego penis na

pewno niedługo zaniknie, choć „biorąc pod uwagę całe zło, jakie wyrządzacie kobietom, nie byłoby to wcale takie złe”.

Ani razu nie spotkałam Addisona. Po swoim chwilowym przebudzeniu chyba na nowo wycofał się z życia towarzyskiego i chociaż wyczekiwałam do późna w nocy, drzwi jego pokoju były zawsze zamknięte. Podejrzewałam, że mogłam go wystraszyć — jak w *Badger Watech 4* — możliwe, że nie zobaczymy go przez kilka miesięcy.

Najbardziej ze wszystkich skorzystała na przyjęciu Chali, okazało się bowiem, że tamten śmierzduch naprawdę pracował w przemyśle muzycznym i załatwił jej śpiewanie w chórkach podczas koncertu jakiegoś nowego zespołu. Była diabelnie podekscytowana i przekonana, że wreszcie nadszedł jej czas.

— Wiesz, że masa ludzi zaczynała od chórków?

— Tak, wiem — odparłam. — Na przykład Alison Moyet.

— Kto?

— No wiesz, *Alf...* Alison Moyet.

— Nie. Czy to przedwojenne dzieje?

— Skąd, to dziewczyna z Fairground Attraction. Śpiewała w chórkach z zespołem Eurythmics.

Nic nie odpowiedziała. Przysięgłabym, że robi to celowo.

— Słyszałaś o Eurythmics?

— No dobra, Holi, nie zrozum mnie źle, ale może ty jednak nie powinnaś iść na ten koncert, co?

— Oczywiście, że przyjdę. Wszyscy przyjdziemy. Może zauważą cię, jak śpiewasz gdzieś z tyłu, jak to było z... kogo miałaś na myśli? — Lauryn Hill.

— A tak, naturalnie.

— Musisz zabierać tę blond paniusią?

— Kogo, Sophie? Nie, ona nie jest moją znajomą.

— Nie ją, tego faceta.

— Josha?

— Aha. Będzie się tylko niepotrzebnie wyróżniał, jak jakiś palant.

— No, no. Ty już zachowujesz się jak prawdziwa, upierdliwa gwiazda!

— Czy myślisz, że znajdziesz sobie kiedyś faceta?

Pokazałam jej środkowy palec i w tym momencie usłyszałam brzdęk otwieranych drzwi. Spojrzałam na nie. Chali nie zadała sobie nawet trudu, by podnieść głowę. Przecież to takie trudne — musisz zignorować swoje podstawowe, fizjologiczne odruchy — podchwyciła ten ton, wstępując do klubu aroganckich zasmarkańców, i uparcie go doskonaliła.

Nasz klient stał i mrugał oczami, próbując oswoić się z panującą w sklepie ciemnością, kontrastującą ze światłem czerwcowego dnia.

— Dzień dobry — przywitałam go z drugiego końca sklepu. — W czym mogę pomóc?

Podniósł głowę i — ku mojemu przerażeniu — stwierdziłam, że to Finn. On zresztą poznał mnie dokładnie w tej samej chwili i cofnął się zaskoczony.

— O, yy... kurczę, cześć! — wymamrotał z wyrazem twarzy, jaki mają ludzie, których właśnie poinformowano, że stoją obok nierozbrojonej bomby i jeśli tylko drgną, wybuchnie. — Nie wiedziałem, że tu pracujesz!

— Niby skąd miałeś wiedzieć?

— No tak...

Chali porzuciła zaplatanie włosów, wyczuwając w powietrzu zapach ploteczek.

— Poproszę jakieś, yyy... kwiaty.

— Dobrze trafiłeś — zauważyłam. — Więc myszoscoczki już wyzdrowiały?

— Co? A, nie. Yy... to dla mojej siostry, właśnie zdała egzamin.

— Jest słodki — szepnęła Chali, brutalnie wpychając mi łokieć między żebra.

— Zamknij się — ostrzegłam ją i odwróciłam się do Finna. — No tak, tak. Pewnie na prawo jazdy?  
— Nie... to był podwójny egzamin wstępny na Cambridge.  
— To dobrze czy źle? — zapytałam z zatroskaną miną, chcąc go zdenerwować.  
— Yyy... — Wyglądał na trochę zdezorientowanego — Cóż, całkiem dobrze. A zatem, proszę o coś wesołego i kolorowego.  
— OK — odpowiedziałam. — Bukiet czy raczej coś jednorodnego? Jeśli jest kujonem, to może wolałaby dostać jakieś miniaturowe drzewko? Mają łacińskie nazwy.  
— Nie wiem... jak uważasz. Słuchaj, miałem zadzwonić i podziękować za imprezę.  
— O? To czemu tego nie zrobiłeś? Miałabym okazję jeszcze bardziej się skompromitować. Specjalnie dla ciebie, przez telefon.  
— Nie wiem... pomyślałem, że będziesz...  
— Opryskliwa, tak jak w tej chwili? — wtrąciła się Chali.  
— Co? — zdziwiłam się. — Wcale nie jestem opryskliwa! Finn i Chali wymienili spojrzenia.  
— Właśnie, że jesteś — stwierdził Finn.  
— Tak?  
— Kochanie, zachowujesz się jak prawdziwa suka — włączyła się Chali. — Pamiętaj, nie jesteś już taka młoda jak kiedyś. Powinnaś łapać każdą nadarzającą się okazję.  
— OK, nie będę wobec niego opryskliwa — spojrzałam na nią spode łba — ale za to będę opryskliwa wobec ciebie. Odwal się.  
Wzruszyła ramionami.  
— Jakby mnie to obchodziło. Ale pożałujesz tego, kiedy będę już sławna. Mam rację? — zwróciła się do Finna.  
— Myślę, że tak — odparł.  
— Rozumiesz już? — Ponownie dźgnęła mnie łokciem. — Jeśli przychodzi jakiś miły facet i chce cię gdzieś zaprosić, to bądź przynajmniej uprzejma.



— Ja wcale... — zaczął Finn, ale przerwał i uśmiechnął się do mnie. — Coś często nam się to zdarza, prawda?

— Co takiego? — zdenerwowałam się.

— Biorą nas omyłkowo za... no wiesz.

— Nie... zdarza się coś innego: ja dochodzę do wniosku, że moglibyśmy, a wtedy ty delikatnie zwracasz mi uwagę, że wcale mnie nie lubisz.

— Wcale ciebie nie „nie lubię”!

— Potrafisz być taki słodki.

Finn zmarszczył czoło i najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo położył na ladzie dłoń.

— Ehem... Holi, a może, sam nie wiem... może chciałabyś... no wiesz...

— Co?

— No nie wiem, może... no wiesz...

— Posłuchaj, Finn, jeśli nie przeliterujesz mi tego wyraźnie, na pewno zrozumiem to w niewłaściwy sposób i wszystko zakończy się katastrofą.

— Absolutnie się z tobą zgadzam, wiem, co masz na myśli. Wziął głęboki oddech i przez chwilę błędził oczami po

sklepie. Podekscytowana Chali złapała mnie za łokieć.

— Holly, czy mogłabyś... rozważyć... pójście ze mną na randkę?

— Tak, mogłaby — wyręczyła mnie Chali. — Właściwie chciałaby zabrać cię na mój koncert jako swoją osobę towarzyszącą. — Rzuciła mu kiepsko skserowaną ulotkę reklamującą jej zespół. — The Bhangpigs. Finn przyglądał jej się w milczeniu, wreszcie się zorientowałam, że w rzeczywistości czeka, bym coś powiedziała.

— Jakiej muzyki zazwyczaj słuchasz? — dopytywała się Chali.

— Hmm... Vaughan Williams<sup>5</sup>?

---

<sup>5</sup>Brytyjski kompozytor (1872-1958), wykorzystujący elementy muzyki ludowej.

- O Boże... nie jesteś chyba pedziem, co? Ale byłby wstyd, gdyby okazało się, że umówiłam Holi z pedziem.
- Niby dlaczego? Czy to miałyby jakiegokolwiek znaczenie? — spytał urażony Finn.
- Gdybyś szedł na randkę ze mną, to tak — odpowiedziałam mu.
- Och... przepraszam. Zareagowałem tak, bo ludzie z City są okropnymi homofobami.
- To jest silniejsze od nich. Wszystko przez te szkolne wygłupy. Kiedyś im się podobało, ale teraz się tego wstydzą.
- Racja. No więc, jak będzie?
- A co z tą kobietą od zwierzęcych wnętrzności?
- A co ma być? — zdziwił się Finn.
- „Czy regularnie wkładasz swojego penisa do jej pochwy?”, miałam ochotę zapytać, ale nie mogłam.
- Nie jest moją dziewczyną, jeśli o to ci chodzi.
- A więc kim? Dziewczyną na przygodne bzykanko? Partnerką do brydża? Żoną? Postanowiłam jednak udzielić mu kredytu zaufania. Uznałam, że Finn nie jest typem Don Juana.
- To będzie prawdziwa randka? — zapytałam.
- No... a co to tak naprawdę znaczy?
- Całowanie — odparła natychmiast Chali.
- Kolację — powiedziałam niemal w tym samym momencie.
- Tańce — licytowała się Chali.
- Kwiaty i czekoladki.
- Wobec tego przeprowadźmy test wyboru — podsumował Finn.
- Tak, ale... no wiesz, zawsze można zaznaczyć odpowiedź „wszystkie”.
- Zapamiętam to sobie. Uśmiechnęłam się.
- Do zobaczenia na koncercie.
- A potem kolacja?

— Brzmi wspaniale.

Uśmiechnął się nieśmiało i cofnął w stronę drzwi.

— O Boże, Holi, tak mi przykro. Naprawdę nie chciałam nazwać go pedziem. Bo wiesz, to przez tę kwiecistą koszulę, i w ogóle... to znaczy... nie to, żebym miała coś przeciwko, w końcu wielu moich znajomych to pędzie. Tylko... no wiesz, gdybym zaprosiła go dla ciebie... Ale jest miły, prawda?

Zignorowałam przemowę Chali, wybrałam ładny bukiet stokrotek i zaczęłam go pakować — chciałam oszczędzić Finnowi niepotrzebnego zakłopotania, gdy — za jakieś dwie sekundy — będę mu go dawać, bo przecież wróci po to, po co tu przyszedł. I oczywiście wrócił — czerwony jak burak. Trochę później nie byłam już taka pewna, co mam o tym wszystkim myśleć. Musiałam jednak przyznać, że było coś na rzeczy, skoro osobnik, który wydawał się tak odporny na moje wdzięki — nawet jeśli były przeciętne — zmienił wreszcie zdanie. Czułam, że odniosłam sukces — mogłam świecić przykładem wszystkim dziewczynom, które będąc na rauszu, zrobiły z siebie idiotkę przed jakimś facetem. Zazwyczaj nikt nie wracał już potem do sprawy, ale on wrócił.

Kate i Josh nie przyjęli tego aż tak entuzjastycznie. Josh ledwo uniósł głowę — leżał na sofie i pracował zawzięcie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby to robił w domu, najwyraźniej jednak chodziło o Sophie. Była na Barbadosie. Nie ośmieliłam się spytać z kim.

— Czy to ten facet, z którym już dwa razy ci nie wyszło?

— Aha. No bo wiesz, nie zawsze trzeba robić coś na siłę!

— Holi, jesteś pewna, że nie zapytał cię tylko o godzinę czy coś podobnego, a ty źle to zinterpretowałaś?

— Ha, ha, ha! Przecież on przyszedł zobaczyć się ze mną, zapomniałeś?  
Kate uniosła głowę. Po tym, jak rzuciła się w wir pracy, by zapomnieć o panu Jak-Mu-Tam, zaczynała już chodzić na rzesach. Nieustannie wyprowadzała nas z równowagi, bo w ramach kampanii przeciwko wszystkiemu, co amerykańskie, zabroniła nam oglądać *Ostry dyżur* i pić dietetyczną colę.

— Skąd wiedział, gdzie pracujesz? Nie pytał mnie.  
— Cóż... no dobra, zajrzał do sklepu przypadkiem...  
— O, czyli okłamałaś nas?  
— ...ale nie wyszedłby stamtąd, dopóki nie umówiłby się ze mną na randkę.  
— No tak, miał szczęście, że nie postanowił kupić bukietka żonkili na stacji benzynowej. Musisz tam mieć dobre grzejniki.  
— Niczego sobie, dzięki, Josh. A jak twoja dozgonna służba?  
— W porządku. Myślę, że cały czas zarabiam na miłość Sophie.  
— Od miłości jest tylko krok do pogardy, czyż nie? — zauważyła Kate. — To mi przypomina program *Jak bardzo mogę tobą gardzić?*  
— Głęboko, wprost do szaleństwa?  
— Tak, do cholery — westchnął Josh. — O, czyżby dzwonił telefon?  
— Nie! — zawołałyśmy jednocześnie.  
— Bardzo się cieszę, że zorganizowaliśmy tę imprezę dla samotnych — powiedziałam.  
— Cóż, dzięki niej przeżyłam jedną wspaniałą noc — rozmarzyła się Kate.  
— Ja też — dodał Josh.  
— A ja umówiłam się na randkę... chyba.  
— No i proszę. Wszystko za cenę czterystu funciaków.  
— I tygodni cierpienia.

— I całego sprzątania.

— I utraty *Careless Whispers*.

— I...

— OK, zamknijcie się już! — wrzasnął Josh.

— No proszę cię, chodź — powtórzyłam po raz czterechsetny. Zawarłam ze sobą cichą umowę: jeżeli Addison nie pójdzie na koncert, zacznę umawiać się z Finnem. Gdyby jednak postanowił się wybrać, będę na niego wiernie czekać. Gdyby powiedział, że pójdzie, ale nie pojawiłby się, nadal bym na niego czekała. Jeśli natomiast kategorycznie by mi odmówił — równie dobrze mógłby pchnąć mnie w ramiona Finna. Nie można byłoby wtedy jednak powiedzieć, że nie dawałam mu szansy.

— Chodź, prooooszę. Mają świetny sprzęt.

— Ale ja nie chcę.

— Może się okaże, że są fantastyczni.

— To zainstaluję sobie ich album w MP trzy.

— Słucham...?

— Nieważne. Zrozum, ja po prostu nie mam ochoty nigdzie wychodzić, OK?

— Addison, przecież wszyscy czasami gdzieś wychodzą.

— Ja nie.

— Czy... — bałam się spytać wprost — czy ty zawsze spędzałeś dużo czasu w domu?

Spojrzał na mnie.

— Nie, ale teraz lubię.

Zamknął się w sobie. Czułam, że nie bardzo mogę drażnić ten temat, ale strasznie się napaliłam — oj, chyba niezbyt szczęśliwie to ujęłam — by dowiedzieć się, co się wtedy wydarzyło. Poza tym, gdybym to ja znalazła się w płonącym domu, prawdopodobnie zamieszkałabym potem pod gołym niebem, na środku ogromnego pola, i już nigdy nie weszłabym do żadnego pomieszczenia. Zupełnie go nie rozumiałam.

— A co sływać u Claudii?  
— Chyba przebaczyła mi tę wpadkę z imprezą.  
— Nie zrobiłaś nic złego.  
— Wystraszyłem ją, a wcale nie miałem takiego zamiaru. „Ona jest psychicznie chora”, pomyślałam, ale zatrzymałam tę uwagę dla siebie.  
— Wydaje mi się, że... no wiesz, ona chyba ma jakieś problemy ze sobą.  
— Nie, potrafi być naprawdę zabawna. Następnego dnia napisała... OK, wiesz, co mówi kapitan Picard, kiedy zapala światło?  
— Co?  
— „Odpalamy!”.  
— Ha, ha, bardzo śmieszne — odparłam. — Addy, proo-oszę cię, chodź na ten koncert. W przeciwnym razie, sam rozumiesz... nie odpowiadam za konsekwencje.  
— Jakie konsekwencje?  
— No cóż, w końcu nie muszę być wiecznie twoją współlokatorką. Pójdę na koncert i mogę poznać kogoś miłego, wyjść za mąż, wyprowadzić się. I z kim będziesz wtedy rozmawiał?  
— Z Claudią?  
Nagle — jakby w odpowiedzi na rzucone w eter wezwanie — na ekranie pojawiła się groteskowa twarz. Oczywiście Addison musiał coś zrobić, bo teraz wirowała w trójwymiarze. Przypominało to scenę z *Egzorcysty*, tyle że Claudia nie potrzebowała żadnej charakteryzacji, by zasłużyć na Oscara.  
— Aj! — wrzasnęłam.  
— O, jest!  
Na ekranie wyskakiwały pisane wielkimi literami słowa. Nie mogłam się oprzeć, żeby ich nie przeczytać. CZY ONA TAM JEST? — spytała Claudia.  
— Ups! Przypuszczam, że ktoś jest nieco zazdrosny — mruknęłam.  
„Nie” — wystukał Addison.

— Nie? Dlaczego nie powiesz jej prawdy? Sprawiasz, że czuję się, jakbym była niewidzialna. Wzruszył bezradnie ramionami.

— Już w porządku! Przecież możesz mówić. Ona cię nie słyszy!

— OK, ee... przepraszam, ale Claudia jest trochę zazdrosna.

— Ha! Lepiej nie jedź do niej w odwiedziny. Widziałeś *Misery*! Wrócisz bez nóg.

Nic nie odpowiedział. Stukał zapamiętałe w klawiaturę.

— NO TO DO WIDZENIA! — zawołałam donośnym głosem. — Pójdę na koncert ZUPEŁNIE SAMA. NIE CZEKAJ NA MNIE! CZEŚĆ, CLAUDIA!

— Baw się dobrze — powiedział, odwracając się na chwilę.

— DZIĘKI. Spróbuję się świetnie bawić — ZUPEŁNIE SAMA.

— Mam nadzieję, że poznasz kogoś miłego. Polubiłem tego faceta, który był na przyjęciu. Może to być ktoś taki jak on.

— ZAMKNIJ SIĘ.

I wyszłam z pokoju, wprawiając go w osłupienie.

Oczywiście nie wybierałam się sama. Szli ze mną Josh i Kate, ponieważ (1) chcieli zobaczyć Chali z zespołem i poudawać, że nadal są młodzi i „na fali”, (2) potrzebowałam wsparcia na wypadek, gdyby nie wyszło mi z Finnem.

Miałam nadzieję, że będę mogła pośmiać się z Kate, kiedy przyjdzie na koncert wystrojona w ciuchy od Armaniego, ale ona — jak na złość — ubrała się w kusy top i supermodne króciusieńkie džinsy. Wyglądała bosko—jednak te sportowe ciuchy miały w sobie coś. Josh włożył ciemny garnitur i krawat w nieco bardziej krzykliwym odcieniu niż zazwyczaj. No ale śmianie się z niego nie było już tym samym.

Nagle — takie są uroki typowego angielskiego lata — zrobiło się zimno, niebo poszarzało i nadciągnęły ciężkie chmury. Koncert odbywał się w obskurnym, przyprawiającym o dreszcze pubie w King's Cross. Gdy wybiła 22.00, nawet się nie zaczął. Wokół kręcili się ludzie, którzy wyglądali na takich, co to noszą ze sobą żyletki, a jacyś Szkoci bełkotali coś do nas niewyraźnie.

— Dlaczego tu jest aż tylu pijanych Szkotów? — spytał głośno i bardzo szybko Josh.

— Zamknij się! — syknęłam i uszczypnęłam go mocno, zanim porwali nas w jakąś ciemną alejkę, by nam dokopać. — To w ramach wymiany. W Edynburgu pewnie aż się roi od pijaków mówiących cockneyem, którzy chodzą i wołają „dej no pyfko za funciaka”.

Tego dnia Chali przez cały ranek snuła się po kwaciarni, jakby była na rauszu, i w kółko pytała, co wolę: kołeczek czy kółko w brwiach. Próbowwała nawet ściągnąć w tym celu panią Bigelow, ale ta stwierdziła tylko, że od ślubu Karola

i Diany nie opuściła ani jednego odcinka *Coronation Street 6* i spytała, czy Chali nie boi się, że jeśli wyjdzie ozdobiona w ten sposób, ludzie pomylą ją z jakąś zawodową artystką.

Aby wejść, trzeba było zapłacić przy drzwiach przerażającą kwotę 10 funtów. Josh i Kate wyciągnęli forszę, jak gdyby nigdy nic — bo dla nich rzeczywiście było to nic — postanowiłam więc nie marudzić zbyt długo. Musiałam jednak przynajmniej spróbować...

— Czy jestem na liście gości?

Bramkarz, który wyglądał jak z fabryki genetycznie udoskonalonych superludzi, zaśmiał się tylko, dając mi do zrozumienia, że mój żart był mało zabawny.

— Jesteś z wytwórni płytowej, złotko?

— Tak! — odpowiedziałam szybko. Grunt to pewność siebie. Stojący za mną Josh z trudem powstrzymywał śmiech.



— Z której?

— Yyy... Cross Scofs Records.

Pochylił się i spojrzał mi prosto w twarz. Krzaczaste brwi rzucały cień na jego oczy. Próbowałam wytrzymać jego wzrok.

— Czyżby?

— Jasne. Nie słyszałeś naszego nowego numeru — rozglądałam się dookoła w poszukiwaniu inspiracji — „Siki w rynsztoku”?

— Nie. — Zacisnął swoją wielką łapę na moim ramieniu — A ty słyszałaś moje ostatnie nagranie „Krew w rynsztoku”?

— Nie — odparłam, przelękając nerwowo ślinę.

— Nie, proszę pana — usłyszałam za plecami głos Josha.

— No to spieprzaj.

— Czy w takim razie mogę zapłacić dziesięć funtów? — zapytałam, gapiąc się w ziemię.

— Możesz zapłacić piętnaście... za tupecik.

— Zajmę się tym — pospieszył mi na ratunek Josh. Kiedy podał bramkarzowi dwadzieścia funtów i machnął ręką, by zatrzymał resztę, uwiesiłam się na jego ramieniu, przepełniona wdzięcznością.

— Dziękuję za ocalenie mi życia, Panie Siusiumajtku — powiedziałam, gdy byliśmy już w środku, bezpieczni. — Zrobiłem to, bo myślałem, że cię pożre.

— Ja też. Mówię ci, to będzie wspaniały wieczór. Wewnątrz było gorąco jak w piekle i aż roiło się od dziwnie i szpanersko poubieranych ludzi, którzy wyglądali na dużo młodszych i o niebo pewniejszych siebie ode mnie. Westchnęłam. Najwyraźniej brakowało mi genu odpowiedzialnego za zamiłowanie do przesiadywania w miejscach, gdzie po ścianach spływają krople pary i brakuje miejsc siedzących. Byłam gotowa zabić dla jednego krzesła.

W drodze do baru Josh musiał walczyć z napierającym tłumem, a kiedy przechodził, nastolatki wytykały go palcami

i chichotały za jego plecami. Minęło chyba z sześć godzin, zanim wrócił, niosąc trzy duże, ulewające się, chrzczone wodą piwa w plastikowych kubkach; na jego twarzy malowało się nieopisane cierpienie.

— Cóż, nie jest to bar U Harry'ego — mruknął i zaczął sączyć swoje piwo najdostojniej, jak tylko potrafił, chociaż i tak rzucaliśmy się w oczy jak trzy banjo w orkiestrze pogrzebowej.

— Boże drogi, wypijmy za to, że nie jesteśmy już studentami — zaproponowała Kate. — Oni na pewno podchodzą do stolików.

— Nie sądzę — odparł Josh. — Ta kolejka kosztowała mnie osiem sześćdziesiąt.

— Tak, ale pewnie nałożyli na ciebie podatek od krawata — stwierdziłam.

— Przypomina to występ Beatlesów w Cavern Club — burknęła ponuro Kate.

— Chyba raczej Ryczących Furiatów, którzy grali w Hangarze — sprostował Josh.

— Kogo?

— Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty. Byli do kitu. A duże piwo również kosztowało prawie trzy funciaki.

Lekko zaniepokojona, rozejrzałam się, czy w pobliżu nie ma Finna. Nie chciałam jeszcze wpadać w panikę, ale gdy wyglądałam bluzkę, stwierdziłam, że spociły mi się ręce.

— Zostaję jeszcze pięć minut, a potem idę do domu — obwieściła Kate.

— Nie możesz! Nie możesz mnie tu zostawić! Zapłaciłaś dziesięć funtów!

— Idę z tobą — powiedział Josh.

— Przecież ty zapłaciłaś trzydzieści!

Tuż przed nami jakiś łysy facet w ogromnych martensach i spodniach na szelkach pośliznął się w kałuży piwa oraz czegoś, co mogło być wymiocinami, i upadł na tyłek. Zamiast się podnieść, siedział i ryczał ze śmiechu, a jego znajomi

pokazywali go palcami i darli się z zachwytu, jakby zaprezentował właśnie jakąś niezwykle spektakularną ewolucję.

— Zapłaciłbym nawet sto, byle się stąd wydostać — mruknął Josh.

Po raz kolejny zerknęłam nerwowo w stronę drzwi. Facet-monstrum spojrział na salę dokładnie w tym samym momencie. Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się szyderczo.

— Niewykluczone, że będziesz musiał — odparłam.

— Wcale się go nie boję — oświadczył Josh, gdy zobaczył, komu się tak przyglądam.

— Yyy... a właśnie że tak.

— Nie pozwoliłaś mi dokończyć: nie boję się go bardziej niż jakiegokolwiek siedzącej tu osoby.

Dla bezpieczeństwa stanęliśmy bliżej siebie. Zespół nie zdradzał najmniejszej chęci rozpoczęcia występu, a po scenie wałęsali się ludzie, którzy nieustannie opukiwali perkusję. Nie widziałam nigdzie Chali. Nagle dopadło mnie przeczucie, że wieczór okaże się totalną klapą i cała wina spadnie na mnie — niezależnie od tego, czy zostaniemy, czy wyjdziemy.

W tym momencie pojawił się Finn — potykał się, wchodząc do środka. Na widok jego przystojnej twarzy poczułam ogromną ulgę, jednak mój entuzjazm opadł, gdy stwierdziłam, że przyszedł w budrysówce i dżwiga przepastny tornister. Jakbym miała randkę z klasowym kujonem bez krztyny seksapilu.

— Witaj! — zawołał, torując sobie drogę przez gęsty tłum. Po chwili stanął naprzeciwko mnie. Miał zaróżowione

policzki i rozchełstaną koszulę, a jego czarne kędzierzawe włosy sterczały we wszystkie strony.

— Cześć — odpowiedziałam.

Przez chwilę myślałam, że chce mnie pocałować w policzek, bo pochylił się jakoś dziwnie — uskoczyłam więc do tyłu, ale zrobiłam to dość niezgrabnie i uderzyłam nosem w jego okulary.

— Cześć, Finn — zachichotała Kate.

Odwrócił się i zobaczył ją—w tych obcisłych spodenkach.

— O, cześć... wyglądasz, hmm... bardzo ładnie.

— Przyjmij do wiadomości, że ja wcale nie sypiam w biurze.

— W porządku — powiedziała szybko. Jeśli nikt nie ma nic przeciwko, to wołałabym, żeby facet, z którym umawiam się na randkę, nie zaczynał od progu flirtować z moją współlokatorką.

Odwrócił się w moją stronę.

— Ty również wyglądasz bardzo ładnie — oświadczył. — Mam coś dla ciebie. Proszę.

Otworzył tornister i wyciągnął pudełko czekoladek. Gapiłam się na niego totalnie zaskoczona.

— Cóż, skoro ma to być „prawdziwa randka”... — dodał przeproszającym tonem i wcisnął mi pudełko do rąk.

— Czekoladki! Pierwsza klasa! — zawołał Josh. — To znaczy... nieźle, nieźle!

— Dziękuję — odparłam. Stałam w zatłoczonym pubie i trzymałam lekko sponiewierane pudełko. — Ale gdzie mój bukiet?

Ponownie zanurzył ręce w swojej teczce i wyłowił z niej maleńką gałązkę wrzосу, owiniętą aluminiową folią.

— Jakaś szalona stara Szkotka nie chciała dać mi spokoju.

— Wygląda na to — szepnął do mnie Josh — że ta szalona stara Szkotka wyczuła pismo nosem.

Odgoniłam go ręką jak natrętną muchę i pozwoliłam Finnowi zatknąć wrzos w mojej butonierce.

Patrzyliśmy na siebie, szczerząc zęby jak para czubków. Cieszyłam się jak małe dziecko.

— Napijesz się czegoś? — spytałam wreszcie.

— Mam pozwolić, żebyś mi postawiła drinka na naszej pierwszej randce? Nigdy w życiu!

— Przecież wiesz, że to „prawdziwa randka”, a nie „seksistowska randka”, prawda?

— A, tak. Zapomniałem. Czyli mam pozwolić, żeby kobieta stawiała drinki na pierwszej randce?

— A mam skopać faceta po jajach na pierwszej randce?

— No dobrze, duże piwo.

— Masz dziś szczęście. Ciepłe, jasne, chrzczone wodą.

— Hmm... poproszę.

Kiedy wróciłam z baru, z drugiego końca pubu rozległ się donośny ryk i tłum ludzi rzucił się w tamtym kierunku. Ruszyliśmy ich śladem i wylądowaliśmy aż pod samą sceną — była wielkości wanny, ale jakimś cudem udało się na niej upchnąć wokalistę, dwie wielkie kolumny keyboardów, didżeja ze stołem mikserskim, a gdzieś z tyłu stała Chali — zjawisko w przezroczystych szkarłatnych szatach („Ciekawe, czy ona wie, że to jest przezroczyste?”, zastanawiała się jakaś częśćka mnie, ale zaraz klepnęłam się w czoło — w myślach — na znak swojej głupoty) oraz niesamowicie wysoka Murzynka (też w szkarłatnym). Obie dziewczyny wyglądały fantastycznie. Jeśli zaś chodzi o wokalistę i dwóch klawiszowców, sprawiali raczej komiczne wrażenie. Didżeja nie można było zobaczyć, ponieważ naciągnął na twarz czapkę, za to wokalista był ubrany w srebrny błyszczący garnitur i miał strasznie rozszerzone pory. Ostrożnie spojrzałam na resztę, ale zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, facet w srebrnym garniturku, opierając się na statywie mikrofonu, pochylił się nad sceną i wrzasnął:

— AAAAA! BIJ MNIE! ZABIJ MNIE! TYLKO ZAPŁAĆ MI!

— Kurde balans — usłyszałam za plecami głos Josha. Didżej skreczował.

— PALNIJ MNIE! UWIELBIAJ MNIE! METALOWYM PALNIKIEM — O, JE!

Finn i ja kiwaliśmy głowami na znak uznania dla jego talentu do rymów.

— WYKORZYSTAJ! ZNIEWAŻAJ! W KONTAKCIE PALCE MOJE OBSMAŻAJ...

Hałas był wprost niewyobrażalny. Słyszałam, jak podskakują mi bębniaki w uszach. Przez cały czas obserwowałam Chali, bo nie chciałam przegapić, kiedy nadejdzie jej kolej. Ona jednak kołysała się tylko, jakby była najbardziej pijaną osobą na świecie, czyli jak w prawdziwym chórze

— MOŻESZ MNIE KŁUĆ! MOŻESZ NA MNIE PLUĆ! A JEŚLI MASZ OCHOTĘ — ZASPOKÓJ SWOJĄ CHUĆ!

— Teraz będzie wpadający w ucho refren — obwieściłam Finnowi.

— BO NIENAWIDZĘ SIEBIE I CHCĘ UMRZEĆ/TNĘ SIĘ I CHCĘ UMRZEĆ, NIENAWIDZĘ SIEBIE I CHCĘ UMRZEĆ/JESTEM CAŁKIEM SAM I CHCĘ UMRZEĆ!

Keyboardy trzeszczały coraz głośniej.

— CHCĘ UMRZEĆ! — podniecała się Chali i jej wysoka koleżanka. — CHCĘ UMRZEĆ! CHCĘ UMRZEĆ!

Nagle rozległ się głośny zgrzyt jakby we wzmacniaczu — nastąpiło sprzężenie zwrotne i występ się skończył. Piosenkarz uklonił się z galanterią.

— WITAJCIE W KING'S CROSS! — wrzasnął — TO WSPANIAŁE, ŻE MOŻEMY TU BYĆ!

Tłum oszalał i tylko nasza czwórka stała i gapiła się na niego.

— Nie sądzę, żeby ten facet chciał umrzeć — powiedziała w końcu Kate. — A to dla mnie spore rozczarowanie, ponieważ bardzo ucieszyłaby mnie jego śmierć.

— To trochę jak Nirvana, prawda? — odezwał się Finn — Oczywiście gdyby nigdy nie nauczyli się grać na gitarze i yyy... byli, no wiecie... do dupy.

— Ale Chali jest dobra — wstawiłam się za nią lojalnie.

— Taa, jasne... a już szczególnie to jej „chcę umrzeć”. Przytaknęłam.

— A teraz słuchajcie! — nie przestawał wrzeszczeć wokalista. — Następna piosenka opowiada o tym, jak rząd usiłuje nas zgniebić. Dlatego róbcie swoje i już, dobra?

— Tak właśnie myślałem — mruknął Josh.

— Jestem pewna, że te stare egzaminy do liceum miały jakiś sens...

— Nie, nie to miałem na myśli. Wydaje mi się, że skądś go znam.

— Co?

— Oczywiście kiedyś brzmiał trochę inaczej, ale tak... to przecież Bladen-Start. Za czasów szkolnych mieszkaliśmy w jednym internacie!

— Naprawdę?

— Pewnie. Jak on miał na imię...? Bladen-Start, Bladen--Start. No tak, Tristram, właśnie tak.

— Naprawdę? — powtórzyłam. — Fantastycznie!

Na scenie Tristram usiłował właśnie przekrzyknąć dźwięki perkusji i gitary basowej:

— NIE SŁUCHAJ, CO GADAJĄ/I TAK RACJI NIE MAJĄ/ WIĘC IDŹ SIĘ NAWALIĆ/ ŻYCZĘ MIŁEJ ZABAWY / NIE ŚCIEL ŁÓŻKA PO SOBIE /1 NIE DZWOŃ DO MAMY...

Tłum szalał.

— Był głupi jak but! — darł się Josh, przekrzykując hałas. — Jego ojciec musiał niemal wybudować nowy college, żeby przyjęli go do Oxfordu.

— SZKOŁA JEST DLA MIĘCZAKÓW I KONFORMISTÓW/PIEPRZYĆ STUDENTÓW I STARYCH MARKSISTÓW / WYJDŹ NA ULICĘ I ŻYJ PO SWOJEMU/WYSTARCZY CI KOKS

— DAJ SOBIE DŹEMU!

— Jeee! — darli się ludzie.

— Kupa bzdur — stwierdziła Kate. Przekazałam jej najświeższe informacje od Josha i jej oczy zapłonęły nagłym blaskiem.

— Dalej, Tristram! — krzyknęła i parsknęła śmiechem.

— NIE MUSISZ! NIE MUSISZ! NIE MUSISZ' JEŚLI NIE MASZ OCHOTY!

— Jeee! — wrzeszczała Chali, unosząc elegancko ramiona.

— Zatańczymy? — spytał Finn mojego łokcia.

— Że co??

— No wiesz... jesteśmy na randce... czy regulamin nie obejmuje czasem tańca?

Tristram udawał, że próbuje odbyć stosunek z głośnikiem. Cały przedni rząd podskakiwał, chcąc dotrzeć do jego nóg.

— OK — odparłam.

Finn zaprowadził mnie na drugą stronę baru, gdzie było względnie cicho. Rzucił nasze torby w paskudną kałużę czegoś tam, uklonił się, a potem objął mnie.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? — krzyknęłam.

— Tańczę! — odkrzyknął i okręcił mnie.

— Finn!

— Spodoba ci się bardziej, jeśli przestaniesz się opierać.

— Faceci zawsze tak mówią! — zawołałam do niego, gdy znaleźliśmy się od siebie na odległość ramion, ale on nie zwracał już na mnie uwagi, wykonałam więc kolejny obrót.

Tańczyliśmy cztery razy wolniej, niż nakazywał wybijany na scenie rytm, ale na szczęście wszyscy nas ignorowali — prawdopodobnie wzięli nas za czyichś rodziców. Postanowiłam, że dam się ponieść chwili i pozwolę rzucać sobą na wszystkie strony. Nieoczekiwanie Finn okazał się doskonałym tancerzem, a ja rozkoszowałam się nowym doświadczeniem — nie czułam się skrępowana i nie przejmowałam się muzyką, ponieważ: (1) to nie była muzyka, (2) byliśmy tak bardzo „nie na czasie”, że dla tego tłumu i tak pozostawaliśmy niewidzialni.

— Gdzie nauczyłeś się tańczyć? — spytałam bez tchu, kiedy przechylił mnie przez kolano pod koniec piosenki

- PIEPRZYĆ! PIEPRZYĆ! A POTEM JESZCZE TROCHE!



— No cóż, chłopaki z drużyny piłkarskiej podeptali moje okulary, więc mama zapisała mnie na kurs tańca — odparł, wzruszając ramionami.

— Czy to wpłynęło na twoje notowania w drużynie?

— Myślę, że to przeze mnie służba zdrowia zniosła darmowe okulary. — Skrzywił się na samo wspomnienie. — Tylko w tamtym roku starałem się o nowe aż pięć razy. — Co tam, nieważne — dodał po chwili. — Większość chłopaków siedzi teraz pewnie w więzieniu. — Od czasu do czasu natykam się na nich w City... wrzeszczą, żeby przynieść im butelkę periera, i klepią kelnerki po tyłkach.

— Oo, chodziłeś do prywatnej szkoły?

— Miałem stypendium — mruknął. — Mały Żydek ze stypendium. Cóż, można się do tego przyzwyczaić. Do dzisiaj myję głowę w muszli klozetowej.

— Mieszkałeś w internacie?

— Zapuszkowali mnie w nim na dziesięć lat.

— To już minęło. — Ścisnęłam jego ramię ze współczuciem. — Teraz jesteś wolny.

— Wiem — odparł z uśmiechem. — I wiem też, jak robi się COŚ TAKIEGO!

Dokładnie w tym samym momencie, gdy Tristram zaczynał kolejną piosenkę, przechylił mnie do tyłu i zastygłam w niezwykle dramatycznej pozie. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że muzyka umilkła, i pomyślałam sobie, że zaraz mnie pocałuje. Co dziwne, uświadomiłam sobie, że przez ten ułamek sekundy naprawdę tego chciałam.

— Ho, ho! — zawołał Josh. — Coś mi się wydaje, że wy dwoje dobrze się bawicie. Skates, może się przyłączymy?

Natychmiast się wyprostowaliśmy.

— Nie ma sprawy — odparła Kate. — Ale o dziesiątej rano muszę być w Antwerpii.

— Poczekaj — powiedział Josh. — Tylko się przywitam z Tristramem.

— Właściwie wcale nie miałam ochoty tańczyć — stwierdziła Kate. — Czy wobec tego mogę już iść do domu? Proszę.

Wszechobecna muzyka ucichła.

— TERAZ IDZIEMY NA MAŁĄ PRZERWĘ! — wrzeszczał Tristram. — ALE GDYBY KTOŚ CHCIAŁ MI ZROBIĆ LASKĘ, BĘDĘ PRZY BARZE. - Tłum ryczał ze śmiechu. — CHYBA ŻE KTOŚ Z WAS OKAŻE SIĘ ŁOWCĄ TALENTÓW, WTEDY MY WAM TO ZROBIMY.

— Może w takim razie nie pójde się przywitać — zmienił decyzję Josh.

Zobaczyliśmy, że w naszą stronę pędził Chali, a za nią jej świta flejtuchowatych sługusów.

— Cześć wam! Tak się cieszę, że wpadliście!

— Byłaś fantastyczna! — pogratulowałam jej. — I cudownie wyglądasz — dodałam. Przynajmniej to ostatnie było prawdą.

— Dzięki. Oto Sznyta, Karaluch, Wayne i Zielarz.

— Hej — kiwnęliśmy sobie głowami.

— To są ludzie, którzy zrobili tamtą imprezkę — wyjaśniła Chali.

— Hej — wymamrotał jeden z nich i uniósł niemrawo rękę, jakby był śmiertelnie zmęczony.

— Finn, podoba ci się? — zapytała Chali figlarnym tonem.

— Bardzo — odparł i uśmiechnął się, patrząc na mnie. — Dzięki za zaproszenie. Śpiewasz naprawdę cudownie.

— Wiem — odparła. — O, proszę, znacie Shę?

Dziewczyna z chórkę Chali podeszła i stanęła obok; sącyła przez słomkę drinka w wysokiej szklance. Uniosła lekko brwi, co w zupełności wystarczy, jeśli wygląda się jak Naomi Campbell. Po chwili jej spojrzenie zatrzymało się na Joshu — jego płowa, miękko opadająca czupryna wleciała mu do piwa i właśnie próbował wycisnąć ją po omacku palcami.

Szepnęła coś Chali, która wzruszyła tylko ramionami i kiwnęła na mnie. Wiedziałam, o co zamierza spytać.

— Nie, skądże... chyba — mruknęłam konspiracyjnie.

— Ale jakim cudem udało ci się...

Josh zapamiętałe oblizywał swoją piwną grzywę i wystawiał ją na wiatr.

— ...zresztą mniejsza z tym. — Chali spojrzała w stronę dziewczyny z chórką, która już się do niego zbliżała.

— Wybierasz się gdzieś po koncercie? — zapytała Sha Josha.

— Co? — wymamrotał. — Yy... nie, chyba nie. Gapiłam się z niewinną miną w jakiś odległy punkt.

— Ehm, może... — dodał po chwili.

— Fajnie. Zaczekaj na mnie — powiedziała Sha, odwróciła się i poszła.

— O kurde! — Oczy Josha niemal wyszły z orbit. — Czy myślicie, że... Dlaczego według was chciała, żebym na nią poczekał?

— Pewnie w wolnym czasie wykonuje zawód prawnika i chce cię prosić, żebyś pomógł jej nadrobić zaległości — wyjaśniła złośliwie Kate.

— Poderwała cię, kolego — wyjaśniła Chali.

— Serio? To znaczy, czy uważasz, że... O kurde! — zawołał. Na jego twarzy malowało się szczęście i oszołomienie.

— O Boże, ja naprawdę idę do domu — jęknęła Kate, stojąc na wprost Chali. — Przepraszam, ale dłużej tego nie zniosę. Nie bierz tego do siebie.

Dziewczyna zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

— Hej, a kim ty właściwie jesteś?

Popatrzyliśmy z Finnem na siebie. Temperatura uczuć Kate spadła poniżej punktu krytycznego.

— Będę musiała zapuścić się samusieńka w te niebezpieczne okolice i zatrzymać jakiegoś taksówkarza... bez licencji, tak, Josh?

Josh gapił się na nią, mrugając oczami. — Że co?

Ale Kate już nie było.

Jeśli chodzi o drugą połowę — mam dość mgliste wspomnienia. Tristram i jego zespół wrzeszczeli: **ONI ZASŁUGUJĄ NA ŚMIERĆ** (tu następowała długa lista, na której znaleźli się kłusownicy, religijni fundamentaliści i biali), **JEŚLI NARKOTYKI ZABIJAJĄ, MOŻE PODAMY JE PREMIEROWI?** — oraz **CHYBA JESTEM BISEKSUAL-NY, ALE BĘDĘ WIEDZIAŁ NA PEWNO, GDY PRZEŚPIĘ SIĘ Z JAKIMŚ FACETEM.**

Ja już jednak nie widziałam prawie niczego. Stałam tuż za Finnem i rozkoszowałam się jego bliskością; prawie — oczywiście nie tak zupełnie — dotykaliśmy się włoskami na naszych rękach. Co chwila obijał się o nas jakiś półprzytomny nastolatek i wpadaliśmy na siebie. To też mi się podobało: skrepowani, przepaszaliśmy się nawzajem i patrzyliśmy sobie w oczy trochę dłużej, niż było to konieczne. Czułam, że mój żołądek wiruje, a bicie mojego serca zagłuszało nawet dochodzące ze sceny jęki potępieńców. Usiłowałam dociec, jakim cudem ten nawiedzony i drażniący bezpośrednio facet wywiera na mnie taki wpływ. Przecież chyba nie dlatego, że był takim dobrym tancerzem. Spojrzałam na niego kątem oka. Niby przyglądał się zespołowi z ironicznym uśmieszkiem, ale czułam, że on również jest zdenerwowany. Przypuszczałam, że to z mojego powodu, nie wiedziałam jednak, co było konkretną przyczyną — może rozpaczliwie chciał się mnie pozbyć? Albo może czuł się dokładnie tak samo jak ja: był zdenerwowany, ale w rzeczywistości rozpaczliwie chciał mnie pocałować? Na pewno nie byłby to jakiś zwyczajny pocałunek — raczej taki filmowy, namiętny i zarazem bardzo delikatny; z tych, na które tak bardzo czekamy i które

tak rzadko otrzymujemy. Nagle uświadomiłam sobie, że snuję fantazje na jego temat z językiem wywieszonym jak u psa i potrząsnęłam energicznie głową, aby czym prędzej wyrzucić je z głowy. Występ zespołu zaczął nareszcie dobiegać końca. Tristram rzucał się jak opętany, usiłując maksymalnie powiększyć obszar naznaczony swoim potem; wykonali znacznie więcej bisów, niż zażądała publiczność, między innymi MOJA MIŁOŚĆ JEST JAK PŁÓD. Kiedy zeszli ze sceny, publiczność również zaczęła się rozchodzić. Josh stał w miejscu, jakby zapuścił korzenie.

— Więc jak? — spytałam.

— Powiedziała, żebyś tu został — powtórzył słowa Shy.

— Nie jestem pewna, czy rzeczywiście miała na myśli właśnie ten konkretny metr kwadratowy podłogi.

— Przezorności nigdy za wiele — odparł i po namyśle dodał: — Tyle że ja muszę do łazienki.

— Czy chcesz, żeby Finn postął tu przez minutkę i udawał ciebie, gdy ty pójdziesz zrobić siusiu?

— Nie, dzięki. Nic mi nie będzie.

— Jasne, aż do momentu, kiedy będziesz chciał ją pocałować i przypadkiem się zmoczysz.

— Co i tak jest bardzo prawdopodobne — mruknął, gdy dostrzegł Shę, sunącą w naszym kierunku z dość konkretnym wyrazem twarzy.

— Idziemy? — zapytał dyskretnie Finn.

— Och! Oczywiście, że tak. Pa, kochanie. Chcemy później usłyszeć szczegółowe sprawozdanie.

— Pewnie i tak nic z tego nie będzie — stwierdził, ale zauważyłam, że uniósł mocno zaciśnięte kciuki. Ja również zacisnęłam kciuki, a następnie pomachałam do Chali, która stała w drugim końcu sali i właśnie udzielała ostrej reprymendy swojej armii gałganowatych łazęgów.

— Do zobaczenia jutro! Odwróciła się i zaczęła się śmiać.

— Będę bardzo zdziwiona, jeśli którakolwiek z nas przyjdzie jutro do pracy! — krzyknęła.  
Zaczerwieniłam się.

— No cóż...

Finn otworzył przede mną drzwi. Wielki ochroniarz rozpoznał mnie i zarechotał:

— Wiecie co, kiedy tu wchodziliście, byłem pewien, że wyjdziecie stąd razem.

— Czyżbyś był swatką? — warknęłam. Wciąż byłam zła, że mi kazał zapłacić te dwadzieścia funtów.

— Gdzie tam. Ale tylko wy macie na nogach buty. Spojrzałam na nasze stopy. Finn miał na nogach trapery,

a ja — sandały Startrite dla dorosłych. Cała reszta miała trampki w odblaskowym kolorze.

— Świetnie wykonujesz swoją pracę — pochwaliłam go.

— Dziękuję, proszę pani. — Ukłonił się. — Życzę spokojnej nocy.

Zaczęło padać. Finn włożył z powrotem swoją budrysówkę i nie wydawał mi się już taki intrygujący.

Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się ciepło. Mój żołądek znów zaczął tańczyć sambę.

— A teraz kolacja! — obwieścił.

— Czy ty wiesz, że jest kwadrans po północy?

— Nie... serio? Nie noszę zegarka — odparł lekko rozczarowany. — Czas jest po prostu nieistotny.

— Do momentu, kiedy usiłujesz zjeść coś w Londynie po północy.

— Boże, gdyby tak Einstein na to wpadł, wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

— Na pewno moglibyśmy zatruć się jedzeniem — stwierdziłam, rozglądając się dookoła.

Na dworcu pootwierane były różne budki, ale — szczerze mówiąc — wszystkie napawały mnie przerażeniem: kioski

z kebabami sąsiadowały z podtopionymi stoiskami z hamburgerami, w których stały blaszane popielniczki wypełnione po brzegi petami, zostawionymi — tylko tego jednego wieczoru — przez prostytutki, dilerów narkotykowych i zbiegów — a więc standardową klientelę gastronomii na King's Cross. Byłam głodna, ale wystarczyło jedno spojrzenie, by zniechęcić do posiłku nawet zabiedzonego kundla. A poza tym mogłam umierać z głodu, ale że jednym z dalszych punktów programu mógł być pocałunek, wolałam nie ryzykować w kwestii higieny jamy ustnej — po co mi kebabowy niewypał? Takie rzeczy trzeba bardzo rozważnie planować.

Być może Finn miał ten sam problem, bo wałęsaliśmy się przez chwilę po okolicy, bez ochoty zakończenia tego wieczoru i niepewni ewentualnych opcji. W końcu wyładowaliśmy w jakiejś nocnej kawiarence i Finn poprosił o dwa ogromne kubki kawy o mydlanym smaku oraz dwa maleńkie herbatniki w czekoladzie. Przycupnął obok mnie na małym, powyginanym plastikowym krzeselku.

— Wciąż dzwoni mi w uszach — jęknęłam.

— Ale czyż nie było warto? Chociażby po to, by stać się świadkiem narodzin całkiem nowego zjawiska.

— Zjawiskowej kupy gówna...

— Och, nie miałem pojęcia, że piszesz recenzje dla „Time out”<sup>7</sup>.

Popijałam kawę małymi łyčzkami i patrzyłam na jego dłonie — były długie, szczupłe i silne, z długimi, bladymi palcami. W jednej trzymał filiżankę — ścisnął ją tak mocno, że jej małe uszko znalazło się w niebezpieczeństwie — a drugą uderzał nerwowo w blat stołu.

— Więc co chciałbyś robić, kiedy będziesz duży? — spytałam.

---

<sup>7</sup>Magazyn podający informacje na temat życia kulturalnego w Londynie.

Wzruszył ramionami.

— Postanowiłem sobie, że jak już zdobędę Nobla, to zostanę nowym doktorem Who 8, a potem polecę w kosmos.

— Przecież jako doktor Who i tak poleciałbyś w kosmos.

— No tak, wciąż zapominam, że to nie dokument.

— Byłbyś niezrównany w tej roli — stwierdziłam. I naprawdę byłby: błyskotliwy, roztargniony i niemiłosiernie potargany, wszystko w odpowiednich proporcjach. — Ale chyba nadal masz szanse na Nobla? — Nie w wieku trzydziestu lat — mruknął, odstawiając filiżankę. — Nie sądzę. Chyba że wymyśliłbym coś naprędce. Fizycy osiągają szczyty swoich możliwości w okolicach dwudziestki.

— To zupełnie jak...

— Tak, tak, już to słyszałem. Byłem wtedy zbyt zajęty fizyką, na którą chciałem podrywać... no i oczywiście studiowałem fizykę, co raczej ograniczało pole manewru...

— Mniejsza z tym.

— Przepraszam... nie brzmi to czasem jak nudna śpiewka największego marudy na świecie? Mam wrażenie, że jęczę tak całą noc.

— Cóż, i tak byłeś bliżej śpiewu niż Tristram.

— A ty? Kim chcesz zostać?

— Hmm... chyba gwiazdą filmową.

— Trafny wybór.

— Dziękuję. Ale nie uśmiecha mi się pozowanie nago, które będę musiała przedtem zaliczyć.

— No dobra, teraz pytam poważnie: czy jesteś kwiaciarką z powołania?

— Nie wiem... — Zaczęłam miętosić saszetkę cukru. — Jest OK. Kiedy moi rodzice się rozstali, żadne z ich mieszkań nie miało ogrodu i bardzo mi tego brakowało. To chyba najlepsze wytłumaczenie, na jakie mnie w tej chwili stać.



A poza tym chyba bym umarła, gdyby przyszło mi pracować w biurze. Nie wytrzymałabym z tymi... no wiesz, cieniuśkimi rajstopami.

— Więc dlaczego nie pracujesz w ogrodzie? Albo przynajmniej nie zaczniesz jakichś studiów wieczorowych?

— Zakryłam uszy.

— La la la la la ... Doskonale o tym wiem... la la la la... jestem potwornie żałosna... la la la!

— Przepraszam cię, ale... — Uśmiechnął się i czekał, aż się uspokoję.

— La! La la la la!

— A może byś...

— La la la! La la la la!

— OK, już dobrze, hmm... chcesz polecieć w kosmos?

— Zapraszasz mnie?

— Cóż, w tym miesiącu jestem trochę zajęty — odparł i ponownie się uśmiechnął.

— No tak, ja również. Sam wiesz, jak to jest.

— Ale myślę, że będę miał wolne w okolicach dwa tysiące siedemnastego roku.

— Naprawdę? To niesamowite. Ja też mam wolne w tym czasie.

— Więc może właśnie wtedy się wybierzemy?

— Pod warunkiem, że będę siedzieć przy oknie.

— OK. Ale dopóki nie wylądujemy, nie wolno ci otwierać tej buteleczki Gwiezdnego Pyłu ze strefy wolnościowej. — Przy tobie nie ma żadnych szans na zabawę. Nagle ziewnęłam. Było już po pierwszej, a uwieszony na mopie właściciel sklepiku (wnioskując po stanie podłogi, nie miał zamiaru go użyć) przyglądał się nam z naburmuszoną miną.

— Masz rację, w ogóle nie potrafię się bawić i zanudziłem cię na śmierć. Mogę odwieźć cię do domu? Zamachałam rękami.

— Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że mnie nie zanudziłeś.

Zrobiło się późno, i tyle. Nie martw się o mnie, wrócę nocnym autobusem.

— Nocnym autobusem? Po naszej randce? Za nic. Zerwał się na równe nogi, wystawił głowę na ulicę i —

o dziwo — prawie natychmiast złapał jakąś taksówkę.

— Mamy transport — powiedział, chowając z powrotem głowę. Jego okulary ociekały deszczem. Atmosfera uległa zmianie z chwilą, gdy wsiedliśmy do taksówki. Mężczyzna i kobieta, razem w taksówce, wracają z randki. Pewnie miliony ludzi na świecie robiły w tej chwili dokładnie to samo; tak samo zdenerwowani, nękani podobnymi obawami. Próbowaliśmy zbliżyć się do siebie przez całą powrotną drogę, zachowując przy tym niemal absolutną ciszę. Od czasu do czasu wymienialiśmy nerwowe uśmiechy. Nie byłam przyzwyczajona do takich sytuacji, jeżeli nie miałam w organizmie dużo większej dawki alkoholu niż w tamtym momencie. W końcu taksówka stanęła. Finn odwrócił głowę w moją stronę.

— Yyy... poproszę tylko, żeby zaczekał. Trzeba się było szybko zdecydować.

— Może... może wejdiesz na kawę. Oczywiście jeśli masz ochotę — wymamrotałam, gapiąc się na swoje ręce.

— Jeszcze jedna kawa... yyy, super! — odparł, płacąc taksówkarzowi.

Wyskoczyłam z samochodu, próbując sobie przypomnieć, jakie mam na sobie majtki. Kiedy szliśmy wzdłuż ścieżki, złapał mnie delikatnie za rękę i poczułam, że moje serce za chwilę wyskoczy gardłem. Weszliśmy po schodach prowadzących do głównego wejścia — przez szparę pod drzwiami było widać, że w środku pali się światło. Zauważyliśmy to jednocześnie. Finn (w tym samym momencie, w którym wyciągnęłam klucze) objął moje ramiona i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że nie robi nic niestosownego. Gdy jednym

spojrzeniem rozwiałam jego wątpliwości, schylił się powolutku i zaczął mnie całować. Był to standardowy, międzynarodowy pocałunek. Nie jakiś prostacko-seksualny — na przykład w stylu seksu uprawianego przez psa z twoją nogą — ani też nie wstydlivy; był po prostu zdecydowany, podniecający i bardzo, bardzo dobry.

Kiedy uwolniłam się wreszcie z jego uścisku, spytałam bez tchu:  
— Mama nie zapisała cię chyba w szkole na takie zajęcia?  
— To była bardzo postępową szkoła — odparł. — No co ty, oczywiście, że nie! — dodał szybko, gdy ujrzał moją minę.

Przekreśliłam klucz w zamku.  
— Wejdz. — Ujęłam go za obie dłonie. — Proszę. Wszedł za mną. Tak bardzo skupiliśmy się na patrzeniu sobie w oczy, że omal nie przewróciłam się o Addisona, który leżał przy telefonie zwinięty w kłębek i cichutko popłakiwał.

## ***Rozdział siódmy***

— Co znowu?! — zawołałam, gdy odzyskałam wreszcie równowagę i puściłam ręce Finna. — Addison, co się stało?

Nawet nie podniósł wzroku. Finn pochylił się nad nim.

— Eee, cześć... wszystko w porządku? — spytał.

— Add? Addy? — Przykucnęłam i dotknęłam go ostrożnie. Wyciągnął do góry ramiona niczym zrozpaczone dziecko i złapał mnie kurczowo, jakby zależało od tego całe jego życie. Spojrzałam na Finna. — Zrobisz nam herbaty?

Skinął głową, jakbyśmy porozumiewali się na zupełnie innej płaszczyźnie, jakbyśmy oboje wiedzieli, że niezależnie od całej tej sytuacji z Addisonem parzenie herbaty jest czymś zupełnie innym niż zaproponowana przeze mnie kawa. Słyszałam, jak hałasuje w kuchni, przeszukując szafki.

— Co się stało, Add? Odezwij się.

Ujęłam go za brodę i nagle poczułam się, jakby ktoś wylał na mnie kubel lodowatej wody.

— Nie chodzi chyba o Kate, prawda? Powiedz, że wróciła. Kiwnął smętnie głową i pociągnął nosem.

— Śpi — wymamrotał.

— To znaczy, że weszła na półpiętro i nawet cię nie zauważyła?

— Udawałem, że szukam szkieł kontaktowych.

Okulary Addisona były grube jak denka butelek i leżały spokojnie obok telefonu.

— Chyba musiała być bardzo zmęczona.

— Ja też jestem zmęczony — wyszeptał.

— Chodź... — Podźwignęłam go z podłogi. — Chodź, usiądziesz sobie w kuchni i spróbujemy coś temu zaradzić.

Oczywiście musiałam go tam zaholować. Rzuciłam jego długie ciało na krzesło.

— Yyy... którą herbatę mam wziąć? — zapytał Finn, szperając w kredensie.

— Tę z Lider Price'a. Earl grey należy do Kate i chyba by nas pozabijała.

— A kto żywi się czekoladowymi pingwinami?

— No... pingwin! Uważaj, jak będziesz chciał skorzystać z łazienki — burknęłam i z powrotem zajęłam się Addisonem.

— Rozumiem.

Wzięłam Addisona za rękę i odczekałam, aż po jego policzkach spłyną ostatnie łzy i będzie na tyle spokojny, by móc rozmawiać z nami bez pociągania nosem. Finn postawił na stole herbatę i talerz herbatników, które zignorowaliśmy.

— Mam zostać? — spytał.

Zerknęłam pytająco na Addisona. Powinnam była powiedzieć „Oczywiście. Chyba że Addison ma coś przeciwko”. A ja? Nic z tych rzeczy. Nie wysyłałam żadnych sygnałów, mogących sugerować, że coś łączy mnie z Finnem.

— Oczywiście — wymamrotał Addison, unosząc głowę.

— W porządku. — Uścisnęłam mocniej jego dłoń. — Powiedz, co się stało?

— No więc... — wystękał — telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił...

— Przecież ty nigdy nie odbierasz telefonów.

— Wiem. Ale gdybym go nie odebrał, dzwoniłby w nieskończoność.

— To chyba nie była Claudia?

— Claudia? O nie! Nie rozmawiałem z nią przez całą noc. Na pewno zastanawia się, gdzie jestem.

— No cóż, tygrysie, pozwól jej jeszcze trochę pomyśleć. Więc kto dzwonił?

— Moja mama.

— Twoja mama? Chyba zazwyczaj dzwoni w niedzielę? Skinął głową.

— Zadzwoiła, by złożyć mi życzenia urodzinowe.

— Oo, a kiedy masz urodziny?

— Dzisiaj... — Był zdruzgotany. — Na śmierć zapomniałem!!!

Znowu zaczął głośno szlochać.

— Add — położyłam mu rękę na ramieniu — wiesz, może to trochę nienormalne, ale ja wcale bym się tym nie przejmowała.

— Nic nie rozumiesz. Data moich urodzin i pożaru... wciąż mi się mylą i zawsze pamiętam nie to, co powinienem. Był siódmy lipca.

— Kiedy wybuchł ten pożar? — spytałam cicho.

— Siódmego lipca.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Jedenaście — chlipnął. — I jeden miesiąc.

— Och, Addison...

Od tego płaczu na pewno zrobiło mu się zimno i mokro, więc powiedziałam:

— Napij się herbaty.

— Kiedy pamiętam, że zbliża się rocznica, nie jest wcale tak źle... ale w tym roku zapomniałem. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że zapomniał o swoich urodzinach. Jeśli o mnie chodzi, to już od pierwszych dni listopada latam nabuzowana jak zniecierpliwiona pszczołka. Cóż, kiedyś było to zniecierpliwienie, ale teraz — raczej strach.

— Ja też wiecznie zapominam o swoich — stwierdził Finn. — Ale jeżeli wykrzyczysz mi tę datę, gdy siedzę w laboratorium zawalony po dziurki w nosie robotą, zapamiętam.

Addison pokiwał głową.

— Zazwyczaj wymyślam jakieś bardzo skomplikowane szyfry... by nie zaprzętać sobie głowy szarą codziennością.

— Przykro mi, brachu — mruknął Finn.

— Holly, tęsknię za nim — jęknął Addison. W pierwszej chwili pomyślałam, że mówi o Finnie, ale zaraz się połapałam. — Za tatą?

— Kupił mi moje pierwsze Spectrum ZX81.

— Aaa... naprawdę?

— I nauczył mnie programowania w C plus. Oczywiście samych podstaw.

— Oczywiście — powtórzył Finn.

— Wystarczy już, chłopcy-naukowcy... — przerwałam im. — Wiesz co, Add, a może wyprawimy ci w tym roku urodziny? Podniósł głowę.

— Ja chyba nie...

— Wiem, ale naprawdę myślę, że powinieneś. Właściwie uważam, że musisz. Minęło już zbyt wiele czasu od twojej ostatniej imprezy urodzinowej.

— Ale...

— Oczywiście przełożymy je na inny dzień. Ustanowimy nową datę twoich urodzin.

Nic nie odpowiedział. — Oj, nie martw się, będziemy tylko my.

— Przyjdiesz? — zapytał Finna, który spojrzał na mnie.

— Tak, oczywiście, że przyjdzie — odparłam. Chyba go jednak nie przekonałam.

— Chodź już — powiedziałam. — Porozmawiamy o tym jutro rano, a teraz położymy cię do łóżeczka.

Nie wysypiasz się i na pewno jesteś wyczerpany.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, jakby dawał do zrozumienia, że tylko tego było mu trzeba.

Pozwolił, bym odprowadziła go do pokoju jak półprzytomne dziecko. Kiedy wychodziłam z kuchni,

Finn popatrzył na mnie z nadzieją.

— Ja... — odwróciłam się do niego — ...posiedzę przy Addym, dopóki nie uśnie... na wszelki wypadek, OK?

Wyglądał na rozczarowanego, ale szybko to ukrył.

— Dobra, yyy... lepiej już... rozumiesz, zrobiło się całkiem późno.

— Rzeczywiście.

— OK, zobaczymy się wkrótce? No wiesz... na drugiej randce?

— Tak, jasne, zadzwonię do ciebie w sprawie urodzin Addisona. Dziękuję za wspnięcia wieczór.

— To ja dziękuję. Eee... — Przez chwilę stał w drzwiach z teczką w ręku. Wydawało mi się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale chyba się rozmyślił. — Cześć.

— Cześć — odparłam i patrzyłam, jak odwraca się i idzie w dół schodów. Nie obejrzał się. Addison leżał i wpatrywał się we mnie, a ja gładziłam go po wysokim czole.

— Dziękuję — wyszeptał. — Czasami myślę, że tracę rozum.

— Skoro uważasz, że tracisz rozum, to znaczy, że wcale tak nie jest — pocieszyłam go. — Przynajmniej tak sędzę. Oczywiście o ile nie jest odwrotnie, bo wtedy wszyscy bylibyśmy w tarapatach.

— Wiesz, na jednym z księżyców Saturna odkryto właśnie ocean amoniaku. Jest ukryty bardzo głęboko. Nie można go dostrzec gołym okiem, nie można go dotknąć ani zbliżyć się do niego, nie wydaje żadnych dźwięków. A mimo wszystko i tak go odkryli.

— I...?

— Chyba nie można się ukryć — wymamrotał, zamykając oczy. Musiał być zmęczony płaczem. — Myślę, że zawsze cię odnajdą.

— Z tobą też tak będzie — wyszeptałam łagodnie, słu-



chając jego oddechu, który powoli stawał się coraz płytszy i bardziej regularny.

Długo przyglądałam się jego twarzy: była spokojna, ale wokół oczu wysychały cieniutkie smużki soli. W końcu, kiedy mnie również dopadła senność, położyłam się obok niego na wąskim łóżku i także zasnęłam — z prawą ręką zarzuconą na niego, jakbym chciała go przed czymś osłonić.

Następnego ranka obudziłam się pierwsza; nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Mrugałam szybko oczami i nagle mój wzrok spoczął na śpiącym jeszcze Addisonie. O mój Boże! Na poduszce — tuż obok mnie — zobaczyłam jego piękną twarz, dostrzegłam cień jego rzęs... i ten dwudniowy zarost na brodzie... Był nieziemsko przystojny.

— Hej — szepnęłam, kiedy odwrócił się w moją stronę. Otworzył powoli swoje wielkie oczy. W pierwszej chwili

wydawał się lekko zaskoczony, ale zaraz odnalazł się w nowej sytuacji i uśmiechnął się ostrożnie.

— Yyy... hej!

— Jak się czujesz?

— Eee... dziękuję, już lepiej.

Uświadomiłam sobie, że jego ramię przygniata moje, nie chciałam się jednak wiercić, by go nie przestraszyć — najwyżej czeka mnie gangrena. To była bardzo dziwna sytuacja — po raz pierwszy obudziliśmy się w jednym łóżku, ale fakt, że nie robiliśmy niczego bez ubrań, jakoś wcale nie zmniejszyła naszego zażenowania.

— Czy przygniatał twoją rękę?

— Skądże! Wszystko w porządku. Yyy... właściwie tak. Odsunął się i nagle poczułam się tak, jakbym miała o jedną

rękę za dużo. Chciałam ją odciąć, byśmy mogli leżeć sobie wygodnie twarzą w twarz.

— Bardzo... bardzo dobrze mi się spało — powiedział Addison.

— Mnie też.

Miałam nadzieję, że to coś w rodzaju zaproszenia, ale nawet mnie nie dotykał. Wydawał się spięty. Cóż, język jego ciała był na pewno nieco spięty. Co do reszty — nie miałam pewności.

Przyglądaliśmy się sobie, aż wreszcie musiałam przerwać milczenie.

— Add, wiesz co... ja muszę iść do łazienki, bo chyba nie wytrzymam.

— Ja też. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— OK, ale ja pójdę pierwsza... Masz ochotę na herbatę?

— Tak... A mogę prosić bez cukru?

— Nie ma sprawy.

Podeszłam ostrożnie do drzwi, zamierzając wymknąć się z pokoju niepostrzeżenie, jak złodziej biżuterii. Nasłuchiwałam przez chwilę, a ponieważ nic nie było słychać, delikatnie otworzyłam drzwi.

Naprzeciw mnie stała Kate — z telefonem w rękę i wyrazem szoku na twarzy.

— Co jest, do cholery??!

— Ćśś...

— O mój Boże, nie wierzę!

— Ćśś... To nie tak, jak myślisz.

— Oczywiście nie znalazł tych swoich szkiełek — mruknęła, mierząc mnie wzrokiem z dołu do góry.

— Wydawało mi się, że miałaś być w Antwerpii.

— Bo miałam, skończona idiotko. Ale uznałam, że będzie dużo fajniej, jeśli zostanę i podzwonię sobie na policję. Gdzie wy, do diabła, byliście?

Zamknęłam drzwi.

— Co? Ja byłam...

— Jasne, rozumiem. Czy wiesz, że Josh nie wrócił? A może nie sprawdziłaś, bo byłaś zbyt zajęta bzykaniem? Skąd, do cholery, miałam wiedzieć, że was nie pobili i nie porzucili, skazując na niechybną śmierć? To znaczy, o Jezu...

— Przepraszam, ale wiesz, w takich sytuacjach raczej nie zostawia się kartki z informacją.

— Oczywiście, że nie.

— Nie to miałam na myśli. O Boże, gdzie jest Josh? Uniosła brwi. Nagle przypomniałam sobie.

— O mój Boże! Sha... O mój Boże. — Uśmiechnęłam się zachwycona. — Pewnie poszedł z nią do domu. No, no... Wiesz, jeszcze nie bardzo to do mnie dociera. Josh uprawia seks... to zmienia mój światopogląd o sto osiemdziesiąt stopni. Czy woda płynie pod górę?

— A ty przecież poszłaś do łóżka z Addisonem...

— Wcale nie poszliśmy do łóżka — odparłam z uśmiechem. — My tylko razem spaliśmy.

— Wybacz... — Kate uderzyła się ręką w czoło. — Wybacz, ciągle zapominam, że przecież jesteś nowoczesna.

— Odwal się. Nie, tu chodzi o to, że my naprawdę spaliśmy. W swoich objęciach — dodałam z westchnieniem rozkoszy.

— Nie było żadnych gierek?

— Żadnych, przysięgam. Po prostu para dobrych przyjaciół.

— Skoro tak mówisz... Boże, a ja z tego powodu opóźniłam moją karierę o trzy lata. W przeciwieństwie do niektórych nie mogę brać wolnego, kiedy mi się żywnie podoba.

Ruszyła do kuchni. Poszłam za nią i nastawiłam czajnik.

— Jak to: brać wolne? Przecież dzisiaj jest... O w mordę jeża!

Było już po dziewiątej. Pani Bigelow zrobi sobie z mojego tyłka podwiązki. Wpadłam w panikę. Obmyłam twarz i ręce, włożyłam lekko przyciasne dżinsy i wybiegłam z domu. W połowie drogi przypomniałam sobie, że Addison czeka na herbatę. Na wspomnienie mojego ukochanego przymknęłam oczy i omal nie rozjechała mnie biała ciężarówka. Co prawda kierowca miał pozamykane okna, ale z ruchu jego ust wyczytałam, jak mnie określił — nie najładniej.

Skreśliłam w Edmonton Street, spodziewając się, że ujrzę zamknięty sklep albo ryczącą ze złości panią Bigelow. Wczorajszej nocy nic nie zapowiadało, że Chali wróci do domu na kakao. Ale wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Wystawionym na zewnątrz gardeniom również nie stała się żadna krzywda. Odetchnęłam z ulgą i weszłam do środka spacerowym krokiem.

— Fiuu, Fiuu! — przywitała mnie Chali. — Randka nocną porą, co?

— Być może — burknęłam. Chali wyskoczyła zza lady.

— No? Chcę znać wszystkie szczegóły. Grubość? Pelerynka?

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Pelerynka. No wiesz, czy jest obrzezany? Ping! Zaskoczyłam.

— Po pierwsze, jesteś bardzo wulgarną dziewczyną, po drugie — między mną a Finnem do niczego nie doszło.

— Ale przecież miałaś nocną randkę? — Chali popatrzyła na mnie ze zdumieniem. — Z kim?

— Pamiętasz mojego współlokatora, o którym ci opowiadałam?

— Zaciągnęłaś go do łóżka?

— Niezupełnie...

Opowiedziałam jej o wszystkim, ale nie była aż tak podekscytowana, jak się spodziewałam.

— Czyli mówiąc krótko: spławiłaś Finna, by zostać z tym dupkiem?

— Wcale go nie „spławiłam”. Nie każdy idzie do łóżka na pierwszej randce.

— Tak, ale ty miałaś taki zamiar.

— Wcale nie.

— Przecież zaprosiłaś go na kawę.

— Co znaczy „przeleć mnie”, tak? Chyba całkiem zgłupiałaś.

- Ile razy w całym swoim życiu zaprosiłaś faceta na kawę, ucięłaś sobie z nim pogawędkę i nie skończyło się na bara-bara?
- Nie w tym rzecz! Wcale nie musi tak być.
- Więc ile razy?
- Cóż, no... niewiele.
- Ile?
- Ani razu.
- No właśnie. Ale ty rzuciłaś go dla jakiegoś skończonego dziwaka.
- Addison nie jest dziwakiem. On ma zdruzgotaną psychikę.
- On jest kompletnie szurnięty!
- Oj, wiem, ale gdybyś go widziała...
- Nie lubię takich przystojniaków. Przy nich tracę pewność siebie.
- Czy dlatego puszczasz się ciągle z tymi obleśnymi łapciuchami?
- Nie. Robię to, bo chodząc z nimi do łóżka, wspinam się po szczeblach drabiny prowadzącej na sam szczyt przemysłu muzycznego.
- No tak.
- O wilku mowa... — Chali zerknęła przez moje ramię, więc odwróciłam się.
- Witaj, ptaszyno! — Do sklepu wszedł karykaturalnie gruby i niski facet w słonecznych okularach, z zaczesanymi do tyłu włosami.  
Mówił akcentem ze środkowego wybrzeża atlantyckiego — okolice Birmingham. Był to akcent, który sprawiał, że psy zaczynały wyć i zakrywać uszy łapami.
- Bo! — krzyknęła Chali i skoczyła w objęcia grubasa. Po chwili odwróciła się do mnie.
- Holly, poznaj Bo. Jest producentem zespołu Cekiny i załatwił mi przesłuchanie!
- To wspaniale — odparłam.

— No, kochanie. Zabieram cię stąd. Pójdziemy coś przekąsić. — Bo objął Chali ramieniem i uszczypnął ją w pośladek.

— Holi, mogłabym? — spytała Chali, przytulając się do niego.

— Jasne. Posiedzę tu i będę planować randki z dziwakami.

Pokazała mi język i wyszła z kwiaciarni tanecznym krokiem.

Przez cały dzień fantazjowałam jak opętana. Jeszcze przed lunchem wyprowadziliśmy się do Toskanii z czwórką dzieci na karku — nie, może lepiej pozostanmy przy dwójce, bo inaczej moje ciało zamieni się w bezkształtny wór. Koło wpół do trzeciej Addison opracował jakieś komputerowe cacuszko i zostaliśmy bogaci jak sam Bill Gates — ale bez trądziku. Nawet ułożyłam sobie w głowie, co powiem, gdy wrócę do domu. Nie miałam zamiaru rzucać mu się szyję. Nie zamierzałam też przenosić moich rzeczy do jego pokoju ani nawet ściągać mu spodni — niezależnie od tego, jak silną odczuwałabym pokusę. Po prostu zaczekałabym, aż Josh ugotuje dla nas obiad, a potem bym go na niego zaprosiła. Usiedlibyśmy sobie wszyscy razem i byłoby cudownie. Moglibyśmy trzymać się za ręce. Może nawet pozwoliłabym obmacywać się pod stołem? O nie, nie — to zbyt obrzydliwe. Chociaż raz moglibyśmy porozumiewać w inteligentny, dojrzały sposób, bez żadnych wyzwisk czy slangu. Hmm...

Gdy tylko przekroczyłam próg, od razu wyczułam, że coś jest nie tak, ale nie bardzo wiedziałam co. Kate siedziała w gościnnym i gapiała się przez okno.

— Co się stało?

— Nie wrócił — wymamrotała. — Josh nie wrócił. Dzwonili z pracy, żeby zapytać, czy go nie widzieliśmy.

Właśnie! Nie czułam, żeby ktoś coś gotował.

- Wiesz co, wróci, jak będzie gotów... tak sędzę. Nie cieszysz się z jego powodu?
- A jeśli już nigdy nie wróci? A jeśli ona trzyma go jako więźnia seksu?
- To chyba i tak lepsze niż Sophie, mam rację?
- Nie wiem. Spojrzałam na nią.
- Hej, ty się naprawdę denerwujesz...
- Wcale się nie denerwuję. Jestem tylko wkurzona, że nawet nie przyszło mu do głowy, by do nas zadzwonić i powiedzieć, czy go zabili, czy nie.
- A właśnie, że tak! Powinnaś siebie zobaczyć. Jesteś zdenerwowana. Jesteś zazdrosna.
- Wcale nie jestem zazdrosna. Ale przyjaźnię się z nim od bardzo dawna i uważam, że mógł pomyśleć, co mogę przeżywać. To wszystko.
- Kate jest zazdrosna! Kate jest zazdrosna!
- Odczep się, dobrze? A skoro już zamierzasz uprawiać w tym mieszkaniu seks, czy mogę cię prosić, byś robiła to po cichu? O Boże, jeżeli wy dwoje jesteście razem, to miejsce zamieni się w strefę nieustających tańców godowych. No i Josh jako więzień seksu... Co, do cholery, jest w moim życiu nie tak?
- Nie wiem. Może mężczyźni się ciebie boją? — zasugerowałam.
- Dziękuję, bardzo mi pomogłaś, bardzo. Moja tera-peutka twierdzi, że wyglądam na zbyt niezależną, by można było zaspokoić moje elementarne potrzeby. Myślisz, że to prawda?
- Myślę, że twoja terapeutka zarabia opowiadaniem pierdoł. A może to mnie będziesz płacić osiemdziesiąt funtów tygodniowo? Usiądziemy sobie na godzinkę i będę ci powtarzać: „Nie umawiaj się z żonatymi... Nie umawiaj się z żonatymi... Nie umawiaj się z żonatymi...”, ale ty mnie kompletnie zignorujesz.

— Właściwie bardzo się ucieszę, kiedy już zaczniesz bzykać się z Addisonem — skrzywiła się zniesmaczona Kate. — Może dzięki temu przynajmniej na jakiś czas się zamkniesz.

— Nie byłabym taka pewna — burknęłam i zostawiłam ją, by sobie to przemyślała.

Diabli wzięli cały mój obiadowy plan. Drzwi do pokoju Addisona były zamknięte, co nie wróżyło nic dobrego. Stałam w korytarzu, nie bardzo wiedząc, co mam robić, i nie mając zielonego pojęcia, co mogła oznaczać ubiegła noc — o ile w ogóle miała jakieś znaczenie. Może chciał o tym wszystkim zapomnieć?

Zapukałam delikatnie do jego drzwi, ale nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

W pierwszym odruchu chciałam zapomnieć o całej sprawie, ale nagle uświadomiłam sobie, że z tych samych powodów mężczyźni, z którymi spędzasz upojne chwile, postanawiają nie dzwonić do ciebie bez żadnego konkretnego powodu.

Doskonale wiecie, jak to wygląda: poznajesz faceta, wspaniale się razem bawicie, może nawet idziecie do łóżka — ale bez żadnych nieprzyzwoitości, mam na myśli całkiem dorosłą formę spędzania czasu: dowiadujesz się, ile ma rodzeństwa, czy dogaduje się z ojcem, co zrobił głupiego za czasów studenckich; cała noc upływa na intensywnej i fascynującej wymianie informacji o sobie. Śmiejecie się, jecie w łóżku, bierzecie wspólną kąpiel — pytanie, czy zadzwoni do ciebie, wydaje się nie na miejscu, bo przecież jest twoją bratnią duszą. I wtedy, proszę — on nie dzwoni! A ty przez niego złościsz się na samą siebie.

„Powinam/nie powinienam była iść z nim do łóżka” — zastanawiasz się (wybrać odpowiednie).

Dlaczego powie-



działał mu, że umawiałam się kiedyś z policjantem, który przypadkiem złamał mi nogę? Zdanie „Lubię psy” nie oznacza chyba w języku chłopców „Rozpaczliwie pragnę mieć dziecko”? Nie? A może jednak?

Już dawno uznałam, że faceci żyją w jakimś równoległym wszechświecie — jak w *Matriksie* — i nieustannie próbują nas „zniewolić”, choć w rzeczywistości przez cały czas wyczekują na „tę jedyną”. Najprawdopodobniej okaże się nią krótkowłosa dziewczyna — powali cię jej tępotą umysłowa i... wyraźny brzuch, gdy spotkasz ich za rok na jakiejś kolacji u znajomych, podczas której będą prezentować swoje obrączki zaręczynowe i szczebiotać o meblach z Ikei. Nad tą zagadką powinny popracować najwybitniejsze mózgi naszej epoki. Ale oczywiście to też najczęściej faceci, czyż nie? Pachnie mi to spiskiem.

Czasami jednak działa to również w drugą stronę. Zdarzało się przecież, że — z nudów, nadmiaru alkoholu lub najzwyklejszej litości — zapraszałaś do siebie facetów, wypełniając „misję litości”. By uniknąć dalszego ciągu, najchętniej byś się gdzieś ukryła; może nawet poddałabyś się operacji plastycznej albo przeprowadziła do jakiegoś małego państewka w Ameryce Południowej.

Naturalnie Addison do nich nie należał. Tak naprawdę był kimś, kto od miesięcy stanowił przedmiot moich trosk i marzeń. I oto nadszedł czas na ich realizację. Nagle zrozumiałam, dlaczego faceci myślą sobie: „Cóż, jest bardzo miła, wspaniale się bawiłem, ale — to chyba jasne — w telewizji leci mecz i właśnie zamówiliśmy curry, a zresztą pieprzę to, myślę, że zaczekam na kogoś odrobinę głupszego. W końcu mam jeszcze sporo czasu, zdążę jeszcze ułożyć sobie życie przed czterdziestką”.

Nie wzięłam jednak pod uwagę, że w przypadku, gdy mieszka się z kimś pod jednym dachem, unikanie go do końca życia jest odrobinę trudniejsze. Chociaż w przypadku Addisona — nie było to absolutnie niemożliwe. Jeszcze jedna

rzecz, której nie wzięłam pod uwagę — nie otworzył mi drzwi, bo nie chciał już nawet ze mną rozmawiać. Przełknęłam głośno ślinę.

Uchyliłam lekko drzwi i serce podeszło mi aż do gardła. Ani śladu Addisona. Nawet komputer był wyłączony.

Och, nie! Wyjechał do Ameryki Południowej!

Począłam do kuchni, by sprawdzić, gdzie Kate schowała wino. Przy stole siedział Addison.

— Hej! — zawołałam dużo głośniejszym głosem, niżbym chciała. — Nie ma cię w twoim pokoju!

— Nie — odparł spokojnie.

— A to dlaczego? Czyżbyś pomyślał, że cię zaatakuję? Aaaa! Po jaką cholere to powiedziałam?

— Eee... nie. Ja tylko... pomyślałem sobie, że będę tu czekał, aż wrócisz do domu.

Ooo! Jest taki kochany.

— No dobrze, w porządku...

Czułam, że zaczynam się czerwienić. Zresztą Addison okazał się pod tym względem bardzo solidarny

— wyglądało to tak, jakbyśmy brali udział w zawodach pomidorów.

— Josh nadal nie wrócił? — spytałam głupio.

— Nie.

— Czyli nie będzie obiadu.

— Zazwyczaj nie przykładam zbytnej uwagi do obiadów — mruknął, wzruszając ramionami.

— Nie jesteś głodny? Zastanowił się.

— Chyba jestem.

— W takim razie...

Podeszłam do kredensu i pootwierałam wszystkie szafki. Stały w nich jakieś dziwne rzeczy. Sos *hoisin* — co to jest, do cholery? Puree sezamowe?

— Yyy... na co masz ochotę?

— Na to, co ty — odparł obojętnie.

— A co lubisz? — spytałam, jakby rzeczywiście mógł wymienić dowolne danie ze światowej kuchni, które upitrasiałabym dla niego na poczekaniu.

— Płatki kukurydziane... są całkiem smaczne. Doskonale! (1) Mieliśmy ich trochę, (2) potrafiłam je przygotować, (3) są naprawdę dobre. Ten człowiek znał się na jedzeniu.

— Już podaję — oznajmiłam. — Z cukrem czy *au naturell*

— A co jest specjalnością kuchni?

— *A la maison*, serwujemy bez cukru, z dużą ilością wyjątkowo tłustego mleka.

— Można prosić?

— Oczywiście, proszę pana.

Z namaszczeniem nasypałam płatków do miseczek i usiedliśmy. Zajadaliśmy w ciszy i tylko od czasu do czasu zerkaliśmy na siebie nieśmiało. Było rozkosznie.

Gdzieś w środku tego wszystkiego do kuchni wparowała Kate.

— O mój Boże... Czy to jest obiad?

Z zadowoleniem pokiwaliliśmy głowami.

— Wypiliście całe mleko? Znowu pokiwaliliśmy.

— No to ekstra, super, świetnie, bomba! Wzięliśmy butelkę wina i ulotniliśmy się. Uśmiechaliśmy się do siebie szeroko.

— A więc... hm.

Sytuacja była odrobinę niezręczna. Cóż, właściwie jak dotąd, jeszcze z nikim „oficjalnie” nie mieszkałam, o ile pod pojęciem „mieszkać z kimś” rozumieć „posiadanie kluczy do tego samego zamka”. Zawsze myślałam, że pewnego dnia do tego dojdzie, ale moje plany — sami rozumiecie — uwzględniały również jakieś całowanie czy coś w tym stylu. A tu wydawało się, jakbyśmy po pierwszym spotkaniu przeszliśmy od razu do etapu „koniec pierwszego roku”. To

znaczy, że równie dobrze możemy wyjść i kupić sobie renaulta espace. A jeśli okaże się, że do siebie nie pasujemy?

McKay, moja stara znajoma z kwiaciarni, miała na ten temat pewną teorię (nazwaną od jej imienia Grzybowo-Guzikową Teorią McKay<sup>9</sup>). Brzmi ona mniej więcej tak: zawsze, gdy kogoś poznajesz, prześpij się z nim tak szybko, jak to możliwe, by sprawdzić, czy choć trochę ci odpowiada. Można to stwierdzić w ciągu kilku godzin, nie poleca się jednak okresu krótszego niż jedna godzina.

Dzięki temu można uniknąć zawracania głowy i kłopotów związanych z wyszukiwaniem rzeczy, które was łączą, dochodzeniem do wniosku, że się polubiliście, następnie — że już się kochacie, no i wreszcie — podejmowaniem decyzji o przypieczętowaniu waszego związku w obecności pastora. Bo potem, po całym tym zamieszaniu — spacerach w księżycową noc, chichotaniu przy kolacji i przeciągłych spojrzeniach — może się okazać, że jego penis jest wielkości małego guzika w kształcie grzybka! Ale wtedy jest już za późno. Siedzisz w tym po uszy! Tyle zmarnowanego czasu!

Była to dobra teoria i zawsze próbowałam stosować się do wszystkich jej zaleceń. Aż tu nagle zadurzyłam się w Addisonie po uszy, nic nie wiedząc na temat budowy jego ciała.

— Masz może ochotę na spacer?

— Hę? — Byłam tak pochłonięta swoimi myślami, że w ogóle go nie usłyszałam.

— Wiesz, jest całkiem ładny wieczór i pomyślałem sobie, że po kolacji moglibyśmy wybrać się na spacer.

Musiałam to rozważyć. Addison proponował wyjście na zewnątrz, a to mogło mieć poważne konsekwencje.

— Jesteś tego pewien?

— Czemu nie? — Przełknął ślinę. — Ludzie często chodzą na spacer. Prawda?

— Cóż, zazwyczaj tylko wtedy, kiedy chcą kupić prezerwatywy.

— Och... w porządku, nie musimy nigdzie iść...

---

<sup>9</sup>Wg oryg. McKay Button Mushroom Theory (BMT).

— Nie wygłupiaj się, bardzo chętnie się przejdę. Uśmiechnął się nieśmiało i poczułam nagły ucisk w klatce

piersiowej. Stwierdziłam, że nie jestem w stanie przełknąć w jego obecności nawet jednego płatka kukurydzianego. W jednej chwili dołączyłam do grona osób, które mają absolutnego bzika na punkcie swojego wyglądu, i poczułam, że koniecznie muszę umalować usta.

— Zaczekaj... — Wstałam.

— Dokąd idziesz?

— Eee... — Nie chciałam zdradzać, że idę wysmarować się przeplaconymi zwierzęcymi tłuszczami, które uczynią mnie bardziej ponętną. — Eee... idę do łazienki.

Ajajaj! Kurza dupa! No nie! Równie dobrze mogłam dodać: „A kiedy tam będę, zrobię niewiarygodnie pachnącą kupkę” — bo przecież właśnie to sobie pomyśli, jeśli zniknę z pokoju na dłużej niż dwadzieścia pięć sekund.

Złamałam swoją złotą regułę, która nakazywała utwierdzanie mężczyzn w przeświadczeniu, że nie wykonujesz żadnych czynności fizjologicznych.

Uciekłam z pokoju czerwona jak burak. Czułam na sobie spojrzenie Addy'ego. W desperackim pośpiechu umalowałam się należącą do Kate pomadką Clarinsa i zostawiłam na niej mały okruszek płatków. Spróbowałam go zdjąć i po chwili wyglądałam, jakbym właśnie straciła palec. Na dodatek Kate malowała się, robiąc cienki czerwony szpic, no i w stosunku do tego, co było wcześniej — pomadki znacznie ubyło. Zaklęłam siarczyście i poszłam umyć zęby, starając się nie narobić za dużo hałasu. Odgłos szorowania zębów tuż przed wyruszeniem na romantyczny spacer może mieć lekko odpychające działanie, zgodzicie się ze mną? Zabiera wszelką

spontaniczność, a poza tym równie dobrze można wtedy powiedzieć: „Wiesz, mam potwornie cuchnący oddech, ale ponieważ chodzi o ciebie, tym razem się postaram...”.

Kiedy ujrzałam się w lustrze, przypomniało mi się, co mawiała moja matka; „Zawsze myj zęby przed nałożeniem pomadki na usta”. Jeszcze raz zaklęłam — tym razem na szczęście — po czym przeczesałam palcami rozczochrane włosy i chyłkiem wróciłam do kuchni, mając nadzieję, że Addison nie zapyta: „Jak tam kupka? Ładna?”. Oczywiście on jest zupełnie inny niż reszta facetów. Kiedy weszłam, podniósł się z miejsca, a ja stanęłam i gapiłam się na niego. Jakoś nigdy w moim dotychczasowym życiu nie czułam się sparaliżowana wstydem — teraz już wiedziałam, jak to jest. — Idziemy? — zapytał łagodnym tonem. Kiwnęłam głową, a on z gracją wymiółł nas z kuchni, wrzucając do zlewu (niepostrzeżenie) dwie miseczki po cornfleksach. Czułam się jak tuż przed zjazdem kolejki górskiej, kiedy przez ułamek sekundy stoi na szczycie.

Wieczór był rzeczywiście przepiękny: zachodzące słońce rzucało na chmury różowe refleksy. Po krótkiej szamotaninie w bramie — żadne z nas nie miało pojęcia, w którą pójść stronę — w końcu ruszyliśmy brzegiem rzeki w kierunku Tate Gallery.

Jakieś dwie minuty później, podczas których usilnie starałam się przypomnieć sobie różnice między pentium a makiem (a może pecetem a makiem?), by mieć o czym rozmawiać z Addisonem, dostrzegłam na drodze zataczającą się znajomą postać — z przekrzywionym krawatem, rozwichrzonymi włosami i uśmiechem od ucha do ucha.

— Josh! — wrzasnęłam. Wyszczrzył zęby i zaczął biec do nas.

— Uprawiałem seks!!! — wydarł się, gdy był już trochę bliżej. — Uprawiałem seks!!

— Cała południowo-zachodnia dzielnica cieszy się razem z tobą — powiedziałam, gdy rzucił się na mnie jak podekscytowany szczeniak. — Udało ci się. Ale proszę cię, nie przytulaj się do mnie, dopóki nie weźmiesz prysznic.

— Uprawiałem seks! Z kobietą!

— I jak było? — zapytałam.

— Och, no wiesz... wspaniale!! — Schylił się, nie mogąc złapać tchu. — Zgadnij, ile razy to zrobiliśmy?

— Milion? — Co prawda wołałam nie wnikać w szczegóły, ale doskonale wiedziałam, jak bardzo chciał mi o tym opowiedzieć.

— Ha, ha. Zgaduj jeszcze raz.

— Ojej, nie wiem. Siedem?

— Piętnaście — odparł z dumą.

— Och, Josh, do diabła...

— Pod koniec już trochę bolało. A raz... omal nie zwróciłem. Ale rozumiesz: miałem co nadrabiać. Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

— Pewnie jest teraz trochę zmęczona, co?

— Niekoniecznie... hm, na początku zrobiliśmy kilka bardzo szybkich numerków.

— Josh, wystarczy — przystopowałam go.

— Tak, tak, jasne, oczywiście, że tak.

— O kurczę... — Dopiero teraz zauważył Addisona. — Witaj, wielki człowieku! Addison powitał go swoim typowym półuśmiechem. Josh zaczął powoli orientować się w sytuacji.

— Ooo... a dokąd się razem wybieracie?

— Noc jest tak cudowna, że postanowiliśmy pójść na spacer — odparłam stanowczym tonem.

— Och, rzeczywiście jest cudownie. Wszystko jest takie piękne. Chyba pójdę z wami.

— Chyba nie — sprzeciwiłam się, próbując wymyślić szybko jakiś racjonalny powód.

— Przysięgam, że wziąłem prysznic — zapewniał. — Szorowałem się aż do krwi.

— Rany boskie! Josh, ty zboczeńcu!

— Przypuszczam, że to przez tę rozpierającą mnie radość — powiedział nieco smutnym tonem. — Ale było warto.

— Nie o to mi chodziło. Musisz iść do domu, do Kate. Omal nie wezwała rano policji. Kiedy nie wróciłeś, prawie rozchorowała się ze strachu.

— Nie powiedziałaś jej, gdzie jestem?

— Eeee... wiesz, zapomniałam.

— Och... — wymamrotał. — Cóż, no tak, lepiej wrócę do domu.

— OK! Do zobaczenia później. Josh przyjrzał się Addisonowi.

— Wiesz co? Kiedy stoisz, wydajesz się dużo wyższy.

— Jak każdy — wtrąciłam. — Seks pomieszał ci w głowie. OK, idź już do domu. Ale nie opowiadaj Kate zbyt wiele, bo jeszcze zostanie zgorzkniałą neurotyczką.

— Bardzo bym tego nie chciał — uspokoił mnie. — OK, do zobaczenia. — Pochylił się i pocałował mnie w same usta.

— Josh, co ty wyprawiasz?

— Postanowiłem być bardziej asertywny w stosunkach z innymi. Sha uważa, że powinienem.

— Hmm. Jestem pewna, że Sha zna się na wielu rzeczach, ale nie zapominaj, że granica między asertywnością a rand-kowym gwałtem jest bardzo cienka.

— Racja — odparł. — Dobra rada. Spróbuję to sobie zapamiętać.

Ruszył w stronę domu, uderzając w powietrzu piętami, jakby wywijał hołubce w stylu Morecambe'a i Wise'a.

— No cóż... — Uśmiechnęłam się do Addisona, który odwzajemnił mi się tym samym. — Chyba sytuacja w domu trochę się zmieniła.

— Mamy lato — powiedział Addison. — A lato nasila



działanie feromonów i sprawia, że ludzie robią bardzo dziwne rzeczy.

— A to jest dziwne? — zapytałam, łapiąc go za rękę.

— Dla mnie tak — odparł i uśmiechnął się.

— W znaczeniu pozytywnym czy negatywnym?

— Musiałbym to przeanalizować.

— Może wymyśliłbyś program komputerowy, który by to zrobił?

— Może... — Zmrużył oczy, skupiając wzrok na jakimś punkcie. Cóż, przy prawdopodobieństwie wynoszącym dziewięćdziesiąt siedem koma dwa procent muszę polegać na własnej intuicji i stwierdzam, że jest to pozytywne odczucie.

Spacerowaliśmy w dół rzeki, trzymając się za ręce. Mimo że wskaźnik zanieczyszczenia Tamizy był zdecydowanie „pozytywny”, woda była gładka jak tafla lodu, a w oddali migotały romantycznie oświetlone mosty. Wgramoliłam się na murek w dość nieelegancki sposób, Addison natomiast wskoczył na niego jednym ogromnym susem.

— Porozmawiaj ze mną. Od miesiący żyjemy w jednym domu i wiesz już na mój temat prawie wszystko, a ja wiem tylko tyle, że masz komputerową dziewczynę i lubisz kapitana Picarda.

— Wszyscy lubią Jean-Luc Picarda.

— Czyli tę informację mogę spokojnie pominąć... znaczy mniej więcej tyle, co fakt, że oddychasz. No więc, powiedz coś.

— Ja nie... — Poczul się chyba niezręcznie, bo cofnął się lekko.

— ...lubię mówić na swój temat — dokończyłam. — Nie, to już też wiem. Tyle że ja naprawdę chciałabym cię poznać. — Staralam się, by wypadło to tak szczerze, jak tylko potrafiłam.

Nieoczekiwanie przypomnieli mi się chłopcy, którzy próbowali wsadzić rękę w moje majtki, gdy miałam osiemnaście lat. No, gadany to oni mieli niezłe. Ale tym

razem było zupełnie inaczej. Naprawdę mi zależało! Nie chodziło tylko o McKayowską BMT10. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Ciekawe, jak nazywają to faceci? Syndromem smażonych jaj? Syndromem krasnoludka? Fuj! Aż się wzdrygnęłam. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

— A może będę ci zadawać pytania?

Spojrzał na mnie zza swoich ciemnych, gęstych rzęs.

— To znaczy?

— No, coś w stylu wywiadu. Jak w tym programie pod tytułem *Parkinson*. A jeżeli nie będziesz chciał wypowiadać się na jakiś temat, możesz powiedzieć: „Przeczytacie o tym w mającej ukazać się wkrótce książce” albo zaatakować mnie czosnkiem.

— OK — zgodził się.

— „Dobry wieczór państwu — zaczęłam, gestykulując żywo przed pływającymi po rzece kaczkami.

— Przed państwem, w roli bardzo specjalnego gościa dzisiejszego *Parkinson* — cały program poświęcamy wyłącznie jego osobie — Addison Farthing!!!”.

Co prawda kaczki nie zgotowały mu dzikich owacji, ale za to ja klaskałam z całych sił. Addison wykonał ręką nieśmiały gest podziękowania.

— „Dobrze, panie Farthing... to dla nas ogromny zaszczyt i wielka radość rozmawiać z panem na tym oto murku...”.

— Proszę mi mówić „Addison”.

— Yyy, tak, oczywiście... Addison. „A zatem, Addisonie, temat, który pojawia się we wszystkich gazetach, i zarazem coś, co każdy z nas chciałby wiedzieć, to...”.

Przeraził się.

— „Czym dokładnie się zajmujesz?”. Yyy... rozumiesz chyba, że musisz ująć to w taki sposób, by było zrozumiałe dla kaczek.

— Cóż — na jego twarzy pojawiło się uczucie ulgi —

ludzie chcą wiedzieć, czy można połączyć różne systemy komputerowe, by mieć z nich jak największy pożytek. Tak więc zatrudniają mnie, bym sprawdzał, które z nich są kompatybilne oraz czy można je łączyć dla uzyskania optymalnych efektów. Połowa kaczek odpłynęła od brzegu.

— No cóż, ta publiczność jest chyba nieco źle wychowana.

— Ale to jest trochę nudne.

— Nie, skąd. To najpopularniejszy talk show na brzegu tej rzeki.

— Hmm...

— OK. — Postanowiłam docisnąć trochę mocniej. — Jakim byłeś dzieckiem?

Zmarszczył czoło, jakby nie mógł sobie przypomnieć.

— Nie chcesz wiedzieć... na przykład, jaki jest mój ulubiony kolor czy coś w tym stylu?

— Jaki jest twój ulubiony kolor?

— Jasnoniebieski.

— OK. Jakim byłeś dzieckiem?

— Czy mogę rzucić w ciebie czosnkiem?

— Nie. Masz mi powiedzieć.

I w końcu zrobił to — powoli i ostrożnie. Dziwne, ale prawie go nie słuchałam. Stałam jak zahipnotyzowana, gdy mówił tym swoim niskim szorstkim głosem, wiatr rozwiewał jego ciemne włosy... a on wpatrywał się w jakiś punkt za moimi plecami. Myślałam tylko: „Jestem tu! Z Addisonem! Jesteśmy tu! Razem!”. A ponieważ myślałam o tym już tyle czasu, randka z Addisonem wydawała mi się niemal randką z Bradem Pittem.

Niemniej jednak słyszałam go. Okazało się, że jego matka jest Chorwatką, co wyjaśniało jego południową urodę i wysokie kości policzkowe. Ojciec był wykładowcą. Addison, w szkole zawsze nieśmiały, dobry z przedmiotów ścisłych, należał do klubu szachowego i grał na pianinie. Wszystko układało się świetnie... aż do momentu, kiedy pojechali do

Francji na wakacje, tuż przed rozpoczęciem szkoły średniej... Zaczął się lekko jąkać.

— Co spowodowało pożar? — zapytałam ostrożnie, mając cichą nadzieję, że nie powie: „No, bawiłem się fajerwerkami...”.

— Uznali, że to instalacja elektryczna — odparł. — Wszystko było potwornie zagmatwane, a rząd francuski nie chciał o niczym wiedzieć... Moja mama nigdy nie mówiła dobrze po angielsku, a z jej francuskim jest jeszcze gorzej. — Przyglądał się uparcie swoim palcom u nóg. — Już nie pamiętam nawet, jak do tego doszło ani jak długo to trwało. To było zaraz po powrocie do domu. — Ktoś nas wtedy podrzucił, nie pamiętam kto. Wszedłem do środka i z jakiegoś powodu zachciało mi się grać na pianinie. Zacząłem grać, jak zawsze, ale pomyślałem, że muszę przestać, bo jest późno, a tato nie lubi, jak gram po nocach, bo nie może przez to zasnąć.

Umilkł, zagryzając wargę.

— O Boże, Addison... — Objęłam go mocno ramieniem. Kręciło mi się w głowie. To znaczy, rzeczywiście chciałam, żeby coś mi o sobie opowiedział, ale nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. Czyżby było we mnie coś, co sprawiło, że Addison otworzył się przede mną? Nie jestem przecież nikim szczególnym. Nie bardzo rozumiałam, czym sobie zasłużyłam na jego zwierzenia. No, chyba że się we mnie zakochał... i byłam pierwszą osobą, z którą mógł o tym porozmawiać. — O mój Boże. O mój Boże!

Uświadomiłam sobie nagle, że kiedy ktoś wyjawia nam niezwykle ważną osobistą tajemnicę, powinniśmy zachowywać się mniej egoistycznie; ścisnęłam jego ramię, ale okazało się, że przesuwam ręką po jego udzie.

— Już dobrze — powiedziałałam kojącym głosem Matki Teresy. — W porządku. Dobrze, że to z siebie wyrzuciłeś.

Nawet nie płakał, gapił się tylko w przestrzeń tym swoim tępym, bardzo tępym wzrokiem.

— Musiałem chodzić do szkoły, ale często zostawiali mnie samego. Wkrótce zainteresowałem się komputerami... nauczyciel pozwalał mi spędzać przerwy w laboratorium komputerowym.

— Czy to znaczy, że ominęły cię te wszystkie historie z papierosami i tak dalej?

— ...a potem zrobiłem dyplom z informatyki. Byłem nieszczęśliwy znacznie dłużej, niż wydawało mi się to możliwe.

Milczał przez chwilę.

— Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wcześniej powiedział to na głos — dodał.

— Więc chyba dobrze, że to zrobiłeś — stwierdziłam. Uśmiechnął się delikatnie; był tak uroczy, że opadłam na

niego całym ciężarem i bardzo, bardzo mocno go uścisnęłam, a on odwzajemnił mi się tym samym. Dotknął ręką moich włosów i pomyślałam, że zaraz zemdleję. Staliśmy tak przez chwilę. Zanawiałam się, czy mam go pocałować, uznałam jednak, że godzina zwierzeń to nie najlepszy moment na przejście do fazy kontaktów cielesnych. Tak więc w końcu odsunęliśmy się od siebie.

— Myślisz, że kaczki wyraziły na to zgodę? — spytał, gdy odgarniałam włosy za uszy.

— Kto by się przejmował kaczkami? Głupie kretynki! Popatrzył na wodę.

— Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś — szepnęłam. — Czuję się... zaszczycona.

Mówiłam szczerą prawdę.

— Och! — Addison zaśmiał się, lekko zawstydzony. — To zasługa Claudii. Bez przerwy mi powtarza, żebym zaczął żyć od nowa, szedł do przodu. Żebym opowiedział o tym ludziom i wyrzucił to z siebie. — Spojrzał na mnie. — Bardzo się cieszę, że to zrobiłem.

Co? Zasługa Claudii?!

Gdybym miała wtedy coś w ustach, na pewno bym to wypluła.

Z nosem spuszczonej na kwintę patrzyłam na kaczki; pomyślałam sobie, że mają o wiele łatwiej niż my. Nagle jedna z nich zaczęła dziobać drugą po głowie i przypomniałam sobie mój ulubiony serial... ale co tam. I tak było im łatwiej. A ja miałam w głowie kompletny mętlik. Mimo wszystko w końcu była to chyba randka...

— I oczywiście twoja — powiedział Addison, odwracając się do mnie.

Ooo, tak już lepiej.

— Ale głównie jej — dodał. No i kupa.

— Kazała mi wychodzić, cieszyć się życiem, poznawać ludzi. Zacząć od nowa. I wtedy, no wiesz, poznałem ciebie i pomyślałem, że wszystko zaczyna się układać, że mogę poznawać nowych ludzi.

— Oczywiście, że możesz — zapewniłam go znacznie gorzej, niż miałam zamiar. Właściwie miałam ochotę wybuchnąć złością, ale zdaje się, że w tych okolicznościach byłoby to nie na miejscu.

— A ostatniej nocy — mówił Addison — myślałem, że nic mi nie jest... i może tak było, ale przez cały czas dusiłem to w sobie.

— Już dobrze. Dobrze, że to z siebie wyrzuciłeś.

— Jakbym słyszał Claudię — powiedział rozpromieniony. Super.

— Ubiegła noc... — dodał po chwili — ...miała dla mnie szczególne znaczenie.

— Dla mnie też — przyznałam.

— A teraz... — Wstał, kiwając się na boki. — Hej, wyszedłem na dwór! Jest wspaniały zachód słońca! Wspaniałe kaczki! Wszystko będzie OK! — wstał, wymachując rękami w powietrzu.

— OK, OK. — Uśmiechnęłam się. — Czujesz się już lepiej. Świetnie.

Słońce rzucało na niebo niesamowicie seksowne refleksy.

— Nie! — krzyknął tuż nad moją głową. — Nie siedziałaś zamknięta w jednym pokoju przez piętnaście lat! To jest cudowne!

Jego euforia była zaraźliwa. Do diabła! — pomyślałam. Uwielbiam go, a Claudia jest w Ameryce. Niech się od niego odwali!

— Pewnie, że cudowne — przyłączyłam się do niego.

— Fantastyczne!

— Tak! — Objęłam go i próbowałam przyjąć jak najbardziej wygodną pozycję do całowania. Kaczki zaczęły skrzeczeć i podskakiwać.

— Spójrz na kaczki! — wrzasnął. — One coś świętują! I my też powinniśmy świętować! — Zaczął podskakiwać razem z nimi.

— No jasne!

Wykonałam kilka eksperymentalnych odbić, przechyliłam głowę pod odpowiednim kątem i byłam gotowa do wykonania ostatniej fazy zadania.

— Hmm... — mruknął zaskoczony gdzieś w połowie podskoku, widząc mnie gotową do akcji.

— Powinniśmy świętować — wyszeptałam i wyciągnęłam do niego rękę. — Pocałuj mnie.

*Czesc druga*



## ***Rozdział ósmy***

Na pewno miewacie takie sny: zdajecie poprawkę z matematyki, na którą tylko wy przychodzicie nago, zadania są napisane w języku, którego zupełnie nie znacie, i na dodatek każą wam zdawać egzamin w basenie.

Właśnie tak wyglądała następna chwila. I najprawdopodobniej tak będzie wyglądać całe moje życie. Gdy tylko wypuściłam Addisona z zaborczego uścisku, odskoczył do tyłu skonsternowany. Niestety, za jego plecami nie było na co skoczyć. Jakie to proste. Najpierw był, a już w następnej minucie zniknął z pola widzenia. Nie krzyczał, usłyszałam tylko jakiś niezrozumiały bełkot, potem trzask, aż wreszcie do moich uszu dobiegło przerażające, głuche plaśnięcie — wpadł do brudnej, płytkiej wody, znajdującej się jakieś sześć metrów niżej.

W pierwszej chwili gapiłam się przed siebie jak idiotka, a mój mózg usiłował dojść, gdzie on się, do cholery, podział.

Zaczęłam krzyczeć, ale uświadomiłam sobie, że to nie ja mam powody do krzyku. Wychyliłam się niebezpiecznie przez murek i moje serce zamarło. Na powierzchni wody znajdowała się tylko jego głowa, miał zamknięte oczy, a fale kołysały jego bezwładne ciało. Jakiś ptak narobił mu na głowę. O Boże... Zabiłam go!

Już miałam rzucić się do wody, gdy nagle usłyszałam za plecami jakieś wrzaski i kroki, a potem silna męska ręka złapała mnie z tyłu za sukienkę i odciągnęła od murku. Zostałam błyskawicznie otoczona przez tłum gapiów. Zawołali policjanta, który przejeżdżał akurat tamtędy — chyba bardziej dla rozrywki, niż biorąc udział w rutynowych działaniach, mających na celu rozpędzanie grup czarnoskórych młodzieńców.

Zbliżył się, powiedział coś przez radio, zdjął czapkę i ostrożnie zszedł na dół.

— Zabiłam go! — zawołałam. — Zabiłam go! — powtarzałam w kółko, czując na przemian uderzenia palącego zimna i mrożącego krew w żyłach gorąca. Mężczyzna, który ściągnął mnie z murku — i najprawdopodobniej uratował mi życie — zniknął gdzieś w tłumie. Podeszła do mnie jakaś kobieta. — Nie martw się — powiedziała i uścisnęła mnie w mało przekonujący, typowo angielski sposób. — Jestem pewna, że wcale nie chciałaś go zabić.

Zaczęłam głęboko oddychać.

Ani policjant, ani Addison nie pojawili się z powrotem na murku. Gdybym zachowała resztki trzeźwego myślenia, wiedziałabym, że nie mieli szans wdrapać się na górę po niemal pionowym zboczu; poza tym był odpływ i mogli spokojnie poczekać na dole aż do przyjazdu karetki. Doszłam jednak do wniosku, że zabiłam również policjanta.

Podjechała karetka i wóz policyjny. Kiedy wyhamowały z piskiem opon, ze strachem zaczęłam się zastanawiać, czy w więzieniu można mieć jakieś książki i czasopisma. Próbowałam dać krok do przodu, ale nadal trzymała mnie ta kobieta.

— Czy chce pani do kogoś zadzwonić? — spytał mężczyzna z psem, wyciągając komórkę.

Pomyślałam o prawniku, ale nawet go nie miałam. Zadzwoniłam więc do domu, telefon odebrała Kate. Zdołałam

wydusić z siebie jedynie przeciągle „Kaaaaaa...”, po czym zalałam się łzami.

— John?! — zawołała z nadzieją.

— Kaaaaa...

— Holly? Czy to ty? Co się stało, do cholery?

— Kaaa...

Mężczyzna z psem zabrał mi telefon.

— Czy to twoja przyjaciółka? — zapytał. Przytaknęłam.

— Jak ma na imię?

— K... K... Kate.

— Halo, Kate? Posłuchaj. Jest tu twoja przyjaciółka... zdarzył się mały wypadek. Tak, ma odrobinę potargane włosy... Nie, ktoś wpadł do rzeki.

Po chwili podał nazwę szpitala i rozłączył się.

— Twoja przyjaciółka będzie tam na ciebie czekać — wyjaśnił mi.

Kiwnęłam głową w milczeniu. Nadal nie mogłam opanować dygotania.

Nad brzegiem rzeki, używając specjalistycznego sprzętu do wspinaczki wysokogórskiej, ekipa karetki opuszczała na dół nosze. Widok ten przyciągał coraz większe tłumy, atmosfera była gorąca — jak przed meczem piłki nożnej. Dostrzegłam kątem oka jakiegoś faceta z kamerą — miałam głęboką nadzieję, że udławi się tymi 250 funtami, które wypłaci mu stacja telewizyjna, jeśli uda mu się sfilmować, jak wyciągają z rzeki Addisona. I rybę konsumującą jego oko.

Gdy tylko o tym pomyślałam, zwinęłam się w pół i pomyślałam, że zaraz zemdleję. Otaczające mnie kształty rozmywały się, a w moją stronę biegło jakieś małe, przebrane za sanitariusza dziecko. Okryło moje ramiona białym szpitalnym kocem i zapytało:

— Czy jesteś drugą osobą z wypadku? Kiwnęłam głową.

— Chodź ze mną, musimy się upewnić, że nic ci nie jest.

— Sanitariusz zabrał mnie na tył karetki, na przemian prowadząc i ciągnąc. Usiadłam. —  
Przewróciłaś się? Uderzyłaś się? Może on ci coś zrobił?  
Kręciłam w milczeniu głową. Podbiegł do nas pałętający się w pobliżu policjant, usiłujący sprawić  
wrażenie niezwykle przydatnej osoby.  
— Dobry wieczór — powiedział i wyjął notes.  
— Przepraszam... — odezwał się ten z karetki. — Jestem sanitariuszem i właśnie sprawdzam, czy tej  
pani nic się nie stało.  
— Najpierw to ja muszę ocenić sytuację — pouczył go nadęty policjant.  
— Udzielę jej tylko podstawowej opieki medycznej — odparł sanitariusz równie przemądrzałym  
tonem. Odniosłam wrażenie, że ci dwaj się znają.  
— W porządku. — Policjant uniósł do góry dłoń. — Ale proszę się pospieszyć.  
— Zajmie to tyle czasu, ile musi.  
— OK — westchnął policjant i spojrzał na zegarek. Sanitariusz ponownie skoncentrował się na mojej  
osobie.  
— No dobrze. Yy... jak się czujesz?  
— Nic mi nie jest. Nie przewróciłam się, nie skaleczyłam, nic z tych rzeczy. Ja tylko... Gdzie jest  
Addison? — zapytałam z płaczem.  
— OK, OK. — Sanitariusz popatrzył na policjanta. — Ile palców widzisz?  
— Cztery... Gdzie Addison? — wyszlochałam.  
— Bardzo dobrze. A teraz... boli cię, jak robię coś takiego? — zapytał, szczypiąc mnie w nogę.  
— Au! Tak! Gdzie jest Addison?  
— Czy mogę już z nią porozmawiać? — niecierpliwił się policjant.  
— Moja diagnoza: ciężki szok — oświadczył nadąsany pielęgniarz i cofnął się do tyłu. — Trzeba jej  
podać tlen.  
— Za moment — odparł policjant i kucnął obok mnie.

— Więc jak się pani nazywa? — zapytał protekcjonalnym tonem.

— Holly — wyjąkałam. — Gdzie on jest?

— Proszę tu poczekać — powiedział i poszedł sprawdzić, co się dzieje przy murku, gdzie trzech mężczyźni wciągali do góry liny.

Po chwili wrócił do mnie.

— Żyje.

— A ja myślałam, że go zabiłam... — wychlipałam. Fakt, iż powiedziałam to policjantowi, chyba najlepiej świadczy o moim zdenerwowaniu.

— Taak?

— Nie, nie, ja nie... podeszłam do niego, żeby go pocałować, i wtedy on spadł. Policjant z sanitariuszem wymienili spojrzenia.

— Musisz nieźle całować — rozmarzył się facet z karetki.

— Mogę go zobaczyć? — zapytałam.

— Yyy... właściwie powinnaś trochę posiedzieć. Ale zabierzemy was jednocześnie — obiecał mi sanitariusz. — Poproszę jeszcze o pełne imię, nazwisko i dokładny adres — ponaglał mnie mundurowy; przypuszczam, że robił to na wypadek, gdyby miało się okazać, iż celowo zepchnęłam Addisona do rzeki, po czym zapomniałam uciec, a teraz planowałam uprowadzenie ambulansu. Siedziałam tam może pięć minut, ale miałam wrażenie, że trwało to kilka godzin. Z jakiegoś domu wyszła kobieta z termosem i podała mi kubek herbaty. Podziękowałam jej smarknięciem, a ona nie zadała mi ani jednego wścibskiego pytania — zaczęła tylko, aż wypiję, wzięła ode mnie kubek i odeszła. Zaczęłam chlipać jeszcze rozpaczliwiej, bo pomyślałam, że był to ostatni okazany mi życzliwy gest, zanim wyjdzie na jaw, w jaki sposób zrujnowałam życie Addisona.

Nagle usłyszałam głośne terkotanie i zobaczyłam nad murkiem nosze. Leżał na nich zziębnięty, bardzo blady

i bardzo nieprzytomny Addison; wokół szyi zapięli mu małą obróżkę, jakby miał pchły.

— O mój Boże — jęknęłam.

Sanitariusz-dziecko podbiegł do karetki i szeroko otworzył drzwi, tak by można było wprowadzić nosze.

— Wsiadaj — powiedział do mnie, ale ja cofnęłam się, zakrywając usta rękami.

Wsuwali nosze nogami do przodu. Jakiś policjant i dwóch sanitariuszy krzyczeli do Addisona. W pierwszej chwili sądziłam, że są na niego zdenerwowani, choć nie mogłam zrozumieć, dlaczego; nagle poczułam kolejny bolesny skurcz żołądka. Uświadomiłam sobie, że za wszelką cenę usiłują go obudzić.

— Jak mu na imię? — zapytał mnie jeden z nich.

— Addison — odpowiedziałam szybko.

— PANIE ADDISONIE! PANIE ADDISONIE! SŁYSZY NAS PAN?

— Addison, bez pana — wymamrotałam, ale nikt mnie nie słuchał.

Jeden z sanitariuszy poświecił mu latarką w oczy, drugi walnął pięścią w przegrodę — tuż obok mnie — i ruszyliśmy. W drugim końcu samochodu trzech mężczyzn nie przestawali krzyczeć do Addisona.

Jeden z nich, mój sanitariusz-dziecko, z troską popatrzył na zegarek, a potem zawołał przez radio:

— Czas dojazdu: osiem minut. Wygląda mi to na śpiączkę trzeciego stopnia.

— Czy to źle? — zapytałam przerażona.

Nic nie odpowiedział, czyli musiało być źle. Miałam tylko nadzieję, że to było „trzy” w pięcio-, a nie stustopniowej skali.

Bardzo chciałam zetrzeć z czoła Addisona kaczą kupę, ale jakoś nie miałam odwagi.

Sanitariusz-dziecko chyba czytał w moich myślach, bo schylił się i wytarł mu czoło kawałkiem koca.

— Biedak — powiedział tonem, który nie przypadł mi do gustu.

— OBUDŹ SIĘ! — wrzeszczał inny sanitariusz, okładając Addisona po twarzy

— PROSZĘ PANA, NIECH SIĘ PAN OBUDZI, PROSZĘ TO DLA NAS ZROBIĆ!

Zakryłam głowę rękami. „Obudź się — szeptałam do siebie. — Obudź się, Addison, obudź się”.

Wyciągnęłam ręce i połaskotałam spody jego tenisówek. „Obudź się. Obudź się”.

Karetka wyhamowała z piskiem opon i zorientowałam się, że jesteśmy już na miejscu. Spodziewałam się szturmu na tył ambulansu — jak w *Oстрыm dyżurze* — ale gdy otworzyli drzwi, stwierdziłam, że ani sanitariusze, ani pielęgniarki nie spieszyli się jakoś szczególnie. „Są przekonani, że to już koniec — pomyślałam. — Uważają, że nastąpiła śmierć mózgu”.

To wszystko było zbyt realne, bym mogła płakać.

Wyciągnęli Addisona na zewnątrz. Ze szpitala wyszła tęga, władcza kobieta o tłustych włosach. Miała na sobie biały fartuch, z którego kieszeni wystawało mnóstwo różnych rzeczy — książeczki, papiery, długopisy oraz dziwaczne narzędzia lekarskie; pod spodem dojrzałam wymiętoszoną koszulę i mało ciekawe spodnie. Zbliżyła się do Addisona, poświeciła mu latarką „po oczach”, a potem kazała wnieść go szybko do środka. Kiwnęła, bym szła za nimi.

Szpital był nowiutki i bardzo gwarny — było tam mnóstwo sklepików i kawiarenek. Zupełnie jak na lotnisku. Ludzie w fartuchach obnosili się z poważnymi minami — chyba w ten sposób chcieli pokazać, że są poważnymi ludźmi, wykonującymi poważną pracę. Addison miał dookoła pełno rur i pikających maszyn. Dzieci płakały, dorośli wrzeszczeli. Czułam się całkowicie zagubiona.

— Nazwisko? — warknęła tęga kobieta.

— Holly Livingstone — wykrztusiłam.

— Nie pani. Jego.

— Addison. Addison Farthing — odparłam. Pomyślałam, że robi wszystko, co w jej mocy, by sprawić,

żebym poczuła się jeszcze gorzej.

— Pił coś? Brał jakieś środki odurzające?

— Nie.

— Lepiej będzie, jeśli powiesz nam to teraz. To zmienia postać rzeczy.

Miałam szczerą ochotę jej przywalić, ale nie ośmieliłam się, na wypadek gdyby okazało się, że bierze udział we wprowadzaniu nowych, eksperymentalnych metod leczenia — jeszcze zabiłaby go wyciągiem z ośmiornicy czy czymś takim.

— Niczego nie brał. Przysięgam.

Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, a potem zapytała, czy jestem z nim spokrewniona. Gdy zaprzeczyłam i powiedziałam, że nie znam nawet numeru telefonu do jego matki, westchnęła ostentacyjnie.

— Cóż, miejmy nadzieję, że sytuacja nie będzie wymagała interwencji chirurgicznej...

„Jak to dobrze, że jesteśmy na oddziale urazowym — pomyślałam — ...bo jeśli przyłożę jej cegłą...”.

— HOLLY!

Korytarzem pędzili Kate i Josh.

— Czy on tam jest? Co się stało? — krzyczeli jedno przez drugie.

Stojąca obok nas tłuścioszka ze zniecierpliwieniem przytupywała nogą.

— Czy któreś z was jest jego krewnym? — zapytała w końcu.

— Skontaktowałam się z jego matką... — Kate rozejrzała się dookoła. — Jest już w drodze, ale mieszka w Lewes.

Wyobraziłam sobie, jak usiłuję wytłumaczyć tej kobiecie, co zrobiłam jedynej osobie, którą miała na tym świecie (tak



przynajmniej to widziałam), i dostałam kolejnego skrętu kiszek.

— Wie pani, jaką ma grupę krwi? — nie dawała za wygraną doktorzyca.

— Ujemną — odpowiedział Josh. Popatrzyliśmy na niego osłupiale.

— Tak było napisane na kartce, którą dał mi, gdy się do nas wprowadzał... — Wzruszył ramionami. —

Skąd mam wiedzieć, dlaczego mi ją dał? Ma taką samą grupę jak ja, a ponieważ to bardzo rzadka grupa, zapamiętałem ją. On jest... — ściszył głos — ...dawcą organów.

Jeżu... Robiło się coraz gorzej. Spojrzałam na grubaszkę z nadzieją, że powie: „Ooo, przecież to nie będzie konieczne”, ale ona uniosła tylko brwi i niechętnie wskazała nam rząd niewygodnych plastikowych krzeseł.

— Jeśli chcecie poczekać, możecie sobie tam usiąść. Dookoła wszyscy rozprawiali o Addisonie.

— Ale co zamierzacie zrobić? — zapytałam tęą lekarzkę.

— Mam zostać, by to pani wyjaśnić, czy mam pójść sprawdzić, co mogę dla niego zrobić?

Jeśli o mnie chodzi, to miałam ochotę kopnąć ją w jaja — które z pewnością miała — ale odpuściłam sobie.

Przycupnęliśmy w kąciuku, blisko siebie; byliśmy przerażeni.

Gdy już opowiedziałam im, jak doszło do wypadku, gapili się na mnie w milczeniu. Czekałam na jakieś słowa otuchy, coś w stylu: „Och, przecież to mogło zdarzyć się każdemu — kiedyś usiłowałam pocałować takiego-a-takiego, no i wypadł przez okno z trzeciego piętra. Ale oni nic — tylko się na mnie gapili.

— Cóż, Holi, nie martw się — zreflektował się wreszcie Josh i ścisnął mnie za rękę. — Będiesz miała co opowiadać swoim wnukom.

— Tak... jak pytają, dlaczego dziadzius się ślini, przez cały czas nosi piżamę, nie chodzi o własnych siłach, no i dlaczego trzeba go karmić łyżką — wychlipałam.

— Jest młody i zdrowy — przerwała mi Kate. — Mogę zadzwonić do tatusia i spytać, jakie są rokowania. Wiesz, gdzie dokładnie się uderzył?

— Nie. Kiedy go zobaczyłam, był już na noszach. Ale nie widziałam, żeby miał na twarzy jakieś ślady. No, poza kaczym gówienkiem...

— Jesteś pewna, że to było kacze kupsko, a nie skrzepnięta krew?

— Albo mózg? — wtrącił Josh. — Ups, przepraszam — wymamrotał, kiedy zobaczył nasze spojrzenia.

— Nie, to była kupa. Ale nie widziałam tyłu jego głowy.

— Muszę to wiedzieć, by móc spytać tatusia — oświadczyła Kate. — Zdaje się, że doktor Hitler raczej by nam nie pomogła.

— To wiedźma — stwierdziłam. — A prosiłam o doktora Greene'a...

— Och, jestem przekonany, że z tymi mysimi ogonkami związanymi gumką nie wpuściliby jej na *Ostry dyżur* — mruknął Josh — A tak w ogóle jako lekarz powinna chyba wiedzieć, jak pozbyć się pryszczu.

— To wcale nie takie proste, jeśli siedzisz tu przez sto godzin w tygodniu i ratujesz ludzkie życia przy sztucznym oświetleniu — wtrąciła Kate.

— Wiesz, chodzi mi raczej o to, że zawsze można wygospodarować trochę czasu, by o siebie zadbać.

— Myślałam, że dzięki odrobinie seksu staniesz się mniej podobny do dziewczyny, a tu proszę... wręcz przeciwnie. Hej, a może ty jesteś lesbijką?

— Przestańcie natychmiast! — krzyknęłam. Musiałam wyglądać jak ostatnie nieszczęście, bo od razu się uspokoili.

Przez kolejne półtorej godziny w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy. Ciszę przerywaliśmy tylko po to, by odkrztusić

wstrętną, duszącą substancję, wydobywającą się albo z zaparzacza do kawy, albo z automatu do lekarstw (zainstalowanych dla wygody pacjentów). Josh przekartkował kilka starych numerów „Women's Weeklys” 11, a ja przez cały czas gapiłam się gdzieś w przestrzeń. Policjanci już nie wrócili — może chcieli zobaczyć, czy Addison się obudzi — mogliby wtedy zdecydować, czy zakwalifikować to jako ciężkie obrażenia ciała, czy też morderstwo. O Boże... Jak ja się w to wszystko wpakowałam? Kate trzymała mnie za rękę i od czasu do czasu ścisnęła moją dłoń, za co byłam jej bardzo wdzięczna.

Do szpitala przywieźli następnych pacjentów. Przetoczyli się przez korytarz — mnóstwo rannych, przykładających sobie coś do oczu, tabun płaczących dzieci. Pojawiła się jeszcze jedna karetka: wyciągnęli z niej kobietę — ze starości była aż przezroczysta. Starowinka oddychała przez ogromną maskę tlenową, która zakrywała jej całą głowę. Wszyscy dookoła krzyczeli na nią i wyglądała na bardzo przerażoną. Znowu zaczęłam dygotać; poczułam się fatalnie, jakby dopadła mnie grypa albo jakaś śmiertelna choroba. Nagle zamarłam — do środka weszła Tash — kuśtykała, miała ogromnego siniaka na głowie i pełno zadrapań na twarzy; towarzyszył jej jeden z chłopaków pracujących na giełdzie kwiatowej. Schowałam się za Kate.

— Co jest?

— Wielka stręczycielka — szepnęłam.

— Następnym razem ją zapierdolę! — piekliła się Tash. — Nikt mnie, kurwa, nie będzie bił.

— Ale pewnie jest teraz największą suką, nie? — powiedział jej ciężko myślący kompan.

— W żadnym wypadku! — wrzasnęła, wybuchając płaczem. — Ty też się ode mnie odpierdol! — krzyknęła do młodego lekarza, który szedł w jej kierunku. — To ja jestem

największą suką... to jedyne, co mam! No a teraz będę jeszcze miała to pierdolone dziecko!

Moje brwi zrównały się z linią włosów.

— Jest całkiem niezła — stwierdziła Kate. — Przydałby się nam ktoś taki w dziale negocjacji. Nigdy się nie poddaje. Ciekawe, czy nie szuka pracy?

Gdy minęło półtorej godziny, podszedł do nas młody pielęgniarz i zapytał, czy Josh nie zechciałby oddać krwi. Oczywiście chciał. Kate spytała o najświeższe informacje, ale pielęgniarz wzruszył tylko ramionami i wyjaśnił, że muszą poczekać na kogoś z najbliższej rodziny.

— To znaczy, że chcą go odłączyć od aparatury! — zawołałam przerażona.

— Nie ośmieszaj się — zganiała mnie Kate. — Nie proszą o krew tylko po to, by za chwilę wyłączyć całą podtrzymującą życie aparaturę. To może znaczyć, że będą operować.

— O Boże! — Ukryłam twarz w dłoniach. — O mój Boże! To wszystko moja wina.

W tym momencie przez rozsuwane drzwi weszła szczupła, wysoka kobieta. Była tak zamyślona, że wyglądała, jakby lunatykowała.

— To pewnie jego matka — domyśliłam się natychmiast. Złapałam Kate za rękaw. — Boże! Musisz pomóc mi się ukryć. Yyy... to ja już idę do domu.

Kobieta stanęła przy dyżurce i pokazywała nas palcem. Zawołała pielęgniarza i oboje do nas podeszli. Kate wstała z krzesła, pociągając mnie za sobą.

— Pani Farthing? Tak nam przykro. Nie chcą nam niczego powiedzieć.

— Och, ten chłopak... Ciągłe są z nim jakieś kłopoty — powiedziała z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. Spróbowała się uśmiechnąć. — W innych okolicznościach bardzo miło byłoby mi was poznać... To pani jest Kate?

Kate przytaknęła.

— Rozmawialiśmy często przez telefon.

Kate ponownie kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

— Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. I pomyśleć, że tak strasznie martwiliśmy się, że nie wychodzi z domu... a tu proszę — wyszedł i od razu klops!

Z mojego gardła wyrwał się zduszony szloch.

— A pani... ma na imię Holly, tak?

— Tak mi przykro — wymamrotałam. — Ja nie chciałam!

— Co?

— Pani Farthing, Holly była na miejscu, kiedy to się stało. Czuje się za to odpowiedzialna.

— Och nie, przecież ten chłopak to największa fajtłapa pod słońcem. Cieszę się, że wyszedł z tobą na dwór. Mogę go zobaczyć? — zapytała pielęgniarka.

— Proszę iść za mną. Wy też, jeśli chcecie. Weszliśmy do środka. Było mi wstyd, że w obecności matki Addisona zupełnie tracę panowanie nad swoimi emocjami.

Addison leżał w łóżku, podłączony do wszelkich możliwych urządzeń, zupełnie jak w operach mydlanych. Z jednym tylko wyjątkiem — ci w operach mydlanych budzą się zazwyczaj po dwudziestu minutach i nawet nie rozmazuje się im błyszczący do ust. Addison miał podkrążone oczy, a jego szyja była wsparta na jakimś dziwacznym stelażu. Włożyli mu w gips jedną nogę i zgolili pół głowy — zauważyłam trzy szwy i jeszcze świeżą krew. Monitor pokazywał, jak wolno bije jego serce.

— Czy mogłabym porozmawiać z lekarzem? — spytała jego matka. — Chyba że pan będzie mi potrafił coś powiedzieć...

— Zaraz zawołam panią ordynator — odparł młody pielęgniark. Wydawał się całkiem miły. To niemożliwe, by ta upiorna kobieta była tu ordynatorem — pomyślałam. Ale potwierdziły się moje najgorsze obawy — po chwili wparowała do środka, dysząc jak lokomotywa. Jej mina zdawała

się pytać: „Dlaczego, do cholery, pani Farthing ośmiela się mi przerywać? Przecież mam na głowie tylu pacjentów”.

— Czy życzy pani sobie, aby te dwie dziewczyny zostały? — zapytała, wskazując na nas.

— Oczywiście, że tak — odparła matka Addisona. Miałam wielką ochotę zaśmiać się grubej lekarce prosto

w nos — naturalnie gdyby nie uznawano tego za coś niestosownego.

- A zatem — zaczęła tłuscioszka, stając u wezłowania łóżka — pan Farthing ma podwójne złamanie nogi, jednak dużo bardziej niepokoi nas to, że najwyraźniej doznał jakichś poważnych obrażeń głowy. Tomografia komputerowa wykazała, że mógł nastąpić wylew krwi do mózgu...

Matka Addisona zamarła.

— ...no i nadal nie odzyskał przytomności. A to znaczy, że nie możemy stwierdzić, kiedy się obudzi, o ile w ogóle to nastąpi.

Pani Farthing wzięła bardzo głęboki, długi oddech.

— Może to być kwestią godzin, dni... ale może też potrwać znacznie dłużej.

— Rozumiem.

Stojąca za mną Kate chlipnęła cichutko.

— Dopóki się nie obudzi, nie jesteśmy w stanie ocenić rozmiaru pozostałych obrażeń. Obawiam się, że nie mogę nic więcej powiedzieć. Jeśli czegoś pani potrzebuje, proszę się zwrócić do pielęgniarki. Naturalnie przeniesiemy go na górę, na bardziej odpowiedni oddział. Tu na dole potrzebujemy tyle miejsca, ile to możliwe — zakończyła, obróciła się na swoich rozciapanych tenisówkach i tyle ją widziałyśmy.

Spoglądałyśmy na siebie w milczeniu.

— Co ona miała na myśli, mówiąc o „pozostałych obrażeniach”? — spytała matka Addisona. — O mój Boże... — nagle dotarło to do niej — chodziło jej o uszkodzenie mózgu, prawda? — Zakryła usta dłonią. — O mój Boże...

Opadła bezwładnie na łóżko obok Addisona, który oczywiście nawet nie drgnął. Położyła dłonie na jego głowie.

— Ja nie mogę... To nie może...

— Niech się pani nie martwi — powiedziała Kate, podchodząc do niej. — Ludzie z tego wychodzą. Widziała pani film *Ja cię kocham, a ty śpisz!* Odzyska przytomność i wróci do zdrowia. Jestem tego pewna. Proszę na niego spojrzeć.

Spojrzałyśmy. Wśród białej, wykrochmalonej pościeli prezentował się wyjątkowo spokojnie i pięknie.

— Czy z jego wspaniałym mózgiem może być coś nie tak?

— Jesteście bardzo miłe, ale czy mogłybyście zostawić nas na chwilę samych? — poprosiła pani Farthing.

— Oczywiście — odparła Kate i wypchnęła mnie za parawan.

Nadal nie mogłam wydobyć z siebie ani jednego słowa i wpadłam tyłem na pielęgniarkę.

— Nie martwcie się tak bardzo — powiedział. — Wielu ludzi wychodzi z takiego stanu bez szwanku. Przychodźcie jak najczęściej... może się wam wydawać, że jest nieprzytomny, ale zdarza się, że chorzy reagują na głosy, muzykę. I nie przejmujcie się tą doktorzyką-wampirzyką. — Zniżył głos i dodał: — Wiecie, ona jest niedopieczona...

Uśmiechnęłyśmy się blado.

— OK, najprawdopodobniej teraz przeniosą go na OI-OM, a tam na pewno dobrze się o niego zatroszczą. Będzie można odwiedzać go o każdej porze dnia, postarajcie się więc wpadać jak najczęściej. Och, i przyprowadźcie też swojego przyjaciela, tego blondaska. Ten chłopaczek potrafi rozjaśnić każdy dzień. — Pomachał nam ręką i zniknął za zasłonką.

Pognałyśmy do Josha, który siedział w recepcji blady i rozdygotany.

— Nic ci nie jest? — spytałam. — Dużo krwi ci zabrali?

Spojrzał na nas tępym wzrokiem.

— Nie, nie było tak źle. Ale wiecie co? Ten pielęgniarz zaprosił mnie na randkę... a ja się zgodziłem. Chyba zaraz zemdleję.

Nie wierzyłam, że tej nocy uda mi się zasnąć. Na dobrą sprawę czułam się winna nawet dlatego, że kładłam się do łóżka; ja przynajmniej mogłam decydować, kiedy mam na to ochotę, Addison już nie. Byłam jednak tak zmęczona, że usnęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki.

Ale kiedy się obudziłam, wszystko do mnie wróciło — czujesz się tak, gdy zostajesz porzucona i musisz wyjaśnić to swoim przyjaciółom, oczywiście ani nie przyznając się, że to ciebie rzucono, ani nie kłamiąc; albo kiedy po raz czwarty przystępujesz do egzaminu na prawo jazdy; albo gdy prześpałaś się z facetem swojej przyjaciółki, albo... Boże, przeżyłam już wiele okropnych poranków, jednak ten był zdecydowanie najgorszy. Leżałam na plecach, wpatrując się w sufit. Na pewno Addison wyzdrowieje. Musi. Zostanę Florence Nightingale i będę go pielęgnować przez całą dobę, a gdy już odzyska przytomność, z wdzięczności się ze mną... ożeni albo coś w tym stylu... W każdym razie będzie to niesamowicie wzruszające, bo Addison na pewno wyzdrowieje i wszystko się jakoś ułoży. No, dość tego. Wskoczyłam z łóżka, by rozpocząć czuwanie przy nim — króciutkie przerwy były przewidziane wyłącznie na doładowanie akumulatorów porcją czipsów. Ledwie moja stopa dotknęła podłogi, usłyszałam Kate, która chodziła po korytarzu i waliła w patelnię.

— Zebranie lokatorów! — darła się. — Wstawać!

Wymamrotałam coś i opadłam z powrotem na łóżko. „Jeżeli znowu chodzi jej o tę cholerną pastę do zębów, to będę miała poważne kłopoty” — szepnęłam Frankowi Sinatrze (pluszowemu misiowi).

Znajdowałam się właśnie w sa-



mym centrum bardzo traumatycznych i niezwykle dramatycznych wydarzeń i w związku z tym zasługiwałam chyba na specjalne traktowanie.

— HOLLY? Wstawaj, do cholery! — wrzasnęła Kate i grzmotnęła patelnią w drzwi mojej trumienki. Zakląłam siarczyście i pomaszero wałam za nią do kuchni.

Siedziała obok ogromnej, bulgocącej radośnie maszyny do kawy, ale sama wcale nie wyglądała radośnie. Wszedł Josh. Zdaje się, że jeszcze nie całkiem się obudził; jego włosy sterczały we wszystkie strony.

— Kurczę, miałem bardzo dziwny sen... — Popatrzył na nasze twarze. — Oj! Niech to diabli! — zawołał i usiadł.

— No więc — zaczęła Kate — musimy coś zrobić.

— Wiemy — odparłam, nalewając sobie kawy.

— Akurat w twoim przypadku nie byłabym tego taka pewna — powiedziała, unosząc plik kartek.

— Co to?

— Najświeższe dostępne w Internecie informacje na temat śpiączki. I nie są to dobre wiadomości.

— No to rzućmy na to okiem — zaproponował Josh, kładąc się na stole.

I rzuciliśmy, ale było tam zbyt wiele niezrozumiałych wykresów i długich, mądrych nazw, jak chociażby „nowo-tworzenie naczyń krwionośnych” czy „obrzęk mózgu”.

— Hmm, no tak, teraz wszystko rozumiem — mruknął Josh.

— Co? — spytałam, ale on wzruszył tylko ramionami.

— I tak Kate nam wszystko wyjaśni, więc spokojnie możesz udawać, że już to wiesz — szepnął mi do ucha. — Aha, tak.

— Wydaje się wam, że to zabawne?

— Skądże.

— A czy wiecie, że przez całą noc nawet nie zmrużyłam oka? To już druga noc z rzędu, której nie przespałam z powodu kłopotów, w jakie wy dwoje nas wpędzacie.

— Ojej, to nie fair — zaprotestował Josh. — Tym razem to wina Holly.

Aż się zapowietrzyłam.

— Wara od mojej kawy! Zaparzcie sobie tę swoją rozpuszczalną lurę i mówcie, jaki macie plan działania.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — spytałam.

Kate wyciągnęła ogromną tablicę magnetyczną i przyczepiła ją do lodówki.

— Oto nasz plan: dzień pierwszy — napisała wołami, po czym powiedziała: — Sprawa wygląda następująco, jeśli Addison ma z tego wyjść, musi to nastąpić w miarę szybko. Jeśli potrwa to dłużej niż tydzień, najprawdopodobniej powstaną jakieś uszkodzenia mózgu. A jeśli dłużej niż miesiąc — jest niemal pewne, że już się nie obudzi.

— Co takiego? — wykrztusiłmy oboje.

— Holi, uspokój się. To znaczy, że zostałaś oficjalnie wyklęta. Ale tym również się zajmiemy.

Przejdźmy teraz do sedna sprawy... Oto działania, które mogą pomóc w wyciąganiu ludzi ze śpiączki: (1) intensywne ćwiczenia fizyczne, (2) zabiegi rehabilitacyjne, prowadzone z oddaniem przez rodzinę i przyjaciół. OK? Oczywiście nie pozostanie to bez konsekwencji dla naszego życia, jednak w tej chwili liczy się tylko Addison. Mamy kilka rzeczy do zrobienia i musimy je zrobić szybko.

— Jakie rzeczy?

— Takie jak... — Wzięła do ręki mazak (wyglądał mi na kradziony), przeznaczony do pisania na białej tablicy — ...punkt pierwszy: rozmowa. — Zajmę się tym — zapewniłam ją.

— Przez kilka godzin dziennie, na okrągło.

— Nie ma problemu.

— Rozpisałam już dyżury.

— Nienawidzę dyżurów — burknęłam.

— Punkt drugi: muzyka. Josh, tu zdamy się na ciebie.

— W porządku.

— Mamy się zdać na Josha? Co ty? Chcesz wskrzesić Addisona przy dźwiękach *Piratów z Penzance*?  
— Wielu ludzi docenia *Piratów z Penzance* — oświadczył.  
— Tak, zwłaszcza jeśli chcą kogoś uśpić.  
— Holly! Już ustaliłam plan działania, OK?  
— Nienawidzę planów.  
— Punkt trzeci: dotyk i masaż.  
— Ooo, to coś dla mnie.  
— Addison potrzebuje nieustannej stymulacji przez dotyk... możliwe, że właśnie dzięki temu wróci do zdrowia.  
— Nie widzę problemu.  
Kate odwróciła tablicę na drugą stronę; podzieliła ją na mnóstwo rubryk, w które wpisała nasze imiona — różnymi kolorami, by rozróżnić poszczególne typy przypisanych nam zadań.  
— OK. Oto mój plan — zakomunikowała. Przyjrzelśmy mu się uważnie.  
— Nie chcesz chyba prosić Chali, by zajęła się muzyką? — spytałam.  
— Niby dlaczego?  
— Właściwie masz rację... Na pewno wyśmieje *Piratów z Penzance*.  
— Hej! — włączył się w dyskusję Josh. — Jakoś nie widzę, żebyś zgłosiła się na ochotnika do wykonania swojej słynnej pijackiej wersji *Back for Good*.  
— Widzisz — odparła Kate. — Zaznaczyłam to żółtym kolorem.  
Mój pierwszy dyżur zaczynał się właśnie tego ranka. Właściwie przypadły mi chyba wszystkie w ciągu dnia, z wyjątkiem tych w porze lunchu. Nie to, żeby Kate uważała moją pracę za nieważną czy coś w tym rodzaju. Zresztą to była moja wina. Poza tym uświadomiłam sobie, że naprawdę chcę zobaczyć Addisona. Chciałam zobaczyć, jak otwiera oczy. A to może się zdarzyć w każdej minucie!

Przypomniało mi się, że powinnam zadzwonić do pracy. No i oczywiście od razu wszystko się skomplikowało.

— Nie mogę przyjść. Mam mdłości — oświadczyłam.

— Jak silne? Dzwonisz ze szpitala? — zapytała pani Bigelow.

— Nie — odparłam. — Ale naprawdę nie mogę przyjść.

— Kiedy wymiotowałaś po raz ostatni?

— W Nowy Rok.

— No to świetnie. Będiesz musiała przyjść, bo nigdzie nie widzę Chali. Co mi po personelu, na którym nigdy nie można polegać?

— Ale...

— Ale nic. Albo widzę cię tu za chwilę, albo możesz więcej nie przychodzić.

Zastanawiałam się, czy nie podać jej do sądu pracy, ale zamiast tego z miną męczennika wsiadłam na rower. Przynajmniej mogłam ukraść największy bukiet w całej kwiaciarni i zawieźć go po pracy Addisonowi. Kate wściekła się, że psuję jej cały grafik, zanim w ogóle zaczęliśmy działać, jednak gdy zorientowała się, że nie ma wyboru, wzięła szmatkę i mrucząc pod nosem, zabrała się do wycierania tablicy.

— Mój Boże, już nie mogę doczekać się następnego dnia, kiedy będę mogła poznać kolejny odcinek twojego życia — ekscytowała się Chali. Dotarła na miejsce jeszcze przede mną. — To mi przypomina *Brookside 12*.

— Chyba raczej *Piekło i wojnę* — burknęłam.

— Co zamierzasz zrobić? Wsadzą cię do więzienia?

— Nie sądzę. Chyba że uznają całowanie się za zbrodnię.

— Ooo, świetny tytuł piosenki.

— Tak, hitu z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. I dzięki za okazanie delikatności.

- Więc co zamierzasz teraz zrobić? W końcu zepchnęłaś przecież człowieka z murku.
- Będę go pielęgnować tak długo, aż wróci do zdrowia — odparłam ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie. — Nigdy go nie zostawię. Przynajmniej nie wtedy, kiedy przypada mój dyżur.
- Czy Kate wie, że właśnie opuściłaś pierwszy dzień? A może obudził się dziś rano?
- Wie. Mam nadzieję, że się nie... To znaczy NIE, mam nadzieję, że tak się stało, ale... rozumiesz, co mam na myśli. Kiedy już stąd wyjdę, nie zostawię go nawet na chwilę. Muszę z nim rozmawiać, pocieszać go i masować.
- Masować?
- Aha. Kontakt fizyczny odgrywa bardzo ważną rolę.
- Co? Jak to? Będiesz go rozbierać, gdy będzie nieprzytomny?
- Oczywiście, że nie. — Zmrużyłam oczy. — Spadaj.
- Przepraszam, myślałam, że może...
- W żadnym wypadku. Chali, to było poniżej...
- Pasa...
- Westchnęłam ciężko.
- Czy te świńskie uwagi to twój jedyny pomysł na rozwiązanie tego problemu?
- Hmm, raczej tak.
- OK. Wobec tego zatrzymaj je dla tych swoich brudasów. Nie chcę tego wysłuchiwać.
- Masz rację... w końcu to kwaciarnia, a nie warzywniak.
- Och, odpieprz się wreszcie ode mnie i zostaw mnie w spokoju — jęknęłam i nakryłam głowę rękami. — Dlaczego nie wyjdiesz trochę wcześniej? — zaproponowała. — Zrobię kasę.
- Nie wolno ci.
- Przysięgam, że nie zwędzę ani pensa. Specjalnie dla ciebie. I tego dziwaka w szpitalu.
- Addison nie jest dziwakiem.

— Śpi od dwudziestu czterech godzin! To chyba całkiem dziwne!

— Chali!

Uderzyłam ją żonkilem, ale doskonale wiedziałam, że chciała mi w ten sposób pomóc. Napełniłam więc koszyk gardeniami i miniaturowymi niezapominajkami, po czym wyruszyłam do szpitala już o 16.00 — musiałam tylko przeprowić się przez morze samochodów.

Pani Farthing nadal czuwała u boku syna. Była blada i spięta, najwidoczniej w ogóle nie spała. Na OIOM-ie nie było już tej nerwowej atmosfery, oddział był cichy i jakby mroczny. Dookoła pikające i pomrukujące urządzenia, nieprzytomni ludzie. Głównie starsi, z wielkimi, odznaczającymi się pod pościelą brzuchami, ale leżało tam również kilka młodszych osób. Sami mężczyźni. Ciekawe dlaczego? Może po prostu mieli skłonność do spadania z wysokości? Postanowiłam, że zapytam o to tego miłego pielęgniarza, znajomego Josha — jeśli go tu spotkam.

— Dzień dobry — przywitałam się szeptem z mamą Addi-sona. Byłam już dużo spokojniejsza i zamierzałam zachowywać się dostojnie; chciałam również pokazać jej, że niezależnie od tego, co się wydarzyło, nadal jestem głęboko oddana jej synowi; pragnęłam udowodnić, że zasługuję na jego miłość. Oczywiście kiedy się obudzi — do czego niewątpliwie niebawem dojdzie.

— Dzień dobry — odparła. — Holly, prawda?

— Tak.

— Mów mi Magda.

— Magda. Oczywiście.

Poczułam się głupio i stwierdziłam, że nie mam tam nic do roboty, zwłaszcza po tej mojej wodnej historii z poprzedniego dnia. Wcale nie jest łatwo przeistoczyć się — z dnia na dzień — w dostojną i dumną osobę. Wymieniłyśmy spojrzenia.

— Yyy... Magda, może ci coś przynieść? Musisz być kompletnie wykończona.

— Nie... ale może posiedziałaś z nim trochę? Jestem tu od szóstej rano i muszę rozprostować nogi, kupić coś do jedzenia. Mogłabyś?

— Jasne. Zostanę tak długo, jak będziesz chciała. Wstała, nie wypuszczając z ręki bladej dłoni Addisona.

— Przez cały dzień nawet nie drgnął — powiedziała. — Myślę, że była to nasza najdłuższa rozmowa, jaką do tej pory odbyliśmy. — Jej usta wykrzywił ironiczny uśmiešek. — Przywykłam do takich monologów z synem.

— Na pewno wie, że tu jesteś — pocieszyłam ją nieprzekonującym tonem i zajęłam jej miejsce. Cienie wokół oczu Addisona trochę pojaśniały. Wyglądał dzięki temu mniej upiornie, bardziej tak, jakby spał. Miałam ochotę zbudzić go łaskotkami.

— Tam siedzi pielęgniarka — poinstruowała mnie matka Addisona i pokazała na biurko. — Ale radziłabym unikać pani doktor. Nie jest specjalnie usłużna.

— Tak, wiem. Święta racja. Dzięki.

I wyszła. Zostaliśmy sami, tylko we dwoje. Chrząknęłam nerwowo. Dziś miałam z nim porozmawiać.

— Cześć Addison — mruknęłam. Czułam się jak kompletna idiotka. — To ja, Holly!

Nawet nie drgnął — nic dziwnego.

— Chcę tylko, abyś wiedział, że strasznie mi przykro z powodu tego, co zaszło nad brzegiem rzeki. Na razie jednak musimy odsunąć to i skoncentrować się na twoim powrocie do zdrowia. A kiedy będziemy zamierzali się znowu całować, wybierzemy się może... na dno kopalni czy coś takiego. Oczywiście o ile w ogóle będziesz chciał mnie jeszcze pocałować. Pewnie nie. Naturalnie będziesz miał do tego prawo.

O, nie, nie. To zbyt przygnębiające. Usilnie szukałam w pamięci jakichś dobrych wiadomości.

— A tak w ogóle masz pozdrowienia od Chali. Nigdy się nie spotkaliście, ale na pewno byście się zaprzyjaźnili. No, może nie w dokładnym tego słowa znaczeniu, tylko tak

ogólnie, rozumiesz... To moja znajoma i przesyła ci całusy. No, nie aż takie dosłowne. To zadanie okazało się dużo trudniejsze, niż mi się wydawało. Przypomniałam sobie stare dokumentalne filmy o ludziach w śpiączce. Zdaje się, że powinnam założyć Addi-sonowi na uszy słuchawki i puszczać mnóstwo nagrań Cliffa Richarda. Ups! Nie uraziłam czasem tego starego, poczciwego biedaka?

— Ehem... ooch, wiadomość dnia: Josh został zaproszony na randkę przez faceta. Zgodził się. Doszło do tego dwa dni po tym, jak przespał się z kobietą, o czym zresztą wiesz. Jesteśmy bardzo podekscytowani, bo wreszcie możemy jakoś sklasyfikować naszego Josha. Ale on ma trochę stracha, przez cały czas wciera w siebie jakieś maści na wazelinie...

— Naprawdę? — zza zasłony wynurzyła się jakaś tleniona główka. To ten pielęgniarz.

— Zdaje się, że nie powinieneś podsłuchiwać ludzi, którzy rozmawiają z chorymi w śpiączce! — oburzyłam się. — Myślałam, że pracujesz na dole.

— Tak. Ale przyszedłem sprawdzić, co słyhać u twojego przyjaciela.

— Aha — mruknęłam podejrzliwie.

— I zobaczyć, czy ma jakichś gości.

— Ma. Mnie.

— Właśnie widzę. Cześć... mam na imię Stephen.

— Witaj, Stephen. Jestem Holly.

— Tak, tak. Wiem o tobie prawie wszystko — pochwalił się.

— Ooo... — Ogarnął mnie lekki niepokój, jak wtedy, gdy wypijasz na przyjęciu za dużo tequilli, potem rozmawiasz godzinami z jakimś człowiekiem, a gdy ten wita się z tobą następnego dnia, ty zupełnie go nie pamiętasz. — No cóż... — wymamrotałam.

— Mniejsza z tym. Opowiedz mi coś więcej o swoim apetycznym współlokatorze.



Biorąc pod uwagę ostatnie dwadzieścia cztery godziny, był pierwszą osobą, która nie uznała mnie za ucieleśnienie zła, i byłam gotowa zdradzić mu dużo więcej niż w normalnych okolicznościach.

— Josh jest bardzo słodki i odrobinę niezdecydowany.

— Naprawdę? — Wydał wargi. — Wolę raczej, jak faceci są jasno określani.

— No cóż, chyba jest. W ubiegłym tygodniu przespał się z dziewczyną

— Hmm...

— Ale umówił się z tobą, mam rację?

Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Tylko w żadnym wypadku nie zabieraj go do jakiejś mrocznej speluny — ostrzegłam go. — Jest taki niewinny. Nie zabieraj go nigdzie tam, gdzie musiałby założyć obrożę albo tańczyć w bieliźnie.

— Pomyślałem, że zabiorę go na obiad — odparł Stephen. — Może być, czy też musisz mu wypisać na to pozwolenie?

— Może być — odparłam i uśmiechnęłam się. — A co z Addisonem?

— Czy to twój chłopak?

— Tak jakby.

— Uroczy.

— Prawda?

Przez chwilę przyglądaliśmy mu się w milczeniu.

— Wyjdzie z tego, co?

— Na pewno.

Stephen ruszył do wyjścia.

— CZY ON TU JEST? — Ktoś odsunął gwałtownie kotarę; była to pani doktor ze smalcem na włosach. Wpadła jak burza, pognęła do łóżka i pochyliła się nad głową Addiso-na. — STEPHEN, PODAJ MI SZPATUŁKĘ, BIEGIEM!

Zerwałam się przerażona. Co się dzieje?

Doktorzyca obrzuciła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Mogłaby pani na chwilę stąd wyjść?

— Dlaczego? Co się stało?

Wrócił zdyszany Stephen z małym plastikowym patyczkiem.

— Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pani, o co chodzi — oświadczyłam.

— Możesz zostać — powiedział Stephen, a doktorzyca omal nie zabiła go wzrokiem.

— No dobrze...

Założyła podejrzenie wyglądające gumowe rękawiczki, uniosła powoli jedną powiekę Addisona i zaświeciła mu w oko.

— Co ona robi? — zapytałam Stephena, ale on tylko wzruszył ramionami. Nie wzbudziło to raczej mojego zaufania.

— Jaki ma współczynnik refrakcji? — zwróciła się do mnie lekarka.

— A...ga...ha... he? — Aż się spociłam. O czym ona mówi? Co się stanie, jeśli okaże się, że tego nie wiem?

— Nic nie widzę. Mógłbyś...? — zapytała Stephena. Pochylił się nad Addisonem.

— Czego szukacie?

— W jego karcie jest napisane, że ma wysoką krótkowzroczność. Doktor Costello uważa, że nadal może mieć soczewki kontaktowe.

— Nie zauważyłam wczoraj... żeby je miał. — Cofnęłam się nieco zawstydzona i podniosłam leżące na łóżku okulary. — On nosi to.

— Tak, tak, oczywiście, że wiem. Ja tylko sprawdzam. OK. Ehem... Nic nie ma. — Ściągnęła rękawice w teatralny sposób i zniknęła.

— O co jej chodziło?

— Jeżeli nie zdejmiesz soczewek kontaktowych osobie, która przez długi czas pozostaje w śpiączce, oczom grozi niedotlenienie i mogą zacząć, no wiesz... gnić.

— ŻE CO?

— Uspokój się, już wszystko w porządku.

— Doktor Hitler próbowała oślepić mojego chłopaka, a ty mi mówisz, że wszystko jest w porządku?

— Hej, przecież w porę się zorientowała.

— Z jego oczu dawno mogły zacząć wylazić robale!

— Ehem... nie zapominaj, że on może cię słyszeć.

— O cholera!

Usiadłam z powrotem obok Addisona.

— Muszę iść.

— Wiem. Pozdrowię od ciebie Josha.

— Dzięki.

— Och, Add — westchnęłam, kiedy Stephen już sobie poszedł. Położyłam głowę na jego ramieniu.

Pachniał krochmalem i szpitalnymi łózkami. — Czy ty wiesz, że wcale nie jest tak łatwo poświęcić się dla ciebie? A co, jeśli znowu coś przeoczą? Nie będę nawet wiedziała co. Mam rację?

Moje palce wystukiwały bezwiednie jakiś rytm na jego dłoni.

— Powiem ci, że jest znacznie gorzej niż wtedy, gdy poszłam na spotkanie z facetem, który przypominał mi Andrew Ridgeleya<sup>13</sup>. Potknęłam się wtedy na dworcu kolejowym i omal nie upadłam na tory. Przytrzymał mnie wprawdzie, złamałam jednak duży palec u nogi. Ale przynajmniej tylko ja wtedy ucierpiałam. Zresztą to nie fair: ledwo wróciłeś do normalnego życia i w ogóle, a już wszystko zostało ci odebrane. Jeśli właśnie to miało miejsce w twoim przypadku i Bóg spokojnie się temu przygląda, to musi być jakimś ZGRZYBIAŁYM STARCEM.

Ostatnie słowa wypowiedziałam chyba odrobinę głośniejsze, niż zamierzałam, gdyż nagle rozległ się jakiś chrapliwy głos:

— Wcale nie jestem zgrzybiałym starcem!

---

<sup>13</sup> W latach osiemdziesiątych wraz z George'em Michaelem stworzył duet Wham.

— O, do diabła! — krzyknęłam i podskoczyłam do góry. Rozejrzałam się dookoła na wypadek, gdyby okazało się, że to jednak Bóg.

— To ty, Boże?

— Tak — odezwał się chrapliwy głos. Wydawało mi się, że dobiega z lewej strony. Uchyliłam zasłonkę. Na łóżku obok leżał stary, bardzo stary mężczyzna, który wyglądał na poważnie chorego. Podeszłam bliżej.

— Nie jest pan Bogiem.

— Ale mam już do niego blisko — wyrzeził. — Jestem w drodze.

— Ha — mruknęłam. — W każdym razie na pewno jest pan ZGRZYBIAŁYM STARCEM.

— Rzeczywiście. Ale mam boską duszę.

— Ekstra. Słyszałam to już od pewnego faceta. Mężczyzna roześmiał się. Uaa, jaki nieprzyjemny odgłos... — No dobrze... czy wobec tego możesz pomóc mojemu przyjacielowi, Addisonowi? — spytałam. W końcu jak trwoga, to do Boga.

— Niestety, nieznane są wyroki boskie.

— Czy to znaczy „może”?

Mężczyzna odchrząknął w dystyngowany sposób.

— Tak. To znaczy „może”. Czy mogłabyś teraz wlać mi odrobinę whisky przez rurę do karmienia?

— To chyba nie jest bezpieczne.

— Przecież jestem Bogiem, głupia babo. Nic mi się nie stanie.

— Panie McClockerty! Czyżby znowu pan rozmawiał? — Jak spod ziemi wyrosła nagle doktor Hitler. Posłała mi swoje standardowe nieufne, nieprzyjazne spojrzenie. — Proszę nie rozmawiać z pacjentami. To im nie służy. — Ona z nikim nie rozmawiała, siostrzo. Ona się modliła.

— Nie jestem żadną siostrą, jestem lekarzem. Czas na lekarstwo. Ma pan do wyboru: w cienką żyłkę czy w grubą?

Stary mężczyzna westchnął ciężko i zamilkł.

— Wracam do Addisona — oświadczyłam.

— Tak będzie najlepiej — odparła spokojnie.

Gdy schowałam się za parawanem, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam się zastanawiać, czy nie mogłabym usiąść na łóżku. Okazało się, że nie ma na to miejsca. Zresztą bałam się, że zawadzę o jakąś rurę, jak w tym filmie *Czy leci z nami pilot?* Musiałam zadowolić się niskim, mało wygodnym szpitalnym taboretom — przyciągnęłam go i rozsiadłam się, opierając brodę o łóżko. Z braku innych tematów do rozmowy opowiedziałam Addisonowi o czasach, gdy wynajmowałam mieszkanie z „terrorystą”, który protestował przeciwko czystości.

Koło wpół do ósmej zjawił się Josh. Był jeszcze bardziej elegancki niż zazwyczaj — nie mogłam się połapać, o co chodzi, aż wreszcie zauważyłam, że zawiązał pod szyją fular.

— Czy straciłem przebudzenie? — zapytał.

— Nie.

— Wspaniale! To znaczy... ojej!

Stanął obok łóżka i zrobił gest, jakby chciał dotknąć Addisona, choć oczywiście wcale tego nie zrobił.

— Czyli bez zmian?

— Jeśli chodzi o niego — żadnych. Ale ty zdaje się masz na sobie fular?

— A, tak. Cóż, widziałaś chyba grafik?

— Aha. Nienawidzę grafików.

— No, powinienem dzisiaj... Coś zaświtało mi w głowie.

— Nie.

— Obawiam się, że tak.

— Przez ciebie może mu się jeszcze pogorszyć.

— Ani sir Sullivan, ani sir Gilbert 14 nie wprawili nikogo w gorszy stan — stwierdził.

— Ojej, Josh, przecież wiesz, że to nieprawda. Zapomniałeś już, jak byłeś na przedstawieniu *Pod banderą Jej Królewskiej Mości*, kiedy ten facet z widowni udawał, że mdleje? Położyli go na noszach, a jak go wynosili, spadł i skrzył sobie nogę w kolanie.

— Wcale nie udawał, że mdleje.

— Potem wszedł na izbę przyjęć, kuśtykając, i darł się: „Warto było — przynajmniej udało mi się stamtąd wydostać!”.

— Cóż, nieważne... tak wynika z dyżurów. Westchnęłam. Josh odchrząknął.

— Ale przynajmniej śpiewaj po cichu. Jeśli doktor Hitler cię usłyszy, każe ci amputować głowę.

— Muzyka łagodzi obyczaje.

— Tak, muzyka. — Opadłam na stojące w rogu krzesło. — Ale na pewno nie to, co chcesz zaśpiewać. W rzeczywistości Josh miał wyjątkowo piękny baryton. Usiadłam z tyłu i wtórowałam mu głośnym tra-ta-ta-tam, tru-tu-tu-tu, on zaś śpiewał:

*Doskonały ze mnie przykład nowoczesnego generała, Wszak znam się na roślinach, zwierzętach, mineralach, Znam władców i ich boje spisane w annałach, Od Maratonu po Waterloo — wszystkie bez mała. Nieobce mi również matematyczne działania, Kwadratowe i liniowe rozwiążę równania, Z dwumianu Newtona wszystkie fakty znam bieżące, A moje serce rwie do kwadratu przeciwprostokątnej.*

— A MOJE SERCE RWIE DO KWADRATU PRZECIWPROSTOKĄTNEJ... — mruzczałam.

— Myślisz, że to działa? — zapytał Josh.

— Miałam nadzieję, że Addison obudzi się dokładnie w tym momencie: z radością by ci udowodnił, że jeśli chodzi o kwadrat przeciwprostokątnej, zna się na nim o wiele lepiej niż ty.

— Więc może ta zwrotka:

*Różniczki i całki obliczam w mgnieniu oka,  
Z nazw drobnoustrojów wiedza ma szeroka.*

*Wszak znam się na roślinach, zwierzętach, minerałach,  
Czyż nie doskonały ze mnie przykład nowoczesnego generała ?*

— WSZAK ZNAM SIĘ NA ROŚLINACH, ZWIERZĘTACH, MINERAŁACH, DOSKONAŁY ZE  
MNIE PRZYKŁAD NOWOCZESNEGO GENERAŁA — darłam się do wtóru.

Zerknęliśmy kątem oka na Addisona. Raczej nie działało.

— Oto muzyka Boga! — zawołał głos z sąsiedniego łóżka.

— To nie jest muzyka Boga! Hymny są muzyką Boga! — zaprotestowałam, wyściubiając głowę zza parawanu.

— Muzyką Boga jest wszystko, co ja tak nazwę — przerwał mi Bóg. — Dziś jest to Gilbert i Sullivan.  
A także Climie i Fisher<sup>15</sup>.

— Jesteś bardzo mściwym Bogiem.

— Wiem. Powiedz mu, żeby zaśpiewał jeszcze raz, bo inaczej zamienię cię w krzak.

Josh uniósł brwi, ale że jeden z jego wujków uważa się za Duke'a Wellingtona, zdążył już przywyknąć do takich historii. Znowu zaczął śpiewać.

*Historię naszą oraz mity znam należycie, Akrostychy i paradoksy uwielbiam nad życie. Recytuję elegie  
o czynach Heliogabalusa Paraboloida w stożku, wartość cosinusa... Rafael, Dow czy Zoffany —  
rozstrzygnę bez wahania, Znam również Żab Arytofanesa chóralne śpiewania, Nuce potem fugi,  
powtórzę wszystko, co usłyszę, I Pod banderą Jej Królewskiej Mości — bzdurne arie fałszywe.*

---

<sup>15</sup> Duet popularny w latach osiemdziesiątych. Autorzy przeboju *Love changes everything*.

— Przecież to również stek bzdur — zirytowałam się. — Jak to jest, że zapamiętałeś to gówno, a masz kłopoty ze swoim PIN-em?

— Uznałem, że to wspaniały utwór, w sam raz dla kogoś tak mądrego jak Addison, i spędziłem cały dzień, ucząc się go na pamięć — burknął Josh.

— OK, już dobrze, przepraszam.

Pielęgniarki opuściły swoją dyżurkę i podeszły do nas — chyba im się spodobało.

— Wybaczam ci — odezwał się chrapliwy głos z sąsiedniego łóżka i zaśpiewał razem ze mną: I POD BANDERĄ JEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI — BZDURNE ARIE FAŁSZYWE... — To całkiem niezłe

— stwierdził Bóg. — Cieszę się, że to stworzyłem.

— Cśś... — uciszyła go jedna z pielęgniarek. — Pozwólmy mu dokończyć.

*Kwit z pralni pismem klinowym wystawia — daję słowo, Nawet mundur Katarkusa opiszę szczegółowo. Wszak znam się na roślinach, zwierzętach, minerałach, Czyż nie doskonały ze mnie przykład nowoczesnego generała?*

— WSZAK ZNAM SIĘ NA ROŚLINACH, ZWIERZĘTACH, MINERAŁACH, DOSKONAŁY ZE MNIE PRZYKŁAD NOWOCZESNEGO GENERAŁA.

— Nie mogę przypomnieć sobie ostatniej linijki — zdenerwował się nagle Josh.

— W porządku, zaśpiewamy jeszcze raz ostatni fragment. Josh i ja wstaliśmy, Bóg uniósł do góry swoją zwiędłą

dłoń, przyłączyły się też pielęgniarki i wszyscy razem zaintonowaliśmy refren:

— WSZAK ZNAM SIĘ NA ROŚLINACH, ZWIERZĘTACH, MINERAŁACH, DOSKONAŁY ZE MNIE PRZYKŁAD NOWOCZESNEGO GENERAŁA!!!!



Josh wykonał elegancki wojskowy ukłon.

— CO tu się dzieje? — wrzasnęła doktor Hitler z korytarza.

Pielęgniarki rozpierzchły się jak stado złkniętych gołębi, pozostawiając nas na środku sali jako głównych winowajców.

— Hmm... Najwyraźniej muzyka jest dobra na... hm... zresztą sama pani to wie... — Josh robił co mógł, naśladowując Hugh Granta, ale nie za bardzo mu szło.

— Tak, ale przez słuchawki. A coś takiego tylko przeszkadza. Czy pan McClockerty brał w tym udział?

— Ooo, skądże... Bóg... to znaczy pan McClockerty ostrzegwał nas, byśmy tego nie robili.

— Święta prawda — odezwał się głos z sąsiedniego łóżka.

— Ale my i tak zaśpiewaliśmy — oświadczyłam buńczucznie, po czym spuściłam wzrok na podłogę.

— Ależ pani doktor... — Josh spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, stanął naprzeciw niej, ujął jej dłonie i zaczął po cichu:

*Spójrz w oczy jej błyszczące, Co nieśmiałe wiecznie są. Rzęs otoczka nie pomoże Ukryć jej powieki drżące. Gdy Rubikon przejdziesz ten, Usta już całować możesz. Uczucia wasze — tak porażające! Otocz kibić cudnie wąską (Że to ważne — dobrze wiesz), Sięgnij po dłonie maleńkie, Ech, paluszki cudne te (Nie za mocno ściśnij je). Szczęściarz z ciebie: Weź wszystko, weź choćby i dziś I pilnuj jej, i walcz, Bądź wierny od dziś.*

Stało się coś dziwnego: doktor Hitler zachichotała nagle i oblała się rumieńcem. Może jednak Josh miał rację co do muzyki Gilberta i Sullivana? Pielęgniarki wychyliły się ze swoich kryjówek, chcąc obejrzeć to niezwykle widowisko. Josh wziął głęboki oddech i śpiewał dalej:

*Wynajmij przepiękny mały pokoik,  
Dbaj, by jak z bajki romans był twój:  
Wino najdroższe musicie pić,  
Klejnotów musisz mieć w bród  
(Wspomniałem wcześniej o całym ich roju).  
Żyj dla miłości, miłuj — by żyć!  
Od innych wymagasz wiele,  
Dogodzić jakże trudno ci,  
Więc posłuchaj mej rady:  
Powstań, człeku bez skazy!  
Powstań, bo siły masz za trzech!*

Rozległa się burza oklasków. Doktor Hitler zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

— Możliwe, że tak się stanie — odezwała się wreszcie. — Ale...

— Pani doktor! — krzyknęła jedna z pielęgniarek, stojąca przy którymś z łóżek w głębi sali. — Proszę tu przyjść! To Grant! Chyba się poruszył!

Cały personel rzucił się galopem w drugi koniec pomieszczenia, a Josh i ja spojrzeliśmy na siebie.

— O, do diabła! — zawołaliśmy po chwili jednocześnie i pobiegliśmy sprawdzić, co się dzieje.

Na łóżku w głębi sali leżał zdezorientowany dziesiętnastoletni chłopak i mrużył oczy przed rażącym go światłem.

— Pierwszy motor—wyjaśniła nam szeptem jedna z pielęgniarek. — Kiedy sprzedają je chłopakom, przyczepiają z tyłu kawałek gumy, dzieciaki spadają z nich po pięciu minutach, a motory wracają z powrotem do warsztatu.

— O kurde, naprawdę? — wymamrotał Josh.

Nagle ktoś zaciągnął wokół łóżka kotarę i przegoniono nas stamtąd.

— Znowu mi się udało — rzeził Bóg.

— Czyżby? — obruszyłam się. — Naszym zdaniem to zasługa Josha i jego śpiewania. Teraz musimy tylko znaleźć odpowiednią piosenkę dla Addisona.

— No dobrze — wtrącił się Josh — ale dlaczego obudziłeś najpierw jego?

— Niezbadane są...

— ...wyroki boskie. Tak, już to wiemy.

— Wiecie, czym najlepiej zadowolić Boga, gdy w pobliżu nie ma pielęgniarek? — zapytał, spoglądając na nas błagalnym wzrokiem.

— Gąbką-myjką? — zgadywałam.

— Whisky. Jest w szafeczce. Wlej odrobinę do tej rury — poinstruował mnie. — Nie, nie do tej, bo udławię się na śmierć. Choć z drugiej strony byłaby to piękna śmierć... — już na samą myśl o tym dostał ataku suchego kaszlu.

— Nie ma mowy — sprzeciwiłam się. — Mam już wystarczająco dużo kłopotów na łóżku numer cztery. Kiwnął głową. — Tak, wiem.

— Jakżeby inaczej, przecież jesteś wszytkowiedzący.

— Przepraszam... — na salę weszła matka Addisona. — Usnęłam w szpitalnej stołówce. Było tam tylu śpiących lekarzy...

— Nie przejmuj się tym. Nie był szczególnie uciążliwy.

— Zawsze chciałam, żeby dał nam czasem w kość — mruknęła i popatrzyła na syna.

— Wiem, co masz na myśli.

— Możesz już iść — powiedziała Magda. Usiadła i objęła dłońmi głowę Addisona.

— Przyjdziemy jutro — obiecałam.

Kiwnęła głową, a my wymknęliśmy się na paluszkach.

— Odwaliliście kawał dobrej roboty — przywitała nas w drzwiach Kate. — Śpiewałeś?

Josh przytaknął.

— A więc wszystko idzie zgodnie z planem. Ja tymczasem przygotowałam kolację.

Wymieniliśmy spojrzenia — podejrzana sprawa: nie było czuć zapachu jedzenia. Kate nie pozwoliła mi zbliżyć się do kuchenki, ale była przecież jedną wielką niewiadomą. Przeczuwałam jakieś surowe, zielone świństwa w plasterkach. A niech spada na bambus!

— Zapraszam.

W kuchni piętrzyła się góra opakowań z Marks & Spencer. Kurczak w winie, sok owocowy, konfitury, pieczone banany, wieprzowina w sosie musztardowym, szampan z figami, a do' tego jeszcze opakowanie pokrojonej w słupki marchewki oraz sakramencko drogie tłuczone ziemniaki. Josh oniemiał z wrażenia.

— Wybierajcie.

— Kate, przecież to jest niejadalne.

— Lepiej żeby było, kosztowało drożej niż obiad w „Belvedere”.

Josh przyglądał się podejrzliwie kolejnym pudełkom, jakby pozamykali w nich żywe meduzy.

— Nie sądzę, żebym mógł to przełknąć.

— A ja zadałam sobie tyle trudu!

— Zadałaś? Raczej złapałaś... taksówkę do Marks & Spencer!

— To naprawdę nie było łatwe! Byliście tam kiedyś o wpół do siódmej wieczorem? Omal mnie nie zabili!

— OK, już dobrze—powiedziałam, starając się załagodzić sytuację. — Przynajmniej nie musimy jeść przez jakieś rury.

— Akurat to świństwo wolałbym jeść przez rury — marudził Josh. — Przynajmniej ominęłoby moje kubki smakowe.

— Mnie to nie przeszkadza. Zjem cokolwiek. Dziękuję, że to kupiłaś.

— Daruj sobie! — fuknęła Kate i wybiegła z kuchni.

— No i co narobiłeś? — skarciłam Josha. — Jakbyśmy nie przeżyli dziś wystarczająco ciężkiego dnia. Nie denerwuj jej. To moja działka.

— Wcale nie zamierzałem jej denerwować — powiedział, zakładając fartuszek. — Chciałem się z nią tylko trochę podrażnić.

— Doskonale wiesz, że Kate nie najlepiej znosi twoje docinki — zbeształam go. Przybrał skruszony wyraz twarzy.

— Skates! — zawołał. — Potrzebna mi twoja pomoc przy szatkowaniu. Chodź tu natychmiast. Zdumiewające, ale wróciła. Była lekko czerwona na twarzy. Wzięli całe to zapakowane paskudztwo, pokroili na drobne części, a potem zmiksowali i zrobili z tego zupę oraz sos. W końcu usiedliśmy razem do stołu.

— Kukurydza w sosie do spaghetti? — grymasiłam.

— Ćśś... Proszę cię o jedno: nie przypominaj Kate, że ten sos kosztował trzydzieści funtów. Ale te pudełka mogą się na coś przydać.

— Na co?

— Nie wiem... może jako sanki dla chomików?

— Hej, chyba już wystarczy — przerwała nam Kate. — Co z nim? Przypuszczam, że nie ma poprawy, bo pewnie byście coś powiedzieli. Ale w takim razie, o ile się nie mylę, zostało nam jeszcze sześć dni. Opowiedzieliśmy Kate, jak przypadkiem obudziliśmy innego pacjenta.

— Naturalnie to zasługa Josha i jego śpiewania — podnieciła się. — Musimy teraz tylko znaleźć właściwą piosenkę dla Addisona.

— To żaden problem. Mamy sześć dni, by zaśpiewać mu xwszystkie piosenki świata.

— Już wiem! — zawołałam. — Pójdziemy do jego pokoju, przejrzymy kolekcję jego płyt i coś z tego wybierzemy.

— Niezły pomysł — stwierdziła się Kate.

— Dziękuję.

Posprzątaaliśmy po kolacji (za którą musieliśmy dziękować Kate, niemal padając przed nią na kolana) i udaliśmy się do pokoju Addisona. Bez niego pokój robił jeszcze bardziej niesamowite wrażenie. Komputer jakby się zapomniał i żył własnym życiem — coś tam błyskało, coś pomrukiwało, choć monitor był wygaszony.

— Nie mam pojęcia, gdzie on trzyma płyty... — Rozglądałam się dookoła z lekką konsternacją.

Gdyby nie obecność Kate, podeszłabym do jego łóżka i poupajałabym się jego zapachem.

— Może tam? — Josh wskazał palcem na stertę leżących pod biurkiem kompaktów. Gdy po nie szedł, potknął się o figurki bohaterów *Gwiezdných wojen*. Musiał przytrzymać się biurka i niechcący dotknął klawiatury, wyłączając tym samym wygaszasz ekranu.

Josh i Kate wrzasnęli przerażeni.

— Ej, no co wy... uspokójcie się. Zresztą może to doskonały moment, by przedstawić wam drugą dziewczynę Addisona.

Zbliżyli się do monitora, uczepieni siebie nawzajem. Wielka głowa Claudii wirowała jeszcze szybciej niż zazwyczaj, jakby czymś zaniepokojona. GDZIE JESTEŚ? — pojawiło się na dole rozpaczliwe pytanie napisane dużą czcionką.

— Chryste Panie! — jęknęła Kate. — Wiem, że on ma hopla na punkcie science fiction, ale to jakiś horror.

Josh znacznie szybciej kojarzył fakty.

— I ty przegrywałaś z czymś takim? — Objął mnie ramieniem.

— Nie! To tylko rozciągnięta w czasie zagrywka taktyczna. Przez chwilę gapiliśmy się na Claudię.

— Ktoś musi jej powiedzieć — odezwała się wreszcie Kate.

— Niby dlaczego? — spytałam.

— No nie wiem... może dlatego, że prawdopodobnie Addison jest jedyną osobą, którą zna, a teraz nawet on ją opuścił... Ile cudzej krwi chcesz mieć jeszcze na swoich dłoniach?

— Cholera! — zakląłam.

— No, Holi — dopingował mnie Josh. — Musisz to zrobić.

Cofnęli się oboje — tchórzliwe mięczaki. Zawahałam się, ale nie pozostało mi nic innego, jak usiąść przed komputerem. Moje nogi dyndały nad podłogą, bo krzesło okazało się trochę za wysokie.

Poczułam niezwykle intensywnie obecność Addisona i jeszcze bardziej za nim zatęskniłam.

„Hej” — napisałam.

W jednej chwili monitor został zalany istnym potokiem słów, głównie pytaniami w stylu: „Gdzie się podziewałeś, draniu?”. O, fantastycznie! Więc to, że jest straszna, nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni. W naturze mogła być równie odpychająca.

„To nie Addison” — wystukałam. Nawałnica słów ustała.

„Czy to ty, Holly?” — pojawiło się po krótkiej pauzie.

„Tak”.

CO MU ZROBIŁAŚ? „Nic. Spadł z muru”. „Tak sam z siebie?”. „Niezupełnie”.

„Najpierw odbijasz mi mojego chłopaka, a potem zrzucasz go z muru?”.

Naprawdę chciałam, żeby wszyscy dookoła przestali mi to wreszcie wytykać.

„Czy masz pojęcie, jak to jest być mną?”. Bogu dzięki, nie. Akurat w tej chwili bycie mną było wystarczająco trudne. „Od sześciu lat nie ruszam się z domu. Jem tylko to, co mogę zamówić przez telefon, i dlatego ważę tyle, ile ważę. Nigdy nie spoglądam w lusterko, bo doskonale wiem, co

zobaczę. Moi rodzice nie żyją. Nienawidzę swojej pracy. Addison i załoga »Star Treka« to moi jedyni przyjaciele. Wiedziałaś o tym?"

„Nie" — odpisałam zawstydzona.

„Jasne, że nie. Nie przyszło ci to nawet do głowy, co? Pewnie uznałaś, że będzie ci łatwo sprzątnąć mi go przed nosa. Nawet przez moment nie pomyślałaś o jego problemach, o tym, czy jest już gotów, by wyjść. Myślałaś tylko: »Biedna stara Claudia, łatwo będzie się...«".

„Zaraz, zaraz, jedną hwileczkę... — byłam tak zdenerwowana, że nawet nie sprawdziłam pisowni — (1) jeśli nie widziałaś faceta na oczy, oficjalnie NIE jest on twoim chłopakiem. OK? (2) będziesz dalej rozczulać się nad sobą czy też chciałabyś dowiedzieć się, co u niego?"

Nastąpiła dłuższa przerwa. Bardzo chciałam znaleźć przycisk, który sprawiłby, że jej głowa przestałaby się tak kręcić. Niestety, nie znalazłam.

„Co u niego?" — padło wreszcie pytanie.

„Niedobrze. Jest w śpiączce".

Kolejna długa przerwa.

„Nienawidzę cię".

Może wyda ci się to dziwne, ale jak dotąd nikt nie powiedział mi tego prosto w twarz, nawet moi rodzice.

„Chyba rozumiesz, że wcale nie musiałaś się o tym dowiedzieć, wiesz o tym, nie? — rozzłościłam się. — Mogłam cię po prostu olać!"

„Szkoda, że tego nie zrobiłaś".

„Cóż, przynajmniej wiesz, że nie powiedziałam ci o tym dlatego, że on cię... — nie chciałam tego pisać, ale czułam, że powinna dostać za swoje — ...kocha".

Upiorna główka przestała wirować i Claudia nie napisała już nic więcej.

— Jak poszło? — dopytywał się później Josh.

— Och, jak z płatka. Zniosła to raczej dobrze.



## ***Rozdział dziewiąty***

Układałam wieniec pogrzebowy i w takim też byłam nastroju. Westchnęłam głośno, po moim nosie spłynęła łza.

— Mam nadzieję, że nie robisz w godzinach pracy wieńców dla członków swojej rodziny — rzuciła pani Bi-gelow.

— Co za nieczuła suka — syknęła Chali.

Byłam jej wdzięczna, że wyraziła głośno moje myśli — jako siostrzenicy szefa ujdzie jej to bezkarnie.

— ...z tej dziewczuchy — dodała szybko, gdy namierzyło ją sokole oko pani Bigelow. — A przy okazji, ładny ten wieniec dla pana Collinsa.

Pani Bigelow pociągnęła nosem w charakterystyczny sposób i udała się na jedną ze swoich tajemniczych wypraw. Natychmiast pobiegłyśmy na zaplecze.

— U Addisona nadal bez zmian? — spytała Chali, nalewając herbatę.

Opowiedziałam jej o tym, jak Josh omal nie zbudził go dziewiętnastowieczną arią. Jej oczy zapłonęły.

— Hej, wiesz, co można by zrobić?

— Co?

— Ściągnę kapekę. Moglibyśmy przyjść i zagrać. Może

nawet przyszedłby ktoś z lokalnej prasy... „London Tonight” 16 albo coś takiego.

— Na pewno nie będą chcieli pisać o twoim zespole w „London Tonight”!

— Chyba żartujesz! Dla wypełnienia miejsca napisaliby nawet o chórze przedszkolaków z St Winifred.... Ojej! Przecież to fantastyczny pomysł.

— Wiesz, Chali, naprawdę doceniam twoją propozycję, ale nie sądzę, żeby szpital wyraził zgodę na koncert nonkon-formistycznych zbieżności... znaczy, muzyków rockowych. A co, jeśli podłączając do prądu wzmacniacz, odłączycie czyjąś aparaturę do podtrzymywania życia?

— Prooooozę! Ja już nie jestem w tamtym zespole. Moja obecna kapela gra bardziej akustycznie.

— O, czyżby? Jak bardzo?

— Jak... najbardziej akustyczna kapela trashmetalowa, jaką kiedykolwiek słyszałaś.

— Chali, twój pomysł jest beznadziejny. Zignorowała mnie.

— Gutters!

Z końca małego pomieszczenia wyłonił się piski obdar-ciuch z jasnymi dreadami. Nie zauważyłam go, kiedy wchodziłam do środka, bo był aż czarny od brudu.

— Musisz iść po Cekina — powiedziała Chali.

— Kim jest Cekin?

— Och, to Mister Big, lider tego mojego nowego zespołu.

— Mister Big Cekin? A jak nazywa się zespół?

— Mister Big i Cekiny.

— Chali, jeszcze raz dziękuję za tę propozycję, ale szpital chyba nie...

— Chciałam tylko pomóc. — Wzruszyła ramionami i odwróciła się do mnie plecami.

— Hugnerh hugnerheh? — chrząkał Gutters.

— Ona wcale nie chce pomóc swojemu chłopakowi.

— Huignerf heg a hay?

— Ja też tego nie rozumiem.

Gutters spojrział na mnie z pogardą, a że o wpół do dziesiątej rano dyndał mu jeszcze we włosach niedopalony skręt marihuany, wyglądało to dość komicznie. Westchnęłam.

— OK, dobrze. Porozmawiasz z Mister Bigiem, a ja poproszę Josha, żeby ugadał Stephena... —

Właśnie nakręciłam Joshowi randkę. Biedak. Z dnia na dzień robił się coraz bledszy, ale chyba już się przygotował, jeśli mogę tak powiedzieć.

— Hej! — wrzasnęła Chali. — Nareszcie podbijemy cały świat.

— Jasne... przecież tyle zespołów rozpoczęło karierę w szpitalu St Hugh's, na oddziale intensywnej opieki medycznej.

— Cóż, chyba...

Zastanawialiśmy się przez chwilę.

— Doktor Skalpel? — zapytałam.

— Sercowcy — odparła zdecydowanie.

— Masz rację.

— Wobec tego zaklep nam miejsce.

Wokół łóżka Addisona tłoczyli się jacyś ludzie. Zaczęłam biec w ich stronę. Nim zdążyłam do nich dotrzeć, zatrzymał mnie Stephen:

— Nic się nie martw.

— Co oni robią? Udzielają mu ostatniego namaszczenia?

— Nie, nic z tych rzeczy. Jest tu Candice Piper.

— Kto?

— No wiesz, nie widziałaś programu *Ostry dyżur: zwierzaki w niebezpieczeństwie*?

— Nie.

— Oj, na pewno widziałaś... to taki show, do którego biorą chore zwierzaki, które wymagają pomocy medycznej. Ich właściciele podwajają swoją wygraną za każdą minutę, kiedy zwierzakom nic się nie dzieje. Wspaniały program, wszyscy to oglądają.

— Poza mną.

— Hmm... W każdym razie ona go prowadzi.

— A co tutaj robi? Addison nie ma żadnych zwierząt. Chociaż nie, ma amerykańską świnkę wielkobrzuszną.

— Przyjechała, by porozmawiać z pacjentami w śpiączce. To do ich specjalnej świątecznej zimowej ramówki.

— Ale teraz jest czerwiec!

— No tak, dzięki temu mają czas, by sfilmować ich, jak budzą się po rozmowie z Candice.

— Bla, bla, bla, bla!

— To świetna reklama dla szpitala.

— Szpitale nie potrzebują reklamy. Gdyby nikt tu nie trafił — toby było coś!

— W każdym razie tak wygląda sytuacja. Przyszedłem, bo muszę zdać relację dziewczynom z dołu. Chcą wiedzieć, co ma na sobie Candice.

— Czy to ona? Ta w różowym?

— Jest boska, prawda? Na razie, kotku. Och, idź i zobacz, może zrobi z tobą jakieś ujęcie. I mogłabyś zapytać ją, jakiego kremu nawilżającego używa.

Candice była ubrana w obcisłą sukienkę w kolorze fuksji — na wypadek, gdyby ktokolwiek w promieniu czterdziestu mil jej nie poznał. Miała też ogromną blond czuprynę i maleńkie, patykowate ciało — całe szczęście, że nie była ubrana na biało-czarno, bo można byłoby ją wziąć za uliczną latarnię. Jej makijaż był tak gruby, że wyglądała, jakby spryskali jej twarz pistoletem ciśnieniowym. Miała niski, chropowaty głos, który zupełnie nie pasował do jej drobnej sylwetki.

Podeszłam do nich wolnym krokiem. Magda — matka

Addisona — stała z boku blada i zatroskana. Obok niej — Kate. Zapomniałam, że miała tego wieczoru dyżur.

— Co ty tu robisz? — fuknęła na mnie, gdy znalazłam się tuż za nią.

— Jak to co? Zawsze tu jestem.

— No cóż, dziś twoja kolej na gotowanie i uczenie się na pamięć *Please Release Me*.

— Ale oczywiście musiałam też odwiedzić Addisona! Czy myślisz, że ja tu występuję?

Kate spojrzała znacząco na kamery telewizyjne i wrzuciła ramionami.

— Kate, do cholery! — wrzasnęłam.

Ona naprawdę myślała, że występowałam. Spojrzałam na Candice. Nie wyglądała na specjalnie podekscytowaną. Właśnie usiłowała porozmawiać z doktor Hitler.

— Nie możemy zamknąć mu ust? Wyglądałby, jakby spał, i byłby dużo bardziej atrakcyjny.

— Muszę odmówić, jako że rura ta służy mu do oddychania i utrzymuje go przy życiu. Staramy się poprawić stan jego zdrowia, a nie zachęcać kogokolwiek do adopcji — wyjaśniła doktor Hitler.

— Ale tylko na sekundkę, góra dwie. Zrobimy tylko kilka ujęć. No wie pani, jak w Stanach... oni mają tam tylko dwie rurki w nozdrzach. Nie wygląda to aż tak źle.

— Nie!

„Dalej, doktor Hitler” — dopingowałam ją w myślach.

— No cóż, chyba powinnam zadzwonić do producenta — stwierdziła Candice, wyciągając komórkę.

— Muszę to pani zabrać — oznajmiła doktorzyca i wyrwała jej aparat z ręki. — Zakłóca pracę naszych urządzeń — wyjaśniła.

Trzeba było widzieć minę Candice. — Boże, i pomyśleć, że wpuszczając nas z kamerami na teren szpitala, sądzą, że oddajecie nam przysługę. Roger, przynieś mi dużą kawę ze śmietanką, szybko.

Podeszła do łóżka, na którym siedzieliśmy.

— Kim jesteście? — zapytała szorstkim tonem.

— Jego współlokatorkami — odezwała się Kate, nim zdążyłam otworzyć usta.

— A ja jego dziewczyną — dodałam.

Candice zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu.

— Naprawdę?

Strząsnęłam jakiś paproch z mojej sukienki:

— Tak — odparłam buntowniczym tonem.

— Hmm... On chyba nie jest doskonały, co? Pewnie jest okropnym nudziarzem.

— Nieprawda — zaprzeczyłam. — A co pani tu w ogóle robi?

— No cóż... kręcimy program zatytułowany *Samotni w sypialni*, wyemitujemy go w Boże Narodzenie. Zamysł programu jest następujący: odwiedzam pacjentów w sypialni, by pokazać widzowi, jak bardzo ci ludzie są...

— ...samotni?

— Właśnie, samotni. Jak bardzo samotny może się czuć pacjent w takiej sytuacji. Szczególnie w Boże Narodzenie. — Ale Addison nie jest samotny!

— Oczywiście.

— I nie sądzę, że zauważyłby, gdybyśmy mieli teraz święta — wtrąciła Kate.

— No tak. OK. Rozumiem — powiedziała Candice. — Możecie zejść z planu, kiedy będziemy filmować? Nie czekając na odpowiedź, przypięła swój mikrofon. Podbiegła do niej jakaś kobieta i zaczęła uklepywać jej kopułę z włosów. — Roger? Tak, OK, zaczynaj. Dzięki.

Jak się za chwilę dowiedzieliśmy, oznaczało to tyle co: „Roger, usuń wszystkich siłą i każ im siedzieć cicho. Mów podniesionym głosem, by wiedzieli, że praca w telewizji jest CZYMŚ NIEZWYKLE WAŻNYM”.

Cofnęliśmy się i stanęliśmy w rogu.

— Wiesz, ja naprawdę nie miałam zielonego pojęcia, co się tu dzieje — tłumaczyłam Kate. — Chciałam go tylko zobaczyć.

— „Tu, w St Hugh's — zaczęła Candice — leżą ludzie, których ciała wyglądają jak zwłoki, ciała ludzi niekochanych, stojących na krawędzi życia i śmierci, odrzuconych w tym radosnym świątecznym czasie”.

— A dlaczego jesteś w tak zażyłych stosunkach ze Stephenem? — zapytała Kate.

— Z kim?

— Tym pielęgniarzem. Chłopakiem Josha.

Candice wstała; kamera wciąż podążała za nią. Usiadła na łóżku i wzięła Addisona za rękę.

— „Leżą tu jak piękne posągi — mówiła. — Gdyby nie wychodzące z ich ust rury, można by pomyśleć, że śpią”.

— Mnie tam nie prosili, żebym został pięknym posągiem — zrzędził za moimi plecami jakiś głos. Obejrzałam się. To był Bóg.

— Hej, ty masz Michała Anioła i Leonarda da Vinci, a on tylko Candice Piper — pocieszyłam go.

— OK — mruknął.

— On nie jest chłopakiem Josha — wyjaśniłam Kate.

— Ale na to się zanosi.

— I co z tego?

— Co z tego? Dlaczego Josh stał się nagle Panem Rozchwytywanym?

— Nie sądzisz, że na to zasłużył? Miał wystarczająco długi okres posuchy. Odkąd poznał tę dziewczynę z chórków, jesteś non stop wkurzona.

— Wkurzona? Ciekawe, kto tu jest wkurzony?

— „Kto roztacza opiekę nad zombie naszych czasów? Jest dziś z nami doktor Kwiatuszek, która poświęciła swoje życie, by nieść ulgę tym, którzy nawet nie mogą jej za to podziękować”. Doktor Kwiatuszek?

Candice uśmiechnęła się czule do kamery. Wymamrotałam coś pod nosem.

— Cięcie! — zawołał Roger. — Doskonale, kochanie.

— Tu się liczy profesjonalne podejście do sprawy — Candice odrzuciła na bok rękę Addisona, jak oślizłego węża, i zeskoczyła z łóżka — takie jest przynajmniej moje zdanie. A teraz dawać mi tu tę cholerną lekarzkę. I na Boga, czy wizażyści nie mogą jej namówić, żeby dała się przynajmniej uczesać?

— Tu jestem — odezwała się doktor Hitler czy też Kwiatuszek (zdaje się, że tak właśnie powinnam ją nazywać), oblewając się purpurą. Po raz pierwszy jej współczułam. — I sędzę, że to, co robię, jest mimo wszystko nieco ważniejsze od makijażu, zgodzi się pani ze mną?

Ja na pewno nie.

— Jak sobie życzysz, złotko — powiedziała Candice. — Niektórzy z nas traktują to jako powód zawodowej dumy, inni...

— ...są zbyt zajęci ratowaniem ludzkiego życia?

Stały nad łóżkiem Addisona i patrzyły na siebie wilkiem. Po chwili ponownie zabłysła wielka lampa i na twarzy Candice pojawił się szeroki, olśniewająco biały uśmiech.

— „Tak więc, bardzo dziękujemy za gościnę, doktor Kwiatuszek”.

— Zawsze do usług, Candice. Jesteśmy wdzięczni, że mogliście do nas przyjechać. Cokolwiek uda się wam zrobić dla tych dzieciaków, pomożecie tym również St Hugh's.

— Na pewno spróbujemy, pani doktor! A teraz proszę mi powiedzieć coś na temat... — wskazała palcem Addisona.

— Tego młodego mężczyzny? Cóż, obawiam się, że jest to przestroga dla osób, które mają zamiar wdrapać się na wysoki mur, u stóp którego znajduje się twarde podłoże, jak chociażby skały... proszę tego nie robić!

— Racja. Być może przed telewizorami siedzą teraz dzie-



ci. Jakiej rady udzieliłaby pani tym, którzy chcieliby wspiąć się na wysoki mur?

— Ehem... nie róbcie tego!

— No właśnie. W przeciwnym razie możecie skończyć tak jak on.

— Hej! — oburzyłam się.

— Cięcie! Kto to był, do cholery?

— Proszę tylko... no... nie traktować mojego chłopaka jak kawałka mięsa, OK?

— Tak właśnie traktuję wszystkich swoich chłopaków. Ha, ha, ha! — zarechotała Candice.

Podszedł do niej Roger, szturchnął ją i przeprowadzili krótką rozmowę. Kiedy skończyli, kiwnął na mnie palcem. Postanowiłam, że nie dam się tak łatwo spławić, gdyby mieli zamiar się mnie pozbyć. Ale Roger posadził mnie tylko i zaprezentował mi swoją najlepszą minę pod tytułem: „Może i pracuję dla telewizji, ale to jeszcze nie znaczy, że mam wszystkich gdzieś”.

— Posłuchaj, jest nam naprawdę bardzo przykro z powodu twojego chłopaka.

— Taak? — Rozejrzałam się dookoła. Candice chichotała i rozdawała autografy personelowi szpitala.

— A wiesz chociaż, jak ma na imię?

— Posłuchaj, rozumiemy, że jesteś zła. Candice wymyśliła, że podczas następnego ujęcia moglibyśmy przeprowadzić z tobą wywiad o tym, jak bardzo to przeżywasz, o twoim długim, samotnym czuwaniu u boku ukochanego, takie tam.

— Jesteśmy tu dopiero od trzech dni.

— Taaa, mniejsza z tym. Według nas wywiad z tobą wniósłby do programu coś nowego.

— Cóż... właściwie wymyśliliśmy już coś, co mogłoby mu pomóc... — odparłam i opowiedziałam mu o Chali i jej zespole.

— Hmm — zastanawiał się. — Hmm, taa. Można by dać

ich w finale... ale czy potrafią *zagrać* coś naprawdę smutnego? Nie wiesz, czy znają *Małe miasteczko Betlejem*?

— Raczej nie.

Zawołał Candice i przedstawił jej moją propozycję. Zmierzyła mnie od góry do dołu, jakby nie była w stanie uwierzyć, że z moich ust mogło paść jakiegokolwiek rozbudowane zdanie.

— Jak się nazywa ten zespół?

— Mister Big i Cekiny.

— Tak, tak, słyszałam o nich.

Zaskoczyła mnie, ale jak się później dowiedziałam, musiała udawać, że słyszała o wszystkich, na wypadek gdyby okazało się, że są niesamowicie „odjazdowi”, bo inaczej wyszłoby na to, że nie jest na bieżąco.

— Więc mogą wystąpić?

— No jasne, trzeba tchnąć odrobinę życia w całe to gównno. O, przepraszam...

— Lepiej już nic nie mów.

Oj, będzie się działo. Ale chyba warto — chociażby po to, żeby zobaczyć minę doktor Hitler.

— O co chodziło? — syknęła Kate. — Ach, rozmawialiśmy o tobie i Joshu.

— Serio?

— Nie!

Candice powtórzyła swoją kwestię jeszcze dwukrotnie, po czym cały zespół przeniósł się na pediatrię.

— Nie macie tu jakichś dzieci, które są za niskie jak na swój wiek? — dopytywała się, zanim wyszli.

— Moglibyśmy je ukłuć czy coś i sprawić, żeby trochę urosły.

Doktor Hitler przeszła obok nas i zatrzasnęła za nimi drzwi.

— Mam nadzieję, że nie będę musiała zakazać wstępu wszystkim odwiedzającym — powiedziała, energicznie zmieniając kroplówkę Addisona.

— Nie wolno pani! — zawołałyśmy przerażone.

— Och, mam wrażenie, że jestem jedyną osobą, która naprawdę troszczy się o naszych pacjentów. Zostawiliśmy Magdę samą — nuciła Addisonowi jakąś chorwacką kołysankę. Uznałyśmy, że jak na jeden wieczór miał wystarczająco dużo atrakcji.

Josh gotował w domu warzywa na parze.

— Próbujesz stracić na wadze? — zapytała go Kate oskarżycielskim tonem.

— Może troszeczkę. — Puścił do niej oko. — A dlaczego to cię interesuje?

— Bez powodu — burknęła i wyszła.

— Musi bardzo tęsknić za tym swoim Johnem — stwierdził Josh.

— Każdy za kimś tęskni — powiedziałam, bawiąc się strączkiem fasoli. Zateśniłam za moim własnym opadłym z sił strączkiem fasoli.

— Z kim mam się przespać? — spytała podekscytowana Chali.

— Z nikim!

— Załatwiłaś koncert za friko, tak po prostu?

— No... Ale mnie też potrzebują: mam być kimś w rodzaju pograżonej w smutku wdowy.

— Powiedziałaś im, jakim jesteście zespołem?

— A jakim wy jesteście zespołem? Chcą, żebyście zaśpiewali *Małe miasteczko Betlejem*.

— Możemy zagrać *Małe dziewczynki leżą martwe w parku*.

— O Boże! Zdaje się, że to nie najlepszy pomysł.

— Będzie telewizja, ludzie, i w ogóle wszystko? — Chali złapała mnie za rękę.

— Światła, kamery, wizażystki... to może być wielki przełom w twoim życiu.

— Ale ja nawet nie wiem... pewnie mam zrobić komuś laskę?  
— Zawsze znajdzie się ktoś, kto chce, żeby zrobić mu laskę — powiedziałam ku przerażeniu mężczyzny, który właśnie wyciągał największy i najbardziej tandetny bukiet róż, jaki znajdował się w wiadrze. — Proszę, spójrz tylko na niego.  
— Ten bukiet nazywa się chyba „Zgniły chochoł” — mruknęła Chali. — Największy w całej kwiaciarni.  
— Nie chciałabym znaleźć się dziś wieczorem na miejscu jego dziewczyny.  
— Oj, nie. To by było straszne.  
Mężczyzna zapłacił szybko i czmychnął ze sklepu.  
— Nie jesteście chyba taką naprawdę wulgarną heavy-metalową kapelą?  
— Owszem, jesteśmy. Pewnie nie będą chcieli usłyszeć *Każdego dnia marzę o śmierci!*  
— Hmm... a może *Każdego dnia marzę o Gwiazdce!*  
— Może — kiwnęła głową Chali. — Muszę to poważnie przemyśleć.  
— OK, nagranie w przyszły poniedziałek, więc bądźcie gotowi.  
— Ha! Nawet ludzie z obsługi wiedzą, że jestem „zawsze gotowa”.  
— Chciałaś powiedzieć: szczególnie ludzie z obsługi?  
Byłam zaskoczona, że tak szybko popadłam w rutynę. Wstawałam, szłam do pracy, odrobina relaksu, potem wędrowałam do Addisona i siedziałam tam tak długo, jak mogłam. To wszystko. Od czasu do czasu dochodziło jeszcze do tego łagodzenie sporów między Kate a Joshem. Przerażeniem napawała mnie myśl, że taka sytuacja może trwać latami. W którym momencie (powiedzmy, że dojdzie do najgorszego) uznam, iż czas to przerwać? Czy skończę jak

panna Havisham 17 i każdego dnia będę powtarzać te same czynności i czekać na pocałunek, który nigdy nie nastąpi? Obserwować, jak z dnia na dzień rozplywa się kontur jego pięknej, lecz zupełnie niewykorzystanej twarzy? Albo jeszcze gorzej — wyobraziłam sobie, że stoję opanowana, poważna, trzęsą mi się dłonie, za mną stoi chór i powoli odłączają Addisonowi aparaturę...

Atrakcja w postaci wizyty ekipy telewizyjnej miała miejsce dwa dni temu; potem były godziny czytania i rozmawiania — czy może raczej monologowania. Pewnego deszczowego popołudnia weszłam do szpitala i otrzepałam głowę niczym piesek. Wchodziłam po schodach, przedzierałam się przez dobrze znany mi szpitalny zaduch, stanowiący mieszaninę antyseptyków i zapachu nędzy. Pacjenci z kroplówkami palili papierosy i przytupywali, stojąc w drzwiach. Byli szarzy i zużyci niczym ramiączka starego biustonosza; podejrzewam, że nie stanowiłam wyjątku. Moje rutynowe zabiegi upiększające, które nawet przy najbardziej pomyślnych wiatrach nigdy nie stały na najwyższym poziomie, z dnia na dzień stawały się skromniejsze. Makijaż wydawał mi się zdradą. Gdy zatrzymałam się w drzwiach, podszedł mnie Stephen i klepnął mnie w ramię. Nie zwracałam uwagi na to, co się działo wokół mnie — byłam pogrążona w marzeniach (stałam właśnie nad grobem, wyglądałam bardzo szykownie — tak sędzę). Podskoczyłam przestraszona.

— CO?

Chyba poczuł się urażony.

— Nic. Chciałem cię tylko zapytać, co sądzisz o mojej nowej fryzurze.

Na czubku jego głowy zobaczyłam tandetny blond w stylu lat osiemdziesiątych, który zupełnie nie pasował do jego czarnych, nastroszonych włosów.

— Club Tropicana? — spytałam. Przytaknął. — Wybierasz się tam na rozdanie nagród dla supergejów?

— Aż tak dobrze wyglądam? — Uśmiechnął się skromnie.

— Trochę ci odbiło na punkcie tej randki, co?

— Nie.

— No dalej, przyznaj się.

— Cóż — wzruszył ramionami — stoi przede mną nowe wyzwanie: tym razem mam szansę kogoś nawrócić.

— OK... życzę szczęścia.

— Myślisz, że będę go potrzebował?

— Stephen, znam Josha od dziesięciu lat, ale... nie mam zielonego pojęcia.

— Wobec tego mam zwycięstwo w kieszeni. Tak, tak, ci wiecznie podekscytowani chłoptasie są warci zachodu. Och — dodał po chwili — przyszedł dziś ktoś nowy w odwiedzin.

— Nie, nie. To ja, zapomniałam tylko umyć głowę — wyjaśniłam.

— Spójrz za kotarę. Nie ulega wątpliwości, że ma kartę członkowską klubu życiowych nieudaczników.

O mój Boże! Od razu domyśliłam się, o kogo mu chodziło. Cóż, krąg znajomych Addisona został już na dobrą sprawę zamknięty. Skrzywiłam się, bo przypomniało mi się, jak ochoczo wywaliłam Finna z mieszkania zaraz po konfrontacji z Addisonem w naszym przedpokoju. Wydawało mi się to tak odległe. Zerknęłam za kotarę.

Siedział na łóżku, miał sztruksowe spodnie z podwiniętymi nogawkami, teczkę rzucił na podłogę. Był zwrócony twarzą do Addisona, wyglądającego tak samo martwo jak zawsze. Koncentrował się usilnie na czymś, co balansowało na znajdującej się między nimi tekturce.

— OK, skoczek bije wieżę — powiedział. Zobaczyłam, że rozstawił między nimi szachownicę. Wpatrywał się w nią przed dłuższą chwilę.

— Ooo, świetny ruch, Add.

Przysunęłam się bliżej i niechcący potrałam wózek z podniszczonymi rurkami ze stali nierdzewnej, odprowadzającymi kupkę Addisona. Na szczęście były czyste.

— Cholera!

— O Jezu! — Finn podskoczył do góry, szachownica się złożyła, a pionki rozsypały po całej podłodze.

Staliśmy wśród tego bałaganu i gapiliśmy się na siebie. Doktor Hitler z impetem rozsunęła zasłonkę.

— Co tu się dzieje, do diabła?

Finn i ja patrzyliśmy na siebie zawstyżeni.

— Och, to ty — zwróciła się do mnie lekarka. — Czy ty naprawdę chcesz, żeby on wyzdrowiał?

— Pomyślałam, że hałas... może go zbudzić — bąknęłam. Moje wytłumaczenie było doprawdy żałosne.

— Przepraszamy, pani doktor... to się już więcej nie powtórzy — odezwał się Finn.

— O? A kim pan jest, do diabła?

— Doktor Feynman Levy — przedstawił się, wyciągając do niej rękę.

— Ach... no tak. — Wyglądała na zakłopotaną. Odgarnęła do tyłu swoje tłuste włosy i wyszczerzyła zęby. — Przepraszam, nie wiedziałam, że pan tu pracuje.

Finn roztaczał jakiś magiczny urok — pod jego wpływem miękły kolana wszystkich zdziwaczałych bab-naukowców. — Czy ona panu nie przeszkadza?

— Co? — Posłałam jej gniewne spojrzenie. Finn roześmiał się.

— Tak, właściwie wkurza mnie jak diabli. Ale może zostać.

— Dziękuję bardzo, doktorze Kot — odgryzłam się, kiedy doktor Hitler wreszcie sobie poszła, rzucając mu przedtem spojrzenie sugerujące, że chętnie przerobiłaby z nim parę zadań na kwadrat przeciwprostokątnej. — Nie jestem żadnym kocim doktorem.

— Kotek... włóczka... jak zwał, tak zwał.

— To byty struny.  
— Aha.  
— No ale chyba udało mi się jej pozbyć, co?  
— Chyba...  
— Następnym razem ześlę szarańczę — odezwał się głos z sąsiedniego łóżka. Wetknęłam głowę za parawan.  
— Witaj, Boże.  
— To ty jesteś Bogiem? — zdziwił się Finn.  
— No cóż, wiesz... — mruknął Bóg starając się, by zabrzmiało to skromnie.  
— Ha. Ja tam w ciebie nie wierzę — oświadczył Finn.  
— Naprawdę? W takim miejscu większość ludzi... przynajmniej zakłada moje istnienie.  
— Rozumiem, o co panu chodzi — odparł Finn. — Cóż, miło mi pana poznać. Hmm... a może wyjaśni mi pan, jak działa wszechświat? — Odwrócił się do mnie i szepnął: — Warto przynajmniej spróbować. — Jeśli chodzi o tę twoją makaronową teorię, w którą tak uparcie wierzysz, wszystko jest od niej lepsze — stwierdził Bóg.  
— To teoria strun.  
— Hmm... — mruknął Bóg. — Uwierz mi, nie spodobałoby ci się, gdybyś to wiedział.  
— Zaufaj mi, jestem fizykiem.  
— Cóż — odezwał się po chwili zastanowienia staruszek. — Jeśli mam ci to zademonstrować, potrzebna mi butelka whisky. Finn zerknął na mnie. Potrząsnęłam głową z groźną miną.  
— Nie sądzę.  
— Ach, wy fizycy... wszyscy jesteście tacy sami. Wydaje się wam, że chcecie wiedzieć, a tak naprawdę wcale nie chcecie. Pozwalniałbym was z pracy — wymamrotał Bóg i natychmiast usnął. Okropnie głośno chrapał.  
— No cóż... — uśmiechnął się do mnie Finn. — Witam ponownie.



— Cześć — odparłam zawstydzona. — Yyy, przepraszam, że nie...

— Co ty — uciszył mnie. — Nie miałem pojęcia... dopiero Kate mi powiedziała. Spojrzeliśmy na Addisona.

— Jakie to przygnębiające — powiedział Finn.

— Kate uważa, że wie, jak go z tego wyciągnąć. Dużo śpiewania i tym podobnych rzeczy.

— Może ma rację?

Obeszłam łóżko dookoła i ujęłam dłoń Addisona. Usiłowałam ją rozgrzać. Finn zaczął zbierać z podłogi metalowe rurki oraz pionki do gry w szachy.

— Może też coś zaśpiewasz? — spytałam.

— W żadnym wypadku. Mam zwolnienie od mamy. Serio.

— Co robiłeś, kiedy tu weszłam?

— No więc, widzisz — uniósł do góry planszę — jest taka gra, którą wymyślili na Bliskim Wschodzie... — Tyle to ja też wiem, głupolu. Ale dlaczego?

— Cóż — wzruszył ramionami — nie potrafię śpiewać, więc...

— Myślisz, że to mu pomoże?

— Nie wiem... Tak czy owak, cały czas prowadził.

— Jak się w to gra? — zapytałam, biorąc pionek.

— Nie potrafisz grać w szachy?

— Nie. Nie kupowałam też prezentów gwiazdkowych dla nauczycieli. Ani nie przesiadywałam w sali komputerowej podczas przerw między lekcjami.

— Taa... Za to ja przegapiłem naukę palenia papierosów — wymamrotał.

— O mój Boże! Wiem już, kim jesteś! Lizus! Lizus!

— Dziękuję, że dopisałaś kolejne pięć lat do rachunku za spotkania z moim psychoterapeutą — burknął i rzucił we mnie czymś, co wyglądało na wieżę. — Więc jak, chcesz się nauczyć czy nie?

— OK. — Usiadłam. — Czy nie denerwowało cię nigdy,

że byłeś zbyt dobrze wychowany, by zostawili cię po lekcjach? W końcu musiałbyś wtedy zostać dłużej w szkole, którą tak uwielbiałeś.

— OK, to jest pionek. Tu masz wieżę. A to skoczek. Możesz nim skakać.

— Co wobec tego robią wieże? — Popatrzyłam na niego podejrzliwie. — Kiwają się z boku na bok?

— Można by tak powiedzieć.

No i usiadłam obok niego, a on uczył mnie grać w szachy. Mimo iż dokładał wszelkich starań, by przegrać, okazało się to fizycznie niemożliwe. Uznałam Addisona za swojego duchowego przewodnika, w związku z czym na niego spadła odpowiedzialność za wszystkie moje ruchy.

Niestety, nie uchroniło to mojej królowej przed popełnieniem samobójstwa.

— No... — mruknął Finn, kiedy po trzeciej partyjce zaczęłam toczyć drobne bitwy zbitymi pionkami. Zabrzmiało to jak: „OK, młoda damo, wystarczy już tej zabawy”.

— No... — powtórzyłam.

— Powinienem się chyba cieszyć, że przydarzyło się to jemu, a nie mnie — oznajmił, rzucając okiem na leżącego w łóżku Addisona.

— Co proszę?!!

— Wybacz — zreflektował się Finn. — Próbowałem... no wiesz... wprowadzić do naszej rozmowy... Nieważne, zapomnij.

— To też było nie na miejscu.

— Nie wierzę, że w ogóle... — Spuścił głowę.

— Może wystarczy jeszcze sto.

— Ze co? — Podniósł wzrok.

— Partyjek. Odetchnął z ulgą.

— Wiesz, mam szczerą nadzieję, że on wyzdrowieje i wszystko ułoży się po twojej myśli.

— Wyzdrowieje. — Szarpnęłam rękę Addisona do góry. — Musi. Bo jak nie... to podpale budynek parlamentu albo coś innego.

Finn posłał mi swój nieśmiały, trochę nieporadny uśmiech.

— Boże! To znaczy... chyba i tak nigdy nie zostalibyśmy parą.

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi — zdenerwowałam się.

— No, różnimy się jak... dzień i noc.

— Niby dlaczego? Bo jesteś takim wielkim kujonem?

— Może.

— Spotykasz się z Madeleine? — zapytałam.

— Od czasu do czasu — odparł, wzruszając ramionami. — Właśnie kończy pisać doktorat z mitozy komórkowej.

— Oo! Już czuję, jakie to ciekawe. Uniosłam w górę pięść ze schowanym kciukiem.

— No to zaczynamy — powiedział.

— Czyś ty oszalał? Nie możesz ubrać się na różowo! To tak, jakbym ja założyła na pierwszą randkę pończochy z podwiązkami na wierzchu i koszulkę z wielkim napisem: „Weź mnie tu i teraz!”.

Kate i Josh zmierzyl mi wzrokiem.

— ...no dobra, raz mi się zdarzyło. Josh, odłóż to na półkę i załóż tamten szary T-shirt.

— Hej, dziewczyny, nie mogłybyście pindrzyć się w pokoju obok? — westchnęła ciężko Kate. — Niektórzy muszą pracować.

— Mała franca — skomentował głośno Josh, a po cichu dodał: — O mój Boże, znowu się zaczyna! Poklepałam go po głowie i zaciągnęłam do dużego pokoju, by podmalować mu trochę kredką oczy.

— Dlaczego to robisz?

— Nie wiem... może nabywam praktyki?

— Ja się pytam, dlaczego byłeś wobec niej taki złośliwy? — Że co? To ona przez caluśki tydzień zachowywała się jak mistrzyni uszczypliwości!

— I ani razu nie przyszło ci do głowy, dlaczego?

— Co masz na myśli?  
— Cóż, nie zauważyłeś, że zrobiła się taka, odkąd pewien osobnik zaczął umawiać się na randki...?  
Odczekałam chwilę, aż zaskoczy. Jeden, dwa, trzy... oho, mamy!  
— O mój Boże — wymamrotał. — No właśnie — powiedziałam, zadowolona z siebie.  
— Nic dziwnego, że jest... — Noo.  
— Ale przecież Stephen nigdy się z nią nie umówi.  
— Wiesz co, idź już — odparłam zniechęcona.  
— No co? Co ja znowu powiedziałem?  
— Nic. Już. Wynocha. Baw się dobrze. Niczym się nie martw.  
— A jednak trochę się martwię.  
— Całkiem zdrowa reakcja.  
— Powiedz Skates, że wcale tak nie myślałem.  
— Dobrze, obiecuję.  
— I powiedz moim rodzicom, że ich kocham.  
— Josh, nie idziesz na randkę z Dennisem Nilsenem<sup>18</sup>.  
— Wiem. Ale jeśli wrócę inny, niż chciałem...  
— Ty się nigdy nie zmienisz.  
— No dobrze. Dobrze. Super. OK, to na razie.  
— Właściwie to zaczęłeś się śmiesznie poruszać...  
— Odwal się — burknął i odszedł, kręcąc biodrami.  
Kate siedziała załamana przy stole w kuchni i bawiła się myszką od komputera.  
— Nic nie mów... tylko udajesz, że dobrze to wszystko znosisz.  
Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.  
— To samo mówi moja terapeutka.

---

<sup>18</sup>Transwestyta robiący karierę w show-biznesie.

- Co jeszcze mówi? — zapytałam, siadając obok niej.
- Cóż...
- No, dalej, powiedz mi. Zawsze mnie to interesowało.
- Ale wiesz, ciekawość nie zawsze popłaca...
- Czy to jeszcze jedna z terapeutycznych mądrości? Trochę już na to za późno.
- Co mówi moja terapeutka...? — Kate westchnęła. — Cóż, najogólniej rzecz biorąc, płacę jej osiemdziesiąt funtów za godzinę, a ona mówi, że wszyscy dookoła to podłe dranie, wszyscy oprócz mnie. Właściwie to nie tak... ona przyznaje mi rację, że wszyscy, oprócz mnie, to podłe dranie.
- Chyba żartujesz?!
- Wcale nie. Tak to właśnie wygląda. Przychodzę, opowiadam, kto był dla mnie wstrętny, a ona przyznaje mi rację i stwierdza, że to nie moja wina, że jestem taka wrażliwa. Wszyscy, cały świat, to same pipy grochowe. Oprócz mnie. — No, no. Już wiem, dlaczego to taki pociągający zawód.
- Wcale nie jest pociągający. To po prostu biznes.
- Jesteś pewna, że nie naoglądałaś się za dużo filmów z lat osiemdziesiątych?
- Masz do mnie jakąś konkretną sprawę?
- Tak. Wiadomość od Josha. Spojrzała na mnie zaniepokojona.
- Chodzi o to, co ci powiedział — wyjaśniłam. — On wcale tak nie myśli.
- To już wszystko? To jest ta wiadomość?
- Właśnie.
- Podły drań.
- Tak naprawdę wcale nim nie jest. Mam rację?
- O co ci chodzi? — zapytała ostrym tonem.
- Twoja terapeutka się myli... W żyłach Josha nie płynie ani jedna kropla draniowatej krwi.
- I? — I... no cóż, sama dobrze wiesz...
- No i nic. Jest gejem. Wszystko gra. I nie ma to już

żadnego znaczenia. OK? — Wzięła do ręki butelkę wina, która znikąd pojawiła się na stole.

— Nie jest gejem — powiedziałam, spoglądając na zegarek. — Przynajmniej jeszcze nie teraz. Kate naląła sobie lampkę wina, ale nie zadała sobie trudu, by spytać, czy ja też mam ochotę.

— Przez cały czas mi to mówiła. Cały ten czas, rozumiesz? „Wszyscy to dranie, Kate. Wszyscy, oprócz nas, są podłymi draniami. Im większego drania znajdziesz, tym większy odnosisz sukces” — mamrotała, pociągając nosem. — I wtedy spotykam... wtedy uświadamiam sobie, że tylko jeden facet w moim życiu nie jest draniem. I co się dzieje?

— On idzie się przekonać, jak to jest, kiedy inny facet łapie go za tyłek.

— Dokładnie tak!!

— W takim razie, co z Johnem? — zapytałam, nalewając sobie odrobinę wina.

— Nic. Zdałam sobie sprawę, że to kolejny facet z penisem zamiast głowy i że, no wiesz, jedyną osobę, która naprawdę mi się podoba... mam przez cały czas tuż pod moim nosem.

— I?

— No i wpadłam kiedyś na Johna... właściwie chyba powinnam nazywać go Arnoldem...

— Wiedziałam!

— ...i jego syfiastą żonę na jakiejś konferencji bankierów. Ale to nie ma żadnego związku z tą sprawą.

— OK. Jedną chwileczkę — przerwałam jej, unosząc do góry palec. — Dowód numer jeden: chociaż masz więcej pieniędzy, niż Stella McCartney zarabia w dobrym roku (kiedy ludzie chcą jeść, słuchać muzyki i kupować ciuchy), nigdy się stąd nie wyprowadziłaś. Dowód numer dwa: Josh zaczął uprawiać seks. Dowód numer trzy: ty przestałaś uprawiać seks. Dowód numer cztery: kiedy dokładnie kończysz trzydzieści lat?

— Za jedenaście miesięcy i osiem dni — odparła i spojrzała na mnie wyraźnie zirytowana. — Ale nie bardzo rozumiem, co to ma do rzeczy?

— Ha! Jestem genialna. Q.E.D<sup>19</sup>. Najprawdopodobniej za rok wyjdiesz za mąż.

— Ale... nawet jeśli... — Kate oparła się o krzesło i gapiła przed siebie. — To znaczy, skąd mam wiedzieć, że mu się w ogóle podobam?

— Kate — starałam się, by nie zabrzmiało to ani zbyt protekcjonalnie, ani oskarżycielsko (nawet poklepałam jej dłoń) — czy jest w tobie coś, co może się nie podobać?

— **co należało dowieść; oto dowód.**

---

<sup>19</sup> *Quod erat demonstrandum* (łac.)

## ***Rozdział dziesiąty***

— Nie to, że koniecznie chcę urodzić dzieci... — Leżałyśmy z Kate w pokoju gościnnym na rozrzuconych na podłodze poduszkach. Działo się to wciąż tego samego wieczoru, choć trochę później. Joshua nadal nie było. Współczułyśmy sobie nawzajem. Dookoła stało więcej pustych butelek po winie, niż kiedykolwiek widziałam. — To znaczy, jestem niezależna, prowadzę życie na wysokim poziomie, mam wszystko...

— Jesteś zdesperowana, prawda? — spytałam.

— Cóż, wolałabym nie nazywać tego desperacją...

— Usychasz z tęsknoty? Czujesz niepokój? Przeraża cię wizja samotnego, pozbawionego sensu życia wśród kotów?

— No, może coś w tym stylu. A ty? Nie chcesz mieć dziecka?

— Chyba jestem na to zbyt roztrzepana. Upuściłabym je ze schodów jak butelkę porto, którą Josh dostał w rocznicę swojego chrztu.

— Taa — mruknęła Kate, kiwając głową. — A pamiętasz, jak włożyłaś buty do lodówki?

— Myślę, że udałoby mi się nie zamknąć dziecka w lodówce.

— No tak, ale chyba lepiej nie ryzykować, prawda?



- Może i tak.
- Pamiętasz te wszystkie dziewczyny o imieniu Sophie?
- A to były różne dziewczyny?
- Oj, wiesz przecież, co mam na myśli.
- Aha.
- No więc, dlaczego Josh nigdy mnie tak nie adorował?
- Bo jesteś prawdziwa...?
- No bo wiesz, skoro mnie lubi, to dlaczego nigdy nie paradował przy mnie z kawałkiem tostu przyczepionym do marynarki? Przy nich tak się zachowywał.
- Bo robił sobie jakieś nadzieje?
- Och, dziękuję ci bardzo.
- Posłuchaj mnie, tylko wysłuchaj mnie do końca. Ten chłopak jest przerażony. Dojrzewanie trwało u niego znacznie dłużej niż u kogokolwiek innego.
- Ale dlaczego?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? — Ułożyłam się wygodnie na dywanie. — To ty masz tytuł magistra. A może ludzie nigdy nie wyrastają z wieku dojrzewania?
- Niezłe gówno... — stwierdziła Kate. — No ale przynajmniej zaliczyłam noc z gwiazdą filmową...
- Właśnie. Pozostało nam jeszcze tylko dołożyć starań, by Josh przeszedł chrzest bojowy.
- Chyba tak. — I oczywiście upewnić się, że Addison wskoczy od razu na głęboką wodę. Wtedy już wszyscy tam będziemy. W Centrum Dorosłości.
- Dojrzewanie... co za wstrętne słowo — mruknęła Kate, gapiąc się w sufit. Zrobiła duże serduszko z aluminiowej folii, którą zdjęła z korka.
- Właściwie można by powiedzieć, że to strasznie nieprzyzwoite słowo. Za bardzo kojarzy się z „dojrzeć-podejrzeć”. Ale powiem ci, co brzmi ładnie. — Co... Josh junior?
- Oczywiście, że nie. Myślałam o pingwinkach w czeko-

ładzie. „Zostało jeszcze parę w kuchni, może skoczysz po nie i zjemy je na kolację?”. Czy to nie brzmi ładnie?

— Wiesz co? To, że leżymy sobie na podłodze i rozmawiamy, nie znaczy jeszcze, że zapomniałam o tamtym małym incydencie.

— Założę się, że dojrzała osoba nie miałaby nic przeciwko.

— Dojrzały ludzie nie obzerają się pingwinami — odparła, mierząc mnie groźnym spojrzeniem.

— OK. — Zmusiłam się, by wstać. — Idź i kup nam jakieś ciasteczka.

— W czerwonym opakowaniu? — zapytała.

— Założę się, że Josh właśnie mówi to samo — powiedziałam, gdy wróciłam z kuchni, ale na widok wyrazu jej twarzy pożałowałam, że w ogóle się odezwałam.

Próbowaliśmy nie zasnąć aż do powrotu Josha, ale okazało się to niemożliwe. Cóż, pewnie wytrzymałybyśmy do końca, gdyby nie Kate, która wpadła nagle w jakiś bierno-agresywny nastrój i na przemian albo mnie ignorowała, albo znów sugerowała, bym zaczęła robić karierę w City. Potem oglądałyśmy jakąś importowaną ze Stanów telewizyjną sieczkę na piątkowy wieczór. Programy były tak pomyślane, aby każdy, kto siedział w domu z nosem spuszczonej na kwintę, mógł poczuć się jeszcze gorzej, widząc, jak dokazują ci wszyscy młodzi, olśniewający Amerykanie.

Ponieważ tylko ja musiałam iść następnego dnia rano do pracy, poczłapałam do łóżka, gdy tylko zaczęło mnie mdlić od nadmiaru herbatników. Słyszałam, że Kate szybko poszła w moje ślady.

Nadstawiałam jeszcze przez jakiś czas uszu, czy przypadkiem Josh nie otwiera drzwi, ale niczego takiego nie odnotowałam.

Następnego ranka obudził mnie dzwonek telefonu. Przez chwilę pozwoliłam, żeby dzwonił, licząc na to, że ktoś od-

bierze — ale nikt się nie ruszył. Wystawiłam więc rękę, otworzyłam drzwi (co nie było trudne z uwagi na rozmiary mojego pokoju), opatuliłam się prześcieradłem i wypełzłam na korytarz niczym jakaś poczwarka. — Uhm...? — wymamrotałam.

— Dzieeeń dobry!

Otrząsnęłam się, chcąc się upewnić, że to nie sen. Po co księżna Anna miałaby dzwonić do nas w sobotę o siódmej rano? — Tu mówi Sophie.

O Boże! Hmm, robi się coraz ciekawiej!

— O, cześć, Sophie. Holly z tej strony.

— Wspaniale. Z Joshua poproszę.

— Yyy... to akurat może być trudne...

— Gdzie on jest?

Bardzo chciałam powiedzieć jej prawdę, choćby tylko po to, by wywrócić do góry nogami cały jej ograniczony świat, ale zabrakło mi odwagi.

— Ten weekend... spędza na wsi.

— Och, no tak, ehem, ja oczywiście też...

Dziwne, ale wydawało mi się, że właśnie usłyszałam karetkę, która przejechała pod jej oknami.

— Przekazać mu coś?

— A może ty mi pomożesz...

Ukłoniłam się wytwornie i przytknęłam do telefonu środkowy palec. — Może...

— Wiesz, słyszałam, że lokator Josha jest chory.

— Tak...?

— Chodzi więc o to, że według mojego ojca, gdyby pokazano, jak ofiarowuję pieniądze na szpital... to by bardzo pomogło mojej nominacji...

— Jakiej znowu nominacji? — wyrwało mi się. — Zamierzasz startować w konkursie Eurowizji?

— Oj, Holly, chyba wiesz, że nie wolno zmarnować takich

kwalifikacji jak moje. Wszyscy mi to mówią! Nie mogę, bo kiedy już wejdę do parlamentu...

— Sophie, jest bardzo wcześnie. O czym ty, do cholery, mówisz?

— Słuchaj, jesteś pewna, że nie ma go gdzieś w pobliżu?

— Tak! Chcesz, bym mu przekazała, że dzwoniłaś?

— Zostanę posłanką — powiedziała z westchnieniem. — Nareszcie. Jak tylko pokonamy nasz nieudolny rząd. Dlatego właśnie potrzebujemy jak najwięcej pięknych zdjęć, na których wręczam czeki tym obleśnym, śliniącym się z wdzięczności typom ze służby zdrowia, rozumiesz? No i uznaliśmy, że zrobimy to tam, gdzie leży ten dziwaczny lokator Josha... wszystko w gronie przyjaciół. Rozumiesz?

— Ale to podłe!

— No taaak... cóż, Holly, istnieje coś takiego jak urodzona klasa rządząca. Tak więc nie zawracaj sobie tym głowy. A teraz powiedz mi, w którym szpitalu leży twój kolega.

— Nie powiem ci!

W głosie Sophie słyhać było coraz większe zniecierpliwienie i coraz mniej troski o świat.

— No cóż, możesz zapewnić swojemu przyjacielowi najlepszą i najnowocześniejszą opiekę medyczną albo zupełnie go zignorować i pozwolić, by leżał w łóżku jak kłoda. Decyzja należy wyłącznie do ciebie.

— St Hugh's — powiedziałam wbrew samej sobie.

— Doskonale. Sprowadzę fotografa. I powiedz Joshowi, że musi mnie poratować... może będzie mógł pozować w roli mojego narzeczonego. Atrakcyjny partner to zawsze świetna zagrywka polityczna. Jemu chyba też się to spodoba, nie sądzisz? — Roześmiała się, jakbyśmy uknuły jakiś spisek.

— Jesteś samym złem! — krzyknęłam.

— Och, witam w prawdziwym świecie, kochanie — odparła i odłożyła słuchawkę.

To wcale nie był dobry dzień. W pracy ugryzł mnie jakiś robal, a gdy poszłam do Addisona, okazało się, że leży do góry nogami. Dosłownie. Widać było tylko spód łóżka. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że go stamtąd wynieśli i nawet nie zadali sobie trudu, by mnie o tym powiadomić. Stałam jak wryta i gapiłam się na łóżko z sercem w gardle. Po chwili jednak zauważyłam jakieś pasy. No i usłyszałam, że pikająca maszyna nadal pika — jak zwykle dodając wszystkim otuchy.

Stephen też gdzieś przepadł (wolałam nawet nie myśleć, gdzie się podziewa), ale jakaś młoda pielęgniarka wyjaśniła mi, że odwrócili Addisona, by uchronić go przed odleżynami. Nie przyszło mi oczywiście do głowy, że robią to dla zabawy (i na przykład urządzają mu wesołe miasteczko), ale wiadomość ta wzbudziła mój niepokój co do długości jego pobytu w szpitalu. No bo jak? Czy oni rzeczywiście sądzą, że zostanie tu tak długo, aż zacznie mu odpadać skóra?

Podeszłam bliżej łóżka. Kupiłam „Scientific American”, żeby mu poczytać na głos. Na sali nie było zbyt wielu odwiedzających. Przywitałam się z Bogiem, który oznajmił mi, że jest szósty dzień tygodnia i odpoczywa. Spytałam, czy nie chodziło mu czasem o niedzielę, ale zaprzeczył i wyjaśnił mi, że właśnie postanowił, iż będzie to sobota i że Żydzi od zawsze mieli rację — zresztą nie tylko co do tego. Nie mogłam znaleźć odpowiedniej pozycji i w końcu wczołgałam się pod łóżko, gdzie mogłam leżeć na podłodze i patrzeć mu prosto w twarz.

Było dziwnie. Bardzo dziwnie. Błada skóra Addisona wisiała luźno między pasami — według japońskich komiksów i pewnej grupy Anglików miał to być dość seksowny widok, ale nie wyglądało to zbyt normalnie. Przypomniały mi się sceny ze starych filmów z Jamesem Bondem, kiedy ich bohaterowie uprawiali w kosmosie seks, a okrywający ich ręcznik, zamiast unieść się do góry, opadał w dół.

Najpierw zauważyłam, że Addison nie ma już w ustach

tuby. To mogło oznaczać tylko jedno: — oddychał samodzielnie! Wspaniała wiadomość. Cóż, byłaby znacznie lepsza, gdyby się obudził, ale to już zawsze coś.

— Hej! — powiedziałam łagodnie, wyciągając rękę, by go połaskotać. Nie wierzyłam jednak, by łaskotanie było skuteczną metodą w zwalczaniu śpiączki, i wcale mnie nie zdziwiło, gdy nie przyniosło żadnego rezultatu. — Wyglądasz jak Superman. Założę się, że gdybyś nie spał, strasznie by ci się to spodobało. Powinnam zrobić zdjęcie, żebyś mógł zobaczyć, jak latasz.

Addison zawsze był szczupły, ale w ostatnich dniach zeszcupłał jeszcze bardziej — jego klatka piersiowa przypominała kaloryfer.

— OK, zaczynamy. „Scientific American”. Najświeższe naukowe ciekawostki z kraju, w którym nie wierzą w teorię ewolucji. Na co masz ochotę: *Szerokopasmowy dostęp do Internetu, a przeobrażenia społeczne?* Oj, wiesz co... zdaje się, że dla ciebie trochę jest już na to za późno. O, a może to: *Teoria nazywana kiedyś teorią strun?* Autorem tego artykułu jest doktor Michael Duff.

Nie wyraził sprzeciwu, więc zaczęłam czytać:

— „Warto zauważyć, iż w czasach, gdy niektórzy uczeni wychodzą z założenia, że dokonano już wszystkich ważnych odkryć i przewidują rychły koniec nauki, dwa główne filary fizyki dwudziestego pierwszego wieku — mechanika kwantowa i ogólna teoria względności Einsteina — okazują się wzajemnie sprzeczne. Ogólna teoria względności jest niezgodna z zasadami fizyki kwantowej, opisującej zachowanie cząsteczek elementarnych; z drugiej strony istnienie czarnych dziur narusza podwaliny mechaniki kwantowej. Nadszedł zatem czas na dokonanie przełomowego odkrycia. W przeciwieństwie do tego, co wróżyli nam pesymiści, odkrycie to zapowiada raczej kolejną rewolucję naukową, a nie zmierzch nauki”. Ple, ple, ple.

Ziewnęłam.

— Podoba ci się to? — zapytałam. — Straszny z ciebie dziwak. — Zaczęłam znowu czytać:

— „Jak dotąd, największą nadzieję na połączenie ogólnej teorii względności i mechaniki kwantowej pokładano w teorii strun: są to jednowymiarowe obiekty, których drgania odpowiadają cząsteczkom elementarnym. Ale na przestrzeni ostatnich dwóch lat teoria strun została wchłonięta przez M-teorię. Według Edwarda Wittena z Instytutu Naukowego Princeton w Nowym Jorku, guru teorii strun, litera „M” oznacza tu Magię, Misterium lub Membranę. Każdego dnia pojawiają się coraz to nowe dowody na potwierdzenie M-teorii, dzięki czemu możemy być świadkami najbardziej spektakularnego rozwoju nauki od czasu ogłoszenia teorii strun”.

Usiadłam i niechcący uderzyłam Addisona w nos.

— O mój Boże!

Na szczęście nie zaczęła mu lecieć krew ani nic podobnego. Ciekawe, czy Finn o tym wie? To może spartolić mu całą robotę.

Szczerze się o niego martwiłam. W końcu przesiedział nad tym ładnych parę lat.

— Czy myślisz, że powinnam zadzwonić do Finna i opowiedzieć mu o tych dyrdymałach? Chyba nie. Powiem mu, a on pomyśli, że robię to tylko po to, by go zdenerwować.

Usłyszałam cichy śmiech i zobaczyłam przy łóżku parę skórzanych butów. Znajoma postać kucnęła obok mnie, w dłoni ścisnęła szachownicę.

— Czy naprawdę mogłabyś zrujnować całą moją teorię wszechświata tylko po to, by mnie zdenerwować?

— No co ty! Czytałeś to? Wdepnąłeś w niezłe gówno!

— Cóż — uśmiechnął się — czasami zmieniają się paradygmaty, ale trzeba się z tym pogodzić i wzbogacić swoje poglądy o nowe. Powiedzmy, że moje „spaghetti” przypomina teraz bardziej „ravioli”.

— Fiu, fiu! A więc potrafisz o czymś zapomnieć i przejść nad tym do porządku dziennego?

— Chyba tak.

— Czyli te wszystkie lata skomplikowanych obliczeń zdały się na nic?

— Ale za to wiem, że potrafię pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. A co z nim? — zapytał i schylił się, by przyjrzeć się Addisonowi.

— Chcesz tu wejść i zobaczyć? Wyjęli mu już rurę do oddychania! To fantastyczna wiadomość, prawda?

— Niekoniecznie — mruknął Finn. — Mogę wejść pod łóżko i sprawdzić?

— Jasne — odparłam i przesunęłam się.

Teraz zrobiło się potrójnie dziwnie. Znalazłam się w środku osobliwej seks-kanapki: pomiędzy Finnem i nieprzytomnym Addisonem.

— Dziwnie, co? — powiedziałam, usiłując przełamać lody.

— Cóż, to wcale nie jest takie dziwne... — oczywiście Finn zupełnie nie zauważył naszej fizycznej bliskości, a ja przeklinałam w duchu moją obsesję na punkcie seksu. — Prawdopodobnie mieli nadzieję, że odstawiając aparat do oddychania, sprowokują go do samodzielnego oddychania, a to z kolei będzie impulsem do przebudzenia. Ale do tego nie doszło — stwierdził.

— Myślisz więc, że to nie działa?

— Oznacza to, że chyba leży w tej pozycji znacznie dłużej, niż pierwotnie zakładali. Chyba miał tak wisieć do momentu, aż jego problemy same się rozwiążą. Ale on nadal jest nieprzytomny... niedobrze, Holi.

— O Boże! — jęknęłam, z trudem powstrzymując łzy. — Nie miałam pojęcia.

— Już dobrze. — Chwycił mnie za rękę. — To jeszcze nie koniec — powiedział i znieruchomieliśmy, bo usłyszeliśmy charakterystyczne szuranie znoszonych papuci, które zmierzały prosto do łóżka Addisona.

— Tędy proszę — odezwała się władcym tonem doktor Hitler.



Zastęp szurających stóp ruszył za nią. Nie widzieliśmy ich, ale domyśliśmy się, że to studenci. Rozsunięto kotarę. Spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Za późno, by stąd wyjść — otoczyli nas. Finn ścisnął mocniej moją rękę. Próbowaliśmy leżeć nieruchomo, jak dwie kłody drewna. Moje serce waliło jak młot.

— To tu. Gdybyście zechcieli rzucić okiem na kartę... pacjent nie reaguje na bodźce czuciowe i ruchowe. Ten stan utrzymuje się od dziewięćdziesięciu sześciu godzin.

Zastanawiałam się, ile to w sumie dni. Finn spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Cztery — pospieszył mi z pomocą.

— Musimy zastanowić się nad jakąś intensywną fizjoterapią, dzięki której uda się nam zapobiec powstaniu kostnienia wieloogniskowego, choć naturalnie nie to jest teraz naszym głównym zmartwieniem.

— Jeśli nas złapią, wsadzą nas do pierdła! — szepnęłam.

— Kiedy zadadzą ci jakieś pytanie, odpowiadaj zawsze po niemiecku.

— Dzięki

— Richardowi Attenborough się udało!

— Jak stąd uciekniemy?

Dokładnie nad naszymi głowami studenci deliberowali nad starym, biednym Addim albo rozgrywali konkurs na najdłuższe słowo — nie byłam pewna, o co naprawdę chodziło.

— Może nas nie zauważą.

— Nie mów tak, bo zaraz będziesz musiała kichnąć albo coś w tym rodzaju.

Uświadomiliśmy sobie nagle, ile kurzu znajduje się pod łóżkiem, oraz że chyba naprawdę oboje musimy kichnąć. Zaklęliśmy pod nosem. Kiedy zaczęły nam łzawić oczy, próbowaliśmy z całej siły ścisnąć swoje nosy. Finn poruszał swoim jak króliczek i bałam się, że nawet jeśli nie kichnę, to na pewno wybuchnę śmiechem.

Ale oczywiście stało się tak, jak w kreskówkach, gdy kurier Acme Company przywozi komuś ogromną skrzynię pieprzu. Dokładnie w tym samym momencie wyrwało nam się donośne AAAAPSIK! — i zakichaliśmy całą podłogę.

— On kicha! A to oznaka świadomości! — zawołał jeden ze studentów.

— Ale to brzmiało jak podwójne kichnięcie — zauważył drugi.

Naszym oczom ukazali się właściciele sześciu par nóg. Uścisnęłam mocno dłoń Finna, a on również odpowiedział mi uściskiem.

— CO MY TU MAAAAMY?! — krzyknęła doktor Hitler, jakby właśnie odkryła, że siedzę w jej torebce.

— No więc... — mruknął Finn — właśnie to rozumiemy, mówiąc „na dole”, a tam, gdzie byliśmy przedtem — to „na górze”.

— Mieszam te pojęcia od lat — stwierdziłam, gramoląc się spod łóżka i otrzepując kurz. — Dziękuję, doktorze Levy! Czyli teraz jesteśmy na górze, tak?

— Właśnie. Już nigdy nie spadnie pani na dół.

— Wspaniale. Może zejdziemy na dół?

— W porządku. Poćwiczmy „blisko” i „daleko”. Zacznijmy od daleko.

Oddaliliśmy się szybkim krokiem.

— Proszę jeszcze raz przypomnieć mi te wszystkie różnice między blisko a daleko — powiedziałam. Studenci patrzyli na nas z niedowierzaniem.

— Zawsze tak jest, gdy czyjaś wiara w przysięgę Hipo-kratesa zostaje wystawiona na zbyt ciężką próbę — skomentowała całe zajście doktor Hitler, i powiedziała to na tyle głośno, bym mogła ją usłyszeć.

— Gdy dzieje się coś takiego, zaczynasz żałować, że Anthony Edwards 20 nie jest tak naprawdę WYKWALIFI-

---

<sup>20</sup>Aktor grający w serialu *Ostry dyżur* postać doktora Greena.

KOWANYM lekarzem — wymamrotałam, gdy mój towarzysz dźgnął mnie czubkiem buta. Finn musiał iść na jakieś nudne spotkanie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym. Cóż, niekoniecznie musiało być tam nudno, ale z całą pewnością nie byłam na nie zaproszona. I zgadnijcie, co jeszcze — miała tam być Madeleine! Jakie to urocze... Wlokłam się do domu, wyobrażając sobie Finna otoczonego hordą przemądrzałych ślicznotek w okularach, po chwili jednak wkurzyłam się, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy, i uznałam, że jestem podła i niełojalna, prawie tak samo jak ci faceci z reklamówek na temat jazdy po pijanemu, którzy zostawiają swoje oszpecone w wypadku dziewczyny. Nic, tylko mnie sfilmować!

— Hej! — zawołałam zmęczonym głosem, wchodząc do domu.

Łudziłam się, że moi współlokatorzy choć raz skoczą na równe nogi, pomogą mi zdjąć płaszcz, okażą zrozumienie i współczucie, a potem poczęstują ginem z tonikiem i ciasteczkami domowej roboty. Ale nikt mi nawet nie odpowiedział. Żałowałam, że nie mamy psa albo jeszcze lepiej — jednego z tych japońskich psów-robotów — zrobiliby ci gin z tonikiem i jeszcze zamerdałby na twój widok ogonem. Przejrzałam szybko pocztę — nigdy nic nie wiadomo: choć żadne znaki na niebie tego nie zapowiadały, być może ktoś postanowił zrobić mi nagle jakąś miłą niespodziankę — po czym zgarbiona podreptałam do kuchni z pustymi rękami; usiłowałam zapomnieć, że jest sobota, a ja nie mam żadnych planów. Nie było nawet żadnego cholernego spotkania w Królewskim Towarzystwie Geograficznym, na które mogłabym się wybrać. W kuchni, plecami do mnie, siedział zgarbiony Josh. Przyjrzałam mu się uważnie. Nie wyglądało mi to na „mam problem z pogodzeniem się z moją nową tożsamością sek-

sualną". Ale nie miał też na sobie marynarskiego wdzianka od Jean-Paul Gaultiera.

— Hej! — zaryzykowałam.

Josh pomachał mi swoją zmęczoną ręką.

— Hej.

Obeszłam stół i usiadłam obok niego.

— No i?

— No i co??? — zapytał, unosząc rękę.

— No, dalej... chyba mi opowiesz, prawda?

— Chyba tak — mruknął, przeciągając się.

— Huurraa! Chcesz poczekać na Kate? Proszę, powiedz, że nie. Mnie pierwszej to powiedz.

— Nie muszę czekać na Kate, bo już jest w domu. Dąsa się w swoim pokoju.

-Aj... Przez chwilę zastanawiałam się, czy chcę porozmawiać z nim na temat Kate. Wcale nie chciałam!!! — A więc, opowiadaj.

— No cóż, poszliśmy do „Śniegowych”...

— I co?

— Chcesz to usłyszeć czy nie?

— Chcę usłyszeć, czy to zrobiłeś, a nie czy zamówiliście jakieś przystawki.

— Holi... — Wyprostował się nagle i popatrzył na mnie. — Czy uważasz, że jestem homofobem?

— No cóż, biorąc pod uwagę, że umawiasz się z mężczyznami, to chyba raczej nie.

— Nie, ja pytam naprawdę.

— Nie wiem... spróbuj rozwiązać następujący test wyboru: nazywasz homoseksualistów (a) duposkoczkami, (b) wazeliniarzami czy (c) kochasiami? Nie wiem, ale chyba nie jesteś.

— OK. W takim razie... nie sędzę, że bym był gejem.

— Dlaczego?

— Bez powodu.

- Josh! Zrobiłeś to, prawda?
- Hmm, może — odparł wymijająco.
- Zrobiłeś! Ale ty jesteś łatwy! O mój Boże! Jak było?
- Co masz na myśli, pytając, „jak było”? Jak było? Jak z facetem w łóżku.
- Ach, no tak. Ale wiesz, mnie się to podoba.
- Cóż, mnie nie. To wszystko było jakieś... owłosione i... na ostro.
- Owłosiony... na ostro... to chyba bardzo seksowne... wypisz, wymaluj Robin Williams.
- Hmm. No cóż, jeśli o mnie chodzi, mnie zdecydowanie się to nie podobało. Zdaje się, że wolę, żeby było raczej... z uczuciem i z kimś... mięciutkim.
- Pokiwałam ze zrozumieniem głową.
- Pewnie masz na myśli dziewczyny.
- Pewnie tak... I co teraz?
- Nie jesteś zadowolony? Teraz chyba już wszystko jasne. Możesz łądować się w tysiące związków bez znaczenia, kończących się poniżeniem i bólem serca, czyli tak jak my wszyscy!
- Wiem, ale wcale nie jest mi z tym dobrze. Chodzi o to... cóż, Stephen jest taki miły, sama zresztą wiesz. Nie chciałbym go zawieść.
- O, nie — zaprotestowałam. — Stephen jest moim przyjacielem i nie pozwolę, żebyś udawał przed nim geja ze zwykłej uprzejmości. Nie wolno zwodzić w ten sposób innych ludzi. Zapomniałeś już, jak to było z Sophie? Boże, jak ona ciebie traktowała, powinnam była wysłać ją na Księżyc, gdy zadzwoniła tu dziś rano...
- Sophie dzwoniła?
- Nie!
- O mój Boże! Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Nie wiem... może dlatego, że wyszedłeś i odgrywałeś Wielkiego Geja?
- Zadzwonię do niej, by... — wymamrotał i wyleciał z kuchni, jakby się paliło.

— Świetna robota — powiedziałam do siebie i zgotowałam sobie sarkastyczny aplauz.  
Gdy Josh zaczął się ekscytować do słuchawki, przeciągając samogłoski, skrzypnęły drzwi i pojawiła się w nich Kate. Miała zaczerwienione oczy.

— No i?

— Co: no i? — zapytałam, żeby ją jeszcze bardziej zdenerwować.

— No i jest czy nie? Czy ty wiesz, że nie mogłam spać?

— Zdaje się, że spałaś, kiedy musiałam wstać rano, by odebrać telefon — burknęłam.

— Jak możesz tak mówić? Ja... ja jeszcze nigdy się tak nie czułam. Błagam cię, nie rób sobie ze mnie jaj.

— A co z psim dentystą?

— HOLLY! — wrzasnęła zrozpaczona.

— OK, OK. Co wolisz: dobrą czy złą wiadomość?

— Dobrą. — Weszła cicho do kuchni i usiadła. — Kocha mnie?

— Yy... cóż, nie jest gejem.

— Super! OK, a jaka jest ta zła wiadomość?

— Zgadnij, z kim teraz rozmawia przez telefon... Przyglądała mi się przez chwilę.

— Niemożliwe.

— Możliwe.

Streściłam jej pokrótce podły spisek Sophie, co zupełnie wyprowadziło ją z równowagi.

— Nie ma mowy! — zawołałam, widząc jej błagalne spojrzenie.

— No ale wiesz...

— Chcesz, bym zaprzepaściła szansę zdobycia dodatkowych funduszy na leczenie Addisona tylko po to, żebyś mogła startować do Josha bez żadnej konkurencji?

— I by uchronić świat przed inwazją uprzywilejowanych,

faszystowskich parlamentarzystów! — krzyknęła zgorziona. — Czy ty uważasz, że ja naprawdę nie mam serca?

— Nie wiem. Ale obawiam się, że przyjmę te pieniądze od Sophie.

— Zdrajczyni...

— Ha! — Odwróciłam się do niej i dokładnie w tym samym momencie wrócił Josh, podskakując jak mały zadowolony szczeniaczek.

— Zgadnijcie, co się stało! Rozmawiałem z Sophie!

— Ooo, a ja myślałam, że ktoś skrobał paznokciami po tablicy — syknęła Kate.

— Zamierza ofiarować czek na rzecz oddziału, na którym przebywa Addison! — zignorował ją Josh.

— Powiedziałem jej również, że przyjedzie telewizja, by sfilmować Holly, więc postanowiła zrobić to w poniedziałkowe popołudnie.

— Nie. Nie, nie, nie! Proszę, tylko bez telewizji.

— Ale pomyśl — zaczął poważnym tonem — te pieniądze mogą zmienić życie setek, jeśli nie tysięcy...

— ...przyszłych kandydatów z ramienia partii konserwatystów — weszła mu w słowo Kate.

— Ale...

— Poza tym myślę, że...

— Nie ma mowy!

Byliśmy na dobrej drodze do wybuchu ostrej kłótni, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzeliśmy na siebie.

— Cóż, to na pewno nie Sophie, bo wyjechała na wieś — odezwał się Josh.

Pociągnęłam znacząco nosem.

— Ani John, bo on nawet NIE JEST JOHNEM — stwierdziła Kate cierpkim tonem.

Spojrzeli na mnie. Mimo iż wiedziałam, że nie może to być również Addison, kiedy szłam otworzyć drzwi i schodziłam cichutko po schodach, czułam, że przebiegają mnie dreszcze emocji.

— Kto tam? — spytałam niepewnie.

Usłyszałam jakiś głos dobiegający z za dość masywnych drzwi. Otworzyłam je zdenerwowana i już przygotowywałam sobie odpowiednią minę.

— Witaj — powiedziała matka Addisona i uśmiechnęła się do mnie nerwowo.

Oczywiście nie zdążyłam z tą miną.

— Przepraszam... przychodzę w nieodpowiednim momencie?

— Nie! Skądże, to doskonały moment! — odparłam i wprowadziłam ją do środka.

— Zrobiłam gulasz...

Dopiero teraz zauważyłam, że przytaszczyła ze sobą jakiś ciężki półmisek.

— Oj, nie trzeba było, ale to wspaniale z twojej strony. Kate, Josh!

Zaprosiłam Magdę do kuchni. Najpierw okazali zaskoczenie, ale już po chwili wyglądali na bardziej zadowolonych. Miałam sobie za złe, że nie powitałam matki Addisona odpowiednią miną jeszcze na dole.

— Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam...

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiedzieliśmy jednocześnie, więc — mimo iż było to zgodne z prawdą — zabrzmiało dość nieszczerze.

— Usiądź — zaproponował Josh, wreszcie zaczynając zachowywać się jak dżentelmen. — A może otworzę wino?

Popatrzyliśmy na siebie, gdy Magda wyjęła gulasz. Było jasne, że za jej wizytą nie kryła się żadna tajemnica — najzwyczajniej w świecie szukała towarzystwa innych ludzi. Chociaż może niezupełnie... Gdy tylko usiedliśmy wokół stołu i zaczęliśmy jeść, Kate nie omieszkała o to spytać.

— Hmm... a skąd wiedziałaś, że będziemy w domu w sobotni wieczór?



— Jak tylko... — Magda wzruszyła lekko ramionami. — Nie, doprawdy, nie miałam zielonego pojęcia.

— Najbardziej martwi mnie to... — zaczęła, kiedy przenieśliśmy się z winem do stołowego — że... gdy się obudzi... będzie zupełnie inny.

— Co masz na myśli? — spytał Josh.

— Może tak być — odezwała się Kate. Wyglądało na to, że nagłe pojawienie się matki Addisona nieco nas ucywilizowało. Poza tym — jak powszechnie wiadomo — ciągłe mówienie uszczypliwości innym ludziom jest nie tylko przykre, ale również bardzo męczące. — Gdzieś o tym czytałam. Bywa, że po długotrwałej utracie przytomności ludzie budzą się z zupełnie nowymi odruchami. Pewien facet, kiedy obudził się ze śpiączki, zaczął mówić po francusku.

— Pewnie leżał w szpitalu we Francji — rzuciłam, ale zaraz tego pożałowałam.

— Tak<sup>^</sup> właśnie to mam na myśli — przyznała Magda. — Albo będzie miał amnezję...

— O, to akurat byłoby świetnie — ucieszyłam się, jednak po chwili uznałam, że chyba lepiej będzie, jak pójdę zaparzyć kawę.

— Addison z nową osobowością... — mruknął Josh, wypowiadając na głos nasze myśli.

— Nie można byłoby go uciszyć...

— I pewnie wspinałby się po górach całego świata, a potem chwalił się tym na prawo i lewo — dodała Kate.

— Albo zostałby hipisem, zamieszkałby na łące i całował zające.

— Albo pisałby wiersze gęsim piórem.

— Albo zostałby didżejem Radio One 21 — dodałam z kuchni swoje trzy grosze.

- Albo prezenterem telewizyjnego programu dla konsumentów!
- Wolałabym chyba, aby mój syn wrócił do nas taki, jaki był — stwierdziła Magda.
- Ja również — powiedziała Kate.
- Holly też — mruknełam cichutko.

## ***Rozdział jedenasty***

Sobota, szósta czterdzieści pięć. Leżałam sobie, wydychając dymek z papierosa, i słuchałam dzwoniącego natrętnie telefonu. Czy nie wystarczy, że mój pokój jest tak mały, że przy zamkniętym oknie można się w nim zatruć dwutlenkiem węgla? Czy muszę jeszcze cierpieć z powodu jakichś głupich telefonów?

Zero reakcji. Nikt się nie kwapił. Nagle przyszło mi do głowy, że to być może telefon ze szpitala, więc zakląłam pod nosem i wypełzłam na korytarz, owinięta kołdrą jak strudel jabłkowy.

— Słchm?

— Czy rozmawiam z Holly Livingstone?

— Hmm... tak. — Oprzytomniałam w jednej sekundzie. Zawsze, gdy ktoś zwraca się do mnie pełnym imieniem i nazwiskiem, skupiam się z całych sił na wypadek, gdybym usłyszała, że aresztują mnie za coś, czego nie zrobiłam.

— Cześć, mówi Roger Montserat. Producent programu Candice Piper.

— Cześć — powiedziałam gderliwym tonem. — Nic nie mów: jesteś jeszcze na jakiejś telewizyjnej, okraszanej koką imprezce i nawet nie zdążyłeś się położyć?

Udał, że go to rozbawiło.

— Właściwie myśleliśmy, że zastaniemy cię w szpitalu.

— Jest szósta czterdzieści pięć RANO!

— Wiem... ale taki jeden pielęgniarz powiedział nam, że jesteś bardzo oddana.

— Bo jestem CHOLERNIE oddana. Nie słyszałeś, co powiedziałam? Jest szósta czterdzieści pięć...

— No tak, już dobrze. Chciałem tylko pogadać z tobą na temat jutra. — Mówił przez nos, w bardzo irytujący sposób: cokolwiek powiedział, brzmiało jak pytanie.

— OK. — Przyjęłam wygodniejszą pozycję, gotowa sprzedać mu delikatnie ubarwioną historię naszego (mojego i Ad-disona) związku. — A więc, poznaliśmy się...

— W jakim kolorze chcesz wystąpić?

— Że co?

— Candice jest wyjątkowo czuła na punkcie tego, czy nic się nie gryzie. Zamierzała włożyć coś w kolorze pistacjowym, bylibyśmy więc bardzo wdzięczni, gdybyś...

— Chwila, moment... — Potrząsnęłam głową (wszystko zaczynało mi się mieszać). — Pistacjowy? Jaki to kolor? Jasny brąz?

— Zielony.

— Zielony? Gnijące orzeszki pistacjowe?

— Ha, ha, ha. Jestem przekonany, że jeśli wybierzesz coś z podstawowej palety kolorów, to wszystko pójdzie jak z płatka. Nie skontaktował się z nami jeszcze menadżer tej twojej kapeli, ale czekamy na was o drugiej, OK?

— Zaczekaj! — Wpadłam nagle w panikę. — A tak w ogóle, to co ja mam robić?

— No wiesz, złotko, po prostu... — moje pytanie wyraźnie go zaskoczyło — będziesz występować w telewizji!

— I co dalej? Westchnął.

— Kochanie, ubierz się tylko w delikatne pastele i postaraj się wyglądać, jakbyś płakała. OK? My zajmiemy się resztą. Pamiętaj: robimy to w słusznej sprawie. No i wystąpisz w telewizji! Super, co?

Położyłam się spać. Miałam jeden z tych okropnych porannych koszmarów: prześladował mnie Addison — wisiał na białej tablicy do góry nogami i szperał w mojej szafie, usiłując znaleźć w niej jakiś niezielony garnitur, który, nie wiedzieć czemu, zamienił się w porcję spaghetti. Obudziłam się, gdy usłyszałam, jak Josh hałasuje w kuchni przy zmywaniu naczyń. Nie muszę już zmywać... No cóż, usiłowałam dopatrzeć się jakichś małych korzyści wszędzie, gdzie tylko się dało.

Musiałam zadzwonić do Chali w sprawie następnego dnia. Przypomniało mi się, że skoro mam być jutro w szpitalu, a ona też się tam wybiera, to pojawia się mały problem — kto otworzy sklep — i musiałam jej się poradzić.

Oczywiście słuchawkę podniósł jej trollowaty facet.

— Chali?

— Yyu??

— Z CHA-LIPO-PRO-SZĘ — powiedziałam, starannie wymawiając kolejne sylaby.

— Ee... aha, aha.

— Tak? — usłyszałam po półgodzinie głos Chali. — Buster, przestań.

— Co on robi?

— Chyba nie chciałabyś tego wiedzieć. To ma związek z nosem.

— Masz rację. Nie chcę wiedzieć. Mam zadzwonić później?

— No co ty, nie wygłupiaj się. My tu tylko uprawiamy seks. Chodzi o zespół?

— Czy nadal jesteś gotowa wystąpić?

— To ten pomysł jeszcze jest aktualny? Och, to wspaniale! Napisałismy specjalną piosenkę.

— Pod tytułem?

— *Leżę w śpiączce i mam nowy szew.*

— Boże drogi...

— Nie, to jest świetne. Pozostaliśmy przy lekko trashowym brzmieniu, do którego dodaję szczyptę wschodniej egzotyki.

- A co ze sklepem? Zastanawiała się przez chwilę.
- O Boże... Poprosiłabym wujka, ale zdaje się, że on nie ma ani żadnych talentów, ani jaj, w ogóle nic. Hmm... Buster, niżej.
- Czekałam, nie odkładając słuchawki.
- Mam! — odezwała się po minucie.
- Co?
- Będziemy strajkować! W końcu mamy swoje prawa, no nie?
- Nie jestem pewna, czy możemy wziąć sobie wolne, by móc wystąpić w telewizji.
- Nie, nie. Właśnie że powinniśmy. Musimy tylko sformułować nasze żądania.
- I co? Zażądamy herbaty?
- Oj, Holly! Chryste Panie, przecież my ledwo dobijamy do minimalnych zarobków.
- Niby tak, ale ty kradniesz.
- Nie o to chodzi. Zadzwoń teraz do tej starej krowy i zmuszę ją, by przystała na nasze żądania.
- Może jednak się wstrzymaj? Jeszcze je przyjmie, a wtedy będziemy musiały pojawić się w kwiaciarni.
- Masz rację. O nic się nie martw. Do zobaczenia jutro.
- O drugiej. Tylko nie zakładaj niczego w pistacjowym kolorze.
- Boże — jęknęła. — Ty nigdy nie wyprzesz się swojego średniego wieku. Buster, przestań!
- Urghg...
- Oj nie, nie. Nie przerywaj. Odłożyłam słuchawkę.
- Ja tam nawet lubię pistacjowy — stwierdził Josh, trzymając w ręku dwa krawaty. Właśnie robił swoje niedzielne prasowanie.

— Ty przecież sam nie wiesz, co lubisz, więc lepiej się zamknij — oświadczyła Kate.

— Ale nikomu nie wolno przychodzić — oświadczyłam. — Skoro już muszę poniżyć się w ten sposób, wolę zrobić to sama.

— Sophie mnie zaprosiła, więc muszę tam być — odparł Josh, decydując się ostatecznie na krawat w kolorze morwy. Gdy to mówił, pokazał mi język.

Kate posapywała ciężko i rozgrzebywała widelcem sałatkę po całym talerzu.

— Skates, a ty nie idziesz? Nie chcesz wziąć udziału w wielkim telewizyjnym widowisku? Będzie się z czego pośmiać.

— To nie będzie śmieszne — wycedziłam.

— Oczywiście, przyświeca temu bardzo szczytny cel...

— Mam robotę — powiedziała wreszcie Kate. — Czy sądzisz, że zamykają giełdę tylko dlatego, że ktoś jest w śpiączce?

Wymieniliśmy z Joshem spojrzenia.

— Zależy, o kogo chodzi — mruknął Josh. — To znaczy, gdyby chodziło o głównego prezesa Narodowego Banku Anglii...

— Albo może papieża — wtrąciłam.

— ...albo twojego współlokatora i przyjaciela — zakończył Josh.

— Idźcie sobie razem z Sophie i dobrze się bawcie — warknęła Kate. — Dlaczego nie mielibyście zostać sławni, jak ta kobieta, która nie potrafiła jeździć samochodem? Moglibyście nagrać płytę albo chodzić na imprezy z Keithem Chegwinem<sup>22</sup>. Gównu mnie to wszystko obchodzi. Proszę cię tylko o jedno, Josh. Daj mi spokój, OK?

Wstała i wybiegła z kuchni.

— Chyba ma jakieś problemy ze swoim życiem uczuciowym albo coś w tym stylu — orzekł Josh.

---

<sup>22</sup>Kontrowersyjna postać telewizji brytyjskiej.

Nie mogłam spać. Gdy tylko zamykałam oczy, mój mózg wymyślał tysiące rzeczy, które mogły się wydarzyć następnego dnia:

- zostaję zwolniona z pracy (bo zasłużyłam);
- każą mi założyć piżamę jakiegoś dziadka;
- nie pozwalają nam wystąpić w telewizji z powodu kapeli;
- Candice przez cały czas rzuca pod moim adresem bardzo uszczypliwe uwagi;
- Josh zaręcza się z Sophie i muszę sobie sama gotować;
- Addisonowi nic nie pomaga, bo jego czas (niepotrzebna mi Kate i jej schemat działania, by o tym pamiętać) dobiega końca.

Kiedy mówiłam, że nie mogłam spać... no cóż, udało mi się pospać aż do całkiem późnych godzin porannych. Wygramoliłam się z łóżka kompletnie spanikowana. W domu panowała cisza. Na zewnątrz był przepiękny, słoneczny dzień. Poczłapałam smętnie do szafy i oceniłam jej zawartość. Nie miałam pojęcia, że mam tyle zielonych rzeczy. Czarny również nie wchodził w rachubę — nie można się tak ubrać i siedzieć obok kogoś, kto ma kruczoczarne włosy i jest blady jak śmierć.

Wyglądałabym jak siedząca na jego ramieniu Kracząca Złowieszczko Wrona. Czy w ogóle istnieje coś takiego, jak Kracząca Złowieszczko Wrona? Choć było to bez znaczenia, odrzuciłam wszystkie czarne i szare ciuchy. Granatowe też — nigdy nie potrafiłam rozróżnić tych kolorów. OK. Nie zostało za wiele innych ciuchów, na dodatek spora część z tego była różowa. Westchnęłam. Gdyby Kate jadła mniej sałatek, a więcej kanapek z kielbaskami, pewnie mogłabym pożyczyć coś od niej. Wyciągnęłam stary T-shirt z napisem „Uwolnić Nelsona Mandelę”. Cóż, niezły slogan, by zaistnieć na ekranie, ale niekoniecznie w takim momencie. W końcu zdecydowałam się na podkoszulek w paski i długą gładką spódnicę... ach, ta próżność, chciałam wyglądać szczupło.



Zanim wyszłam z domu, zahaczyłam jeszcze o pokój Addisona.

— Nie martwcie się, chłopaki — powiedziałam do stojących w nim komputerów. — Przeprowadzę go z powrotem.

Claudii już nie było, ponieważ ktoś wyłączył monitor. Spacerowałam dookoła, dotykając różnych przedmiotów. Pokój nie był już taki zapchany, bo Magda zabrała do szpitala większość gadżetów ze *Star Treka* i poustawiała je wokół łóżka Addisona. Wzięłam do ręki małą figurkę Hana Solo.

— Ty pójdziesz ze mną. Słyszysz z tego, że potrafisz wyciągnąć ludzi z najgorszych opresji. Właśnie cię potrzebujemy, Han — oświadczyłam i wcisnęłam go do kieszeni.

— Przyjrzyjcie się sobie — zwróciłam się do komputerów. — Waszej mocy starczy, by odpalić statek kosmiczny, ale nie potraficie zrobić niczego dla osoby, która was uwielbia.

Komputery mrugnęły do mnie.

— Nie bądźcie bezczelne. Zamknęłam cichutko drzwi.

Gdy tylko przekroczyłam próg szpitala, od razu wiedziałam, że coś się dzieje. Personel, który zazwyczaj ukrywał się w zakamarkach korytarza, biegał teraz tam i z powrotem. Wszyscy poruszali się szybciej niż normalnie, i na dodatek mieli podejrzenie czyste włosy. No tak, muszą tu być kamery telewizyjne.

Tak bardzo przyzwyczałam się do różnych dziwactw na OIOM-ie, że gdy weszłam przez znajome wahadłowe drzwi, prawie niczego nie zauważyłam. Ale tym razem chodziło o coś więcej. Na środku oddziału stała wielka choinka, a na ścianach powieszono ohydne plastikowe stroiki oraz coś, co okazało się pustymi kartonami, osłoniętymi byle jak tanim papierem do pakowania (nadal można było zobaczyć, po jakich są chipsach). Widok łóżka Addisona omal nie przyprawił mnie o torsję. Ktoś ubrał go w jaskrawoczerwoną

piżamę, co wcale nie było jeszcze najgorsze, bo uznali też, że należy powiesić mu nad łóżkiem jemiołę.

— O Boże! — wrzasnęłam.

Na oddziale znajdowało się cztery razy więcej ludzi niż normalnie oraz ze dwa razy tyle personelu pielęgniarskiego. Stephen od razu przyszedł mi na ratunek.

— Podekscytowana? — spytał.

— Aż mnie mdli. Co ty tu robisz?

— Mam dziś wolne, ale i tak przyszedłem. A poza tym jest tu taki jeden dźwiękowiec...

— Ale z ciebie wywłoka! A ja myślałam, że będziesz tu siedział i wyplakiwał sobie oczy z powodu utraconej miłości.

— Niby kogo? Tego twojego przyjaciela? — Uśmiechnął się szelmowsko. — Raczej nie. Mimo wszystko miałem niezły ubaw.

— Jesteś podłą wywłoką!

— Jakie to słodkie!

— Ale przynajmniej na coś się przydałeś — burknęłam.

— OK, chcesz podejść i dołączyć do imprezy? Rozejrzałam się — Chali i jej menażerii chyba jeszcze nie było, ale ekipa telewizyjna uwijała się jak w ukropie. Niektórym pacjentom towarzyszyły wyczekujące nerwowo rodziny. Nikt nie był ubrany na zielono. Candice (ciuchy w kolorze gluta) oraz doktor Hitler stały przed dyżurką pielęgniarek, pochłonięte gwałtowną dyskusją. Wyglądały dokładnie jak ludzie, którzy udają przed światem, że się nie kłócą.

— Chcę tylko powiedzieć — usłyszeliśmy Candice, gdy ją mijaliśmy — że nie rozumiem, dlaczego nie można zamienić tego pokoiku w charakteryzatornię. Boże, przecież to tylko jeden dzień.

— A ja chcę tylko powiedzieć, że mogłaby pani przestać wygadywać brednie. Nie ma pani zielonego pojęcia, jak ważne jest dla nas to pomieszczenie albo jak istotne jest wyjaławianie pościeli dla chorych

— odgryzła się doktor Hitler.

— Cześć! — zawołałam. Wyprostowały się obie jak struny.  
— Tak? — odezwała się Candice wyniosłym tonem.  
— Ehem... mam wystąpić w twoim programie.  
— Och, super. Idź i porozmawiaj z Rogerem, autografami zajmę się później, OK? ...pani doktor, na pewno macie tu jakąś salę operacyjną, z której moglibyśmy skorzystać?  
Spojrzałam na Stephena. Uniósł do góry kciuki.  
— Straszna z niej suka! Uwielbiam ją!  
Nie mogłam nigdzie znaleźć Rogera, podeszłam więc do łóżka Addisona, by zdjąć jemiolę.  
— Co się tam dzieje? — usłyszałam głos Boga. Odwróciłam się do niego.  
— Skoro ty nie wiesz, to czy jest jakaś nadzieja dla świata?  
— Żadnej. Wszyscy jesteście przekłęci i wszyscy bez wyjątku traficie do piekła, zwłaszcza protestanci. Oraz cała Partia Liberalnych Demokratów. I David Essex<sup>23</sup>.  
— Jesteś dziś niesamowicie marudnym Bogiem.  
— Nie dość, że nie czuję się najlepiej, to jeszcze świecą mi po oczach. Zupełnie jak w Japonii w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym.  
— Dlaczego nie poprosisz, żeby zaciągnęli ci kotarę?  
— Może dlatego, by poczuć magię świąt?  
— Och... Oni kręcą program telewizyjny i ściągnęli tu zespół, który spróbuje obudzić pacjentów swoją grą. Miejmy nadzieję, że potem się ulotnią i zostawią nas w spokoju.  
— Ha — mruknął Bóg. — Cóż, przynajmniej ubrali mnie w moją najlepszą piżamę.  
— Czyli świat nadal jest piękny.  
— HOLL!  
Na oddział weszła srebrna zjawa, stukająca niebotycznie wysokimi obcasami.  
— To pewnie jeden z moich aniołów! — ucieszył się Bóg.

---

<sup>23</sup> Piosenkarz brytyjski, wykonawca przeboju pt. *Rock On* (1974).

- Niezupełnie — odparłam. — Chali, co się stało?
- Nic. Te buty mnie wykończą. Ale tak poza tym wszystko w porządku. Bigelow WPADŁA W FURIĘ.
- Czyli wcale nie jest w porządku.
- Właśnie że jest. Sama otworzy sklep! Aż chciałoby się tam być. Mogłybyśmy zobaczyć, jak sobie radzi, pracując...
- Na pewno jest jej ciężko. Prawdopodobnie nie starczy jej nawet czasu na pomalowanie wszystkich dziesięciu paznokci.
- To on? — Chali stanęła na wprost Addisona i zerknęła na mnie. Skinęłam głową.
- O Boże, Holi! Nie powiedziałaś mi, że jest taki cudowny.
- Hmm, to chyba jedyne, co ci o nim mówiłam.
- O Boże... — Poglaskała go delikatnie po twarzy. — Hej, czyżby to była jemioła?
- Nie! — burknęłam i zabrałam gałązkę. Wydeła usta.
- No cóż, za to jego pizama jest paskudna. Gdzie możemy się rozstawić?
- Dużo was jest? — zapytałam zaniepokojona, bo na oddział, jeden za drugim, pakowały się jakieś łachudry, z których każdy coś tachał — jak nie sprzęt grający, to chociaż kawałek przewodu.
- Aa. Cóż, kiedy powiedziałam Bigowi... wszyscy chcieli wystąpić w telewizji. No i zespół... trochę się powiększył. — Jak bardzo?
- No... najpierw było nas pięcioro...
- Aha.
- Teraz zespół liczy około czternastu osób.
- Czternastu?
- Ale ja nadal jestem jedyną wokalistką. Mister Big gra na gitarze prowadzącej, do tego dwóch basistów, gitara rytmiczna, czterech perkusistów i pięć osób w chórkach.
- Jezu! Chali, my chcemy tych ludzi obudzić, a nie ukarać.

— Pamiętaj, że to ma być wielki przełom w mojej karierze. Nie martw się, zadbam, by zachowywali się w porządku — powiedziała błagalnym tonem.

— Ooo! Czekoladki! — W drugim końcu oddziału jeden z Cekinów przymierzał się właśnie do zabrania prezentów od rodziny jakiegoś pacjentowi w krytycznym stanie.

— Cóż, to nie mnie musisz o tym przekonać — odparłam, wzdychając ciężko. — Kręci się tu facet o imieniu Roger, który... — Gdy tylko to powiedziałam, znalazł się w polu widzenia. — Chodź szybko, poznasz go — dodałam.

Roger wydawał się lekko oszołomiony i niósł tacę, na której stały filiżanki z kawą.

— Cześć.

Obrzucił nas tępym spojrzeniem.

— To ja, Holly Livingstone — przypomniałam mu. — Chyba nie rozpoznajesz mnie w dziennym świetle.

— Och, tak. Cześć — wymamrotał, wreszcie kojarząc moją osobę. — O mój Boże! Paski?

— Co?

— Masz na sobie paski. Przykro mi, ale to nie przejdzie, jasne?

— Rozumiem, ale zapomnij teraz o tym. Przedstawiam ci Chali Sangharę, wokalistkę zespołu Mister Big i Cekiny. — To ci kolędnicy, tak?

— Ehem, cóż...

— Świetnie... Rozstawcie się gdzieś, dobra? — powiedział, po czym zostawił nas i udał się do Candice, która już z daleka machała do niego.

Spojrzałyśmy na siebie. Chali wzruszyła ramionami i poszła pomóc zespołowi rozstawiać sprzęt w przeciwległym rogu. Jeden z gnomów — cały umazany czekoladą — schylił się, by podłączyć wzmacniacz, na co doktor Hitler zareagowała głośnym piskiem. Fakt, iż jej oddział został zamieniony w kilkuarenowy cyrk, doprowadzał ją do pasji. Jej twarz nabierała coraz bardziej intensywnego koloru.

W końcu pojawili się Josh i Sophie. Wkroczyli na oddział, jakby byli jakąś idealną parą z genetycznie doskonałej przyszłości. Ich harmonizujące ze sobą blond czupryny odbijały promienie wpadającego przez okno słońca. Sophie wniosła ostentacyjnie czek wielkości boiska. Umieszczono na nim jej nazwisko (wielkimi literami!) oraz dość pokaźną ilość zer.

„Za cholere nie przecisną tego w okienku bankowym”, pomyślałam. Miałam tego dnia wyjątkowo buntownicze nastawienie.

— Cześć, Josh, cześć, Sophie.

— Hej — odpowiedział Josh. — Jak idzie?

Jestem pewna, że widziałam, jak doktor Hitler przyłożyła jednemu z gnomów.

— Hmm... Nie jest źle.

— Muszę porozmawiać z Candice — oznajmiła Sophie. — Mam nadzieję, że zgodzi się wystąpić w roli popierającej mnie znanej osobistości.

— Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie tym głowy — powiedziałam. — Straszna z niej suka. Ale Sophie już szła w jej kierunku. Postanowiliśmy zaczekać kilka minut na spodziewaną odmowę, minęło jednak zaledwie kilka sekund, a Candice i Sophie już paplały jak stare znajome.

— Sophie potrafi się dogadać ze wszystkimi — rozplýwał się z zachwytu Josh.

— OK, ludzie! — zagrzmiął donośny głos. Uniosłam głowę. Roger stał na czyimś łóżku i wrzeszczał przez megafon.

— Złaź stamtąd! — wydarła się na niego doktor Hitler.

— Wszystko w porządku, przecież oni śpią! — odkrzyknął — A teraz posłuchajcie... kilka podstawowych zasad. Po pierwsze, proszę, abyście pilnowali swoich miejsc. Nakręcimy tylko krótkie, dziesięciominutowe wejście, więc powinno to potrwać nie dłużej niż osiem, może dziewięć godzin.

Proszę,

abyście przez cały ten czas nie zmieniali ani ubrań, ani fryzur, ani makijażu. No, chyba że uronicie jakąś łezkę i poprosimy was, byście to powtórzyli. Wtedy ktoś zaprowadzi was do charakteryzatorni. Sfilmujemy Candice, a potem zespół i czek, OK? Przygotowaliśmy małe przekąski. Kiedy skończymy kręcić, przy drzwiach będą czekać na was kanapki. Bierzemy tylko po jednej. Aha, pod żadnym pozorem nie zwracajcie się do Candice, chyba że sama się do was odezwie. Wolelibyśmy też, abyście unikali kontaktu wzrokowego z Candice. Zachowujcie się cicho i nie przeszkadzajcie. Kto wie, może pojawicie się w telewizji, a wasi ukochani będą mieli uroczą pamiątkę. Oczywiście jeśli w ogóle do was wróca. OK, są jakieś pytania?

Ktoś spytał, co ma zrobić, gdy będzie musiał wyjść do ubikacji. Roger poprosił, by wstrzymali się z tym na czas kręcenia, co wywołało masowy szturm do łazienek. Potem Sophie zapytała głośno, czy może powiedzieć kilka słów, kiedy będzie przekazywać swój czek na pięćdziesiąt tysięcy funtów. Roger spojrzął na Candice. Co prawda skinęła głową, ale za plecami Sophie dawała mu dziwne znaki, które mogły oznaczać jedno: „Później się to wytnie”.

— Naturalnie — odparł. — Stanowi pani integralną część naszego programu.

Sophie napuszyła się jak paw.

— Ktoś jeszcze?

Dla podniesienia napięcia jeden z perkusistów zaczął wybijać rytmiczne ba-bum-cza! Zdaje się, że Rogera to nie bawiło.

— OK... Proszę, wszyscy na miejsca.

Rozejrzałam się dookoła — gdzie mogło być moje miejsce? W tym momencie podeszła do mnie jakaś drobna dziewczyna z ogromną krótkofalówką i zaciągnęła do łóżka Addisona.

— Prawdopodobnie Candice podejdzie do ciebie, by z tobą porozmawiać — oznajmiła, co zabrzmiało, jakby Candice

była Świętym Mikołajem. — A więc, powodzenia! Jestem pewna, że pokażą cię w telewizji.

— Wolałabym nie — wymamrotałam, ale dziewczyna już znikła: poszła ustawiać resztę ludzi.

Na oddziale zapadła głucha cisza, zapalono lampki na choince. Weszła Candice, usiadła dwa łóżka od Addy'ego, tuż obok młodego chłopaka o imieniu Carl, który ukradł samochód, a potem go rozbił i leżał tu od roku. Miał piętnaście lat. Niezbyt urzekająca historia.

Candice odwróciła się przodem do kamery i uśmiechnęła promiennie.

— Jestem tu z Carlem Fosterem i jego matką, dla których to już kolejne samotne święta „w śpiączce”.

Pani Foster... co pani czuła, kiedy dowiedziała się, że jej syn miał wypadek?

— Cóż, poczułam się okropnie, naprawdę okropnie — odpowiedziała skurczona kobieta, wyglądająca jak kłębek nerwów.

— Tak, tak... To musiało być straszne. A jak się pani poczuła, gdy lekarze orzekli, że jest w śpiączce i być może nigdy nie odzyska przytomności?

— Cóż, to było naprawdę okropne. Tak, bardzo nieprzyjemne uczucie.

— Czy nie jest pani przykro, że być może nie będzie miał szansy dorosnąć, ożenić się, założyć rodzinę, zrobić karierę... że tak wiele traci?

— Tak, tak, naprawdę... to takie okropne... straszne, wie pani... okropne.

— Pani doktor — Candice przeniosła uwagę na grubą lekarzkę — co może się wydarzyć, jeśli mamy do czynienia z takim przypadkiem?

— Trudno powiedzieć — odparła doktorzyca; wyglądała, jakby upaćkała swoje okulary specjalnie na tę okazję.

— To pani nie wie? — zdziwiła się Candice.

— Cóż, istnieje kilka prawdopodobnych scenariuszy. Carl



może się obudzić w każdej chwili, ale równie dobrze może wegetować w tym stanie latami.

— Nie ma pani lepszych wiadomości dla matki tego chłopca?

— Jak już powiedziałam — lekarka zaczerwieniła się — śpiączka jest czymś nieprzewidywalnym.

— No dobrze... dziękuję, pani doktor — mruknęła Candice i zwróciła się do kamery: — A zatem pamiętajcie, dzieci, jeśli właśnie przyszła wam ochota na przejażdżkę kradzionym samochodem, są duże szanse, że skończycie tak samo jak Carl. Nie róbcie tego!

— Właśnie! — wtrąciła stojąca obok Sophie. — Kiedy zostanę posłanką, ustanowię śpiączkę karą za przejażdżkę kradzionym samochodem!

Ale Candice szła już dalej.

— Usłyszymy tu wiele tragicznych historii — mówiła. — Niektóre z nich dodają otuchy. Są też i takie, które tchną romantyzmem, jak opowieść, którą usłyszą państwo przy naszym kolejnym przystanku...

Ku mojemu zaskoczeniu usiadła obok mnie.

— Holly, zdaje się, że masz dla nas pewną zabawną historyjkę, opowiadającą o tym, jak Addison znalazł się w tym stanie, prawda?

— Nie.

— No wiesz: szykujesz się do pocałunku i nagle... ups! — zachichotała.

Siedziałam z kamienną twarzą. Nie mogłam uwierzyć, że chce to wywlekać przed kamerami. Kątem oka ostrzegłam skruszonego Stephena. Żaloszny kapuś! Wbiłam go wzrokiem w podłogę.

— Nie — powtórzyłam.

— Cięcie! — krzyknęła Candice.

Roger już leciał w moim kierunku — teraz mogli wyżyć się na mnie oboje. Zaczęła Candice:

— Posłuchaj no, yyy...

— Holly — przypomniam jej.

— No właśnie, Holly. Mamy tu wszyscy pewną robotę do wykonania. I, sama rozumiesz, może być ciężka, ale może być również trudna. Decyzja należy do ciebie.

— Mamy na to cały dzień — dołączył do niej Roger. — No i jutro, i pojutrze... Ale wszystkie oddane swojej pracy pielęgniarki oraz ci lekarze z powołania z pewnością chcieliby dalej pomagać chorym ludziom... na przykład twojemu chłopakowi.

— Rozumiesz chyba, że w Boże Narodzenie nie ma miejsca na egoizm — kontynuowała Candice.

— Teraz jest lipiec! — zawołałam, ale zostałam zignorowana.

— ...i jestem przekonana, że wszyscy, którzy znajdują się w tym pomieszczeniu, chcieliby zobaczyć, jak robimy wszystko, co w naszej mocy, by nakręcić wspaniały program — w hołdzie dla zdumiewających...

— Muszę do kibelka! — wrzasnął któryś z Cekinów.

— OK, OK — ustąpiłam wreszcie. — Zrobię to. Na pewno będzie to wyglądać jak nadesłana z Bliskiego Wschodu kasetka z uprowadzonym zakładnikiem...

— No widzisz — powiedziała Candice. — To nie takie trudne.

— Masz wspaniałe metody. Roger uścisnął jej ramię.

— Masz wspaniałe metody. Wchodzisz na...

Ping! Na jej twarzy znów pojawił się ten niesamowity uśmiech.

— Tak więc, Holly, masz dla nas pewną zabawną historyjkę o tym, jak Addison — ten oto młody mężczyzna — znalazł się w tym stanie, mam rację?

— Tak, Candice — odparłam posłusznie.

— Czy zechciałabyś podzielić się nią z naszymi widzami?

— Cóż, poszliśmy... chciałam go pocałować, gdy staliśmy na murku, a wtedy on spadł i uderzył się w głowę — wybełkotałam.

— Och! Aż się robi ciepło na sercu — szczebiotała Candice. — Nawet tu, pośród ludzkich wraków, można odnaleźć dwoje ludzi, których łączy romantyczne uczucie. — Odwróciła się znów do mnie. — Cóż, pomyśleliśmy sobie, że skoro wszystko zaczęło się od pocałunku, to być może kolejny pocałunek mógłby obudzić Śpiącego Królewicza...

Pomysł wydawał mi się zupełnie bez sensu.

— Zatem prosimy teraz wszyscy, by nasza Holly dostąpiła daru czarodziejskiej mocy świąt Bożego Narodzenia... Dalej, Holly. Pocałuj go, nigdy nic nie wiadomo!

— Nie jestem pewna, czy to rzeczywiście skuteczna metoda leczenia — wtrąciła doktor Hitler, która stała z boku i przyglądała się temu krytycznym okiem.

— To dla naszych widzów... Tylko spróbuj, Holly, tchnij w nasze serca odrobinę czarodziejskiej mocy świąt Bożego Narodzenia.

— Co?

Na sali zapadła absolutna cisza, wszyscy się we mnie wpatrywali. Czułam się jak biedna sarenka, która ma do wyboru: albo wyszarpnąć nogi z pułapki, nie bacząc na ból, albo w niej umrzeć.

Odwróciłam się powoli twarzą do Addisona.

W tej najczarniejszej godzinie mojego życia nadal myślałam o tym, jak może wyglądać mój tyłek, jeśli wymierzę go prosto w kamery — usiadłam więc szybko bokiem na łóżku Addisona. Bokiem do jego twarzy, jego głupio nieruchomej, ale wciąż pięknej twarzy.

„A co, jeśli... — zastanawiałam się. — Co by się stało, gdybym... Nie to, żeby to mogło pomóc, ale jeśli rzeczywiście...”.

— Boże — szepnęłam do łóżka obok. — Gdybyś chciał uczynić jakiś cud, nadszedł właśnie doskonały moment.

Bóg prychnął. Dziwne, ale słyszałam w głowie muzykę Enyi. Nienawidzę jej.

Cały oddział wstrzymał oddech. Schyliłam się powoli

i delikatnie pocałowałam Addisona w usta. Przypominało to pocałunek z rybą.

Nadal nikt się nie odzywał. Odsunęłam się. Addison nawet nie drgnął. Żadnego skurczu nerwów, żadnego mrugnięcia. Cholera jasna. Cholera jasna. Candice podeszła do łóżka i usiadła obok mnie.

— Wszystko w porządku? Och, czy ty płaczesz? — dopytywała się.

Wiedźma. No jasne. Jeżeli kiedykolwiek będziecie chcieli doprowadzić kogoś do płaczu, wystarczą te dwa zdania. Candice położyła jedną rękę na moim ramieniu — chyba w geście pocieszenia — a drugą machała na operatora kamery, żeby przybiegł czym prędzej i nakręcił zbliżenie mojej twarzy. Co naturalnie zrobił.

— Po przerwie wrócimy na oddział, o którym zapomniał czas, by opowiedzieć państwu kolejne tragiczne, chwytające za serce historie — wyrecytowała, nie przestając mnie poklepywać. — Cięcie! Josh i Stephen zaczęli mnie pocieszać. Candice biegała tymczasem po sali i poprawiała łóżka pacjentów, którzy nie byli ani za starzy, ani za mało urodziwi, by wystąpić w telewizji. Zespół już się rozstawił.

— Ale dlaczego uznałaś, że to mogłoby pomóc? — dręczyła mnie Sophie.

— Zamknij się, co? — Było w tym znacznie więcej agresji, niż chciałam.

— Ooo, tracimy panowanie nad sobą! Lepiej uważaj, bo nie dostaniecie tych pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Ta uwaga zaskoczyła nawet Josha. Chali ściągnęła srebrny top i zaprezentowała światu mikroskopijny srebrny biustonosz.

— Hmm... stosowny do okazji — wymamrotałam, gdy do mnie podbiegła.

— Jesteśmy prawie gotowi. Chcesz poznać Biga?

— O mój Boże, myślałam, że to jakiś Muppet! — Zamurowało mnie na widok małego, włochatego, patykowatego stworzenia, które podskakiwało jak piłeczka.

— Ej, to była niesamowicie wzruszająca scena — zapiszczał.

— Dziękuję — odparłam. — Dla mojej publiczności zrobię wszystko.

— Dałam Rogerowi listę naszych piosenek — oznajmiła Chali — ale nie sądzę, żeby ją przeczytał. Roger przypalał właśnie papierosa dla Candice. Chyba powinniśmy zrzucić się na deskorolkę dla doktor Hitler — mogłaby błyskawicznie przenosić się z miejsca na miejsce i szybciej zażegnawać kolejne kryzysy. Na syrenę alarmową też — nie musiałyby nadweręzać swojego gardła. Po chwili Roger znowu wskoczył na łóżko z megafonem w rękę.

— OK, świetna robota. Mamy dla was małą niespodziankę: są tu z nami nasi przyjaciele, którzy wykonają kilka przepięknych kolęd.

Cekiny ustawiły się rzędem pod ścianą. Gitara Mister Biga była większa niż on sam. Perkusiści wyglądali, jakby łączyła ich jedna długa brew. Chali zaczęła już prężyć się w zmysłowy sposób. Trudno wyobrazić sobie grupkę ludzi, którzy by mniej przypominali kołędników.

— No więc, gdybym tak mógł prosić was o sowite oklaski i wspólny śpiew... Kto wie, jakie cuda mogą się tu zdarzyć? Muzyka wywiera zbawienny wpływ na pacjentów w śpiączce, a zatem — im głośniej zaśpiewacie, tym większe będą ich szanse!

Wszyscy ustawili się w pozycjach, mających sprzyjać kołędowaniu. Z wyjątkiem Josha i mnie — oboje zatkaliśmy uszy.

Nastąpiła pełna wyczekiwania cisza. Chali uniosła ramiona, a gdy je opuściła, rozległ się przeraźliwy łomot perkusji.

— MAŁE MIASTECZKO BETLEJEM — zaczęła. — O JAKŻE CHORY LEŻYSZ TU  
DZIŚ/WŚRÓD STO-

SÓW MARTWYCH CIAŁ I ULIC, PO KTÓRYCH KREW PŁYNIE RZEKĄ!

Słuchacze wyglądali na nieco zaskoczonych, zaczęli nawet przestępować niepewnie z nogi na nogę.

— O Boże! — jęknął Josh. — Będzie znacznie gorzej, niż myślałem.

— I bardzo dobrze.

— LECZ TE CIEMNE ULICE ROZJAŚNIA BLASK/ WIECZNEGO ŚWIATŁA. / ROCK PANEM  
TEGO ŚWIATA,/ROCK GRAMY TU DLA CIEBIE.

Po chwili przyszedł czas na hałaśliwą, zgrzytliwą solówkę Mister Biga, która stanowiła poważne zagrożenie dla okien. Włochaty kurdupel wypiął się miednicą do przodu i oparł stopę na wzmacniaczu. Na jego czole perlił się rześisty pot, który opryskał stojące w pobliżu pielęgniarki.

Widziałam, jak Stephen zlizął kropelkę, która upadła na jego rękę.

— GWIAZDY PORANNE WYCHWAŁAJĄ WŁADCĘ DŹWIĘKÓW/DZIECIAKI NA ULICACH  
WRZESZCZĄ POD NIEBIOSA, WTÓRUJĄC DZIKIM DŹWIĘKOM ROCKA./PADNIJ NA  
TWARZ PRZED OŁTARZEM OSTRYCH DŹWIĘKÓW I ZANIEŚ DO PANA SWE  
MODŁY!/PRZYSIĘGNIJ, ŻE UMRZESZ Z GITARĄ W SWEJ DŁONI I ŻE KRWIĄ OKUPISZ  
ŚMIERĆ DZIEWIC.

Candice i Roger osłupieli, zaraz jednak zaczęli szeptać zawzięcie. Krewni pacjentów wyglądali na coraz bardziej strapionych. Ze zdumieniem zobaczyłam, że doktor Hitler wybija rytm stopą i wykonuje ledwo zauważalne ruchy głową. Chali wzięła szybki oddech i zakwiliła:

— GŁOŚNA NOC, ŚWIĘTA NOC...

— OK, OK! — wrzeszczał przez megafon Roger. — Już wystarczy!

Naturalnie nikt go nie usłyszał. Perkusiści rozgrywali właśnie długodystansowe zawody w bębnieniu. W drzwiach pojawiało się coraz więcej głów zaintrygowanego personelu.

— TYTANI ROCKA SKOPIĄ WASZE TYŁKI!

— Macie natychmiast przestać! — darł się Roger.

— NIENAWIDZIMY WIEPRZKÓW, KTÓRZY PRZERYWAJĄ NASZE KONCERTY/WYŁĄCZNIE DLATEGO, ŻE ŚPIEWAMY *SKURWYSYNY*.

— Ojoj! —jęknięły pielęgniarce.

— SKURWYSYNY! SKURWYSYNY! SKURWYSYNY! SKURWYSYNY! SKURWYSYNY!  
SKUR...

Nagle zgrzytnęło niemiłosiernie i muzyka ucichła. Roger trzymał w rękach zwój przewodów.

— Chyba już wystarczy, co?! — wrzasnął, trzęsąc się ze złości.

— Nie! — zawołały jednomyślnie pielęgniarce i... doktor Hitler.

— Cięcie! Powiedziałem: „Cięcie!”.

— Jeszcze! — skandował Stephen. Perkusiści zaczęli wybijać cichy, lecz dość natarczywy rytm, a personel zaczął klaskać i pogwizdywać. Muzycy grali coraz szybciej i głośniejsze, rytmiczne uderzenia stawały się coraz bardziej wyraziste.

— PRZESTAŃCIE! — rozległ się z megafonu głos Rogera. — PRZESTAŃCIE, I TO JUŻ! I WYŁĄCZYĆ MI TE PIEPRZONE KAMERY!

— Wyprowadźcie mnie stąd — błagała szeptem stojąca za nimi Candice. — A prosiłam tych skąpych durni o ochronę... „Stanowią cel ataku”, mówiłam im. Ale czy ktokolwiek mi uwierzył?

— MISTER BIG! MISTER BIG! MISTER BIG! — skandowała już cała sala.

Chali siłowała się z Rogerem — próbowała włączyć z powrotem zasilacze. Poziom hałasu był wprost niewiarygodny. Nagle gdzieś ponad tym wszystkim rozległ się straszliwy wrzask.

## ***Rozdział dwunasty***

Zaraz potem zapadła absolutna cisza. W pierwszej chwili pomyślałam sobie, że w wyniku zapasów Chali z Rogerem oraz zetknięcia się srebrnej folii jej bikini z gniazdkiem elektrycznym doszło do jakiegoś koszmarnego wypadku. Jednak szybko stało się jasne, że to nie to — Chali rozglądała się dookoła równie zdziwiona, jak my. Nie była to także Candice, gdyż nadal wisiała na komórcie i paplała coś o jakimś helikopterze i tłumieniu rozruchów. Kiedy doktor Hitler usłyszała wrzask, wyciągnęła rękę i dorwała jednego z gnomów. Złapała i nie puszczała. Przy łóżku Carla miotła się jego rozdygotana matka.

Ruszyliśmy wszyscy w jej kierunku.

— Otworzył oczy! — wykrztusiła. — Otworzył oczy! Kompletnie zdezorientowany nastolatek powoli zaczynał

przyjmować do wiadomości otaczający go świat.

— Czy to Boże Narodzenie? — spytał oszołomiony. — Czy ja spałem aż do świąt?

— Nie, nie. Mamy dopiero lipiec — uspokajała go jedna z pielęgniarek.

— Och, Bogu dzięki — wymamrotał.

— Ale oczywiście przegapiłeś już jedno święta... — dodała pielęgniarka.



Candice natychmiast ruszyła na miejsce zdarzenia.

— Nakręciliście to? — rzuciła do operatorów kamery. Przytaknęli. — Dobrze. Super. Później możemy dodać jakiś podkład z prawdziwych kolęd.

Usiadła obok Carla i włączyła swój promienny uśmiech, jakby zapalała światło.

— Drodzy widzowie, oto byliśmy świadkami cudu. Carl wrócił do nas dzięki uzdrawiającej sile muzyki — a kto wie, może również dzięki odrobinie magii naszej stacji. A zatem, Carl, powiedz nam, jak się czujesz?

— Yyy... okropnie... naprawdę strasznie... właśnie tak — wydukał Carl.

— Gówno! — Opadłam ciężko na łóżko Addisona. — Gówno, gówno, gówno, gówno, gówno!

— Nie martw się, Holly — uspokajał mnie Josh.

— Jak mam się nie martwić? To była nasza ostatnia nadzieja.

— Nie bądź głupia. Nie ma czegoś takiego jak ostatnia nadzieja. A poza tym Sophie nie wręczyła jeszcze swoich pieniędzy.

— Nie rozumiem, co dobrego może z tego wyjść — burknęłam, wzruszając ramionami.

— Może nowe metody leczenia, nowe sposoby...

— Możemy też spojrzeć prawdzie w oczy, Josh. Już go nie ma. Czy mógłbyś zostawić mnie na chwilę samą?

— OK — odparł i zaczął zbierać się do wyjścia.

— Yy... właściwie nie chodziło mi o to, żebyś wychodził.

— No jasne, że nie. Chodź no tu.

Usiadł i przytulił mnie dla dodania otuchy. Sophie dyskutowała właśnie z Rogerem i Candice. Chyba zaczynali się poddawać.

— OK — powiedział wreszcie przez megafon Roger. Wyglądał, jakby postarzał się o jakieś dziesięć lat. Oczywiście

cały personel nadal tkwił wokół łóżka Carla, ale Roger zaczął spokojnie, aż wszyscy się do niego odwrócili. — A teraz Sophie Masterton-Willis LLB przekaże czek na rzecz oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala St Hugh's.

— Chcecie jakąś muzykę w tle? — zapytał któryś z Cekinów, wywołując na sali śmiech.

Sophie zrobiła wytworną minę i wyrwała Candice mikrofon, a potem przeszła na sam środek oddziału. Operator kamery skupił na niej całą swoją uwagę.

— Dziękuję wam, że przyszliście — zaczęła. — To smutne, ale podczas kadencji obecnego parlamentu bardzo zaniedbano nasze szpitale. Dlatego też ta chwiejna konstrukcja musi być nieustannie wspierana przez sektor prywatny oraz hojnych ludzi dobrej woli... takich jak ja. Naturalnie wszyscy mamy nadzieję, że doprowadzi to niebawem do wykształcenia się całkowicie prywatnego sektora usług medycznych, który uwolni naszych podatników od tego przekłętego ciężaru.

Josh szturchnął mnie łokciem. Przy wejściu na oddział stała Kate. Miała dziwny wyraz twarzy.

— Przyszła! — ucieszył się Josh. — Szkoda tylko, że przegapiła najlepsze!

Zdawało mi się, że Kate woła na górę jakichś ludzi, przykładając jednocześnie palec do ust.

— Dlatego ja, Sophie Masterton-Willis LLB, postanowiłam ofiarować szpitalowi St Hugh's kwotę...

— Sophie podniosła do góry wielgachny czek — pięćdziesięciu tysięcy funtów! — Uniosła ręce na znak triumfu, spodziewając się burzy oklasków.

W tym momencie, niczym błyskawica, wparowała do środka Kate w towarzystwie — liczyłam w biegu: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... — sześciu Jamesów. Ustawili się w rzędzie, tuż za Sophie, na wprost kamery.

— Teraz! — krzyknęła Kate.

Sześciu Jamesów ściągnęło swoje drogie spodnie od Saville Row oraz bokserki CaMna Kleina, wystawiło do kamer sześć chudych, białych brytyjskich tyłków i zaczęło nimi energicznie potrząsać. Wybuchła istna lawina oklasków. Sophie uśmiechała się z galanterią i kłaniała do kamery, a Jamesi coraz intensywniej wymachiwali tyłkami.

— Doskonale — powiedziała Kate. — Zatrzymujecie swoje posady.

Kiedy aplauz nie słabł, uśmiech Sophie zaczął lekko przygasać. Znikł zupełnie, gdy dotarło do niej, że oczy tłumu wcale nie są zwrócone na nią. Odwróciła się i pobladła.

— Możemy już przestać? — spytał któryś z Jamesów. — Cała krew spływa mi do mózgu.

— Ty... ty... — wyjąkała Sophie. Wyglądała na zdruzgotaną. — Ale... dlaczego?

Kate stała sztywno jak kołek. Kamera przesunęła się, więc teraz obie były w obiektywie. Kate wzięła głęboki oddech.

— Cóż, Sophie, po pierwsze, dlatego... — zaczęła drżącym głosem — że jesteś wielką, podłą faszystką!

— Nie widzę w tym nic złego — powiedziała Sophie.

— A po drugie... kradniesz mi faceta, którego kocham, i na dodatek podle go traktujesz! — krzyknęła Kate. Tłum jęknął. Popatrzyłam na Josha. Na jego twarzy malowało się zmieszanie — zastanawiał się pewnie, kogo Kate miała na myśli.

— Cooo? — wymamrotała oszołomiona Sophie.

Ale Kate ruszyła już przez środek oddziału i zmierzała prosto do Josha. Przez kilka sekund przyglądał jej się w oszołomieniu.

— Co... co... mnie? — wymamrotał w końcu.

— A jak myślisz, debil, dlaczego mieszkam w twoim paskudnym, zasranym mieszkaniu? — zapytała, przygryzając wargę.

— Ja uważam, że jest niczego sobie — odparł.

— A czy ja też jestem według ciebie niczego sobie?

— UU-aa! Jasne! — zawołał.

— Przecież to ja miałam za niego wyjść! — wrzasnęła Sophie. — Miałby żonę z poparciem doskonałego elektoratu. Kremówki na lokalnym festynie... wszystko!

— Cóż, już nie możesz — stwierdziła Kate i pocałowała Josha.

— To zdecydowanie mój tydzień — oświadczył i również ją pocałował.

— Wobec tego... — Sophie rozejrzała się dookoła — pierdolę was wszystkich.

Podarła ogromny czek i rozrzuciła jego skrawki na podłodze, po czym odwróciła się i wyszła.

— O mój Boże! Pieniądze! — zawołał Josh. Wszyscy zamarli z przerażenia. Jeden z Jamesów wziął do ręki kawałek czeku.

— Pięćdziesiąt tysięcy? I to już wszystko? — Zachichotał. — Boże, przecież to nawet nie nadwreżyłoby naszych premii, no nie, chłopaki?

— Mało prawdopodobne! — odparli i sięgnęli po swoje książeczki czekowe.

— Daję dziesięć.

— Ty złamany fiucie! Ja daję piętnaście! \

— Obrzydliwy pedale! Daję dwadzieścia!

— Zastanawiam się — powiedziała doktor Hitler — czy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że podam teraz pacjentom leki przeciwko umieraniu?

Chociaż godzinę później nadal nikt nie usunął choinki, wszystko powoli zaczynało wracać do normy. Operatorzy kamer wyszli razem z rozanieloną Candice, która uwiesiła się na ramieniu Rogera i szeptała:

— Kochany, mamy BAFT-ę 24 jak w banku!

Przeprosiłam Chali, że nie dali jej zaśpiewać nic więcej, ale ona zupełnie to zlekceważyła i oznajmiła, że doktor Hitler poprosiła ich, by zagrali podczas letniej imprezy dla lekarzy, i tym razem absolutnie nic nie stanie im na przeszkodzie.

Kate i Josh przepadli bez śladu, nie chciałam więc zbyt szybko wracać do domu.

W drugim końcu sali, przy łóżku Carla, nadal panowało spore zamieszanie. Oznaczało to, że Bóg, Addison i ja możemy polegać jedynie na swoim własnym rozumie, ale z mojego zostało już niewiele. Usiadłam i zaczęłam wyglądać przez okno, nucąc pod nosem jakąś wymyśloną piosenkę; próbowałam zignorować narastające we mnie uczucie paniki.

Koło czwartej pomiędzy fałd zasłonki wynurzyła się głowa Finna.

— Czy wszystko przegapiłem? Skinęłam głową.

— Kate kazała mi przysiąc, że przyjdę, ale, szczerze mówiąc, wolałem ominąć szerokim łukiem akcję „gacie w dół”.

— Dlaczego? Masz zmutowany tyłek?

— Oj, nie! Myślę nawet, że jest całkiem ładny.

— Odwróć się — rozkazałam. Wykonał moje polecenie. Rzeczywiście miał całkiem apetyczny tyłeczek.

— Po prostu nie lubię świecić nim ludziom prosto w oczy, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

— Rozumiem... nie lubisz, jak twój goły tyłek pojawia się w telewizji o ogólnokrajowym zasięgu?

— Coś w tym stylu.

— Dziwny jesteś. Spojrzał na Addisona.

— Więc nadal bez zmian.

— Do diabła, Finn, dlaczego nie mogłeś zostać lekarzem? Dlaczego, do cholery, nie mogłeś się nauczyć, jak postępować w takich przypadkach?

— Nie wiem — odparł. — Ale jeśli tylko będę mógł, na pewno coś zrobię. Obiecuję.

Chlipnęłam.

— Czy chciałabyś... to znaczy, czy nie zechciałabyś wyskoczyć na drinka albo coś w tym stylu?

— Oczywiście, że nie — odparłam, pociągając nosem.

— Nie, oczywiście, że nie. OK. Powinienem chyba już pójść.

— Chyba tak.

— Przykro mi, Holi.

— Wszystkim jest przykro — wychlipałam. — Ale nikt nie potrafi mu pomóc.

Dom był zupełnie pusty. Zrobiłam sobie pięć kanapek z dżemem i jadłam je powoli, siedząc samotnie na schodkach przeciwpożarowych. Miałam wrażenie, że wszystko ze mnie uszło, chciałam tylko zapaść w bardzo długi sen — zresztą i tak chyba straciłam pracę. Ale gdy już się położyłam, w ogóle nie mogłam usnąć.

Kiedy następnego dnia zajechałam wolniutko do kwaciarni, rozpromieniona Chali czekała na mnie pod drzwiami.

— Co ty tu robisz o tej porze? — spytałam, nie dowierzając własnym oczom. Sklep powinien być otwarty dopiero od dwudziestu minut.

— Ding-dong! — krzyknęła Chali. — Stara rura nie żyje! Zabrała mi rower i z dumą wprowadziła go do środka.

— Jaka rura?

— Obudź się, śpiochu! Przetrzyj oczy, wyłaż z łóżka!

— OK, OK — powiedziałam. — Już rozumiem!

— Ding! Dong!

— Co się stało?

— Cóż... — zaczęła Chali, odmierzając dwie nieprzyzwoicie wielkie łyżeczki kawy z prywatnych zapasów pani Bigelow i rozrywając zębami paczuszkę zakazanych markiz czekoladowych—wczoraj wieczorem przyszedł tu taki mały chłopiec. I wiesz, okazało się, że jeden z jego kolegów został

potrącony przez samochód. I zabrakło mu pieniędzy na opłatę za dostawę...

— Nie może być... — wymamrotała.

— Tak czy owak, Biggie powiedziała mu, że nie może wziąć kwiatów. A potem okazało się, że jego ojciec posiada sieć sal konferencyjnych.

— I co?

— No i ten tatuś zadzwonił do mojego wujka i... już jej nie ma! Nie ma! Nie ma! Nie ma! Widzisz, mówiłam ci, że ten strajk to doskonały pomysł.

— Tak, ale „doskonały” znaczy w tym przypadku raczej „szczęśliwy”, a nie „moralny” czy jak tam — burczałam, ustawiając przed sklepem dekoracje.

— Czy ty niczego nie rozumiesz? Wujek podarował mi sklep! Jest nasz! Możesz go prowadzić, kiedy ja będę wyjeżdżać na tournée!

— Czyli nigdy — mruknęłam, prostując się. — Ale tak czy siak, to chyba świetna wiadomość, prawda?

Chali potakiwała entuzjastycznie.

— Wiesz, rzeczywiście mogłybyśmy coś tu zrobić... — Ten pomysł zaczynał mi się coraz bardziej podobać. W końcu musiałam poświęcić się teraz pracy, ponieważ moje życie uczuciowe raz na zawsze legło w gruzach. — Mogłybyśmy organizować najmodniejsze imprezy... dostałybyśmy się na łamy takich magazynów jak „Hello”. Wysyłałybyśmy darmowe katalogi. Założyłybyśmy własną listę adresową...

— Aj! — jęknęła Chali. — Miałam nadzieję, że to oznacza dla nas więcej luzu.

— Nie, nie. Dzięki tej kwiaciarni mogłybyśmy daleko zajść.

— Czy sądzisz, że mój zespół mógłby tu wystąpić? Kwiaciarnia i sala koncertowa w jednym?

Miejsce, w którym mogłyby przesiadywać dzieciaki!

— To chyba najgorszy pomysł na biznes, o jakim kiedykolwiek słyszałam — stwierdziłam. Spuściła nos na kwintę.

- OK, to może posiejemy mak i będziemy udawać, że sprzedajemy kwiaty?
- Nie, poczekaj... chyba ten twój pomysł koncerto-kwia-ciarni może okazać się całkiem niezły.
- Taa?
- Mogłoby być wspaniale.
- Wiem o tym — odparła. — A teraz uczcijmy to. Zamykam sklep na cały dzień.
- Zamkniesz kwiaciarnię pierwszego dnia naszych wspólnych interesów?
- Jestem bardzo dobrym pracodawcą.
- Jesteś bardzo optymistycznym pracodawcą.
- Cóż, jestem pracodawcą, który musi iść na próbę. Mam nowy zespół, składający się z włóczędzów grających na tekturowej perkusji. Jeśli wierzyć MTV, to absolutny hit!
- I powiedział ci to jakiś bezdomny włóczęga, tak?
- Aha.
- OK. Gdzie macie próbę?
- W King's Cross...

Zauważyła moje powątpiewające spojrzenie i dodała szybko:

- Jeszcze będziesz się śmiała, jak zagramy na Wembley.
- Nie, pod warunkiem, że będę sprzedawała kwiaty.
- Włóczędzy nie lubią kwiatów. Chyba że nie mają nic innego do jedzenia.

Była dopiero jedenasta rano. Zastanawiałam się, co ja takiego robiłam, zanim doszło do tego wszystkiego. Może namiętnie oglądałam *Holly Oaks!* Wlokłam się do szpitala z egzemplarzem SFX (lektura dla samotnych chłopców) pod pachą.

Miałam wrażenie, że zapach preparatów dezynfekujących przygniata mnie do ziemi. Po wczorajszym rykowisku dziś nawet korytarze wydawały mi się spokojne. Wzdychałam



głośno i forsowałam kolejne drzwi. Addison siedział na skraju łóżka.

Minęłam go i poszłam dalej, by znaleźć właściwy oddział. Po chwili stanęłam, klepnęłam się w czoło, odwróciłam się i weszłam do pokoju Addisona. Moje serce i gardło toczyły między sobą bitwę.

Zwyciężyło gardło.

— ADDISON! — rozdarłam się i rzuciłam się na niego jak wariatka.

Uniósł do góry wzrok, kompletnie zdezorientowany.

— Hej, Speedy Gonzales — zawołał Stephen, chwytając szelki moich ogrodniczek. — Jeżeli znowu go zrzucisz, będę musiał cię zabić.

— To ba ba ha ha ba ba... — bełkotałam, wymachując rękami.

Addison nadal spokojnie mi się przyglądał. Nie byłam w stanie zrozumieć wyrazu jego twarzy.

Stephen przytrzymał mnie w miejscu, kładąc rękę na moim ramieniu.

— Powiedz to jeszcze raz, tylko spokojnie, OK?

— Ep ep ha ha — stękałam. — Ga kła ja pf!!! — wrzasnęłam, gdy zza kotary wyłoniła się powoli ogromna postać i otoczyła barki Addisona ramieniem.

— Claff... Claff...

— Potrzebna ci papierowa torebka, żebyś mogła do niej oddychać? — spytał Stephen.

— To jest... — mamrotałam, usiłując odzyskać równowagę. — To jest Claudia! — zakomunikowałam wreszcie, świszcząc jak lokomotywa.

— Tak, Claudia Finkelman — potwierdził Stephen. — Przyjechała koło trzeciej nad ranem, usiadła obok niego i... no cóż.

— O Boże! To takie... to takie niesprawiedliwe!

— Chcesz usłyszeć, jak on się czuje, czy nie?

— O Boże — powtórzyłam. — Tak, oczywiście. Nienawidzę samej siebie.

— Spokojnie — powiedział Stephen. — Badali go już fizjoterapeuta i neurolog i wcale nie jest aż tak źle. Będzie miał przejściowe zaniki pamięci krótkoterminowej, ale, ogólnie rzecz biorąc, jest całkiem dobrze.

Podeszłam do łóżka Addisona maleńkimi, niepewnymi kroczkami. Stałam już wystarczająco blisko, by się odezwać.

— No, odwagi — szepnął mi do ucha Stephen.

— Hej... — zaczęłam hardo.

— Cześć — odparła Claudia.

To jej „cześć” również nie brzmiało przyjaźnie. Na żywo wyglądała jeszcze dziwniej — o ile to w ogóle możliwe — niż w komputerze. Była spasiona w typowo amerykański sposób: tusza sprawiała, że jej nogi, od kolan w dół, wykrzywiały się na boki. Włosy miała upięte z tyłu za pomocą dwóch karbowanych spinek, a na nosie ogromne okulary w stylu Deidre Barlow <sup>25</sup>. Ubrana była w wielki podkoszulek fanki filmu *Red Dwarf*.

— Hej — odezwał się Addison, spoglądając na mnie swoimi przepastnymi, brązowymi oczami.

Zrobiłam jeszcze jeden krok do przodu. Claudia stała tuż obok, gotowa przyjść mu z odsieczą.

— Jak się czujesz? — spytałam, usiłując opanować drżenie głosu.

— Jakoś dziwnie. Pokiwałam głową.

— Proszę, przyniosłam ci coś do czytania — powiedziałam i wręczyłam mu przyniesiony przeze mnie SFX, nie bardzo wiedząc, co mam dalej robić.

— O, wspaniale, uwielbiam to. Claudia, spójrz tylko, jest tu artykuł na temat analizy matematycznej.

— Co, takiej zmyślonej? — zapytała i zaczęli chichotać bez żadnego powodu.

Szukając jakiegokolwiek wsparcia, złapałam się krzesła.

---

<sup>25</sup> Aktorka grająca jedną z głównych ról w serialu *Coronation Street*.

— No więc... — odezwałam się. — Co się właściwie stało?

— Rozumiesz, nie mogłam... nie mogłam czekać i patrzeć beczynn timer, podczas gdy nikt nie robił niczego dla Addusia.

Pokiwałam głową z grobową miną.

— Wiesz, jestem na zewnątrz po raz pierwszy od sześciu lat. Na dodatek w innym kraju.

— Wykazałaś się ogromną odwagą — wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

— Wiem.

— Jak to się stało?

— Cóż, wsiadłam do samolotu, przyleciałam wczoraj w nocy, no i wpuścili mnie...

Ja też wpuściłabym potwora, który przyjeżdża o trzeciej nad ranem, a wy? Usiłowałam zapanować nad tymi mało życzliwymi myślami, ale okazało się to niemożliwe. Miałam wrażenie, iż moje ciało wypełnia jedynie ogromna rozpacz. Chciałam znaleźć się na miejscu Addisona, stracić przytomność na kilka miesięcy czy coś w tym rodzaju. Byłoby to zdecydowanie prostsze niż konieczność radzenia sobie z tym wszystkim. Poprzypinajcie mi te wszystkie rury i przewody i obudźcie, gdy nadejdzie piękne lato — prawdziwe lato doby ocieplenia klimatycznego, które obiecują nam co roku.

— ...i zaśpiewałam ci twoją ulubioną piosenkę, prawda, kochanie?

Addison wyglądał na nieco zakłopotanego.

— Jaka? — spytałam ze zwykłej uprzejmości.

— Och, jest taki jeden cudowny brytyjski zespół Take That. Mają piosenkę, zatytułowaną *Back for Good*, ale nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek o niej słyszałaś.

— Nie, nigdy — wyszeptałam.

— To nasza piosenka. Prawda, Pączuszk? Addison wzdrygnął się i skinął głową.

— Czy kiedy... spałeś — wzięłam głęboki oddech — ...wiedziałeś, co się dzieje wokół ciebie?

— Przykro mi, ale nie — pokręcił głową Addison. — Powiedzieli mi tylko, że często mnie odwiedzałaś.

— E tam, wpadałam tylko od czasu do czasu. Dobrze, że mnie nie słyszałeś. Zazwyczaj mówiłam ci, że masz wielki nos.

— Oj, tak, bywała naprawdę uszczypliwa — wspierał mnie Stephen.

— Kiedy nareszcie wróci Magda? Czy ona musi obdzwaniać wszystkich twoich krewnych z Chorwacji, każdego z osobna? — narzekała Claudia. — Przeprowadzamy się — poinformowała mnie.

— Dokąd?

Zupełnie jak w filmie *Misery*... moje obawy stawały się rzeczywistością.

— Nie mogę jeszcze zbyt dobrze chodzić — wyjaśnił Addison. — Claudia chce umieścić mnie w prywatnej klinice, gdzie zostaną poddany rehabilitacji.

— Stwierdziłam, że tutejsze jedzenie jest ohydne, nawet jeśli podają ci je przez rurę — oświadczyła Claudia. — No i potrzebują tego łóżka.

— To miłe z twojej strony — mruknęłam.

— Cóż, teraz Addison jest moim problemem — powiedziała. — A poza tym, jeżeli pozwolą mi zostać w jego pokoju, zaoszczędzę na hotelu.

Gdybym była lepszym człowiekiem, zaproponowałabym jej pokój Addisona. Ale nie byłam.

Stephen obiecał, że gdy skończy swoją zmianę, zabierze mnie — w porze lunchu — na małą brandy.

Ale na razie musiałam stanąć gdzieś z tyłu i poczekać, aż wszystko spakują. Próbowałam za wszelką cenę powstrzymać łzy. „Mam jeszcze kwaciarnię” — powtarzałam uparcie w myślach.

Magda stała się zupełnie inną osobą — śmiała się i płakała jednocześnie; obsypywała Addisona pocałunkami za każdym

razem, gdy mrugnął oczami. Wyszły z Claudią jako pierwsze, taszcząc spakowane ostrożnie postacie z *Gwiezdnych wojen*. Tymczasem portier posadził Addiego na wózku inwalidzkim i zaczął go pchać — najprawdopodobniej do luksusowej karetki.

— Cóż, mam nadzieję, że wkrótce cię zobaczymy — bąknęłam.

— Zobaczymy? — zdziwił się Addison.

— Eee... no tak, ja i Han Solo. — Wyciągnęłam z torby lalkę. — Razem nad tym pracowaliśmy.

Addison popatrzył na mnie.

— Nie chciałem mówić tego przy Claudii — zaczął, skręcając powoli wózkiem, aż do momentu, gdy stanął tuż obok mnie — ale czasami, kiedy... spałem... różne myśli przyływały, to znów odpływały... Jakbym nurkował w otchłani oceanu, jeszcze głębiej niż ryby czy łodzie podwodne.

— Jak w *Otchłani* — podpowiedziałam mu.

— W wersji reżyserskiej?

— Chyba tak.

Uśmiechnął się ledwo zauważalnie, wziął głębszy oddech i mówił dalej:

— No i czasami wypływałem na powierzchnię. A kiedy się wynurzałem, zawsze byłaś tam tylko ty...

— wymamrotał, uciekając wzrokiem. — I wołałem do ciebie.

— Niewystarczająco głośno — odparłam i pogłaskałam go po głowie. Do oczu napłynęły mi łzy.

— Byłaś za daleko.

On również miał mokre oczy. Siedział z twarzą odwróconą w bok i pocierał nerwowo czoło. —

Pływałaś w innym morzu.

— Och, Add... — Przytuliłam go i pozwoliłam, by moje łzy spływały po jego włosach. — Bardzo cię przepraszam.

— Nie, to ja cię przepraszam.

— Nie, ja.

Pokręcił głową. Przez chwilę żadne z nas nie było w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa.

— Zdaje się, że Moby Dick na ciebie czeka — odezwałam się wreszcie, przetykając głośno ślinę i zerkając w stronę drzwi.

Spojrzał w tym samym kierunku, a potem wziął mnie za rękę.

— To jest... trudno to wyjaśnić — powiedział.

— To samo morze?

— Być może ten sam wszechświat — odparł, unosząc bezradnie ramiona.

— Cóż, lepiej zabierz go ze sobą... — Podałam mu figurkę Hana Solo. — Jest dobry dla ludzi, którzy są w tarapatach.

— Będę o tym pamiętał.

— Przepraszam, ale licznik bije — przerwał nam portier.

— Oczywiście — wykrztusiłam i pozwoliłam, by Addison odjechał.

Za moimi plecami pielęgniarką zwijały tuby i przewody przy jego łóżku. Kiedy skończyły, usiadłam na gołym materacu, aby poczekać na Stephena; czułam wszystkie sprężyny. Ale i tak wciąż miałam ochotę skulić się i usnąć. Miałam wrażenie, że odeszło wszystko, co posiadałam.

— To łóżko będzie nam potrzebne — ostrzegła mnie doktor Hitler, przemykając tuż obok.

— Boże...? — szepnęłam. Nikt nie odpowiadał.

— Boże, naprawdę przydałaby mi się teraz odrobina moralnego wsparcia.

Usłyszałam charczenie, które dobiegało z sąsiedniego łóżka.

— Boże?

Bóg leżał na wznak z maską tlenową na twarzy. Był siny i pokurczony.

— Boże...

Machnął do mnie, bym zdjęła mu maskę. Sprawdziłam,

czy w pobliżu nie kręci się doktor Hitler, a gdy upewniłam się, że nigdzie jej nie ma, spełniłam jego prośbę.

— Jak się czujesz?

— Bóg nie żyje... — Każdej wypowiedzianej przez niego sylabie towarzyszyło okropne rżenie.

— Nie bądź śmieszny! Dalej, dokonaj cudu!

— Jednego już dokonałem — odpowiedział z trudem. — Przykro mi, że cię nie uszczęśliwił.

— Ach, to... Nieważne, OK? Spraw tylko, żebyś poczuł się lepiej.

— Nie ma sensu. Świat to jedna wielka kupa gówna.

— Cóż, chyba masz rację — odparłam po chwili namysłu — No ale...

— Nie. Wiesz, na co mam teraz ochotę?

Pieprzyć system, pomyślałam i otworzyłam jego szafkę. W środku stało pół butelki starej szkockiej.

— Wleję ci odrobinę przez tubę — powiedziałam. — Być może sięję ogólne spustoszenie, ale morderczynią to ja nie jestem.

— Nie, nie, to mi w zupełności wystarczy. Podnieś mnie tylko trochę... właśnie tak. Może ty też się napijesz?

— Dziękuję, nie pogardzę.

Upiłam łyk, po czym ostrożnie uniosłam jego głowę i pozwoliłam, by skosztował parę kropelek; zakaszlał, ale w końcu trochę spłynęło na dół.

— O, już mi lepiej — sapnął. — Myślę, że czas się zwijać.

— Nie masz żadnej rodziny, z którą mogłabym się skontaktować? — zapytałam.

— Moją rodziną są wszystkie żyjące stworzenia — odparł. — No a tak w ogóle to wszyscy spierdolili do Australii.

Pociągnął jeszcze trochę i ułożył się z powrotem na poduszkach. Usiadłam obok, pozwalając, by popijał whisky tak często, jak tylko mógł.

— Hej, dziewczyno, powinnaś już iść. Zdaje się, że musisz dalej żyć.

- Nie jestem pewna, czy mam w tej chwili ochotę.
- No dobrze... Ale czy chcesz usłyszeć ostatnią radę z ust samego Stwórcy?
- Tak, słucham.
- Hmm...

Wydawało mi się, że przysnął na sekundkę, ale po chwili powiedział:

- Hmm... rada. No tak... yyy... noś okulary słoneczne.
- To już chyba załatwione.
- Nie, naprawdę? Hmm... — Dostał kolejnego ataku kaszlu, brzmiącego jak tchnienie śmierci. — To może: kochaj sąsiadów swoich?
- Twojego sąsiada wprost uwielbiałam — odparłam. — No i co? Nic mi to nie dało.
- Tak, tak, masz rację, rozumiem. Zapadło milczenie.
- Do widzenia — szepnął po chwili.

Nagle koszmarnie rżężenie\ustało. Niemal w tym samym momencie jedna z maszyn podniosła alarm.

- LEKARZA! — zawołałam, podrywając się z miejsca.
  - Czy ty masz zamiar tu sypiać? — spytała doktor Hitler, wpadając na oddział jak bomba.
  - Nie...
  - No to czy mogłabyś wyjść? Nie jestem pewna, czy wysyłasz pozytywne fluidy. Ale gdybyś znowu spotkała tę grubą dziewczynę, czy możesz ją tu przysłać?
- Wybiegłam z oddziału na oślep. Co prawda Stephen jeszcze po mnie nie przyszedł, ale musiałam stamtąd wyjść. Potykałam się, biegnąc wzdłuż korytarzy, ludzie patrzyli na mnie przerażeni. Przepychałam się do przodu, zostawiając ich za sobą.
- Hej! — krzyknął jakiś znajomy głos. Biegłam dalej.



— Hej!

— Zostaw mnie! — krzyknęłam, pędząc wciąż przed siebie. Ale ścigał mnie ktoś dużo szybszy ode mnie. Dotarłam do roweru, nie zdążyłam jednak nawet otworzyć zamka.

— Pościg za kobietą... — Finn z trudem łapał oddech, opierając rękę na ścianie tuż na wprost mnie — ...to dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Chcesz, żebym stanął teraz w szranki z niedźwiedziem? Wyprostowałam się i pokręciłam głową.

— Co się dzieje? Pewnie Magda zadzwoniła do Kate, do pracy... Ojej! Zalałam się łzami.

— Chodzi o tę drugą dziewczynę, tak?

— Wszystko w porządku — wychlipałam. — Właściwie nawet lepiej niż w porządku. Doskonale. Addison się obudził i czuje się dobrze. Przynajmniej... cóż, przynajmniej nie wsadzą mnie do więzienia za nieumyślne spowodowanie śmierci.

— To już coś — mruknął.

Schyliłam się, próbując jeszcze raz otworzyć mój rower.

— Dokąd teraz jedziesz?

— Nie wiem — odparłam.

— Może pójdziesz ze mną?

— A dokąd idziesz? — zapytałam nieśmiałym głosem.

— No cóż, jest taki piękny dzień, więc może pójdziemy gdzieś i poczytamy mądre napisy?

— Brzmi nieźle.

— Muzeum Historii Naturalnej? Skinęłam głową.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja podałam mu swoją.

Muzeum było prawie puste, a do tego naprawdę oszałamiająco piękne. Przechadzałam się po ogromnym atrium; od czasu do czasu dotykałam jakichś gałek albo bawiłam się eksponatami. Finn przyglądał mi się uważnie.

— Czy tym razem Madeleine również wpuściła cię tu za darmo? — spytałam.

— Tak naprawdę to my... wcale się nie spotykamy... Spojrzałam na niego.

— A czy kiedykolwiek się spotykaliście?

— Nie... — Wzruszył ramionami. — No... może nie aż tak często, jak mówiłem.

Przez chwilę gapiłam się na niego, skonsternowana.

— Zaraz, zaraz... czy ja dobrze zrozumiałam? Wykorzystywałeś panią biolog od mitozy komórkowej tylko po to, by wzbudzić we mnie zazdrość?

— A udało mi się?

— No wiesz... cóż... chyba tak.

— Holi, ja nie... to znaczy, nie chciałbym się z tobą umawiać, jeśli nadal jesteś zakochana w Addisonie...

Przycisnęłam czerwony guziczek i za naszymi plecami zaczęło mrugać mnóstwo światełek.

— Myślę, że... — zaczęłam nieśmiało (rozważanie przyczyn mojego postępowania nigdy nie należało do moich ulubionych zajęć) — ...kochałam tylko pewne wyobrażenie na jego temat.

— Też tak myślę — zgodził się ze mną Finn.

— Być może to, czego naprawdę chcemy, jest...

— Trochę nudne i przemądrzałe? — zapytał, odgarniając ze swoich cudownych oczu swoje równie olśniewające czarne włosy.

— ...bliżej, niż nam się wydaje — dokończyłam. — Ojej! Już nie muszę udawać, że znam się na Star Treku! — uświadomiłam sobie nagle.

— I wiesz już sporo na temat spaghetti.

— Cóż, z całą pewnością bardzo dużo go zjadam.

— Właśnie to miałem na myśli.

— A czy sądzisz, że mogłabym mieć serce do nauki?

— Myślę, że tak — wystękał ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Czuliśmy się jak małe dzieci: trzymaliśmy się za ręce i spacerowaliśmy po wzniesionym nad masywnym wiktoriańskim sklepieniem moście z pleskiglasu, podziwiając zgromadzone w środku muzeum wielkie maszyny i monumentalne dzieła.

— Coś mi się przypomniało! — zawołałam, wychylając się przez balustradę. — Miałam powiedzieć ci wcześniej. Bóg umarł dziś rano.

— Oj, nie sędzę, żeby rzeczywiście umarł. Prawdopodobnie wziął wolne, by pograć gdzieś w kości.

## *Epilog*

To był przepiękny koniec lipca. Aby go uczcić (naturalnie świętowaliśmy również z naszego powodu), wyciągnęliśmy sennego Addisona z jego prywatnej luksusowej kliniki i zabraliśmy go na piknik do Hyde Parku. Marudził przez całą drogę, ale bardzo nalegaliśmy — przecież nie wyprawiliśmy mu jeszcze długo obiecywanego przyjęcia urodzinowego.

Jego stan zaczął się powoli poprawiać. Nadal miał skłonności do zapominania o różnych rzeczach, nadal nie najlepiej chodził, ale nie poddawaliśmy się pesymizmowi. Zdaje się że jego osobowość również nie uległa przeobrażeniu, jeśli uznać za wskazówkę jego wstret do wychodzenia na dwór. Musieliśmy zabrać aż pięć koców, by mieć pewność, że nawet kawałek jego odsłoniętego ciała nie dotknie trawy.

— Zaraz zwymiotuję — wymamrotałam, spoglądając na Finna z wysokości jego ud.

— Cóż, nie trzeba było zjadać czterech pingwinów — powiedział spokojnie, nie przestając oglądać obleśnej poczwarki, którą wziął przed chwilą do ręki.

Kate dołała nam szampana. Ona i Josh przynieśli sobie prawdziwy, wypełniony smakołykami kosz piknikowy, my — mandarynki w plastikowych torebkach, a Claudia wcinała żarło z McDonalda.

— Chciałabym wznieść toast za nas i... — zaczęła Kate. Nagle ujrzałam dwie zbliżające się w naszym kierunku postacie.

— Do cholery! Pieprzyć to! — krzyknęłam, siadając na trawie.

— No cóż, na dobrą sprawę Holly podsumowała to, co chciałam wam powiedzieć — stwierdziła Kate, unosząc swój kieliszek.

— Nie! Spójrzcie tam! Przecież to Carol i Farah! Musimy się wszyscy schować! — wrzasnęłam. — Szybko!

— Super! — zawołał Josh.

— Może za Claudią? — szepnęłam Finnowi i dostałam prztyczka w nos.

— Pod koce — zasugerował Josh.

— Eee, nie sądzę... — zaprotestował Addison.

Nie było wątpliwości, że Carol i Farah idą w naszą stronę.

— Prędko! Kładziemy Addisona! — rozkazałam.

Zrobiliśmy to, trzęsąc się ze śmiechu, a potem sami wskoczyliśmy pod koce. Oczywiście, jeżeli próbujesz leżeć w spokoju i się nie ruszać, nic z tego nie wychodzi, więc chichotaliśmy jak szaleni, próbując się wzajemnie uciszać. — Wiesz co — odezwała się Carol, gdy podeszły bliżej — ten park przynosi nam wstyd i hańbę. Spójrz, ktoś zostawił wózek inwalidzki.

— I masę bananów po pikniku — ekscytowała się Farah biegnąc w podskokach w tamtą stronę.

— To okropne!

— Sama jesteś okropna! — burknęłam, nim Finn zdążył zakryć mi usta ręką.

— Słyszałaś coś? — spytała Carol. — Oj, chodźmy już. Farah, czy myślisz, że gdybyś wzięła szczotkę na długim kiju, to dałabyś radę wyczyścić nasz komin?

Kiedy się oddaliły, wypętlłam spod koca i wyciągnęłam za sobą Finna.

— Nie wstawajcie. Nadal są blisko — ostrzegłam resztę.

Finn objął mnie i odeszliśmy trochę dalej. Również go objęłam.

— Miło tak... zostać z tobą sam na sam. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Pod gołym niebem, w najbardziej zatłoczonym parku najgęściej zaludnionego miasta przeludnionego świata...

— ...na którym... — przerwałam mu pocałunkiem — ...jak dla mnie, nie ma nikogo oprócz ciebie.

Znowu go pocałowałam.

— Holly! Poszły już? — rozdarł się Josh.

— No właśnie, bo leżę z nosem w trawie, a Claudia brzydko pachnie! — krzyczała Kate. —

Przepraszam cię, Claudia...

Usłyszeliśmy głośne cmokanie.

— Że co? Bo nie słuchałam — odezwała się Claudia. Spojrzeliśmy na cztery wierzące się pod kocem postaci.

Nagle Claudia zapiszczała.

— O kurczę, przepraszam — wymamrotał Josh. — Myślałem, że to Skates.

— Zaraz dostaniesz! — rozzłościła się Kate.

— Au! — wrzasnął Josh.